

E. L. DOCTOROW

KSIĘGA DANIELA

dla JENNY

i CAROLINE,

i RICHARDA

Herold zaś obwieszczał donośnie: „Rozkaz dla was, narody, ludy, języki: w chwili, gdy usłyszycie dźwięk rogu, fletu, lutni, harfy, psalterium, dud i wszelkiego rodzaju instrumentów muzycznych, upadniecie na twarz i oddacie pokłon złotemu posągowi, jaki ustawił król Nabuchodonozor. Kto by nie upadł na twarz i nie oddał pokłonu, zostanie natychmiast wrzucony do rozpalonego pieca". W chwili więc, gdy dał się słyszeć dźwięk rogu, fletu, lutni, harfy, psalterium, dud i wszelkiego rodzaju instrumentów muzycznych, wszystkie narody, ludy, języki padły na twarz, oddając pokłon złotemu posągowi, jaki wznosił król Nabuchodonozor.

Księga Daniela, 3, 4

Z muzyką rozgłośną nadchodzę, z trąbami i bębnami, marsze gram nie tylko dla uznanych zwycięzców, gram marsze dla zwyciężonych i zabitych.

Walt Whitman, *Pieśń o sobie*

Ameryko, dałem ci wszystko i teraz jestem niczym... Nie mogę znieść własnych myśli. Ameryko, kiedy zakończymy tę ludzką wojnę? Pierdol się tą swoją bombą atomową.

Allen Ginsberg, *Ameryka*

Przekłady z Księgi Daniela za: *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych*, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań–Warszawa 1971.

Księga pierwsza

DZIEŃ PAMIĘCI

W Dniu Pamięci 1967 roku Daniel Lewin przez niemal pięć godzin łapał okazje, żeby dostać się z Nowego Jorku do Worcester w stanie Massachusetts. Towarzyszyła mu młoda żona, Phyllis. Ośmiomiesięcznego synka, Paula, niósł w nosidełku na piersiach. Dzień był gorący i posępny, z nisko wiszącymi chmurami, z których w każdej chwili mógł spaść deszcz. Ruch na drodze od rana był zastanawiający – to znaczy był niewielki, jednak mało który kierowca potrafił minąć ich, nie zastanawiając się, kim są i dokąd zmierzają.

Czarny pisak „Thinline” z miękką końcówką. „Composition Notebook 79C” wyprodukowany w USA przez firmę Long Island Paper Products, Inc. Daniel szukający czegoś w jednym z działów czytelnicy. Na półkach stoją książki do czytania na miejscu. Siedzę przy stole, przy którym stoi lampa. Za tym uporządkowanym pomieszczeniem, składającym się z zatoczek wypełnionych ciasno książkami, znajduje się Czytelnia Czasopism. Pełno w niej gazet przymocowanych grzbietami do wieszaków, czasopism z całego świata, łajna wykształconych społeczeństw. Dalej jest Czytelnia Główna i wejście do magazynów. Na wyższych piętrach mieszczą się zbiory specjalne różnych bibliotek wydziałowych, w tym również Biblioteki Bibliotekoznawstwa. Na dole jest nawet filia Biblioteki Publicznej. Ośmielam się opowiadać dalej.

Daniel, wysoki, dwudziestopięcioletni młodzieniec, miał długie, kręcone włosy. Okulary w druczanych oprawkach i długie wąsy w tym samym odcieniu brązu co włosy nadawały mu wygląd nie tyle starszego niż w rzeczywistości, ile opanowanego i upartego. Trzeba to powiedzieć: robił wrażenie oziębłego, oziębłego z założenia. W istocie nic w jego wyglądzie nie było przypadkowe. Gdyby zachowywał się tak w latach trzydziestych, byłby młodym komunistą. Komunistą kawiarzianym. Nosił niebieską bluzę więzienną i drelichowe spodnie. Jego dziewiętnastoletnia żona pochodziła z Brooklynu, miała naturalne blond włosy, proste i długie, splecione tego dnia w warkocze. Sięgała mu ramienia. Ubrana była w kwieciste dzwony i przeciwdeszczowe poncho w kolorze khaki. Miała przy sobie małą torbę z rzeczami dla dziecka. Z zasady chętnie rozmawiała z nieznanymi i umiała sprawić, że przestawali się bać, i Daniel, chociaż nie chciał, żeby z nim pojechała, w końcu ustąpił i nie żałował tego. Kolejne etapy podróży mijały szybko. Phyllis mówiła do niego, on zaś gapił się przez okno. Zauważył, że samochody są duże, szerokie i dobrze resorowane. Kierowcy nie wyglądali na załęczonych, zachowywali się raczej protekcjonalnie. Byli wścibscy i najwyraźniej bawiło ich to, że podwożą te amerykańskie dzieciaki, które pewnie palą marihuanę, choć mają już dziecko.

Tuż przed pierwszą zostali wysadzeni przy drodze numer 9 w Worcester, około mili przed celem swej podróży. Popatrzyli na stromy, podłużny pagórek. Za jego grzbietem – zbyt daleko, żeby dało się ją zobaczyć – była brama Szpitala Stanowego w Worcester. Daniel nigdy przedtem tu nie był, ale ojciec dał mu bardzo dokładne wskazówki. Ojciec Daniela był profesorem prawa w Boston College, czterdzieści mil na wschód od tego miejsca.

Nie spodobało mu się, że ożenił się z Phyllis. Mojej matce też nie, ale żadne z nich, rzecz jasna, nie przyznałoby się do tego. To typowe dla oświeconych liberałów. Phyllis, studentka pierwszego roku, która rzuciła uczelnię, była dla nich zerem. To też typowe dla liberałów. Mylą charakter z wykształceniem. Nie wierzą, że dożyjemy pogodnej starości, znajdując w sobie wzajemne oparcie. Pewnie zwietryli w moim małżeństwie silną woń erotyzmu i uznali, że to wstrętne. Phyllis jest typem niezgrabny o ciężkich udach, wielkich cyckach i wąskiej, uroczej twarzyczce. Jej prababki musiały urodzić się w haremie. Jest typem zwiotczalej, bezradnej karmicielki, tak przemawiającym do gustu kalifów. Typem piaskowej wydmy, którą usypuje się po to, by ją rozrzucić kopniakami. Prawdopodobnie boją się, że ją rozkopię.

Daniel zastanawiał się, czy nie wsiąść do miejskiego autobusu jadącego na wzgórze, ale samochody posuwały się w tak żółwym tempie, że niemal wyprzedzali je na piechotę. Tak więc z Phyllis u boku, lekko wspierającą się dłonią o jego ramię, mozolnie piał się pod górę, zatknawszy kciuki za szelki nosidełka. Szosa była zatłoczona w obu kierunkach, a błękitna mgiełka spalin mieszała się z parnym powietrzem. Daniel wyobrażał sobie, jak owija się wokół jego kostek, talii i na końcu dosięga szyi. Wzdłuż chodnika biegł kamienny mur oddzielający trotuar od terenów szpitalnych. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowały się stacje benzynowe, pralnie chemiczne dla zmotoryzowanych, myjnie samochodowe, przechowalnie bagażu, pizzerie. W każdym możliwym miejscu

wisiał flagi narodowe.

Zbliżywszy się do szczytu pagórka, zobaczyli kamienną wiatę, pod którą czekało na autobus sporo osób. Autobus nadjechał, wypuścił pasażerów, z sykiem zamknął drzwi i zniknął za wzniesieniem. Nikt z czekających na przystanku nie próbował wsiąść. Jedna z kobiet była ubrana w za ciasny sweter, długą, luźną spódnicę, białe skarpetki gimnastyczne i domowe papucie. Któryś z mężczyzn miał na sobie podkoszulek. Inny nosił buty z obciętymi noskami, poplamioną, niebieską marynarkę z serży i brązowe spodnie. Robili miny. Na ustach pojawiał się uśmiech i za chwilę zniknął, bez powodu, raz za razem. Głowa zaprzeczała czemuś gwałtownymi potrząśnięciami. Większość przyciskała do brzucha brązowe, zwinięte ciasno papierowe torebki. Wydawało się, że trzymają w nich swoje życie. Daniel chwycił Phyllis za ramię. Kiedy podeszli do przystanku, dziwacznym ludzkie rozpierzchli się i zaczęli krążyć jak przepłoszone gołębie, dreptali w kółko i zbijali się z powrotem w gromadkę, kłębili się niespokojnie w środku wiaty. Z wyjątkiem jednego mężczyzny. Ów mężczyzna, ten w podkoszulku, ruszył biegiem prosto przed siebie, oglądając się przez ramię, gdy Daniel i Phyllis skręcili ku szpitalowi. Biegł przed nimi, wymachując rękami jak skrzydłami wiatraka, jakby próbował pozbyć się zwiniętej, papierowej torebki, którą ścisnął w dłoni. Przed nim, za trójpasmową jezdnią (zadymione powietrze oczyszczało się pośród drzew), wznosił się najeżony wieżyczkami budynek z żółtej cegły, Szpital Stanowy w Worcester, państwowy ośrodek dla chorych umysłowo. OTO, DOKĄD ZMIERZALI!

Z Biblii z Dartmouth: „Daniel, Światło Przewodnie Wiary w Czasach Prześladowań. Zaledwie kilka ksiąg Starego Testamentu dorównuje tajemniczością Księdze Daniela. Aczkolwiek zawiera ona kilka najbardziej znanych opowieści biblijnych, to aż dziewięć z dwunastu jej rozdziałów jest kroniką przedziwnych snów i wizji, które od stuleci zbijają z tropu czytelników”.

Dobrym punktem wyjścia może być poprzedni wieczór, wigilia Dnia Pamięci, kiedy zadzwonił telefon. Daniel i jego mała żoneczka właśnie się kochali w swej izdebce na Sto Piętnastej Ulicy. Muzyka Stonesów młóciła powietrze niczym głośnie tętno mojej erekcji. W końcu wzięłam ją na czworakach. Młodość i wstyd ją opuściły, a po długich, jasnych, prostych włosach spadających na oczy spływały łzy – jak koraliki wolnej miłości. Zaraz zadzwonił telefon. Z Phyllis jest tak, że ilekroć jest nawalona, wyłażą wszystkie jej zahamowania. Wszystko w niej jest ciasne i drażliwe, a uprawianie miłości staje się ponizające. Phyllis dorastała w mieszkaniu w Brooklynie, życie dzieci kwiatów jest jej życiem przybranym, z zasady. Jej umiłowanie pokoju jest przyjętą zasadą, długie włosy i miłość do mnie – wszystko jest „z zasady”. Decyzja polityczna. Z zasady wypala skręta i wtedy ją mam. Wszystkie jej instynktowne, nieuzasadnione przekonania wychodzą na wierzch i jej uda się zaciskają. Zmienia się w męczenniczkę seksu. Przypuszczam, że dlatego właśnie ją poślubiłem. Tak więc telefon się rozdzwania, a miękka Phyllis z Brooklynu poddaje się jeszcze jednej penetracji. Daniel, jej dręczyciel, delikatnie ścisną w garści miękki tyłeczek, sonduje jej cnotę, macierzyństwo, jej próżnię, jej poddaństwo, jej kądź, tubkę maślaną – i rusza na wyprawę naukową po tych odległych, wyspiarskich terenach, po formacjach gruczołowych, po stalinitach i trockitytach – stalinitach zwisających z góry i trockitytach wyrastających z dna albo odwrotnie – i kiedy dzieli nas już tak niewiele od bezwzględnego końca, dzwoni telefon. Telefon dzwoni. Telefon. Przypuszczam, że to telefon.

Jak jednak inaczej miałbym opisać tę scenę, żeby uwiecznić klucho watą urodę Phyllis, jej ostry nos, bladą cerę i jasne, polskie oczy. Albo nadmierne oczekiwania, jakie ma wobec życia, oczekiwania tak charakterystyczne dla licealistek. Jak miałyby ta scena świadczyć o długach, które spłacają wszyscy mężowie, kiedy zaszaleją. Naprawdę podniecające w tym małżeństwie nie trwającym jeszcze dwóch lat były formy, które przybierała moja upiorna uprzejmość, wyłażąca na wierzch niczym magiczny obrazek po pociągnięciu mokrym pędzlem. A jeśli ludzie tak mnie oceniają na pierwszy rzut oka, to jak mam wzbudzić sympatię? Jeśli chcę pokazać nieszczęście spadające w chwili, która nie przynosi mi najmniejszego zaszczytu, to czemu nie zacząć od regałów, od Daniela wędrującego między regałami, szukającego – za późno – tezy?

Szpital Stanowy w Worcester mieści się przy drodze numer 9 w Worcester w stanie Massachusetts, na szczycie pagórka wznoszącego się nad Jeziorem Quinsigamond, masą wody tak spo-

kojną, że słynie z zawodów kajakowych. Szpital składa się w rzeczywistości z dwóch szpitali: starego i nowego. Nowy, stojący tyłem do lasu, nas nie interesuje. Nie ma schodów i przeznaczony jest dla starszych pacjentów. Stary szpital wzniesiono na przełomie stuleci. Został zaprojektowany na podstawie założenia, że szaleństwo można uleczyć, umieszczając chorego w otoczeniu pięknej architektury. Ponury budynek w stylu wiktoriańskim ma dębowe, lukowe drzwi i gotyckie okna. Warto przy tym zauważyć, że wbrew panującej powszechnie opinii jest to jeden z wielu nie przepelnionych zakładów dla obłąkanych. Kiedy przywieziono doń Susan, był właściwie niemal pusty. Nowoczesne metody leczenia, w tym również wprowadzenie trankwilizatorów, wyeliminowały konieczność umieszczania pod kluczem każdego wariata, który trafił się w Worcester w stanie Massachusetts lub w okolicy. Teraz przeważa tendencja do hospitalizowania jedynie tych pacjentów, którzy nie są zdolni do samodzielnego życia poza zakładem lub przejawiają mordercze skłonności. A nawet oni mają prawo do spędzania weekendów w domu (jeśli mają jakiś dom) i innych tego typu przywilejów. Istnieje teoria, że przebywanie w znajomym otoczeniu ma działanie terapeutyczne. Teoria mówi, że człowiek chce być w domu.

Daniel odnalazł swą siostrę w świetlicy na oddziale kobiecym. Ściany w kolorze żółci, ochry i brązu. Sufit brązowy. Fotele z giętych, chromowanych rur wyściela ciemnozielona imitacja skóry. Są tu dwa telewizory, po jednym z każdej strony pokoju, i stojak na czasopisma. Susan była w świetlicy jedyną pacjentką. Pielęgniarka w białym kitlu i białych pończochach, które pogrubiają nogi, siedziała na prostym krześle przy drzwiach. Bawiła się kosmykiem włosów i czytała „Modern Screen”. Czy Dick naprawdę kocha Liz? Niech mi będzie wolno wyrazić swe zdanie w tej kwestii, co dowiedzie, że działam w dobrej wierze. Nie przypuszczam, żeby ją kochał. Myślę, że ją lubi. Że cieszy go kupowanie jej obłądnie drogich rzeczy, a także sporadyczne fikołki w łóżku. Że kocha życie, obecność kamer, męczącą doniosłość każdego swojego pierdnięcia. Że kocha oszukaństwo na widowiskową skalę. Myślę, że mógłby ją w końcu pokochać, gdyby poddano ich życiowej próbie.

Susan ubrano w jedną ze szpitalnych koszul bez paska i kołnierza i miękkie papucie. Zabrała jej wielkie, babcine okulary, które zdawały się podkreślać jej głęboką inteligencję i szczerze zainteresowanie wszystkim, na co spójrzała. Zerknęła z ukosa na Daniela, mrużąc urocze, błękitne oczy krótkowzrocznej dziewczynki. Kiedy go rozpoznała, przestała mu się przyglądać i odchyliła głowę na oparcie. Siedziała w zielonym, obitym sztuczną skórą fotelu, ręce na chromowanych poręczach, stopy w papciach ustawione równo jedna obok drugiej. Wyglądała okropnie. Ciemne włosy miała zaczesane do tyłu w sposób, w jaki sama by tego nigdy nie zrobiła – zawsze robiła na środku przedziałek i wiązała je na karku. Jej skóra wyglądała jak poplamiona. Susan nie należała do niskich, ale w tym miejscu robiła wrażenie drobnej. Nie patrząc na niego, podniosła ramię, a jej palce pochylły się w jego stronę znużonym, komicznym gestem, który przyprawił go o skurcz serca. Chwytał wyciągniętą rękę w obie dłonie, myśląc, Och, kochanie, moje biedne kochanie, i pocałował jej dłoń, myśląc, To jej dłoń, nadal jej dłoń, niezależnie od tego, co robi. I wtedy właśnie tuż przed oczami mignął mu bandaż, którym obwiązany był jej przegub. Kiedy mu się dobrze przyjrzał, cofnęła rękę.

Przez dziesięć minut Daniel siedział obok niej. Zgarbił się i gapił bezmyślnie w podłogę, ona zaś tkwiła w fotelu z głową odchyłoną do tyłu i zamkniętymi oczyma. Byli jak części mechanizmu zegarowego, które zmieniają pozycję z wybiciem godziny. Sądził, że wie, co to jest, że zna to uczucie porażki. Duszność. Nędzę tego stanu. Miewał już takie napady. Ludzie patrzą na ciebie jakoś dziwnie i rozmawiają z tobą, nie wpuszczając cię za próg. Nie wiedziałeś, co robić. Coś pękało, zamiary obracały się wniwecz, zapominałeś, czego oczekujesz od życia. Nie potrafiłeś się śmiać. Byłeś przerażony samym sobą, a twoje przerażenie miało tak czystą postać, że wystarczyło jedno spojrzenie w lustro, aby sparzyć serce i zwęglić oczy.

Widocznie westchnął, bo Susan wyciągnęła rękę i poklepała go lekko po plecach.

– Wciąż nas olewają – odezwała się. – Żegnaj, Daniel. Zdjęcie. Dotarło do ciebie.

Słuchał uważnie. Nie był pewien, czy powiedziała: „Żegnaj, Daniel”, czy „Grzeczny Daniel”. Pokręcił się jeszcze chwilę, ale ona nic więcej nie powiedziała i nie było wiadomo nawet, czy zauważa jego obecność. Wyjrzał przez okno, opierając się ramieniem o framugę. Okno było okratowane. Mógł stąd widzieć Phyllis barszkującą z małym na stoku wzgórze. Na szczycie znajdował

się otoczony ceglanym murkiem parking zastawiony samochodami w pastelowych kolorach. W obraz ten wtoczył się ciemnoniebieski Chevrolet, który Daniel rozpoznał jako własność małżeństwa Lewinów. Resztę zasłaniał daszek portyku ocieniającego schody prowadzące do głównego wejścia szpitala.

Nie odzywając się prawie wcale, nawet nie zwracając na niego uwagi, Susan zdołała przywrócić mu dawne, krzepiące poczucie więzi rodzinnej i przypomnieć, że jego żona nie należy do tej samej klasy i że jego dziecko zupełnie tu nie pasuje. Ze to ich sprawa, ten stan sieroctwa, który nieweczył wszystko i odgradzał ich od reszty ludzi, i zawsze tak będzie, niezależnie od tego, co on zrobi, żeby temu zaprzeczyć. Właściwie nie próbuję temu zaprzeczać. Przyznaję sobie jednak prawo, aby żyć w tym stanie na swój sposób, jeżeli potrafię. Susan odziedziczyła właściwy naszej rodzime nieszczęsny talent do przeżywania zdecydowanych uczuć. Zawsze zajmowała jakieś stanowisko, nawet jako dziecko. Moralistka, sędzia. To właściwe, to niewłaściwe, to dobre, to złe. Jej życie prywatne beztrudnie wystawione na pokaz, jej potrzeby bezwstydne, nie tak jak u większości ludzi – skrętnie skrywane. Z tą jej agresywną, moralną otwartością, hałaśliwą, bystrą i odrażająco szczerą dziewczęcnością. I wszystko źle. Zawsze źle. Przed polityką były prochy, przed prochami seks, przed seksem napady złości, przed napadami złości – wiara w Boga. Oto bezwartościowy przykład: dawno temu, pewnego czerwcowego wieczoru 1954 roku, dokładnie 22 czerwca, punktualnie o dziesiątej wieczorem Susan przekazała mi Słowo Boże. Było to podczas meczu Jankesów z Boston Red Sox. Allie Reynolds był miotaczem Jankesów i nic się jeszcze nie wydarzyło – nic do siódmej zmiany. Boston mieli jednego wykluczonego i zawodnika na pierwszej bazie. Jim Piersall stał, było trzy do jednego. Reynolds sięgnął po woreczek. Mel Allen głądził, że baza w zamian za piłki to zawsze kłopot, a kiedy to powiedział, na chwilę zagłuszył go krótki brzęczyk – jak zwykle w sprawozdaniach telewizyjnych – który oznacza rozpoczęcie następnej godziny. W tym samym momencie Susan, ośmioletnia, i ja, trzynastoletni, nie byliśmy w stanie spojrzeć na siebie. Allie Reynolds puścił woreczek, pociągnął daszek czapki i pochylił się, czekając na znak. Wtedy Susan powiedziała mi, że Bóg istnieje.

– Wszystkie będą jego – wyszeptala. – Wszyscyutkie będą jego.

Och, Susy, moja Susyanno, co ty zrobiła? Padłaś ofiarą międzynarodowego aparatu moralistycznej propagandy! Zrobili z ciebie moralnego ćpuna! Zniszczyli ci włosy, zabrali babcine okulary i ubrali w szpitalną koszulę, jakbyś była chora. Och, spójrzcie, co oni zrobili Susan, spójrz, co ci zrobili...

ISTOTA I FUNKCJA BOGA W ŚWIETLE BIBLIJ

Oto, co biblijny Bóg tak naprawdę robi z ludźmi – trzyma ich w dłoni, jak mówią małe dziewczynki. Ma ich w swojej opiece. Zaprowadza monumentalną sprawiedliwość. O kłątwy, o przestrogi! Plagi, pogromy i obracanie w perzynę, nagłe śmierci, dziękczynienia i niewola. Powodzie. Pożary. Co ciekawe, okazuje się, że Bóg jako postać biblijna niemal bez przerwy zaprzęta sobie głowę tym, czy ludzkość potrafi Go poznać. Stale głosi Swe Zwierzchnictwo, nagradzając tych, którzy je uznają, i karząc tych, którzy go nie akceptują. Stosuje wymyślne sztuczki. Zapewnia sobie pomoc jednostek z gruntu cnotliwych, które zostają Jego posłańcami, przekazicielami cudów, jednostek, które powierzają Mu w opiekę swoje ludy. Każda epoka musi sprostać próbie i sama Go poznać – albo, innymi słowy, każde pokolenie musi od nowa przekonać się o Jego Istnieniu. Dramat biblijny polega na konflikcie między tymi, którzy w Niego wierzą, a tymi, którzy wątpią w Jego Istnienie. Czyli na poddaniu próbie tych, którzy rokują nadzieję, że mogą w Niego uwierzyć. W tym kontekście warto zastanowić się przez chwilę nad karierą Daniela, figury (czy też figur) zdecydowanie pomniejszej, jeśli nie zupełnie apokryficznej, która bez szczególnej przyjemności służyła kilku królom epoki poaleksandryjskiej. Dla Daniela i jego współwyznawców są to złe czasy, ponieważ należą oni do obywateli drugiej kategorii, żyjących w wybitnie wrogim otoczeniu. Wychowany na dziwacznej symbiozie pogańskich królów i ich mądrych poddanych – Żydów, Daniel wykazuje nadzwyczajny talent do łagodzenia skutków najgorszych okrucieństw wyrządzanych jego ludowi przez panujących, którym służy jako tłumacz snów, wizji i nocnych zjaw. Wygląda na to, że sny, wizje i nocne zjawy są ryzykiem zawodowym władców w starożytności. Załóżmy, że Król (Nabu-

chodonor, Baltazar albo Cyrus) ma męczący sen, którego nie potrafi zrozumieć. Zwraca się więc do swoich dworzan – najrozmaitszych czarnoksiężników, astrologów, wróżbitów, mędrców chaldejskich. Założmy, że sprawiają mu zawód. Zostaje wezwany Żyd, Daniel – ostatnia deska ratunku. Daniel uchodzi za męża skromnego, dzielnego i raczej ufego w Boga niż mądrego, gdyż właśnie modlitwie i pobożności zawdzięcza zsyłane przez Boga tłumaczenia snów, które ma przedłożyć Królowi, aby ocalić życie. Raz musi nawet odtworzyć treść snu, zanim będzie mógł go wyjaśnić, bo głupkowaty Król – Nabuchodonozor – zapomniał, co mu się śniło. W dowód uznania Daniel otrzymuje ministerialne godności, jak przed nim Józef i Mojżesz. To jednak żadna synekura. Wystarczy wspomnieć Charliego Chaplina, którego gruby, bogaty pijak co wieczór zaprasza do domu, a następnego ranka, wytrzeźwiawszy, kopniakiem wyrzuca na ulicę. I tak na przemian. Kiedyś trzech bracia Daniela zostają oskarżeni przez chytrych Chaldejczyków o świętokradztwo i Król skazuje ich na śmierć w piecu ognistym. Bóg wie, że wyjdą żywi z płomieni, ale Daniel musiał to mocno przeżyć. Innego razu sam Daniel staje wobec podobnego oskarżenia i zostaje wrzucony do jaskini lwów, ale wychodzi z niej bez jednego draśnięcia, mimo że spędził tam całą noc. Jego życie jest jednym pasmem konfrontacji, z których wcale nie najbliższą było poniżenie swego pracodawcy przed obliczem tłumu – ale przełknąłeś tę zniewagę, królcu. „Bóg obliczył twoje panowanie i ustalił jego kres; zważono cię na wadze i okazałeś się zbyt lekki...” To nie jest robota dla faceta, który nie znosi hałasu i oślepiającego światła. Danielowi udaje się przetrwać trzy królestwa, jednak w życiu osobistym płaci za to wysoką cenę. Pod koniec jego wizje stają się coraz bardziej bezładne, apokaliptyczne, historyczne. Którejś nocy męczy go dziwaczny i straszliwy sen: bestie ulepione z ciał różnych zwierząt, morza, pożary, burze i Przedwieczny na tronie – i jak na ironię – Daniel nie wie, co to oznacza. „Ja, Daniel, popadłem z tego powodu w niepokój ducha, a widzenia mojej głowy przeraziły mnie. (...) Moje myśli przeraziły bardzo mnie, Daniela; zmieniłem się na twarzy, lecz zachowałem sprawę w sercu”.

Tyle, jeśli chodzi o Daniela, Światło Przewodnie Wiary w Czasach Prześladowań. (Trzeba być desperatem, żeby czytać Biblię). Pięcioro dorosłych ludzi usiłuje w Dzień Pamięci wydostać jedną dwudziestoletnią dziewczynę z państwowego ośrodka dla umysłowo chorych. Tego się nie da zrobić. Jest święto. Nie ma nikogo, kto mógłby wyjąć jej kartę, zbadać pacjentkę i wypisać ją do domu. Nie ma nikogo, kto mógłby powiedzieć, że może sobie iść. Jestem wściekły. „Zabierzmy ją po prostu!” – wrzeszczę. Tego się jednak nie da zrobić. Robert Lewin, profesor prawa w Boston College, nie robi tego. Lise, jego żona, mówi, że bym zachowywał się poważnie. A doktor Duberstein, niesławny doktor Alan Duberstein, przeprowadza z automatu bezcelowe rozmowy. Duberstein jest niskim, chudym mężczyzną o piskliwym głosie. W czasie drugiej wojny światowej został postrzelony, operacja plastyczna wygładziła mu rysy twarzy. Proste włosy, które wyglądają jak przyklejone do czaszki. Skóra barwy gipsu i ani śladu brwi. Z tej karykatury twarzy sterczy fajka. Krawat w paski jest poplamiony, a brązowe buty z cholewkami proszą się o pastowanie.

– Powiedziano mi, że nie będzie żadnych kłopotów – nacieka na rejestratorkę. – Na zewnątrz stoi karetka, która kosztuje tych ludzi trzydzieści pięć dolarów za godzinę.

– Nic na to nie poradzę – odpowiada siostra. Jest duża i wesoła. Patrol policji stanowej zgarbił Susan z terenu przy autostradzie, co oznacza, że dostała się pod kuratelę państwa. – Musi być oficjalnie zwolniona – mówi cierpliwie siostra. Tym tonem przemawia zapewne do maniaków. Melodycznie. – Nie mogę tego zrobić i pan też nie może. Nawet nie wpisano do karty wstępnej diagnozy.

Przemierzam poczekalnię w tę i z powrotem, uderzając pięścią w otwartą dłoń. Phyllis siedzi na ławce, mały zsuwa się jej z kolan. Dziewczyna z przejęciem na twarzy wodzi za mną wzrokiem, przytrzymuje wyrwijące się dziecko. Tak naprawdę nie mam ochoty uwalniać Susan siłą. Żałuję jednak, że nie posiadam jej zdolności do spektakularnych działań – tego daru wywoływania publicznego zamieszania, tego rodzinnego talentu. Dobrze się stało, że nie dopuszczono do niej Dubersteina. Również naszych rodziców, jeśli chodzi o ścisłość. Latami leczyła się u Dubersteina. Kiedyś powiedziała mi, że straciła dla niego szacunek, kiedy odkryła, że dwa razy w tygodniu gra w golfa. „Więc dlaczego do niego chodzisz?” „Łagodzi rodzicielskie lęki”, odrzekła Susan, studentka. Łagodzi rodzicielskie lęki. To powoduje, że czuję się winny za nas oboje. Spoglądam na Lewi-

nów: bladzi, zmartwieni, znowu zbierają cięgi. Nie potrafię udźwignąć ciężaru winy. Zaczynam robić im wymówki. Powinni od razu do mnie zadzwonić. Postarałbym się wyciągnąć ją stąd dzień wcześniej.

– Co próbowaliście przede mną ukryć? O co chodziło?

Moja matka, Lise, drobna kobieta w bluzce i krótkiej spódnicy, w butach na niskim obcasie i z torbą na ramieniu, jest osobliwą kombinacją WAC, (*Women's Army Corps - Kobiety Służby Sił Lądowych*) rocznik 45, i starzejącej się, eleganckiej, wiedeńskiej wróżki. Siada na ławce obok Phyllis i nieświadomie macierzyńskim gestem odbiera od niej dziecko, czym zyskuje jej wdzięczność, gdyż potwierdza przyjęcie Phyllis do rodziny.

– Och, Danny – mówi Lise – nie bądź głupi. Nikt niczego nie ukrywa. Ty mieszkasz daleko stąd. My tutaj. Jesteśmy jej rodzicami. Dajemy sobie radę. A poza tym, jeśli ktoś z rodziny może zostać zluźwany na dwadzieścia cztery godziny, to czemu z tego nie skorzystać? A może wszyscy powinniśmy przestać funkcjonować?

Wydaje się, że przyjmuje to wszystko z większym spokojem niż ojciec, który właśnie rozmawia łagodnym tonem z Dubersteinem, przedstawiając mu kolejne warianty działania. Przecież jacyś lekarze pracują nawet w Dzień Pamięci. Niech pan znajdzie lekarza dyżurnego. Porozmawia z nim. Jeśli nie ma go w budynku, niech pan się dowie, gdzie jest, i zadzwoni do niego. Ojciec uwielbia Susan. Jej wybryki zawsze nastrajały go refleksyjnie. Ale ostatni numer jest najgorszy ze wszystkich, jakie wykręciła. Prawdopodobnie dotarło do niego, że nasz model życia wiedzie nas ku upadkowi, że nasze życie zmierza ku śmierci.

Słusznie zrobił, że nie podjął się odparcia mojego małodusznego zarzutu. Już dawno wyrzekłem się prawa do opieki nad Susan. Kim jestem, żeby im mówić, co mają, a czego nie mają robić? On jednak uznaje moje prawa.

– Wyjdźmy na zewnątrz – prosi.

Zostajemy na parkingu, a Duberstein oddala się w poszukiwaniu dyrektora szpitala. Kobiety wsiadają z dzieckiem do samochodu Lewinów, model impala rocznik 65 z ręczną skrzynią biegów, i zostawiają drzwi otwarte; ja i ojciec, odwróciwszy się tyłem do szpitala, opieramy się o maskę samochodu i patrzymy na wzgórze. Za nami, w pobliżu wejścia, przyczaiła się jaskrawoczerwono-szara karetka, kierowca w czapce nasuniętej na oczy śpi za kierownicą. Wzgórze usiane jest pacjentami ściskającymi w dłoniach szare, papierowe torebki.

– Wiedzieliśmy, że jest przygnębiona – opowiada Robert Lewin. – Chcieliśmy, żeby przyjechała na weekend do domu, ale powiedziała, że musi wyjechać. Wyglądała całkiem dobrze. Chodziła na zajęcia. Uczyla się.

Ojciec z każdą minutą wygląda starzej. Na pewno uważa, że samobójcza próba Susan to jego wina. Gdyby moja matka czuła się tak jak on, nie pokazałaby tego po sobie. Przychodzi mi na myśl, że nie zadzwonili do mnie od razu, ponieważ bali się mojej reakcji. Nie byli pewni, co się stanie, nie byli pewni, czy Daniel nie robi tego samego, jak gdyby czyn Susan był zaraźliwy.

Po takich dzieciach Robert Lewin może oczekiwać wyłącznie niespodzianek. Nie ma pewności nawet co do własnych genów. Ogarnia mnie takie serdeczne współczucie dla tego faceta, że otaczam go ramieniem. Nie jest wałkoniem. Haruje jak wół, należy do niezliczonych organizacji, jest adwokatem ubogich, publikuje w pismach prawniczych. Jest ważną osobą w ACLU (*American Civil Liberties Union - Amerykański Związek Obrony Praw Obywatelskich*). Jego wykłady cieszą się dużym powodzeniem, a on sam jest solą w oku dziekana. Bierze udział w demonstracjach przeciwko łowcom głów z Dow Chemical. W wolnych chwilach lubi poczytać „New Yorkera”.

Żadne z małżonków nie żałuje tego, co zrobiło dla Susan i dla mnie. Dla takich okrutników. A jesteśmy naprawdę strasznie podli. Mówię poważnie: naprawdę strasznie podli. Muszą jednak zdawać sobie sprawę, że nie chcemy ich skrzywdzić i że jedyna krzywda, jaką im wyrządzamy, wynika z miłości do nich. Każdy, kto należy do rodziny, rozumie mitologiczne brzemienie uczynków nieporównanie małych wobec ich skutków. Ani moja siostra, ani ja nigdy nie sprowadziliśmy na nikogo zagłady – to wyjątkowa łaska. Prawo do popełniania błędów nie do naprawienia jest dziedziczne.

Z nagła Daniela ogarnął błogi, świąteczny nastrój. Słońce przezierало przez chmury, lekkie,

ciepłe podmuchy pochmurnego dnia muskały mu twarz, był tutaj razem z całą rodziną, ze swoimi najbliższymi, a wokół roztaczał się cudny krajobraz Worcester w stanie Massachusetts. Był wdzięczny Susan za urozmaicenie mu nudy doktoranckiego życia. Susan wyzdrowieje. Tymczasem rozgrywał się dramat. Rozkoszne nieszczęście. Słabe, rozproszone impulsy do nabijania się z innych ulegały wzmocnieniu. Robert Lewin wyczuł jego współczucie i z serdecznością je odwzajemniał. Czy Daniel dobrze się czuje? Czy zjedli coś z Phyllis rano przed wyruszeniem z domu? Ze schowka w samochodzie wyciągnął garść czekoladowych batoników.

– Milky Way dla wszystkich – rzekł ze smutnym uśmiechem.

Pozostawał jeszcze samochód, którym trzeba się było zająć, samochód Susan, wciąż stojący na parkingu przy restauracji Howarda Johnsona, niedaleko zjazdu numer 11, po zachodniej stronie autostrady. Duberstein przystąpił do bezskutecznego poszukiwania władz szpitalnych, które mogłyby zwolnić Susan, natomiast dwaj mężczyźni gawędzili cicho, jeden drugiemu dodając otuchy, okazując troskę sobie nawzajem, a wkrótce – temat pogawędki obejmował coraz szersze kręgi – swoim żonom, niewinnemu, tłuściutkiemu bobasowi i każdemu, kogo tylko zdołali ogarnąć siłą swego uczucia, każdemu, kogo mogło ono ocalić. Popołudnie zrobiło się uroczyste...

Bucharin nie był aniołem, to pewne. Podczas swego procesu dowodził, że winę za mordowanie białych trzeba złożyć na karb gorączki walki rewolucyjnej. Płaszcząc się przed Stalinem, musiał podkreślać różnicę między morderstwem usprawiedliwionym politycznie a terroryzmem frakcyjnym. W 1928 roku, na dziesięć lat przed procesem, krytykował plan forsownej industrializacji wymyślony przez Stalina, a jego samego porównywał do Dżyngis-chana. We wrześniu 1936 roku zostało zwołane zebranie Komitetu Centralnego, na którym miało dojść do wykluczenia z Partii Bucharina, Tomskiego i Rykowa. Zarzucano im, że przewodzili prawicowemu skrzydłu – spiskowi trockistowskiemu. Bucharin powiedział, że prawdziwym spiskowcem jest Stalin, który żeby osiągnąć władzę absolutną, gotowy jest zniszczyć Partię Bolszewicką, i że dlatego on, Bucharin, oraz inni mają być wyeliminowani, i że to jest powodem postawienia go w stan oskarżenia. Komitet Centralny przyjął linię obrony Bucharina i głosował przeciwko usunięciu go z Partii. Oskarżenie o spisek odrzucono. W przeciągu roku dziewięćdziesięciu ośmiu członków Komitetu Centralnego zostało aresztowanych i rozstrzelanych. (Dowiedzieliśmy się o tym z przemówienia N. Chruszczowa na XX Zjeździe Partii.) Potem powrócono do oskarżeń i Bucharin został postawiony przed sądem.

Właściwie trzeba by tu zbadać kilka zagadkowych kwestii. Dlaczego okoliczności dotyczące cierpień narodu rosyjskiego sprawiają, że Amerykanie czują się jak filistrzy? Dlaczego dwóch gliniarzy stanowych, którzy w damskiej toalecie u Howarda Johnsona natykają się na wykrwawiającą się dziewczynę, zabiera ją nie do najbliższego szpitala, ale do państwowego ośrodka dla umysłowo chorych?

Tematy, które trzeba poruszyć:

1. Stary plakat z fotografią, który znalazłem w kartonowej tubie na przednim siedzeniu volvo należącego do Susan.

2. Okropna scena w czasie poprzednich świąt Bożego Narodzenia, która rozegrała się w żydowskim domu przy ulicy Winthrop w Brookline, domu zbudowanym dla dwóch rodzin, ale tak, by wyglądał na jednorodzinny, w stylu powszechnie panującym w tej okolicy.

3. Nasza szalona babcia i wielki Murzyn z piwnicy.

4. Przyjrzeć się lepiej Lewinom, może śledzić ich do autostrady, a potem do Brookline.

Warto zauważyć, że przyszło ci to do głowy dopiero, gdy dostałeś się do samochodu Susan, co nieźle tobą wstrząsnęło. Wciąż nas olewają. Zdjęcie dotarło do ciebie. Grzeczny Daniel.

5. Dopóki nie zaczniesz myśleć, będziesz robił to, co ma być zrobione. Chcę, żeby to było jasne, stary. Jesteś zdrajcą. Nie ma takiego niskiego celu, dla którego byś nie użył swego dziedzictwa. Jesteś zdrajcą, który zdradza bez powodu. Który siedzi tu i opisuje to wszystko, zabawiając się ze sobą, zamiast robić swoje – co ty sobie myślisz, że profesor Sukenick przyjdzie sprawdzić, czy rzeczywiście pracujesz? Czy sądzisz, że go to obchodzi? A może po prostu szukasz drugiego ojca? Ilu ojców potrzebuje jeden chłopiec? Dlaczego się nie ruszysz i nie znajdziesz sobie pracy? Dlaczego nie rzucisz czymś ciężkim? Czymś naprawdę ciężkim, by pokazać Susan, jak to się robi?

PROSIMY O ZACHOWANIE CISZY. Co to za koleś, który wstaje z krzesła, potrącając biurko, i rusza między regały, łapiąc wszystko, co mu wpadnie w oko? Czy Uniwersytet Columbia potrzebuje takiego doktoranta? Przemykającego między półkami jak złodziej – rabującego wszystko, na czym tylko spocznie jego wzrok, wracającego chwiejnie na swoje miejsce z naręczem Materiałów Źródłowych? Do jakiej Szkoły chodzi? Jak się nazywa?

6. Wypad do śródmieścia na spotkanie z Artiem Rewolucjonistą i podejrzenie, że ktoś szykuje finansowy szwindel.

7. Fundacja Isaacsonów. CZY TO NIE STRASZNE, ŻE NIE ZACHOWUJĘ SPRAWY W SERCU MOIM, ŻE POZWALAM WSZYSTKIM DOWIEDZIEĆ SIĘ O ZGRYZOCIE MEGO SERCA, ŻE OCZYSZCZAM Z NIEJ SERCE MOJE? CO SIĘ DZIEJE Z MOIM SERCEM?

Lato 1967 roku właśnie się zaczynało. Fala palenia kart powołań miała dopiero nadejść. Zamieszki w Newark i Detroit. Młodzi ludzie w Stanach Zjednoczonych mieli dopiero posłużyć się formą protestu, którą wynaleźli w tym stuleciu buddyjscy mnisi z Wietnamu Południowego. Dopiero mieli się oblać benzyną i podpalić. Spłonąć w proteście. Tylko ja, Daniel, zamartwiałem się, a myślami się swymi trwożyłem, i nie chciałem zachować sprawy w sercu swoim.

Ascher miał ręce jak imadła. Był łagodnym człowiekiem, który nie podnosi głosu, ale kiedy coś go zaabsorbowało, tracił panowanie nad sobą i nie zdawał sobie sprawy, jak ogromnej siły używa. Daniel próbował się uwolnić, rozluźnić pierścień bólu zamknięty wokół nadgarstka, ale Ascher w odpowiedzi tylko wzmocnił chwyt i jeszcze bardziej zacisnął palce.

– Chodźcie, dzieci, chodźcie – ponaglał prawnik.

Mozolnie wspinali się po schodach stacji metra – stromych, pokrytych grubą warstwą błota, zaśmieconych opakowaniami po gumie do żucia i zdeptanymi niedopalkami. W ślad za nimi ciągnęły gorące zapachy prażonej kukurydzy, pizzy, pączków i precli – wszystkich cudów taniego pożywienia z przenośnych budek – goniąc ich jak zwierzęcy jazgot ze sklepu zoologicznego. Zawsze mu się wydawało, że zwierzęta chcą, żeby je kupić.

– Chodźcie, dzieci, chodźcie.

Susan – mniejsza, lżejsza, z krótkimi nóżkami – nie mogła nadażyć. Wisiała, uczepiona kowalskiego ramienia Aschera, a jej buty obijały się o stopnie, znajdując oparcie tylko po to, by zaraz znów zawisnąć w powietrzu.

– Boli! – krzyczała.

Dlaczego on ich tak ciągnął? Czyżby sądził, że uciekną?

– Panie Ascher, to ją boli – powiedział Daniel. – Jeśli pan nas puści, będziemy mogli wchodzić szybciej od pana.

– Co? Dobrze, zmykajcie – odparł Ascher. Rozcierając nadgarstki, gramolili się do góry, z łatwością przeganiając wielkiego, ciężkiego prawnika. – Nie spadnijcie! – krzyczał za nimi. – Poczekajcie na mnie na górze.

Już uspokojeni, przyglądali się z ciekawością potężnemu cielsku, które z całych sił usiłowało ich dopędzić. Tam, gdzie stali, u wylotu urwistego zejścia do metra, mieszały się ze sobą dwa prądy powietrza: płynący z dołu gorący, podziemny przeciąg muskający pieszczotliwie twarze i tnący po plecach zimny wiatr z ulicy. Kurz, gazety i sadze wirowały nad ziemią. Był chłodny, wietrzny dzień. Jaskrawe słońce zmusiło ich do zmrużenia oczu.

Ascher pokonał ostatnie dwa stopnie z dłońmi wspartymi o kolana.

– Nie pożyczę długo – wysapał. Wyciągnął ich na bok ze spływającej w dół ludzkiej rzeki.

Zatrzymali się przed budynkiem. Ascher łapał oddech i starał się zorientować, gdzie są. Po drugiej stronie ulicy znajdował się Bryant Park i Biblioteka Publiczna. Na prawo biegła Szósta Aleja.

– Tędy, na zachód – odezwał się Ascher, chwycił ich znów za nadgarstki i ruszyli. Zatrzymali się na światłach, przeszli Szóstą i poszli dalej Czterdziestą Drugą Ulicą ku Broadwayowi. Sprzedawca gazet miał nauszniki. Wiał ostry wiatr. Dzieci maszerowały, chowając twarze przed jego podmuchami. Daniel naciągnął na czoło miękki daszek wełnianej czapki. Z nosa mu kapalo

i wiedział, że skóra mu spierzchnie od wiatru. Wiatr przewiewał mu spodnie. Gruby, szary płaszcz Aschera przesuwiał mu się przed oczyma. Trzymająca go za nadgarstek ręka nagle zwolniła chwyt i Daniel znalazł się tuż przy boku Aschera, osłonięty jego ramieniem od wiatru.

– Przysuńcie się, w ten sposób będzie wam łatwiej iść – stwierdził prawnik.

Tworzyli teraz jakieś dziwne, sześciopiętne zwierzę, które maszerowało po wietrznych przestrzeniach Szóstej Alei. Dwoje dzieci wcisniętych w ciało potężnego mężczyzny.

– Jak resztką naszego szczęścia – wymruczał do wiatru Ascher. – Jak droga, którą ucieka całe nasze szczęście.

Choć Daniel miał twarz wtuloną w płaszcz Aschera, zdawał sobie sprawę z dobiegających go dźwięków: klaksonów, ruszających i zatrzymujących się samochodów, wszechobecnego, ale niezbyt głośnego szmeru rozmów idących ludzi, muzyki płynącej ze sklepu z płytami. I na tym tle stukot kopyt, który kazał mu się odwrócić i wyrzeć zza płaszcza. Zobaczył dwóch gliniarzy, wyprostowanych, wysokich i dzielnych, siedzących na precyzyjnych kasztankach. I zaraz poczuł się winny, że ich tak podziwia, chociaż wie, że są reprezentantami sił reakcji.

– Teraz musicie trzymać się blisko mnie i robić, co wam powiem – odezwał się prawnik. – Trochę się spóźniliśmy. Widzę potężny tłum. To dla nas wielki zaszczyt. Powinniście być dumni. Kiedy się tam znajdziecie, trzymajcie głowy wysoko i starajcie się wyglądać dostojnie. Nie garbcie się, stójcie prosto. Żeby każdy mógł was widzieć. Vershtey? Nie bójcie się. Co się stało, mała?

– Coś mi wpadło do oka.

– Nie mamy teraz czasu, Susan. Chodźcie.

Susan szarpnęła się i zaparła nogami.

– Coś mi wpadło do oka – powtórzyła.

– Zamknij oczy. Samo wypłynie.

– Nie! Boli – odparła.

Ascher puścił ją i zaczął krzyczeć. Daniel widział, że wszyscy są zdenerwowani. Wziął siostkę za rękę i doprowadził do drzwi sklepu obuwniczego. Tam byli osłonięci przed wiatrem. Zdjął rękawiczkę, odpiął kurtkę i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu chusteczki.

– Zdejmij okulary – polecił. – Nie trzyj. Zabierz rękę, o tak. Popatrz w górę.

Kurczowo zaciśnięta powieka. Zacerwienioną twarzyczką wykrzywił grymas.

– Jak mam zobaczyć, co to jest, skoro nie chcesz otworzyć oka? – spytał.

– Nie mogę.

Daniel się roześmiał.

– Nie przesadzaj, Susyanna. Powinnaś zobaczyć tę śmieszoną minę, którą zrobiłaś.

– Nie zrobiłam!

– Dzieci, proszę was, jesteście spóźnieni. To bardzo ważne! Szybciej, szybciej.

– Jeszcze minutkę, panie Ascher – odparł Daniel. – Przecież pan wie, że to mała dziewczynka.

To wrzuszające określenie tak podziało na Susan, że zaczęła płakać. Daniel objął ją ramieniem i przeprosił. Ascher mruknął coś w jidysz i podniósł ręce. Potem je opuścił, aż klasnęło. Odszedł kilka kroków i zaraz wrócił.

– No, dalej, Susan. Pozwól mi to wyjąć, a kiedy wrócimy do domu, to się z tobą pobawię.

Zagramy w „Monopol”. – To była wielkoduszna obietnica, bo gra była naprawdę długa.

Susan otworzyła bolące oko i długo mrugała. Stwierdziła, że cokolwiek to było, już wypłynęło.

– *Gottzudanken!* – westchnął Ascher.

– Naprawdę pobawisz się ze mną? – chciała wiedzieć Susan.

– Tak. – Daniel otarł jej łzy, po czym wytarł nos, najpierw jej, a potem sobie.

– Pośpieszcie się, przedź – ponaglił ich Ascher.

Kiedy skręcili w Broadway, wiatr stał się mniej dokuczliwy, bo na ulicy było pełno ludzi. Przeciskali się przez tłum. Było tu więcej policjantów na koniach, stali w dwuszeregu wzdłuż krawężnika. Piesi policjanci kierowali samochody z Broadwayu w Czterdziestą Drugą Ulicę, na wschód i na zachód, co powodowało liczne korki. Dźwięczały klaksony, policjant dmuchał w gwiz-

dek. Włączając się w napływającą ludzką falę, Ascher chwycił Susan i Daniela za nadgarstki i przeprowadził ich między samochodami na drugą stronę ulicy. Całe dwa kwartały między Czterdziestą a Czterdziestą Drugą Ulicą były otoczone kordonem. Ludzie stali na jezdni. Widok był niesamowity. Wszyscy patrzyli w kierunku Czterdziestej Ulicy: mężczyzna stojący na platformie krzychał coś do mikrofonu. Dwa głośniki zamontowane na dachach ciężarówek niosły jego głos nad ciżbą, ale trudno było usłyszeć, co mówi. Wydawało się, że tłum, chociaż skupiony, wygłusza dźwięk samym swym ogromem. Mężczyzna powiedział coś po cichu do kogoś stojącego obok, zakłócając potok nagłośnionej przemowy. Echo niezrozumiałych słów odbiło się od budynków. Kilka osób w tłumie trzymało nad głowami tablice, unosząc je rytmicznie w górę, kiedy przemówienie przerywały oklaski grzechoczące jak szklane kulki rozsypujące się po ziemi.

Ascher wyprowadził dzieci na skraj zgromadzenia, trzymając się blisko budynków, gdzie ciżba nie była tak wielka. Posuwali się rządkiem: z przodu szedł Ascher trzymający za nadgarstek Daniela, który ciągnął za sobą Susan.

– Przepraszam – powtarzał Ascher – przepraszam państwa.

Przy Czterdziestej Pierwszej Ulicy strategia go zawiodła, bo tłok był tu zbyt duży, nawet pod samymi budynkami. Daniel widział tylko ten skrawek chodnika, na którym stał. Ascher ruszył więc przez największy ścisk, przecinając jezdnię na skos i rozpychając stojących.

– Proszę mnie przepuścić. Na bok, na bok.

Teraz nie było czym oddychać. Danielowi tłum wydawał się ciężarem, który rozgniółby go na miążgę, gdyby zamknęła się torowana przez Aschera ścieżka. Jakiś łokieć niemal strącił mu czapkę. Daniel miał zajęte ręce, więc nie mógł jej poprawić. W końcu spadła. Susan przykucnęła, żeby ją podnieść, i wtedy jej dłoń wyslizgnęła mu się z ręki. Ascher pociągnął go za sobą i Susan zniknęła za oddzielającymi ich ludźmi.

– Niech pan zaczeka! – krzyknął, szarpiąc się w żelaznym uścisku Aschera, od którego płała mu nadgarstek.

– Daniel, Daniel! – wołała za nim siostra.

Ogarnęło go przerażenie. Krzyknął i zarył obcasami w ziemię. Wyrwał się. Zaczął przebijać się z powrotem, rozpychając ciała nieruchome jak drzewa, jak głązy.

– Susan!

Twarze spojrzwały w dół: „Ciii!” Ludzie uciszali go pomrukami. Głos płynący z głośników wypełnił niebo nad jego głową.

– Czy to jest ta słynna, amerykańska sprawiedliwość? Czy to jest przykład fair play i sprawiedliwości, jaki Ameryka daje światu?

– To są przecież dzieci! – usłyszał krzyk Aschera. – Ależ to są dzieci!

Wpadł na Susan, zanim ją jeszcze dojrzał. Przyciskała kurczowo jego czapkę obiema rękami, a wokół niej nie było nawet odrobiny wolnej przestrzeni, ramiona miała unieruchomione przy piersiach. Objął ją i próbował odnaleźć kierunek. Zrobiło się nieznośnie gorąco. Spojrzał w górę i zobaczył linię dachów po lewej stronie. Postanowił, że dotrą do chodnika, przedzierając się na prawo, i w ten sposób będą mogli – idąc wzdłuż krawężnika – wrócić na tyły tłumy. Wiedział już, jak dostać się do domu.

– Nie chcę! – odezwała się Susan. – Nie mogę się ruszyć!

– Tu są! – Mężczyzna stojący obok zerknął w dół. – Mam ich.

A potem Ascher znalazł się przy nich i zaczął ich znowu ciągnąć.

– Tu są dzieci – powtarzał. – Proszę nas przepuścić. Prowadzę dzieci.

W końcu ludzie w tłumie zrozumieli.

– Tu są dzieci – przekazywali sobie z ust do ust. Daniel dostrzegł w oddali taśmę rozpiętą na słupkach wokół platformy. UWOLNIĆ ICH! Ktoś podniósł go i Daniel poczuł, że podające go sobie ręce unoszą go nad głowami jak morską falę. Ogarnął go strach. Usłyszał z tyłu głos Susan:

– Postawcie mnie! – wołała. – Na pomoc! Danny!

Aż wreszcie wzmocniony głos zadudnił nad Broadwayem:

– Oto dzieci! – I ogłuszający wrzask wypełnił mu uszy, kiedy podsadzono ich chwiejnie na platformę. Był oszołomiony. Złapał Susan za rękę. Zarumienieni, z trudem łapiący oddech, oszoło-

mieni ruchem tysięcy głów i głosem wydobywającym się z tysięcy gardeł, brzmącym jak ryk oceanu, gapili się na ciżbę, na kolosalną, szkaradną istotę o mi lionach oczu, która falowała w ulicznym wąwozie, rozchlapując życie, dźwięki i zniewagi aż na platformę. Był na wyspie, czuł wiatr na twarzy. Przez chwilę wydawało mu się, że zostali zdradzeni i że przeogromna masa zaleje ich i zanieśie daleko. Ryk jednak, chociaż skierowany na nich, nie był wymierzony przeciwko nim. Jego celem byli inni, ci, którzy zamieszkiwali królestwo tak tajemnicze i abstrakcyjne, że nie sposób było go zrozumieć. U stóp platformy, opodal nóg Daniela, znajdowała się twarz Aschera, który gapił się w górę z wyrazem triumfu i błogości. Coś wykrzykiwał, ale Daniel nie mógł nic dosłyszeć. Facet, który przemawiał, objął jednym ramieniem jego, drugim Susan, i ostrożnie, ale w zdecydowanie władczy sposób ustawił się pomiędzy nimi. Wciąż trzymali się za ręce. Ryk tłumu zaś przeszedł w nucenie, w urywane echo olbrzymiego chóru, które w końcu zlało się w jednostajne: „Uwolnić ich, uwolnić ich, uwolnić ich!” A jego i Susan sparaliżował widok plansz, nadnaturalnej wielkości zdjęć matki i ojca, sterczących z morza głów, opuszczanych i podnoszonych rytmicznie do wtóru skandującemu tłumowi: „Uwolnić ich, uwolnić ich, uwolnić ich”.

No, kotku, teraz już wiesz. Dość długo z nami pogrywałaś, nie? Ty cwana kurewko. Wiesz, co się wyrabia, czyż nie, tatuśku? Dotarło do ciebie. To historia o pierdoleniu, co nie? Uważasz się za taką wy-kszał-co-na, mamuśku? A wiesz, dokąd idziemy, do kurwy nędzy?

CIEKAWY ZJAWISKO

Wielu historyków zauważyło, że bezpośrednio po wojnie w rzeczywistości amerykańskiej pojawia się ciekawe zjawisko. Na posiedzeniach rządu koalicyjne współdziałanie narzucone przez wojnę zostaje zastąpione przez partyjne rozgrywki. Na wielkiej scenie zależności społecznych – kapitału, świata pracy, wspólnoty interesów – rośnie przemoc. W publicznych wypowiedziach dominują strach i wzajemne obwinianie się, a emocje górują nad rozsądkiem. Wielu historyków odnotowało pojawienie się tego zjawiska. Przypisuje się je działaniu wojennej hysterii, która trwa, chociaż wojna się skończyła. Niestety, nastrój podniecenia, tak potrzebny do prowadzenia wojny, nie daje się zakreślić jak kran. Trzeba ciągle szukać nowych wrogów. Ani umysłu, ani serca nie da się odeśłać do cywila równie szybko, jak plutonu żołnierzy. Przeciwnie, ich ostudzenie wymaga niemało czasu, podobnie jak ostudzenie rozpalonego do białości pieca ognistego.

Weźmy pierwszą wojnę światową. Tuż po jej zakończeniu w głowie prezydenta Wilsona zrodziła się idea społeczności międzynarodowej, która kolidowała z partyjnymi rozgrywkami republikanów pod przewodnictwem senatora Henry'ego Cabota Lodge'a, człowieka nadzorującego wybory prezydenckie w 1920. Odmowa ratyfikowania przez Kongres wymarzonej przez Wilsona Ligi Narodów była, delikatnie mówiąc, godna pożałowania, zwłaszcza z perspektywy nieszczęśliwych wydarzeń w Europie, które miały później nastąpić. Samego Wilsona można nazwać ofiarą tych rozgrywek: wylew krwi do mózgu rozłupał mu ciało, powodując lewostronny paraliż. Tak wygląda zjawisko odnotowane przez wielu historyków.

Jeśli chodzi o sytuację na froncie pracy, to rok 1919 obfitował w bezprecedensową liczbę strajków, w których uczestniczyły miliony robotników. Jeden z największych przygotowała AFL (*American Federation of Labour - Amerykańska Federacja Pracy*) przeciwko Amerykańskiej Korporacji Przemysłu Stalowego. Robotników pracujących w przemyśle metalurgicznym obowiązywał wówczas średnio sześćdziesięcioosmiogodzinny tydzień pracy, ich wynagrodzenie zaś nie przewyższało stawek minimalnych. Strajk przeniósł się na inne fabryki, co doprowadziło do wielu aktów przemocy – osiemnastu robotników zginęło, rozpędzono pikiety i tak dalej. Strajkujący zostali napiętnowani jako bolszewicy i utracili tym samym poparcie społeczne, dzięki czemu Korporacji udało się złamać strajk. W Bostonie do protestu przyłączył się Wydział Policji, więc gubernator Calvin Coolidge zastąpił strajkujących policjantów innymi. W Seattle wybuchł strajk generalny, który przyspieszył pojawienie się „czerwonego zagrożenia” w skali całego kraju. To było pierwsze czerwone zagrożenie. Tuż przed 1 Maja w budynku poczty nowojorskiej znaleziono szesnaście bomb. Znajdowały się w przesyłkach zaadresowanych do ważnych osobistości amerykańskiego życia publicznego, między innymi do Johna D. Rockefellera i Prokuratora Generalnego Mitchella Palmera.

Dzisiaj nie wiadomo już, kto wysłał paczki – czerwoni terroryści, czarni anarchiści czy ich wrogowie – ale to bez różnicy. Przez całą wiosnę wybuchały inne bomby, niszcząc domy, zabijając i kalecząc niewinnych ludzi, więc społeczeństwo ogarnęła trwoga przed czerwonymi. Społeczeństwo było przerażone, że czerwoni mają zamiar zająć cały kraj i – jak w Rosji – włożyć każdej matce wielkiego fiuta. Trzeba położyć temu kres. Prasa podsyciała te nastroje. W dużych miastach policja, wojsko i marynarka rozbijały pierwszomajowe pochody. Utworzony właśnie Legion Amerykański przeprowadził obławy w dzielnicach IWW (*Industrial Workers of the World - Światowa Organizacja Pracowników Przemysłowych*) w stanie Waszyngton. W całym kraju parlamenty stanowe zatwierdziły ustawy przeciwko głoszeniu wywrotowych poglądów, w wyniku czego tysiące ludzi trafiły za kratki, między innymi lewicowy kongresman z Milwaukee, którego skazano na dwadzieścia lat więzienia. Nie wspominając o Ustawie o Szpiegostwie i Działalności Wywrotowej z 1917, która dała podstawę do aresztowania kolejnych tysięcy. Nie mówiąc już o Eugene V. Debsie. Drugiego lutego 1920, wieczorem, Prokurator Generalny Palmer, który pilnował Białego Domu, wysłał oddziały federalne, by przeszukały siedziby Partii Komunistycznej w całym kraju. Ze swą prawą ręką, J. Edgarem Hooverem, u boku Palmer doprowadził do aresztowania sześciu tysięcy ludzi, wśród których było trochę cudzoziemców komunistów, trochę zwykłych cudzoziemców, trochę zwykłych komunistów i trochę ani komunistów, ani cudzoziemców, tylko przypadkowych osób odwiedzających akurat tych, których aresztowano. Własność skonfiskowano, ludzi związano razem, zakuto w kajdany i poprowadzono ulicami (w Bostonie) albo trzymano w korytarzach komendy policji federalnej przez osiem dni bez jedzenia i środków higienicznych (w Detroit). To zjawisko odnotowało wielu historyków. Obławy przyczyniły się niewątpliwie do wzmocnienia czujności obywatelskiej, która falą przetoczyła się przez kraj. Na całym Południu i Zachodzie kwitła działalność Ku-Klux-Klanu. Urządzano nocne obławy, napady, biczowania, lincze i podpalenia. W 1919 powieszono ponad siedemdziesięciu Murzynów, a wielu z nich było weteranami wojennymi. Wygłaszano mowy przeciw „obcym ideologiom” i dużo gadało się o „stuprocentowej amerykańskości”. W Tennessee wydano zakaz nauczania w szkole o ewolucji. Gdzie indziej zakazano używania podręczników, które uznano za niewystarczająco patriotyczne. Nowe przepisy imigracyjne wymagały rozróżniania przybyszów ze względu na rasę i dla każdej grupy rasowej określały nieprzekraczalne limity. Żydów oskarżano o międzynarodowy spisek, a chrześcijan o próbę sprowadzenia papieża do Ameryki. W kraju zostanie wkrótce wprowadzona prohibicja, co spowoduje pojawienie się zorganizowanej przestępczości na wielką skalę. White Sox przegrali rozgrywkę z Cincinnati Reds. Został przygotowany grunt, na którym możliwe stało się doprowadzenie do procesu dwóch anarchistów pochodzenia włoskiego, N. Sacca i B. Vanzettiego, których oskarżono o zabójstwo kasjera w South Braintree w Massachusetts. Historia tego procesu jest szeroko znana i często przywoływana przez historyków, więc nie ma potrzeby tu do niej wracać. Nie mówiąc już o drugiej wojnie światowej...

Doktor Alan Duberstein sondował powietrze łyżeczką do lodów. Był przekonany, że załamanie Susan wiąże się w pewnym stopniu z jej nadprogramowymi zajęciami. Domyślał się tylko, że należy do SDS (*Students for a Democratic Society - Studenci na rzecz Społeczeństwa Demokratycznego*), za to był pewien, że działa w Bostońskim Ruchu Oporu. Zeszłej zimy, kiedy postanowili zakończyć terapię, ostrzegwał Susan, żeby nie angażowała się zbyt mocno w działalność polityczną. Jadł lody brzoskwiniowe i popijał waniliową wodą sodową. Całą piątką plus niemowlę siedzieliśmy ściśnięci w wykuszu restauracji Howarda Johnsona. Phyllis usiadła obok doktora i wyobraziłem sobie, że jest jego żoną. Karmiła dziecko lodami z talerzyka. Nie podobało mi się ich dziecko, tłusty malec z czerwonymi policzkami i jasnymi jak u matki włosami, który cuchnął wymiocinami.

Niewiarygodne. Siedzieliśmy wszyscy w restauracji Howarda Johnsona, niedaleko zjazdu numer 11, po zachodniej stronie autostrady stanowej. Jednak było to dość logiczne. Musieliśmy przyjechać po samochód Susan, zostawiony przez policję na parking. Było wczesne popołudnie, wszyscy byli głodni i spragnieni. Może też próbowaliśmy zrozumieć, czym wyróżniała się ta restauracja, że Susan chciała tu umrzeć. Może zdawało się nam, że jak to zrozumiemy, to zdołamy jej pomóc. Tak czy inaczej, byłem chory. Jestem bardzo czuły na punkcie niestosowności. Choćby takie wesela urządzone w jadłodajniach. Żadnych przyzwoitych dekoracji dla radości i cierpienia. Każde otoczenie jest niewłaściwe. Krępuje nasze emocje. Zamyka nasze uczucia w plastikowe lilie

tygrysie i stawia je w okiennych skrzynkach u Johnsona.

– Już zwykła działalność polityczna była dla niej wystarczająco trudna – powiedział Duberstein. – Brak akceptacji wywołał w efekcie wstrząs. W końcu to zrozumiała. Przeceeniła swe możliwości.

– Jest uparta – rzekł cicho ojciec.

– Mam do niej zaufanie – dodał Duberstein, szukając słomki pod serwetką.

Wszystkie miejsca były zajęte. Świąteczny tłum ustawił się za hostessą, która trzymała straż przy aksamitnym sznurze przegradzającym wejście do sali. Przyciskała do piersi karty menu i omiatała spojrzeniem stoliki. Miała chyba ze czterdziestkę, a na głowie tapirowany kok w kolorze platynowym. Ubrana była w sukienkę ze szmaragdowej krepy z kapturem i wyglądała dostojnie.

– Jeśli nie masz zamiaru dokończyć swojej kanapki – zwróciłem się do Phyllis – to mi ją daj.

Byłem na nią zły za to, że gorliwie współczuła nieszczęściu

Susan jak nawiedzone licealistki. Podejrzywałem, że świadomość, iż weszła do rodziny okrytej niesławą, wywołuje u niej dreszczyk emocji. Musiałem się temu przyjrzeć bliżej.

– Słuchajcie – zagaił Duberstein. – Wysoko cenię waszą inteligencję, więc nie będę taił, że sprawa jest poważna. Nad wieloma rzeczami trzeba popracować, ale w Susan drzemią niespożyte siły. Bywała już przedtem w dołku.

– Coś ty zrobiła? Dodałaś keczupu?

– Co takiego? – spytała Phyllis.

– Połałaś firmową kanapkę keczupem?

Phyllis posłała mi smutne spojrzenie. Ciągle ma nadzieję, że przynajmniej jeśli nie jej mąż, to nowa rodzina ją zaakceptuje. Dostrzega to moja matka.

– A dlaczego nie? – pyta.

– Wszystko załatwione, możemy ją zabrać – zwraca się Duberstein do mojego ojca – a potem weźmiemy się za nią.

– Świństwo!

– O co chodzi, Dan? – pyta ojciec. Siedzi obok mnie.

– Keczup na kanapce. Fuj.

– Chciałbyś coś innego? Może coś zamówisz.

– Nie, dzięki, tato. Musiałbym dalej siedzieć tutaj i słuchać, co ten szmonda gada o mojej siostrze.

To zaledwie kilka woltów, ale i tak robi swoje. Jeśli chodzi o rodzinę Isaacsonów, jeśli chodzi o wszystkich w naszej rodzinie, to trudno powiedzieć, żebyśmy byli mili. Sprawa jest jednak poważna. Kocham moich przybranych rodziców, a oni w takiej sytuacji zwrócili się do Dubersteina. Jest ich człowiekiem. Bóg jeden wie, skąd on się naprawdę wziął. Zapomniałem już, jak to się stało, ale dla mnie jest tylko jednym z tysięcy nieproszonych gości w moim życiu, w życiu mojej siostry – jednym z tysięcy przewodników, mentorów, doradców, sympatyków i głosicieli prawdy.

– Danielu, mam nadzieję, że przeprosisz pana doktora – odzywa się matka.

– Co jest takiego w Susan i we mnie, że wszyscy czują się upoważnieni do wciskania nam byle czego. Dlaczego muszę tu siedzieć i wysłuchiwać tego pierdoły. Komu on potrzebny?

– Zadzwoiłem do doktora Dubersteina, bo uważam, że jest nam bardzo potrzebny. Że Susan go potrzebuje. I nie sądzę, żebyś zachowywał się grzecznie.

– Tato...

– Nie spodziewałem się tego po tobie.

– Tato, czy mógłbyś mi powiedzieć...

– Nie podnoś głosu, proszę. Pytasz, co upoważnia innych, a ja chciałbym wiedzieć, co upoważnia ciebie do używania takich niewybrednych słów?

W opinii Lewinów uprzejmość jest istotą człowieczeństwa. To ona umożliwia porozumienie. Nieuprzejmość ich niepokoi, ponieważ może oznaczać wszystko: od złego zachowania przy stole do samobójstwa. Albo ludobójstwa. Nie chcę wchodzić teraz w szczegóły, ale związane jest to z uwielbieniem, jakie Robert Lewin żywi dla prawa. On wie, że słabą stroną prawa jest jego zależ-

ność od mentalności ludzi, którzy się nim posługują, ale chce wierzyć, że mimo wszystko prawo zmierza ku doskonałości. Zależy mu, żeby postępować etycznie. Mojej matce także. Jest uciekinierką, którą w dzieciństwie naziści ścigali po całej Europie. Kim ja jestem, żeby domagać się specjalnych względów z powodu swych cierpień? Dlaczego tak łatwo ich winię po tym wszystkim, co dla mnie zrobili i czego mi ani razu nie wypomnieli?

– On nigdy jej stamtąd nie wyciągnie! – przekonują ich. – Nigdy jej nie wyciągnie ze szpitala dla obłąkanych i czubków, których zbierają z ulicy.

– Jedna doba więcej spędzona w czymś, co, tak się składa, jest jednym z najlepszych ośrodków na Wschodzie, nie przyniesie ujmy twojej siostrze – stwierdza chłodno Duberstein. – Długo rozmawiałem z jednym z pracowników, który, tak się składa, odbywał praktykę w Jacobi w tym samym czasie, co ja. To błąd, że ją przyjęli, ale sytuacja jest pod kontrolą.

– Chce nam wmówić, że to jego zasługa.

– Danny. – Matka wyjmuje chusteczkę. – Wszyscy żyjemy w napięciu. Proszę cię, Danny. Duberstein dodaje:

– Dlaczego obrażasz się na każdego, kto próbuje pomóc Susan? – Spogląda na mnie przenikliwie, co dobrze pasuje do jego pytania.

– Odwal się, doktoru. Poszukaj swoich kijów golfowych i zagraj partyjkę z Dwightem Davidem Eisenhowerem. – To bezmyślna, anachroniczna riposta, która nawet mnie wprawia w osłupienie. Chyba jestem rozstrojony. Wszyscy błędą. Nawet mały odczuwa, że coś się dzieje, i zaczyna płakać. Wstaje od stołu.

Daniel, wychodząc z sali u Johnsona, dostrzegł przed sobą zmierzający ku grupie gości czekających na stolik szmaragdowy tyłek hostessy. A był to tyłek iście królewski, ciasno opięty, osadzony na wciąż młodych nogach. Jej złoty kok podskakiwał, a wystające spod niego kosmyki przypomniały mu obleśne chwile, które przeżył fartowny kutas, bo przypadkiem zdążył się tam znaleźć, kiedy włosy były już rozpuszczone. Podniosła rękę i przez chwilę Danielowi zdawało się, że pokazuje palcami symbol pokoju. Ale był to tylko znak, że zwolnił się stolik dla dwóch osób.

Daniel precyzyjnie się między głodnymi rodzinami niecierpliwie czekającymi na swą kolej. Dzieci tłoczyły się przed ladą ze słodyczami. Prażona kukurydza wałała się na dywanie. W męskiej toalecie wszystkie sracze z wyjątkiem dwóch działały na monetę. Po drugiej stronie tej ściany Susan otworzyła sobie żyły i stała nad muszlą, dopóki nie zemdlą. Próbował sobie to wyobrazić. Przeszkodził mu odgłos strumienia lejącego się do pisuaru. Na ścianie zauważył automat, który za dwadzieścia pięć centów oferował klientowi do wyboru: nawilżoną i nasączoną mydłem chusteczkę, wysterylizowany, kieszonkowy grzebień, wyprodukowany w Hongkongu kompas w kształcie opony samochodowej oraz dwa magnesy zatopione w plastiku, dwa psy – czarny i biały – zapakowane łapami do siebie.

Wyszedł na dwór. Ludzie snuli się po parkingu i opychali włoskimi lodami. Tęga kobieta w podomce prowadziła buldoga od samochodu do samochodu, zatrzymując się przy każdym kole.auta ustawiły się w kolejce do dystrybutorów paliwa. Zza chmur wyjrzało słońce, choć zrobiło się już późne popołudnie, a powietrze było ciężkie i zadymione. Rzecz w tym, że Robert i Lise Lewinowie nie pasują do miejsc postojowych na autostradzie. Pokazanie ich z dala od ich środowiska jest nieporozumieniem. Zwłaszcza kiedy nie czują się najlepiej.

Daniel wszedł między rzędy zaparkowanych pojazdów. Odszukał volvo. Było czarne, pokryte warstwą błota. Stało między starym kombi nisko zawieszonym na wyrobionych resorach, na który wdrapywała się chmara dzieciaków, a niebieską futurą, kabrioletem, w którym jakaś nastolatka w krótkich spodenkach i bluzce wiązanej na szyi nakręcała włosy na papiloty, przeglądając się we wstecznym lusterku. Daniel wyjął z kieszeni kluczyki. Wydawało mu się, że dla dziewczyny w kabrioletcie i dzieciaków w kombi jest oczywiste, że nie jest właścicielem auta. Przez szybę dostrzegł na tylnym siedzeniu po stronie kierowcy walizkę w kratkę. A obok na pół schowane, celulo-idowo-kartonowe pudełko żyletek Gillette Super Stainless. Ten obrazek przedstawia sytuację tuż przed tym, nim Daniel wziął do ręki zdjęcie. Dotarło do niego. Po prawdzie zaczął tę rozrobę w restauracji po to, by dostać się do samochodu Susan. Musiał go obejrzeć. Miałem uczucie, jakbym został wezwany. Wciąż nas olewają. Dziwne, ale przestało być ważne dawne pieczenie w oczach Su-

san, a także dymiące jeszcze ruiny po życiu kogoś, kto doświadczył czegoś niszczącego i uległ. Nie, to nie to. Nie liczyło się zmartwienie, które spowodowała, ani przeżywanie męczarni z powodu jej męczarni, ani też przekonanie, że to mnie zawdzięcza tę siłę, która wprawiała w ruch zyletkę – ani nawet wyobrażenie sobie tej sceny ze wszystkimi szczegółami: zamykania drzwi do kabiny, wyjmowania nowej zyletki Gillette Super Stainless, przecinania żył, trzymania nadgarstków nad muszlą klozetową w publicznej toalecie, omdlenia z utraty krwi albo odwagi (albo jednego i drugiego), może słuchania krzyku tęgiej kobiety w podomce albo dziecka i – już w zamroczeniu – zorientowania się, że drzwi się otwierają, tapirowana blondynka z uniwersalnym kluczem na drewnianej ręczce podnosi palce – V jak Zwycięstwo czy V – symbol Pokoju? A może V jak zwycięstwo nad pokojem? Uważam, że to błąd – rozwodzić się nad którąś z tych wstrząsających potworności, zastanawiać się, jak źle jest teraz i o ile gorzej, niż było kiedyś, i że robi się coraz gorzej, kiedy wraca się pamięcią do dni, gdy Lewinowie byli jeszcze do głębi oczarowani dwojgiem niedawno osieroczonych dzieci, którym mieli poświęcić życie, a sieroty były oczarowane pokojem, który zapanował w ich życiu. I jak zabierali nas do Bostonu trolejbusem kursującym po Beacon Street, a my pływaliśmy łabędzimi łódkami po kanale i z trudem przedzieraliśmy się przez Commons, oglądaliśmy miejsce, gdzie został pochowany Paul Revere, a także Sam Adams, czując, że goi się ciało, że ciało duszy goi się pod balsamem pokoju i ironii. O Szlaku Wolności! Odtąd było lepiej. Odtąd nadzieja nie była wystawiana na próbę – została wzięta pomyłkowo za rzecz uboczną i bez znaczenia, bo Susan się do mnie odzywała. Tylko tyle, i choć teraz możemy porozumiewać się jedynie w sposób ekstremalny i niebezpieczny, to sygnał został wysłany, wręcz rozładowany w koniecznym do tego spazmie duszy. I stąd się wzięło poczucie wezwania, które przeniknęło do moich uszu przez spaloną przestrzeń tego popołudnia, grubego jak koc. Susan i ja – jedyni ocalali. I przez całe życie próbuję uciec od krewnych i płaczę się w swej ucieczce, ale tak czy inaczej, to na nich natykam się na każdym rogu, a Pan Bóg, ten, który ma fioła na punkcie dowodów poszanowania, twierdzi, że muszę pytać ich o zdrowie, proponować coś zimnego do picia i troszczyć o ich potrzeby.

WYPRZEDAŻ! WSZYSTKO MUSI ZNIKNAĆ!

Jeden plakat, 36 na 24, taki, jakie można zobaczyć na demonstracjach. Jak nowy! Czarno-biały podwójny portret, na którym uwiecznieni zostali Isaacsonowie – dwie twarze ciekawostka historyczna taniocha naprawdę taniocha śmieć razem ze specjalną tubą narożniki nieco pogięte usztywnione kawałkami plastra zabawisz przyjaciół tą historyczną ciekawostką uwolnić ich. Pamiętam jego fiuta. Przyjmij to do wiadomości. Jeśli mówię, że pamiętam, to pamiętam. Golił się zawsze nago. Ona też bezwstydną – z założenia. Pamiętam włosy wokół jej szpary, rzadkie i nierówne. Jedna z teorii o aspirowaniu do nowoczesności. Nie wstydź się ciała. Nie broń dzieciom go oglądać, niech się uczą zachowywać naturalnie i bez zahamowań. Nie posunęli się tak daleko, żeby pozwolić mi się przyglądać, jak się pieprzą, ale i tak to robiłem, w ten czy inny sposób – byłem małym podglądaczem – i nie znaczy to, że ich tylko podglądałem czy podsłuchiwałem (co właściwie oznacza to samo), ale że wiedziałem, kiedy to robią, a niekiedy nawet, kiedy robią. Wszystko jednak opierało się na teorii. Wszystko robione było z jakiegoś powodu i zwykle zupełnie inaczej, niż robi to cały świat. Tym bardziej należało tak robić. To część planu. Wyobrażałem sobie, że życie to szkolenie. Wszystkich nas szkolono w nie wiadomo jakim celu. Gdzieś znajdowała się jakaś moralna, intelektualna lub fizyczna nagroda, którą mógł zdobyć ten, kto na nią zapracował i okazał się jej wart. Nagroda za Osiągnięcie Doskonałości. Ja zaś miałem się nie dziwić, że jesteśmy poważnymi kandydatami do tej nagrody ani że nasza pogoń za tą doskonałością przywiodła nas bliżej celu. I nie dziwiłem się, dałem się na to nabrać. Czemu nie? Byliśmy, jacy byliśmy.

Jak te wycieczki na plażę. Mój Boże. Późnym niedzielnym rankiem doktor Mindish przyjechał swoim samochodem. Pamiętam tego chryslera new yorkera rocznik 42, z wysokim zawieszaniem, małymi okienkami i podartą tapicerką. Wszyscy się do niego wciskaliśmy i jechaliśmy Concourse, przecinaliśmy most Triborough i dojeżdżaliśmy do szosy Grand Central, kierując się na plażę Jonesa (nazwaną tak na cześć zwykłego człowieka), a ruch był coraz większy, aż gdzieś około trzeciej po południu docieraliśmy na ogromny parking zastawiony prażącymi się w słońcu samochodami i autobusami, skąd mieliśmy jeszcze czternaście mil do plaży, a wszyscy zaczęli się po-

cić, narzekać i klócić, doktor Mindish, jego głupia żona, jego córka kretynka mająca prawie metr osiemdziesiąt i mama, i tata, i ja, i mała Susan, wszyscy stłoczeni w tym dusznym samochodzie, zatruci spalinami, a mój ojciec mówił, że nie, że stąd jest zbyt daleko, i skręcaliśmy, prześlizgiwaliśmy się obok chłopców parkingowych, dogadując sobie, pocąc się, narzekając i przysięgając, że już nigdy więcej, a mama oskarżała tatę, że się nad nią znęca, Mindishowie byli wściekli, ponieważ chcieli zaparkować i przejść te zasrane pięćset mil od parkingu do plaży, a słońce przypiekało dach samochodu, mała pluła kremem bananowym i nawet ten gnojek, Daniel, cierpiący na chorobę lokomocyjną, narzekał (Mindish prowadził fatalnie, ruszał i hamował, szurnięty kierowca), a potem mój ojciec wyskakiwał z samochodu i zastawiał sobą znalezione jakimś cudem miejsce bliżej plaży, a inni kierowcy trąbili i przeklinali, a on, Paul Isaacson, spocony, ale triumfujący, niczym gliniarz prowadził wielkiego, poobijanego chryslera w to wolne miejsce; a potem następował długi spacer przez dziwaczne, trawiaste ogrody przeznaczone dla prostego człowieka: obsadzone tygrysimi liliami i kępkami geranium, niewiarygodnie brzydkimi w palącym słońcu; wkraczaliśmy na plażę tak zatłoczoną, że wydawało się niemożliwością znalezienie miejsca na koc. Karawana złożona z dzieci, ręczników, koców, dużych, papierowych toreb z kanapkami, termosów, gazety „Sunday Worker”, tygodnika „Workers”, niedzielnego „Timesa” i słoików z jedzeniem dla dzieci brnęła za Pauliem po piasku, który parzył stopy; i wreszcie docieraliśmy do znalezionej przez Paula mistycznego kawałka plaży, niechybnie najlepszego ze wszystkich, i zaczynało się zamieszanie, pomrukiwania, przekładania koca z miejsca na miejsce, aż w końcu pożyczony parasol szedł w górę, kocy w dół, wszystkie dobra zostały rozdzielone, buty zdjęte, ubrania też, i oto po kilku godzinach od narodzenia się pomysłu wyjazdu w tę niedzielę na plażę stałem spocony – nie do wiary – nad brzegiem oceanu i przyglądałem się falom.

I wtedy mój ojciec stwierdzał:

– Niektóre rzeczy warte są zachodu.

Jeśli więc paradowali na golasa lub kupowali mięso po najniższej cenie albo wstępowali do Partii, to oznaczało to poznawanie prawdy, zdobywanie wiedzy na jej temat, odmowę stania się ofiarą; i w tym znajdowali usprawiedliwienie dla swej biedy, niepowodzeń, braku szczęścia i pochodzenia społecznego. Poszukiwali własnej godności. Jeśli potrafiłeś dostrzec w filmie z Humphreym Bogartem gniotą, to znaczy, że byłeś człowiekiem kulturalnym. Gdy uświadomiłeś sobie istnienie klasy robotniczej, docierałeś do korzeni demokracji. W sprawiedliwości społecznej odkrywałeś własną cnotę. Pożądanie sprawiedliwości społecznej oznaczało życie bez zawiści, która cechuje przegranych. Na tym polegała metoda przekształcania zawiści w konstruktywną nienawiść.

Trzymali się tego, prawda, Danielu? Kiedy nadeszło wezwanie, odpowiedzieli. Złożyli w ofierze te genitalia, prawda, Dandan? Tak jest. Były chwile, kiedy myślałem, że pęknie. Wątpiłem w niego, ale wiedziałem, że ona to w końcu pojmie co do ostatniego wolta, w swoim absolutnym egoizmie, w niewiarygodnej, nieustępliwej złości. Jednak w wypadku Paula nie można się było pozbyć wrażenia, że w ogóle nie umie dostrzec związku między tym, w co wierzy, a tym, jak reaguje świat. Nie potrafił dostrzec tego potężnego związku. Rochelle była realistką. Jej poglądy polityczne opierały się na potrzebie posiadania: rzeczy, których nigdy nie miała, szans, których nigdy jej nie dano. Gdyby moja matka była tylko biedna, nie sądzę, by przyłączyła się do czerwonych. Nie mogę jednak tego samego powiedzieć o ojcu. On miał w sobie jakiś analityczny chłód, twierdził, że osobiste doświadczenia nie mają żadnego znaczenia w kontekście historycznym. Nawet o tym napisał, kiedy siedział w więzieniu. Krzesło elektryczne jako metodologia ekonomii kapitalizmu. Ale mnie nie oszukał. Bał się. Jak większość intelektualistów nie miał dość charakteru. Był zuchwałym, niedoświadczonym młodzieńcem, który w latach czterdziestych rzucił CCNY (*City College of New York, właśc. City University of New York City College - College Miejski Uniwersytetu Nowojorskiego*) i stwierdził, że nikt za nim nie podąży. Nikt nie szedł za moim tatą. Był samolubem. A może nie. Może jedynie był tak fizycznie odstręczający, że sprawiał wrażenie samolubnego. Wszystko, co robił, cechowała tak wielka, wewnętrzna siła, że wydawało się obraźliwe. Na przykład wystawianie języka, żeby go obejrzeć w lustrze. Albo golenie się przy mnie – on gadał bez przerwy, a ja śledziłem drogę brzytwy przez cienką warstewkę kremu. Kiedy kończył, jego szczęki były tak samo sine jak przedtem. To było obraźliwe. Bezgranicznie samolubne. Nie czyścił

brzytwy. Zostawiał na umywalce kleksy brejowatego kremu do golenia. Nie dokręcony prysznic. Skotłowane ręczniki. Było wiadomo, że tu był. Wiedział, jak się wyróżnić. Nic, co robił, nie było tajemnicą – jakże uroczy temat do rozważań. Nawet jego oddech był hałaśliwy. Kiedy nachylał się nad którymś radiodbiornikiem, w jego wydechu słychać było pracowite skupienie, jakby upewniał się, że ciężko pracuje i że coś ważnego znalazło się w niebezpieczeństwie. Stawałem przy jego warsztacie i słuchałem jego oddechu, każdy obrót śrubokrętem albo przylutowanie drutu pozwalało mu wynagrodzić się kolejnym wydechem. Tak właśnie żył: zajmował całą przestrzeń. Od krawędzi do krawędzi. Przez długi czas nie kojarzył, skąd się wziął. Dziwiło go, że jest moim ojcem. Dlaczego miałbym twierdzić, że tak było, gdyby to nie była prawda? Pałac cygaro, z którym było mu nie do twarzy, studiował swego syna jak psycholog – przez szybę. Nie rozumiał, o co mi chodzi, kiedy flirtowałem z nim jak kobieta, tak jak wszyscy mali chłopcy flirtują ze swymi ojcami. Nie rozumiał ani mojej złości, ani tego, co chciałem osiągnąć, kiedy próbowałem mu się przypodobać. Miał długie nogi, które zakładał jedna na drugą, i duże, naiwne oczy, które wyglądały za szklami okularów na jeszcze większe. Jak oczy Susan. I ta jego chudość, i twarz, którą po nim odziedziczyłem, z wydatnymi ustami i wystającymi zębami, z kartoflanym rosyjskim nosem. Rękawy niebieskiej roboczej koszuli podwinięte do łokci – tylko do łokci. Pamiętam jego chude ręce pokryte włosami czarnymi jak smoła, z poruszającymi się pod skórą mięśniami. Włosy rosły wzdłuż ramienia po zewnętrznej stronie aż do kłykci. Był chudszy ode mnie. Włosy sterczały mu jak druty.

To tylko opis chwilowego przewrażliwienia percepcyjnego u małego podglądacza. Był serdeczny i kochający. Pamiętam jego nauki. Chciał, żebym był odpowiednio wychowany. Wziął się za bary ze społeczeństwem o moją duszę. Pracował nade mną, żeby zrównoważyć zły wpływ środowiska. Taki był nasz związek – uczył mnie, jak stać się psychicznie wyobcowanym. Nauka ta należała do programu szkolenia. Musiał odprawić egzorcyzmy nad złymi wpływami, nad złymi duchami. Czy zastanawiałem się kiedyś, dlaczego moje ulubione stacje radiowe nadają reklamy? Przyłapał mnie na czytaniu etykiety na pudełku płatków owsianych, więc zdarł ją i pokazał mi, do czego ona się odwołuje, że jest tak pomyślana, żebym uwierzył w coś, co jest niemożliwe – że odżywianie się płatkami zrobi ze mnie siłacza. Były produkty, których się nie jadało, jak na przykład banany, ponieważ były owocem jawnego wyzysku. Były firmy, których wyroby bojkotowano z powodów politycznych albo ze względu na stosunek do siły roboczej w przeszłości. Jak na przykład ciasteczka National Biscuit Company. Nie lubił National Biscuit Company. Nie lubił Standard Oil. Nie lubił General Motors – chociaż i tak nigdy nie było nas stać na samochód. Nie lubił General Motors, ponieważ był własnością Du Ponta, a Du Pont podpisał umowę kartelową z I. G. Farben w hitlerowskich Niemczech.

Matka nie miała do tego wszystkiego cierpliwości. Była pragmatystką. Uważała zapewne, że ojciec trwoni zbyt wiele swoich – i moich – sił na to, co należy przyjąć za rzecz naturalną. Nie ma sensu dzielenie perfidii kapitalistycznych na mniejsze i większe. Odrzucała je wszystkie, i tyle. Ojca zaś to gnębiło, ponieważ nie mógł znieść pomiatania sprawiedliwością i prawdą. Obrażało to jego wrodzoną niewinność. Nie potrafił się od tego uwolnić. Czerpał z tego gorzką radość szczególnego rodzaju. Dawał mi ulotki zatytułowane na przykład Kto jest właścicielem Ameryki albo Magnaci prasowi Ameryki. Dopiero uczyłem się czytać. Opowiadał mi takie rzeczy o Węglowo-Żelaznej Policji Andrew Carnegiego, o wyskokach Jaya Goulda i o Johnie D. Rockefellerze, których nie było w mojej Historii Ameryki. Opowiadał mi o wykorzystywaniu chińskich robotników, sprawdzanych jak bydło do pracy przy budowaniu potęgi Zachodu, i o Murzynach z Południa, których hodowano w jednym tylko celu: żeby zaharowywali się na śmierć. O ich męczarniach. O Johnie Brownie i Nacie Turnerze. O Thomasie Paine, który z powodu swego ateizmu stał się nie lada kłopotem dla przywódców amerykańskiej rewolucji. Usłyszałem o tym, jak wrobiono Toma Mooneya i o egzekucji Joego Hilla, o wszystkich okaleczonych i zabitych robotnikach, bohaterach rodzącego się ruchu związkowego. O niewiarygodnie tragicznym losie każdego, kto próbował pomóc robotnikowi. Opisał mi warunki pracy i płace hutników i górników w czasach przed powstaniem związków – jak ludzie byli okaleczani lub grzebani żywcem, bo właściciel, dążąc do wyciśnięcia z nich, ile się tylko dało, nie zapewniał im nawet podstawowych środków bezpieczeństwa. Opowiedział mi o zbiarach wynajętych przez Henry'ego Forda i Hariyego Bennetta i o strajkach okupacyjnych, i o recesji,

która pokryła rdzą kapitalistyczną Amerykę dokładnie w tym samym czasie, kiedy socjalistyczna Rosja karmiła swych obywateli co do jednego i każdemu zapewniała sprawiedliwy udział w dobrobycie kraju. Opowiadał o Saccu i Vanzettim. O chłopcach ze Scottsboro. Skakał po historii jak pianista ćwiczący gamy. Cytował mi fakty i liczby świadczące o istnieniu wyzysku ekonomicznego i niewolnictwa w osiemnastym, dziewiętnastym i dwudziestym wieku. Składał do kupy wszystkie niesprawiedliwości, jakie miały miejsce w historii, i pokazywał mi wyłaniające się z nich prawidłowości, pokazywał, że wszystko, co się wydarzało, było nieuniknione z punktu widzenia filozofii marksistowskiej. Składał to do kupy. Wszystko dało się wytłumaczyć: nawet moje komiksy, które oglądał razem ze mną, ucząc mnie, jak rozpoznać i odróżnić od siebie podstępne stereotypy żółtego łajdaka, semickiego łajdaka, rosyjskiego łajdaka. Tłumaczył mi nawet funkcję gier sportowych, na przykład baseballu. Jaki jest jego prawdziwy cel. Status ekonomiczny kibiców baseballu. Do czego baseball jest im potrzebny. Co stałoby się z tym sportem, gdyby ludzie mieli wystarczająco dużo pieniędzy, byli wystarczająco wolni. Słuchałem, bo była to cena, którą płaciłem za poświęcenie mi czasu.

– I to wszystko trwa, Danny. – Jego słynna uwaga. – W dzisiejszej gazecie jest to samo. Tuż za drzwiami jest to samo. W tym domu.

Powiedział, że Williama, dozorcę mieszkającego w piwnicy, Społeczeństwo Amerykańskie zniszczyło z powodu koloru skóry, nie pozwalając mu się rozwinąć tak, jak na to zasługiwał.

– Bitwa jeszcze się nie skończyła, walka klas wciąż się toczy. Nigdy o tym nie zapominaj, Danny.

I wtedy wydało mi się, że zostałem naznaczony. Ponieważ oni mają dużo więcej władzy niż my. I wydało mi się, że jest ona nawet w chmurach, które gromadzą się nad szkolnym podwórkiem – ta ich władza zdolna zniszczyć i zgnieść, i zemścić się za pomysły przychodzące mi do głowy, za niebezpieczną wiedzę wtłoczoną mi do głowy przez mojego lekkomyślnego ojca.

Byłem jednak sprytnym gówniarzem, nie żadnym niewiniątkiem. Żeby zyskać jego uwagę, brałem, co mi dawał. W niedzielne ranki chodziłem z nim od drzwi do drzwi, sprzedając prenumeratę „Workera”. To była Niedzielną Mobilizacją. Żmudne zajęcie – gadał dużo, rozmawiał z każdym, tylko nie ze mną. Ile z tego do mnie docierało poza samym głosem? Jakaś cecha jego głosu, którą trudno mi teraz sobie przypomnieć, poza tym, że był nosowy, z zaśpiewem, głos, który kojarzy mi się z wyrazem całkowitego zaabsorbowania sobą, jaki malował się na twarzy ojca. Tak, teraz sobie go przypominam: mówiącego, nad wyraz płynnymi słowami rozprawiającego z wielkim upodobaniem o dialektyce. Kiedy mówił, miał mokre usta, jakby niekiedy jego język tonął w bąbelkach – rodzaj mówcy, który w podnieceniu opryskuje śliną słuchacza, perorującego o jakichś ideach, rozdymającego je do nieznośnych rozmiarów, jak mogłem wyczytać z twarzy mojej matki, chociaż ja osobiście byłem nimi zainteresowany. Był tendencyjny! Tak! Słowo, które uwielbiał stosować do innych. Tendencyjny. Także niewybredny, jeśli chodzi o poświęcanie uwagi ideom i sprawom, od całkiem przyziemnych do najbardziej poważnych, i przyznający im – ważnym i nieważnym, istotnym i błahym – tyle samo czasu na antenie swej nieustannie nadającej stacji radiowej. To Rochelle martwiła się o codzienny kawałek chleba. *Czy chociaż jedna osoba dorównywała mu na Asfaltowym Korcie?* Chciała, żeby więcej zarabiał. Legenda rodzinna mówiła, że jeśli chodzi o praktyczne strony życia, Paul Isaacson jest nieodpowiedzialny jak dziecko. Trudno było mieć do niego zaufanie. Trudno było mieć do niego zaufanie, gdy chodziło o zarobienie na życie, znalezienie okularów, przyjście do domu na lunch, wyniesienie śmieci, założenie kaloszy w deszczowy dzień. Między moją matką a ciotkami – Friedą i Ruthie – trwała macierzyńska rywalizacja o jego nieodpowiedzialną duszę. Frieda i Ruth, jego starsze siostry i jedyne żyjące krewne, uważały, że jest geniuszem i że jego geniusz nigdy nie miał okazji się ujawnić, ponieważ ojciec ożenił się za wcześnie i został przytłoczony rodzinnymi obowiązkami. Rochelle gorzko to przeżywała. Musiała im udowodnić, że potrafi zatroszczyć się o niego lepiej niż one. Ta dziewczyna, którą poznał przed wojną w City i z którą ożenił się w czasie wojny, dziewczyna, która przyjechała do niego do Waszyngtonu, żeby z nim żyć, zanim jeszcze się pobrali, zasługuje, by być jego żoną, i pomoże mu w samospełnieniu. W tym sensie, chociaż komunistka, była kompletną burzą, czyż nie? W głębi serca wiedziałem, iż podziela ich opinię, że Paul jest nieudacznikiem, ale czyja to była wina? Oto

prawdziwe pytanie. Nie uzyskał dyplomu inżyniera. W przeciwieństwie do Rochelle Paul nigdy nie ukończył studiów. Pojechał na wojnę i wrócił jako żonaty mężczyzna, ojciec, opiekun – ich Pauly! Nigdy jej nie wybaczyły, że Paulowi Isaacsonowi przyszło naprawiać radia, winiły ją również za jego poglądy polityczne. Były przekonane, że gdyby nie ona, Paul wyrósłby ze swojego radykalizmu.

Miałem swój udział w tworzeniu mitu nieodpowiedzialnego ojca. Bawiło mnie to. Zepchnąłem go na pozycję dziecka, którym sam byłem. Niekiedy miałem wrażenie, jakby Rochelle była matką nas obu. Jakbym ja był jego starszym bratem, jeśli chodzi o praktyczną wiedzę na temat tego, co trzeba w danej chwili zrobić. Wyobrażałem sobie, że mój ojciec podlega dyscyplinie ustanowionej przez Rochelle, atakom gniewu Williama rzucającego po piwnicy kubłami na śmieci, złorzeczeniom babci. Zupełnie jak ja. Tkwiło w tym ziarno prawdy i dlatego mnie to śmieszyło.

Kiedy jednak szedł na zaplecze warsztatu, powracał naturalny porządek rzeczy. Mój ojciec był chudy, nerwowy, samolubny, niepewny, przepełniony pasją skrajnego radykalizmu, zuchwały w przekonaniach, lojalny wobec marksizmu-leninizmu, bystrooki i tendencyjny. Przerazał mnie. Ale kiedy reperował radio, byłem spokojny. Napięcie mnie opuszczało, jego skupienie sprawiało, że czułem się wolny. Kiedy przebywał w tym nędznym warsztaciku, kochałem go. Zawsze chętnie tam szedłem. W deszczowe dni, kiedy działałem matce na nerwy, sama mnie tam wysyłała. Albo kiedy nie wracał do domu na lunch, dawała mi dla niego kanapkę w torebce i kawę w termosie i niosłem mu to do warsztatu, wracając po przerwie do szkoły. Niekiedy musiałem przyprowadzać go do domu na kolację. Szedłem wzdłuż ogrodzenia szkoły do Sto Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy, potem dalej Sto Siedemdziesiątą Czwartą, cały czas wzdłuż płotu, aż do Eastburn Avenue; potem na drugą stronę Eastburn; i następny kwartał obok szewca, mleczarni, Targu Rybnego Irvinga, Pralni „Bez Plamki” do Morris Avenue; na drugą stronę Morris; i w środku tego kwartału, dokładnie między sklepem ze słodyczami, którego nie lubiłem, a Zakładem Fryzjerskim Bergera, znajdował się Warsztat Radiowy Isaacsona – Sprzedaż i Naprawa.

W oknie blakła na słońcu kartonowa reklama: nowoczesna gospodyni ubrana w modną sukienkę sięgającą jej niemal do kostek trzyma rękę na gałce radia. Włącza je, patrząc na ciebie. Uśmiecha się i ma modną fryzurę. Jest niezła, ma ładne, równe zęby i oczywiście pewne wypukłości, chociaż się nimi nie afiszuje. Cała jest w zieleni, spłowiałej zieleni. Sukienka, twarz, uśmiech, wszystko zielone. Radio pomarańczowe. Stół, na którym stoi radio – pomarańczowy. Smukła, zielona kobieta, której włączanie pomarańczowego radia sprawia obłądną przyjemność. Może radio było zepsute i kopnął ją prąd. Może właśnie je wyłączała. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Na parapecie okna zasłanym skłębioną, marszczoną bibułą w kolorze rozbielonej szarości wystawione były dwa aparaty: model skrzynkowy i drugi, szafkowy z drzwiczkami obitymi tkaniną oraz gramofonem wyposażonym w zmieniacz płyt. Kiedy weszło się do środka, można było zobaczyć, że wystawione radia są wewnątrz puste. Były pustymi gablotkami. Niezbyt wielu ludzi kupowało tu radia. Większość przynosiła stare aparaty do naprawy. Nie ma w tym żadnej ironii, że Paul Isaacson jest właścicielem przedsiębiorstwa, nie ciągnie bowiem z niego żadnego zysku. Nikogo nie zatrudnia i dlatego nikogo nie wyzyskuje. Warsztat Radiowy Isaacsona – Sprzedaż i Naprawa to kiepski interes. W okolicy mieszkała sama biedota i niższa klasa średnia. Wszyscy znali kogoś, u kogo można kupić taniej, a nie znosili płacić dużych sum za naprawę. Paul był uczciwy i nigdy nie zawyżał rachunków. Rochelle, która zajmowała się finansami, co miesiąc musiała się głowić, z czego zapłacić czynsz.

Większa część pomieszczenia przeznaczona była na sklep, w którym stała lada. Za ladą znajdowały się zastawione pudełkami półki z nie pomalowanej sklejką, między którymi było przejście zasłonięte starą kotarą z salonu Rochelle, zawieszoną na metalowym drążku. Tędy wchodziło się do warsztatu. Tu znajdowały się odpowiednio oznaczone regały z lampami. Na stoliku warsztatowym zakurzone radia, każde z wywieszką. Pokryty deseniem wybrzuszony sufit. Uwielbiałem to miejsce. Było bezpieczne. Odgródzone od reszty świata. Ojciec, kiedy był zajęty, milczał, mnie zaś pochłaniało rozwikływanie tajemnicy, śledzenie, co jest nie w porządku z wnętrzościami maszyny. Buczała, piszczała, trzeszczała, nie świeciła albo wcale nie wydawała głosu. I on ją naprawiał. Pracowicie oddychał – i naprawiał. Niekiedy pozwalał mi odkurzyć środek, usunąć wieloletni kurz ma-

łym, ale mocnym odkurzaczem wielkości latarki. I nic nie mówił, bez reszty pogrążony w pracy. W takich chwilach gubiły się gdzieś prawidłowości historii. Nie musiałem się martwić. Imperializm, ostatnia faza kapitalizmu, nie istniał. Liczyły się tylko lampy i kondensatory, głośniki i cyna do lutowania, i druty – neutralna technika, która nie niosła ideologicznych znaczeń. Nie, to nie tak. Słabła jedynie jego percepcja. Kiedy był zajęty, mogłem w sekrecie obdarzyć go takim uczuciem, jakim inni chłopcy darzą swoich ojców przez cały czas. I nie musiałem się martwić o Siły, które stają do walki przeciwko nam.

Niekiedy jednak, naprawiając radio, słuchał audycji. A lubił słuchać komentatorów politycznych, nie miało znaczenia jakich. Mówili bez przerwy przez piętnaście minut. John W. Vandercook, Raymond Gram Swing, H. V. Kaltenborn, Johannes Steel, Frank Kingdon, Quincy Howe, Gabriel Heatter, Fulton Lewis Jr. Byli pozostałościami po drugiej wojnie światowej, kiedy ludzie naprawdę chcieli wiedzieć, co się dzieje. Byli przemysłem. Mój ojciec słuchał i pracował. Potrząsał głową. Wtykał lutownicę w trzewia radia, jakby chciał naprawić głos, skorygować niewłaściwą diaagnozę czy interpretację. Wtykał ją między lampy, jakby na powrót stał się barbarzyńcą, jakby to sama maszynka mówiła, jakby chciał przeprogramować kłamliwe pudełko. Przypominam sobie Radiowe, *miejskie spotkania w eterze*. Słuchał ich w domu. Doprowadzały go do furii. Każdy temat zawsze był przedstawiany stronniczo. Przedstawiciel prawicy okazywał się zawsze bardziej przekonujący. Spiker uderzał w gong i zapowiadał program, a ojciec siadał i słuchał, aż nie mógł już dłużej wytrzymać. Tak przebiegał rytuał zamartwiania się. To było określenie mojej matki:

– Po co się tak zamartwiasz, Pauly? Przecież wiesz, kto jest właścicielem stacji. Wiesz, że to wszystko ukartowane. Dlaczego musisz się tak zamartwiać?

Utwierdzała go w poczuciu własnej wartości, ostrzegając, że taka nadwrażliwość zrujnuje mu zdrowie. Kto jest właścicielem stacji radiowych? Kto jest właścicielem Prasy Amerykańskiej? Kto rządzi Ameryką? Nigdy nie było dość dowodów, jak w przypadku Du Ponta współpracującego z I. G. Farben. Dowody, nigdy nie było dość dowodów. Pławił się w tym. To było to – trening fizyczny, sposób na zachowanie kondycji. To musiało być to. Zamartwiać się, żeby podtrzymać rewolucyjne napięcie. Rochelle nie musiała tego robić. Nie musiała wracać do elementarza. Wiedziała swoje. Była wierniejsza idei. Na swój sposób była większym radykałem. Ponieważ – uwaga! – za tym całym samobiczowaniem kryło się jedno: demokracja amerykańska nie jest wystarczająco demokratyczna. Wciąż zdumiewało go, znieważało i złościło to, że nie jest czystsza, bardziej wolna, lepsza i bliższa ideałowi. Udowadniając ciągle od nowa, że tak jest – walka trwa, tato! – przypominał faceta, który szuka samopotwierdzenia. Ile go jeszcze potrzebował? Dlaczego oczekiwał tak wiele od systemu, o którym wiedział, że z definicji nie jest w stanie sprostać uznawanym przez niego standardom sprawiedliwości? Systemu, z którym się nie zgadzał, gdyż system nie dorastał do jego wyobrażeń. To wariactwo. Wielu jednak myślało podobnie. Byli stalinistami i każdy przejaw pierdolonego Amerykańskiego Kapitalizmu doprowadzał ich do furii. Kraju mój! Dlaczego nie jesteś tym, za co się podajesz? Gdy wytoczono im proces, nie powiedzieli: Oczywiście, *czegoś innego mogliśmy oczekiwać*, tylko: *Robicie sobie kpiny z amerykańskiej sprawiedliwości!* A to było coś więcej niż strategia, więcej niż zalecenie Lenina, żeby w samoobronie używać reakcyjnego aparatu. To była namiętność.

Ojciec nigdy naprawdę nie wierzył, że do tego dojdzie. Moja matka przestała się dziwić tego dnia, w którym postawiono ich w stan oskarżenia. Za to on nigdy nie uwierzył, że to możliwe. Wierzył, że jego idee mają dobroczynną moc, i nie przewidział, że ktoś uzna je za na tyle obraźliwe i groźne, żeby zrobić – to. Jego idee były przedłużeniem jego samego, a on kierował się dobrymi intencjami. Znajdowanie kolejnych potwierdzeń, roztrząsanie dowodów miało jednak drugą stronę: nigdy w żaden z nich nie uwierzył. Nigdy nie uwierzył, że Ameryka to nie kafejka w City College, a za każdym razem, gdy mu udowadniano, że tak jest, natychmiast o tym zapominał.

Pauly. Od czasu do czasu podcinał matce włosy. Nie przypominam sobie, żeby ona strzygła jego. Okrywała ramiona rękami, rozkładała gazety na kuchennej podłodze, siadała na taborecie na środku kuchni i wtedy on mógł zabrać się do roboty. Brał do ręki nożyczki i grzebień, rozczesywał jej włosy, oddzielał grzebieniem niewielkie pasmo, ujmował je w palce i trzymając grzebień w ustach jak harmonijkę, unosił nożyczki i ciął pukiel. Robił to bardzo dokładnie. Matka miała gę-

ste, kręcone włosy, a lubiła, gdy były krótko obcięte. Nie sędzę, żeby oszczędzanie pieniędzy sprawiało jej przyjemność, raczej dawało jej satysfakcję. Nazwałbym to cnotliwą przyjemnością. Nosiła proste ubrania kupowane z myślą o długim noszeniu. Wszystkie ubrania miały nam długo służyć. Zawsze kupowała rzeczy, które były za duże.

– Chciała, żebyśmy maksymalnie je wykorzystali – wyjaśniłem to kiedyś Susan. – Żebyśmy do nich dorosli.

– Tacie również kupowała za duże ubrania – odrzekła Susan – sobie zresztą też. Wszyscy wyglądaliśmy w nich jak w workach. Dlaczego wciąż myślisz, że była doskonała? Dlaczego nie przyznasz, że po prostu nie potrafiła kupować ubrań?

Sędzę, że pomimo surowości, domowego strzyżenia, workowatych ubrań, braku makijażu – z wyjątkiem mocno czerwonej szminki, którą malowała usta, ciągle zasznurowane małe usteczka w pełnej twarzy – pozostała seksowną kobietą. Miała ciężkie piersi i grube pęciny. Nosiła gorsety, które widywałem, gdy się ubierała lub rozbierała, mówiąc coś w rodzaju: „Danny, idź i wyłącz kawę”. Wymagała przestrzegania higieny bardziej, niż naszym zdaniem było to konieczne. Kiedy pracowała, jeszcze przed urodzeniem Susan, sprzątała dom późnym wieczorem i w weekendy. Nasz nędzny, mały domek. Leżąc w łóżku, wdychałem jej zapach, kiedy po kąpieli przychodziła poprawić pościel: parującą czystość, przypudrowane zaróżowienie. Szyła zasłony, przyklejała linoleum do podłogi, chodziła po wyprzedających w Armii Zbawienia – i przybijała, przylepiała, pastowała, szorowała. Prała nasze ubrania na tarze w kuchennym zlewie. Cechowała ją niespożyta energia. Dla Rochelle wszystko sprowadzało się do tego, żeby obronić się przed złośliwie zastawioną pułapką, jaką jest życie. Obroną było zarabianie na życie. Czysty dom. Postępowe poglądy polityczne. Dzieci. Jej słabość nie była dla mnie tak oczywista jak słabość Paula. Kogoś, kto uważa, że życie polega na walce o przetrwanie, uznaje się za człowieka z charakterem. Jednak Rochelle, tak samo jak Paul, była osobą chwiejną. W swych ponurych oczekiwaniach. W odmowie posiadania złudzeń. W zimnym, dogmatycznym gniewie. Jak gdyby utraciła w życiu coś istotnego, o czym nie potrafiła zapomnieć. Jak gdyby złamała złożoną niegdyś obietnicę. Nie chodziło tu o seks. To nie mógł być seks. Potrafili wprawić w kołysanie cały dom. Naprawdę szli na całość, zabawiali się cały czas.

W więzieniu zaczęła pisać.

Polityka w jej wydaniu nie była teoretyczna ani abstrakcyjna. Znajdowanie związków nie sprawiało jej trudności. Jej polityka przypominała religię babci: inwestycja na przyszłość kosztem strasznej teraźniejszości. Babcia zapalała świece w piątek wieczorem, nakrywała głowę szalem, chowała twarz w dłoniach i odmawiała modlitwę. Kiedy opuszczała ręce, w jej oczach, w jej błękitnych oczach lśniły łzy, a na twarzy malował się nieutulony żal. Tak wyglądał komunizm mojej matki. Niósł obietnicę tak przekonującą, że można było dla niej wiele znieść. Tak właśnie kobieta znosi dolegliwości ciąży i porodu, żeby mieć dziecko. Dziecko sprawia, że okazują się tego warte. Nadejście socjalizmu uświęci tych, którzy cierpieli. Zostawiłaś dom i wytrwałaś na posterunku. Zrobiłaś, co było do zrobienia, nie dlatego, że czegoś oczekiwałaś, ale dlatego, że wiedziałaś, iż nadejdzie dzień zapłaty, a ty chciałaś, żeby i twoje imię zostało uwiecznione. Gdyby była tak religijna, jak jej mama, wyobraziłaby sobie to jako tabliczkę pamiątkową na oparciu ławki w synagodze. Ona jednak była oświeconą, niezależną, wykształconą dziewczyną, która umiała czytać i rozumiała, co czyta. Która wstąpiła do szkolnego kółka radykałów, gorszyła swą matkę i wyjechała, by zamieszkać z chłopakiem, kiedy powołano go do wojska i wysłano do innego miasta. Była kobietą nowoczesną.

– Rochelle! – słyszę urąganie babci. – Też coś, Rochelle! – A potem w jidysz: – Rachel nie jest dla niej dość dobre.

Ale to nie ta para ludzi jest na plakacie. Tamta się ulotniła. Z dużą kasą, zaopatrzeni w fałszywe paszporty wyjechali do Nowej Zelandii albo Australii. Albo do Raju. W każdym razie w ich zastępstwie moi rodzice poszli na śmierć za zbrodnie, których nie popełnili. A może popeunili. A może to moi rodzice wyjechali z fałszywymi paszportami za zbrodnie, których nie popeunili. Jak się pisze popeunić? Jednej rzeczy jesteśmy pewni. Wszystko jest ulotne. Bóg jest ulotny. Moralność rewolucjonisty. Sprawiedliwość. Ludzki charakter. Ćwierć dolara na papierosy z automatu. Dotarło do ciebie tych dwoje ludzi na plakacie, Danielu? Jak masz zamiar ich stamtąd wyciągnąć? Jest też babcia, o której raz czy dwa wspomniałeś, ale nic o niej nie wiemy. I jakiś kolorowy mężczyzna

w piwnicy – o co w tym wszystkim chodzi? Co to ma wspólnego z resztą?

PEEKSKILL

Jest niedziela. Ciepły wrześnieowy niedzielny poranek. Wszyscy wstali wcześniej niż zwykle. Dzwoni telefon. Rodzice strofują mnie, żebym się szybko umył i ubrał. Muszę nakarmić głupią Susan, zanim dorośli będą gotowi. Musimy współpracować, żeby dobrze wykorzystać czas, żeby go oszczędzać jak pieniądze. Nienawidzę tego. Matka komenderuje nami jak w wojsku. Susan nabiera pełną łyżkę jedzenia i wpycha do pyzatej buzi, ściskając trzonek łyżki w pulchnej rączce. Nie puści. Znowu dzwoni telefon. Każą mi go odebrać. Dzwoni ktoś, kto chce znać godzinę wyjazdu. Zbiórkę wyznaczono w naszym domu. Zaczynają się schodzić wół do dziesiątej. Pierwszy pojawia się, oczywiście, doktor Mindish z żoną i gigantyczną córką. Nienawidzę Mindisha. Wydaje mi się, że jest nieszczerzy. Nie wierzę mu. Jest najbliższym przyjacielem mojego ojca i dentystą całej rodziny. Wysoki, łysiejący mężczyzna z grubym nosem i wiecznie nie ogolonymi policzkami. Ma małe, bezbarwne oczy. Mówi z obcym akcentem. Jego córka wygląda dokładnie tak samo jak on: wysoka, z dużym nosem, tylko włosy ma długie, spadające na ramiona. Żona Mindisha robi w tej rodzinie wrażenie intruza.

– O, patrzcie – stwierdza Mindish, kiedy otwieram drzwi – sprawili sobie nowego lokaja.

Jest doprawdy zabawny. Mijając mnie, Linda Mindish, jego córka, dźga mnie palcem pod żebro. Wbrew sobie uśmiecham się z kiepskiego dowcipu Mindisha i uchylam przed ręką Lindy. Ma dwanaście albo trzynaście lat, jest bardzo silna.

Chwilę później schodzi się reszta. Nate Silverstein z żoną, która uczy w szkole w śródmieściu. Silverstein jest kuźnikiem, rumianym mężczyzną o schrypniętym głosie. Potem

Henry Bergman, zawodowy muzyk, który gra głównie na skrzypcach, ale również na rożku francuskim, na tyle dobrze, żeby koncertować przez jeden sezon z Orkiestrą Symfoniczną NBC Toscaniniego. Ben Cohen, mój ulubieniec wśród przyjaciół rodziców, szczupły, miły mężczyzna z wąsami i aromatyczną fajką. Chciałbym, żeby matka wyszła za niego, gdyby ojciec umarł. Kiedy się odzywa, a robi to rzadko, zawsze mówi cicho. Nigdy nie traktuje mnie protekcyjnie. Zachowuje się spokojnie i rozważnie. Podoba mi się też jego praca: jest bileterem na stacji kolejki podziemnej, pracownikiem miejskim. To wygląda mi na naprawdę fajne zajęcie. Siedzi się pod ziemią, w budce, jak w fortocy, która ma zakratowane okna i ciężkie stalowe drzwi zamykane od środka. Bardzo pewne, bezpieczne miejsce. Można tu zjeść lunch i poczytać, kiedy ruch jest mniejszy. Trzeba tylko wydawać resztę, co jest bardzo proste. Gdyby spadła bomba, prawdopodobnie wcale by się tego nie odczuło. Nie zmoknie się, gdy pada. Jedyne, co mi się w tym zajęciu nie podoba, to to, że Ben Cohen nigdzie nie zagrzewa długo miejsca. Ciągłe zmienia stacje. Gdybym miał taką pracę, to chciałbym dostać budkę na naszej stacji, przy Sto Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy. Byłbym wtedy bliżej domu.

A potem przychodzą siostry Kantrowitz, które pracują w Opiece Społecznej: jedna jasna, druga ciemna, obie niezamężne. A oprócz stałych gości jeszcze inni, których nie znam zbyt dobrze, ludzie spoza kręgu najbliższych przyjaciół rodziców. Jest ich ze dwunastu. Kilku przyszło z dziećmi, a jedno małżeństwo wzięło nawet ze sobą niemowlę. Wszyscy przynieśli lunch w szarych papierowych torebkach.

Dom jest pełen ludzi i wszyscy bez przerwy gadają. Od czasu do czasu ze swojego pokoju wychodzi babcia i ze szczytu schodów rzuca głośne przekleństwa. Wygląda na to, że zgromadzeni wiedzą, że to wariatka, i nie zwracają na nią uwagi. Rochelle przygotowuje nam w kuchni lunch – kanapki z sałatą i jajkami. Jajka pachną ciepłem i trzewiami. Jest tam Mindish zagląający do lodówki, co niepokoi matkę, jeśli dobrze rozumiem wyraz jej twarzy. Nigdy nie podobał mi się sposób, w jaki Mindish patrzy na moją matkę.

Ojciec dzwoni do firmy autokarowej, żeby się upewnić, czy wysłano autobus, tak jak zostało to uzgodnione. Autobus ma zajeżdżać przed dom. Nasz dom jest punktem zbornym, co wbija mnie w dumę. Wychodzę na ganek, żeby sprawdzić, czy nadjeżdża. Jedno z dzieci idzie za mną. Robię do niego miny i, przytrzymując się balustrady, wychylam się i wyglądam za róg.

– Ja też jadę – mówi mały. – A ty?

Nie przypuszczam, by był z tym jakiś problem. Ciotka Frieda przyjdzie zaopiekować się Susan. Po drugiej stronie ulicy, na położonym poniżej jej poziomym szkolnym boisku dorośli faceci grają w baseball. Baza macierzysta znajduje się jedną przecznicę dalej, po przeciwnej stronie boiska, na rogu Eastburn Avenue. Niekiedy, bardzo rzadko, piłka uderza w płot ciągnący się wzdłuż Weeks Avenue. Jeszcze rzadziej się zdarza, by przeleciała nad nim i wylądowała na ulicy przed moim domem. Teraz piłka wznosi się nad boisko, nad linię dachów, prosto do nieba, zawodnik obiega bazy, a piłka przelatuje przez płot, uderza w ziemię, odbija się kilka razy na chodniku przed gankiem. Miękka piłka, cudem ocalała, i to bez najmniejszego uszczerbku, mimo pokonania tej fantastycznej odległości.

Łapię ją i wbiegam na środek jezdni. Na boisku wszyscy zamierają i patrzą na mnie, jakby usłyszeli Hymn Narodowy. Przerzucam piłkę z powrotem przez płot. Spada poza zasięgiem mojego wzroku. Przez chwilę panuje cisza, po czym widzę, jak piłka wpada na pole gry po wyrzuceniu przez niewidocznego lewego obrońcę, który przechwycił mój rzut. Przechodzi mnie dreszcz, jakby z tej piłki przeskoczyła na mnie iskra elektryczna, a na dodatek mam wrażenie, że wykazałem się przed nie byle jakimi zawodnikami.

Żółty szkolny autobus zdążył w tym czasie skręcić w przecznicę. Kierowca niemal leży na kierownicy i szuka numeru domu. W środku siedzą już jacyś ludzie. Autobus mija nasz dom, z piśkiem hamuje, cofa.

Chcę obwieścić jego przyjazd, ale zanim docieram do drzwi, już się otwierają i goście zaczynają wychodzić. Idę do kuchni i pytam matkę, czy mogę z nimi jechać. Proszę o pozwolenie. Spodziewam się, że powie „tak”, więc serce mi zamiera, kiedy zaciska usta i odpowiada:

– Twój ojciec tu rządzi.

– Proszę, Rochelle – odzywa się ojciec – nie zaczynaj od nowa. – Za każdym razem, kiedy matka mówi, że ojciec tu rządzi, wyprowadza go to z równowagi. Zaczyna zawiązać kanapki z jajkiem w pergaminowy papier i wkłada do chlebaka w kolorze khaki. Lubi zabierać ze sobą rzeczy zapakowane jak na majówkę, bo dzięki temu ma wolne ręce i może trzymać gazetę albo książkę. Poprawia okulary grzbietem dłoni. – Czy nie chcesz, żeby twoje dziecko posłuchało jednego z najlepszych głosów naszych czasów? Nie chcesz, żeby twój syn miał co wspominać? Nie widzę nic złego w tym, że zobaczy Robesona, wielkiego ludowego artystę.

– Pauly, powiedziałam ci, co o tym myślę. Zrobisz, co zechcesz.

– Jakież problemy? – pyta Mindish, skubiąc kawałek sera.

– Nie – odpowiada matka. Wstawia majonez do lodówki, wyciera stół, wychodzi z kuchni.

– Czy jadę z wami? – pytam ojca.

– Tak, tak – odpowiada z rozdrażnieniem. Oficjalnie nic nie może się odbyć bez aprobaty matki. Za każdym razem, ilekroć zdecydujemy o czymś bez jej zgody, obaj czujemy się zakłopotani. Ojciec idzie za nią po schodach na górę. – Szykuj się – rzuca mi jedno z tych niejasnych poleceń, które ujawniają brak autorytetu. Tak naprawdę znaczy to, że nie powinienem iść za nim na górę.

Zostaję w przedpokoju. I chociaż drzwi wejściowe są otwarte i ludzie wylewają się nimi na ganek, a przyjaciele tacy jak Mindish kręcą się w kółko i wszyscy gadają o czekającej ich wycieczce, to z rozmowy, która odbywa się na górze, słyszę wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, o co chodzi. To mały dom.

– Nie ma się czego obawiać, Rochelle! Gdybym podejrzewał, że jest choćby cień lyzyka, czy sądzisz, że pozwoliłbym ci pojechać, nie mówiąc o dzieciaku? Bądź rozsądna.

– Nie mów mi o rozsądku – odpowiada matka. – On ma dopiero siedem lat.

– No cóż, po prostu jedźmy – mówi Paul. – Mindish zabiera swoją córkę. Na dole czeka tużin dzieci. Na Boga, mamy sądową decyzję, która jest naszym zabezpieczeniem.

– Sądowe decyzje – stwierdza cierpko Rochelle. Na chwilę zalega cisza.

– I ty nazywasz siebie osobą postępową – ojciec zmienia taktykę. Rozpoczyna przemowę na temat sił reakcji i tego, co wpływa na ich umocnienie. Matka ze znużeniem odpowiada:

– Och, Pauly, czasami jesteś takim głupcem.

Ludzie nawołują od drzwi:

– Jedźmy! No dalej, jedźmy!

Zdecydowanie bardziej interesuje mnie ten pojedynek woli niż to, czy pojedę na koncert.

Rzecz w tym, że nie pociąga mnie perspektywa uczestniczenia w nim, teraz jednak, kiedy towarzyszy temu jakaś tajemnica, jestem bardziej skłonny wywołać awanturę, gdyby nie pozwolono mi jechać.

Po którejś z przerw w ich rozmowie matka ustępuje.

– Danny – mówi, schodząc po schodach. – Weź cienką, granatową kurtkę. I zawiąż sznurowadła, podciągnij skarpetki. I idź do łazienki, nawet jeśli nie musisz. – Marszczy brwi, wygląda ponuro. Pociągnęła usta szminką. Ojciec, schodząc za nią, zapala cygaro.

Tydzień temu Paul Robeson miał śpiewać na Polu Namiotowym Lakeland w Peekskill w stanie Nowy Jork. Miejscowa chuliganeria zatarasowała wjazdy, podpaliła ławki i zaatakowała publiczność, więc koncert się nie odbył. Po tygodniu protestów i manifestacji i po decyzji sądu Robeson znowu zamierzał zaśpiewać w Peekskill. Robeson był komunistą, dumnym czarnym komunistą. Tysiące ludzi planowało przyjść na koncert na świeżym powietrzu, za miastem, i potwierdzić swą obecnością prawo Robesona do śpiewania oraz własne prawo do słuchania. Gubernator Dewey zażądał wezwania Policji Stanowej do zapewnienia porządku. W epoce polowań na czarownice, kiedy ludzi wsadzano do więzienia za przekonania polityczne (jak Fostera, jak Gene'a Dennisa), miało to być triumfalne potwierdzenie prawa do wolności zgromadzeń, ważna chwila dla sił postępu i oświecenia.

Dowiaduję się tego wszystkiego w autobusie. Mówi mi o tym ojciec. Jest ożywiony, rozradowany. Wszyscy śpiewają pieśni Robesona, ciesząc się na myśl o jego koncercie. To bardzo miłe. Jestem szczęśliwy, że matka pozwoliła mi jechać. Autobus z rykiem przejeżdża przez Bronx i przecinając Van Cortland Park, kieruje się na północ, na szosę Saw Mill River, a pasażerowie śpiewają *Żołnierzy z torfowisk*. Jesteśmy żołnierzami torfowymi, maszerującymi z łopatami na trzęsawisko. Jedyne moja matka nie śpiewa. Siedzę jej na kolanach, przy oknie. Obok siedzi ojciec. Śpiewa. Cały autobus śpiewa. Zdaje się falować w rytm melodii. Okno autobusu przecinają zaschnięte błyskawice deszczu.

To długa jazda. Oczy mi się zamykają, zmęczone uciekającym do tyłu krajobrazem. Przed Peekskill śpiew milknie. Ludzie w autobusie siedzą cicho. W Peekskill widzę mężczyzn stojących na drodze, krzyczących i wymachujących pięściami. Powstrzymuje ich kordon policji.

– Wynoście się, moški! – wrzeszczy ktoś w stronę autobusu.

Słyszę marsze wojskowe. Nie wiedziałem, że na koncercie Robesona będzie muzyka, ale mój ojciec już wstał, wygląda przez tylną szybę i ogłasza, że to Orkiestra Legionu Amerykańskiego. Defiluje w proteście przeciw koncertowi.

Na polu jest gorąco i nieprzyjemnie i przez długi czas nic się nie dzieje. Już dawno temu zjadłem moją kanapkę z jajkiem i znowu jestem głodny. Siedzę między rodzicami. Otaczają ich przyjaciele. Przyjaciół otaczają tysiące ludzi. Gdyby miało się wydarzyć coś złego, już by się wydarzyło, rozumuje każdy. Nie potrafię sobie wyobrazić, jaka krzywda mogłaby nas spotkać w tym przyjaznym tłumie, który przypomina armię. Nasi znajomi zachowują się spokojnie. Są odprężeni. Dowcipkują. Ojciec czyta na głos urywki z książki, coś zabawnego, bo wszyscy się śmieją i wygłaszają uwagi. Matka się uśmiecha. Siedzi na trawie po turecku, zasłoniwszy nogi długą plisowaną spódnicą. Przytula mnie do siebie. Ojciec wymachuje cygarem i mówi. Mówi bez przerwy. Od czasu do czasu poprawia okulary. Ben Cohen, który leży na boku na trawie, trzyma fajkę w rękę i słucha. Doktor Mindish słucha. Nate Silverstein, kuśnierz, słucha. Jest jasne, że wszyscy szanują ojca. Nie, to nie tyle szacunek, ile miłość. Miłość do niego i szacunek dla jego energii. Zdaje się niezmordowany, iskrzący, niecierpliwy, bez przerwy opowiadający o swych przemyśleniach i sypiący pomysłami.

W końcu w oddali rozlega się krzyk, oklaski, a po nich zwielokrotniony ryk witający Robesona. Nie widzę zbyt dobrze. Lepiej słyszę jego głos, niż widzę małą, oddaloną figurkę, ale to głęboki głos, niewiarygodnie głęboki, dźwięczny głos, który przypomina mi Williamsa mieszkającego w naszej piwnicy. Obaj są Czarni. Zastanawiam się, dlaczego Williams nie przyjechał z nami. Robeson śpiewa pieśni spiritual. Śpiewa Rzekę *starego człowieka*. I *Żołnierzy z torfowisk*. I *Śniło mi*

się, że widzę Joego Hilla żywego, żywego jak ty czy ja. Akompaniuje mu pianista. Zastanawiam się, czy Robeson mieszka u siebie w piwnicy.

Po skończonym koncercie przyłączamy się do burzliwych oklasków. W drodze do autobusu wszyscy rozmawiają z ożywieniem. Dzień okazał się udany. Przeżyliśmy podniosłe uczucia. Na parkingu jednak matka chwyta mnie za rękę i stwierdzam, że przyśpieszamy kroku.

Autobus rusza z miejsca w szeregu innych autobusów i samochodów. Policjanci z Peekskill kierują ruchem.

– To nie jest droga, którą przyjechaliśmy – mówi siedzący za ojcem Mindish, pochylając się do przodu.

Ojciec podnosi się zaciekawiony. Jedziemy przez jakiś lasek zakurzoną, wąską drogą pod górkę. Autobusy jadą na niskim biegu, rżąc z bólu jak ludzie. Zauważam coś dziwnego: trzech czy czterech mężczyzn biegnie skrajem lasu. Wyprzedzają nas. Wychylam się, żeby zobaczyć, dokąd biegną, i widzę innych mężczyzn wychodzących z lasu. Rzucają coś na drogę.

– Spójrście! – krzyczy ojciec.

W tym samym momencie autobus szarpie i staje na biegu. Kierowca rozkłada ręce. Słychać odgłos pękającego szkła. Przez autobus przebiega krzyk, mimowolna reakcja gardła na to, co się dzieje. Ojciec opada na miejsce, trzymając się poręczy nad siedzeniem przed sobą. Wszyscy siedzący osłupiali, jakby przedstawienie, które się odbywa, nie miało z nami nic wspólnego. Twarz kierowcy ozdobiona jest krwią. Od pierwszych siedzeń do ostatnich ludzie gwałtownie się schylają jak kostki domina przewracające się jedna za drugą. Na wysokości głowy mojej matki pojawiają się na szybie pęknięcia układające się w piękny ornament i zanim zostają siłą przyduszony do siedzenia, dostrzegam mężczyznę, który celuje otoczakiem w tylną szybę autobusu stojącego przed nami.

Ludzie krzyczą, żeby kierowca ruszył, ale jego nie ma, a nawet gdyby był, to i tak nie mógłby jechać. Autobusy stoją przed nami i za nami. Odgłos walenia kamieniami o burty i dach wozu dziurawi bębunki. Pękające szkło rozbrzmiewa muzyką. Ludzie krzyczą.

– Co to ma znaczyć! – Wysoko nade mną głos mojego ojca domaga się wyjaśnień. – Co to ma znaczyć!

Razem z kamieniami, jak przywiązane do nich sznurkiem nuty, wlatują do autobusu słowa. Mosiek, komunistyczny bękart, żydowski komuch, czerwony. Słucham uważnie. Żyd. Komuch. Czerwony. Czarnuch. Bękart. Mosiek. Czarnofil. Czerwony. Żydowski bękart. Słowa krzyczą. Kamienie, niektóre wielkości mojej głowy, rzucają się z pobudek wychowawczych.

– My was nauczymy! – wołają rozwścieczone głosy. – To was nauczy, wy komunistyczne bękarty, moški!

Razem z matką wciskamy się między siedzenia. Klęczymy. Każde stuknięcie, każdy kolejny łoskot działa jak maszyna prosta – wzmacnia matczyne uścisk. Wyobrażam sobie coś w rodzaju systemu kół zębatych, uruchamianego każdym kolejnym krzykiem, uderzeniem kamienia, rozbięciem szyby. Cał po cał pograżam się głębiej pod nią, aż w końcu moja głowa opiera się na jej podwiniętych nogach. Jej piersi i ramiona przykrywają mi grzbiet, a dłonie spłaszczają tyłek do kości. Przez tkaninę spódnicy wyczuwam pod ustami i szczęką kurczący się mięsień jej uda, drgający – ze strachu? gniewu? wysiłku? – a ona kładzie głowę na moich plecach i mamrocze w mój kręgosłup. Mordercy. Psy. Męty. Jak mamrotanie mojej babci, tyle że po angielsku. Faszystowskie męty. Nazi-stowskie świnię. Mordercy.

Umieram ze strachu. Myśl o mojej babci nadaje nowy sens jej słynnym złorzeczeniom – nie są to już tyrady starej wariatki, ale dosłowna i sugestywna zapowiedź zguby w naszym życiu. Autobus się kołysze. Wszyscy umrzemy. Serce bije mi jak szalone, ale wyraźnie czuję materiał, z którego uszyta jest spódnica matki: szorstką wełnianą tkaninę, która zostawi na moim policzku ślad podrażnienia jak po wysypce.

Słyszę, jak Mindish wrzeszczy do mojego ojca, żeby się schował.

– Pauly! – krzyczy matka znad moich pleców. – Co ty robisz! Paul!

Ojciec, przykucnąwszy w przejściu, dostrzega coś przez okno. Przechodzi nad ludźmi, przeciska się między nimi, węzowym mchem torując sobie drogę na przód autobusu.

– Panie władzo! – krzyczy do policjanta. – Panie władzo!

Mój pająkowaty ojciec sunący zakosami na front. Na wojnę. Nie możemy na to pozwolić.

– Nie możemy na to pozwolić – wyjaśnia.

I już jest przy drzwiach, i każe kierowcy je otworzyć. Autobus się kołysze. Ojciec łapie się uchwytu nad głową i nalega, żeby kierowca otworzył drzwi. Reszta krzyczy, żeby nie otwierać.

– Nie możemy na to pozwolić – zwraca się do siedzących. – Nie możemy pozwolić na taki skandal.

Mindish idzie za nim. Gruby dentysta się uśmiecha.

– Schowaj się, Paul. Co ty robisz! Wracaj!

Ojciec znowu dostrzegł policjanta i usiłuje rozsunąć podwójne drzwi gołymi rękami. Krzyczy przez szparę między gumowymi ochraniaczami, przez szparę, w którą włożył ręce, żeby się nie zamknęła.

– Panie władzo! Dlaczego pan na to pozwala!

Próbuje rozsunąć drzwi chudymi ramionami, mocuje się z nimi jak Samson z kolumnami.

Ściąga na siebie uwagę komandosów, którzy zaczynają mu pomagać w otwieraniu drzwi od zewnątrz. Dostajemy chwilowego pomieszania zmysłów. Całe lewe ramię ojca znika za drzwiami. Ojciec przechyla się pod jakimś obłąkanym kątem. Przypomina mi jedno z moich sznurowadeł zaplątanych aż po same końce. Skąd to wiem? Jeśli kuciałem przygarbiony za siedzeniem, to jak mogę to pamiętać? Spokojnie, prawą ręką ojciec zdejmuje okulary, składa je, opierając o pierś, i wręcza Mindishowi. Powściągliwość tego gestu przeraża mnie. Widzę coś, czego nie umiem rozpoznać, co przesłania mi moja dziecięca pewność, że ten obraz rodziców, który mam, jest prawdziwy. Jestem oszołomiony. Teraz autobus przestaje się kołysać. Patrioci wytrwale dążą do celu. Zbierają się przy drzwiach. Gapimy się bez słowa, jak mój ojciec w milczeniu znosi łamanie ręki. Na czoło występuje mu pot. Twarz się wykrzywia.

– Otwórzcie drzwi! – krzyczy moja matka. – Otwórzcie drzwi, zanim go połamia!

Kiedy drzwi otwierają się z sykiem, ojciec znika nam z pola widzenia. Podnosi się wrzask. Dwóch pasażerów, którzy trzymali go w szaleńczym zmaganiu, koziołkuje za nim. Komiczny widok, kiedy tak wszyscy oni wylatują za drzwi jak sznur kielbasek. Nie widzę, co dzieje się na zewnątrz. Słysząc jakieś przerażające dźwięki.

– Powstrzymajcie ich! – płacze moja matka, pchając się do przejścia. Ktoś przyciska mnie do siedzenia. Ludzie wylewają się, żeby zobaczyć walkę albo żeby uciec, nie potrafię powiedzieć. Nad ich głowami, gdzieś z przodu autobusu, dostrzegam Mindisha trzymającego w górze złożone okulary ojca. Jest wysoki i ma na twarzy ten dziwny wyraz zakłopotania, uśmiech wywołany absurdalną myślą, że można być zdany na czyjąś łaskę.

Nie pamiętam, jak wróciliśmy do domu. Jakieś policyjne syreny, lamenty i płacz podczas tej drogi przez las. Karetka. Pamiętam za to ojca leżącego na starej kanapie w salonie. Ramię unieruchomione miał w łubkach, głowę zakrywał mu bandaż wyglądający jak stara czapka. Na twarzy miał zadrapania. Patrzył jednak na mnie przez okulary, które ocalały. Próbował się uśmiechnąć rozbitymi, spuchniętymi wargami. Nie mógł mówić. Gapilem się na niego i bałem się. W jego oczach pojawiły się łzy. Matka siedziała przy nim na podłodze, patrzyła przed siebie i trzymała go za rękę. Stykali się głowami. Wydawali się pogrążeni w takim smutku, że zacząłem płakać. Nigdy przedtem nie płakałem. Matka przyciągnęła mnie do siebie, posadziła sobie na kolanach i przycisnęła do pierś, a potem ujęła rękę ojca i pocałowała ją.

Tak więc jego nieudacznictwo miało swoje granice. Nastął czas, kiedy ta namiętnie nieodpowiedzialna, naiwna, dziecinna istota przekonała się, że świat został już urządzony. Matka miała rację co do koncertu Robesona, lecz ojciec nie dał się przekonać. Zaczynałem doceniać tajemnicę, która tkwiła w mrocznych związkach łączących dorosłych. Telefon dzwonił bez przerwy – tamtego wieczoru, następnego dnia. Każdy powtarzał, że gdyby Paul nie zrobił tego, co zrobił, tamci przewróciliby autobus i Bóg wie, ile osób zostałoby zmasakrowanych. To prawda, że w całym autobusie był jedynym mężczyzną, który coś zrobił. Nikt inny się nie ruszył. Długo się nad tym zastanawiałem. Mogłem być dumny z tego, że ojciec nie siedział bezczynnie. Jednak to, co zrobił, było zagadkowe i skomplikowane i wcale nie było tym, o czym mówili inni. Długo o tym myślałem. Wreszcie doszedłem do wniosku, że próbował ściągnąć uwagę glin, ponieważ naprawdę sądził, że

gliniarz nam pomoże. Ze Prawo aresztuje Faszystowskich Chuliganów. To właśnie kazało mu stanąć przy drzwiach i wystawiło na ciosy.

Dużo później, kiedy przestano już o tym mówić, ja wciąż próbowałem rozwikłać tę zagadkę. Rochelle denerwowała się, bo ojciec nie chodził do pracy, przeskadzało jej, że cały dzień kręci się po domu. Nie mieliśmy pieniędzy. On narzekał na bóle głowy. Trzeba było płacić słone rachunki za lekarza. Ojciec wrócił do warsztatu dopiero, kiedy gips na jego ramieniu prawie szerniał. Ja jednak nie mogłem zapomnieć okrutnego spokoju, z jakim podejmował decyzję złożenia okularów na pierś i wręczenia ich Mindishowi. Nie mogłem zapomnieć poświęcenia malującego się w jego absurdalnie nagich oczach ani jakości jego czynu: spokojnie przyjętej, zaplanowanej ofiary złożonej na ołtarzu rewolucji...

Podczas Wielkiej Czystki w 1938 roku najciekawszą linię obrony zaprezentował Bucharin. Przyznał się do winy i kilkakrotnie zadał sobie trud, żeby potwierdzić swoją odpowiedzialność za wszystkie zbrodnie popełnione przez oskarżany blok „prawicowców i trockistów”, za którego przywódcę uchodził. Przyznał z rozpędu, że jest winny spisku, zdrady i kontrewolucji, a jednocześnie w trakcie procesu przeciwstawiał się każdemu konkretnemu zarzutowi, który mu postawiono. Choć zmuszony do zeznawania pod dyktando, zdołał jednak – tym dziwnym piskiem, charakterystycznym dla sowieckich głosów w czasach Stalina – wyrazić myśl, że zarówno on, jak i Rosja padli ofiarą represji. I co mu to dało, poza tym, że stał się bohaterem powieści i symbolem żalnej szlachetności dla sowiektologów. O Stalinie możemy z kolei powiedzieć, że procesy pokazowe z lat 1936-1938, podobnie jak tysiące innych nie tak drobiazgowo zaplanowanych akcji eksterminacyjnych prowadzonych pod jego egidą, odzwierciedlały jego zdecydowane dążenie do uczynienia z Hitlera sprzymierzeńca. Kennan twierdzi, że Stalin musiał się upewnić, że nikt nie sprzeciwi się niepopularnemu posunięciu, które świat zna pod nazwą „Paktu o nieagresji” z 1939 roku. Bucharin i wielu innych oskarżonych byli antyfaszystami. Cokolwiek leżało u podstaw pragnienia Stalina, by uczynić z Hitlera sojusznika – czy to desperacka chęć uprzytomnienia Zachodowi interesów Rosji, czy zawzięte dążenie do ustanowienia sowiecko-faszystowskiej hegemonii, czy też konieczność zyskania na czasie w przygotowaniach do wojny z Niemcami, która w jego przekonaniu była nieunikniona (ale jeśli tak, to czemu zdecydował się zgładzić wyższych oficerów) – można powiedzieć, że posunięcie to, podobnie jak każdy znaczniejszy ruch w polityce Rosji sowieckiej lat trzydziestych, polityce Wielkiego Eksperymentu Socjalistycznego, było rezultatem ustanowienia prymatu państwa narodowego, odłożenia na bok marksistowskich marzeń o lepszym jutrze i pogardy dla jednostki. E. H. Carr sugeruje, że geniusz Stalina polegał na umiejętności odrodzenia rosyjskiego nacjonalizmu uśpionego w czasach zwesternalizowanego internacjonalisty Lenina. Hasłem „Socjalizm – jeden kraj, jeden system” Stalin wyrażał narodową, wzmacnianą poczuciem niższości dumę wobec historycznej, tragicznej wrogości Zachodu do zacofanej Rosji.

„Internacjonalistyczny marksizm i internacjonalistyczny socjalizm, rzucone na rosyjską głębę i pozostawione same sobie, przekonały się, że ich międzynarodowemu charakterowi wciąż zagrażają podkopy i miny podkładane przez narodową tradycję rosyjską, którą rzekomo zwalczyły w 1917 roku. Dziesięć lat później, po śmierci Lenina, ci z przywódców bolszewickich, którzy odgrywali większą od innych rolę jako nosiciele elementów internacjonalistycznych i zachodnich – Trocki, Zinowiew i Kamieniew, nie wspominając o pomniejszych postaciach, jak Radek, Krasin czy Rakowski – zniknęli; słaby i ulegający wpływowi Bucharin wkrótce poszedł w ich ślady. Ukryte siły rosyjskiej przeszłości – autokratyzm, biurokracja, polityczny i kulturalny konformizm – zemściły się, nie tyle niszcząc rewolucję, ile wprzęgając ją do realizacji własnego celu: doprowadzenia jej do końca według wąsko pojętego, nacjonalistycznego planu...”

To spostrzeżenie Carra pomaga zrozumieć takie bolesne doświadczenia, jakimi dla światowego socjalizmu były: sowiecka odmowa wsparcia lewacko-komunistycznej koalicji w Niemczech, która mogła zapobiec dojściu Hitlera do władzy; zdradzenie przez Sowietów sprawy republikańskiej w Hiszpanii (ofiarami czystek stalinowskich padło wielu weteranów kampanii hiszpańskiej); cyniczne wykorzystanie frontu ludowego i zbiorowego bezpieczeństwa jako elementów dyplomacji sowieckiej; pakt o nieagresji. Dlatego tym krytykom, którzy w Stalinie widzą Dżyngis-chana, jak nazywał go Bucharin, lub skończonego paranoika, którym zresztą był, jak to z żalem przyznają

obecni przywódcy sowieccy, musimy powiedzieć: Stalin nie zdradził rewolucji, on ją jedynie doprowadził do końca.

Termidor.

Daniel Termidor odkrył spory luz w kierownicy volva
a co z Kronsztadem – nie wolno nam zapomnieć o KRONSZTADZIE! Ani o Gorkim, razem z jego pomysłami nie na czasie.

UWAGA

Czytelniku, ta uwaga jest skierowana do ciebie. Jeśli wydaje ci się to oczywiste, jeśli mimo wszystko to, co napisałem, wydaje ci się tym razem oczywiste... Jeśli istotnie jest to oczywiste i na tym spóźnionym spotkaniu wydaje ci się wręcz żałośnie oczywiste jak zszywanie podartych ubrań i ponowne ich rozdzieranie... Jeśli jest to aż tak oczywiste, to w takim razie, czytelniku, przejrzałem cię. I razem możemy rozedrzeć szaty i pogrążyć się w żalobie.

W Dzień Pamięci 1967 roku Daniel Lewin dojechał swym nowym samochodem, czarnym volvem, do autostrady stanowej i skierował się na wschód, do Bostonu. Obok siedziała jego żona Phyllis, pociągająco smutna blondynka, dziecko kwiat o błękitnych, polskich oczach, które w deszczowe dni robiły się szare. A za nimi, zaklinowany w niezbyt wygodnej pozycji między wielką walizką a jakimś innym kłopotem, tkwił ich synek, Paul.

Daniel nigdy przedtem nie prowadził tego samochodu, toteż przez pierwsze parę mil walczył z drążkiem czterobiegowej skrzyni i posuwał się do przodu po omacku: w kręgosłupie czuł pracę resorów, w rękach drgania kierownicy.

Kierownica drżała, a przy sześćdziesięciu pięciu milach na godzinę coś w niej lekko zgrzytało. Miała dość znaczny luz. A kiedy naciskał pedał hamulca, samochód lekko ściągało na lewo. Był jakiś rozchwiany. Nie był dobrze wyregulowany ani utrzymany. Czuło się w nim zapach skóry. Daniel wyobraził sobie, do czego mógł służyć w Bostonie i Cambridge, studencką lekkomyślność. Susan, jego siostra, kupiła go tanio od gościa, którego właśnie wyrzucono z Harvardu. A od kogo kupił go tamten? Lekkomysłny samochód. Auto z charakteru lekkomyślne.

– Pada – stwierdziła Phyllis. Rzeczywiście. Krople deszczu rozpryskiwały się na przedniej szybie. Daniel skupił wzrok na jej powierzchni, próbując zgadnąć, gdzie nastąpią małe eksplozje kropeł. Nie było to łatwe, więc wybrał jedną i śledził jej bieg. Zabawa polegała na tym, że sam akt obserwacji wyróżniał kroplę spośród innych. Pomysł ten wpadł mu do głowy, kiedy zobaczył na szybie wodny koralik otoczony rojem drobnych kropełek. Przypominał stopiony płatek śniegu. Każde z sześciu czy siedmiu ramion płątka zlewało się w całość, wydłużało i rozciągało w kierunku, w którym niósł je jego własny ciężar. Kiedy Daniel przyśpieszał, one też szybciej uciekały na boki.

– Nie powinienes włączyć wycieraczek? – spytała Phyllis.

Niebo szybko ciemniało. Reflektory samochodów jadących z naprzeciwka mnożyły się w kropkach wody na szybie. Opony syczały na mokrej nawierzchni.

Daniel zaczął po omacku szukać włącznika wycieraczek. Samochód zjechał na moment i natychmiast odezwał się za nimi klakson. Wtedy zaczęły chodzić wycieraczki. Daniel zauważył jednak, że w chwili, kiedy wóz skręcił, Phyllis prawą ręką chwyciła się kurczowo podłokietnika na drzwiach, lewą zaś sięgnęła na tylne siedzenie, żeby przytrzymać dziecko.

Rzuciła okiem w jego stronę, żeby sprawdzić, czy dostrzegł jej ruch.

– Podoba mi się ten deszcz – powiedział.

– Uwielbiam deszcz – odrzekła Phyllis. – Szczególnie ciepły letni deszczyk, kiedy nie grzmi i nie błyska.

– Nie, ja mówię o tym deszczu, teraz – poprawił ją. – Deszcz daje efekt kokonu, zamyka nas w kapsule.

– Tak – odpowiedziała, patrząc przed siebie. Rozplatała warkocze. Nie spuszczała wzroku z jadącego przed nimi chevroleta ojca Daniela, z zarysu trzech głów na przednim siedzeniu.

– Och, Danielu, tak mi przykro, że nie mogłam powstrzymać Susan, objąć jej, pocałować

i zostać jej przyjaciółką.

Przytaknął.

– Może kiedy poczuje się lepiej, zamieszka z nami na trochę. Otoczylibyśmy ją prawdziwą miłością i byłaby szczęśliwa. Mały też by ją polubił. Czy myślisz, że mogłaby?

– Nie wiem.

– Może jechała, żeby się z nami zobaczyć. Czy myślisz, że jechała do Nowego Jorku?

– Tak.

– Czy myślisz, że chciała nas odwiedzić?

– Nie.

– Jest taka piękna – powiedziała Phyllis i westchnęła.

Poznałem moją żonę na mityngu w Central Parku. Na Owczej Łączce. Przyszła z dwiema innymi dziewczynami z sąsiedztwa, nie takimi fajnymi jak ona. Gapiły się na prawdziwych hipisów. Podniecone, chichotały jak licealistki z Brooklynu. Wprawiały ją w zażenowanie. Wyglądała ślicznie. Ktoś uroczyście wręczył jej żonkila, a ona uroczyście go przyjęła. Uroczyście, z uduchowionym uśmiechem, niosła go, stawiając duże, trochę niezdarne kroki. Była chciwa duchowego doświadczenia. Zabrałem ją do domu na Sto Piętnastej Ulicy i puściłem coś Bartoka. Wpadła w zachwyt na widok takiej liczby książek. Podpowiedziałem jej, że pieprzenie jest aktem filozoficznym sporej wagi. Wiedziałem, że z szacunku dla takiej możliwości pozwoli się przelecieć.

Rodzice Phyllis są młodzi, a ostatnio niezłe im się wiedzie. Nie żeby byli bogaci, raczej zaможni. Jej ojciec sprzedaje dywany po cenach hurtowych. Ma współnika, kumpla z drugiej wojny światowej, z którym mają na spółkę dwa sklepy, jeden w Brooklynie, drugi w Queens. Należy do młodoturków przy Brooklińskim Ośrodku Reformowanego Żydostwa. Każdej zimy zabiera matkę Phyllis na dwa tygodnie na Florydę. Popołudniami grają w golfa, a wieczorami chodzą na występy komików. W ich mieszkaniu w nowym wysokościowcu na Brooklynie stoją porcelanowe lampy zdobione figurkami nimf. W salonie nad pękatą, wzorzystą kanapą wisi obraz szkoły hudsonskiej – oryginalne naśladownictwo – w starannie złożonej ramie, oświetlony specjalną lampką.

Mają też młodsze dziecko, dwunastoletniego chłopaka imieniem Scott. Ten szczeniak gardzi mną, nienawidzi mnie i przeraża nieco tylko mniej niż matka i ojciec. Małżeństwo Phyllis było dla nich szokiem, toteż spotykamy się z nimi coraz rzadziej. Przysyłają prezenty dla małego. Kiedy jeszcze się do siebie odzywaliśmy, ojciec próbował zapytać mnie o siniaki, które jego żona widziała nad kolanami córki, mamrotał i chrząkał, ale udawałem, że nie rozumiem, więc się poddał. Przypuszczam, że dzwonią do niej przedpołudniami.

To nie jest dzień na siedzenie w bibliotece. Jest zbyt ładnie i ciepło i zaczęły śpiewać ptaki. Wróć do domu i zabiorę ich do parku. Zobaczymy, czy po rzece pływają już łódki...

Kilka minut później Phyllis odpięła pas bezpieczeństwa i odwróciła się, żeby spojrzeć na dziecko, które wierciło się niespokojnie.

– Została mi tylko jedna pielucha – powiedziała.

Przekręciła się niezdarnie i klęcząc na siedzeniu, przechyliła przez oparcie, żeby przewinąć Paula. Ruch ramion powodował, że kręciła tyłkiem. Długie włosy opadły. Deszcz wciąż padał, grzechocząc o dach i zalewając przednią szybę. Daniel spojrział we wsteczne lustro i zjechał na lewy pas. Chwilę potem, kiedy Phyllis była jeszcze zajęta, wyprzedził samochód ojca, potem następny pojazd i jeszcze jeden.

– No – rzekła Phyllis – teraz się zdrzemniesz. Niedługo będziemy u babci i dziadka. Już dobrze, zamknij oczka.

Odwróciła się i wśliznęła na miejsce, przekładając jedną nogę pod drugą.

– Och – westchnęła – mam od tego zawroty głowy. Uchyliła okno. – Ciasno tu.

– Zrobisz coś dla mnie? – spytał Daniel.

– Co?

– Zdejmij spodnie.

Spojrzała na niego i zaśmiała się. Chyba była zadowolona, że on wychodzi z dołka i jest w stanie żartować. Może rozbawiła ją taka manifestacja Sił Życiowych po przygnębiającym dniu.

– Bardzo śmieszne – powiedziała, ale z uznaniem.

– Nie miało być śmieszne. Mówię poważnie.

Przyjrzała się jego twarzy.

– Dalej, Phyllis. Teraz.

– Daniel...

– Zdejmij je.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Nie chcę.

– Ale ja chcę, żebyś to zrobiła, Phyllis.

Rozglądała się za światłami chevroleta, ale droga przed nimi była pusta. Zauważyła, że samochód przyśpiesza.

– Danielu, dlaczego to robisz? To takie głupie. Niepotrzebne.

– No dalej, Phyllis.

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz.

– Chcę, żebyś zdjęła spodnie.

– I co dalej? Przecież i tak nic nie możesz zrobić, kiedy prowadzisz. Spowodujesz tylko wypadek.

Daniel powoli puścił pedał gazu i nic nie powiedział.

– To jakiś głupi żart, Danielu. Boję się. Nie masz prawa się podniecać, kiedy prowadzisz samochód, w którym jest twoje własne dziecko.

Daniel dodał gazu. Phyllis siedziała teraz wyprostowana, ze stopami na podłodze i rękami założonymi na piersi. Daniel wyjaśniał jej spokojnie stan techniczny samochodu: znaczny luz w kierownicy, źle ustawiona zbieżność przednich kół, łyse opony. Rzucił okiem na szybkościomierz i powiadomił Phyllis, że jadą z prędkością osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę.

– Kiedy dojedziemy do Brookline, zrobię, co zechcesz – powiedziała Phyllis. – Wiem, że cię nudzę, Danny, wiem, że twoja rodzina uważa, że ożeniłeś się z kimś gorszym od siebie, ale daj mi szansę, pozwól spróbować, dobrze?

Daniel nie odpowiedział.

– Wszyscy jesteście tacy sami – rzekła. – Królowie cierpienia.

To określenie sprawiło Danielowi przyjemność. Pół roku wcześniej nie byłaby zdolna go sformułować. Zastanowił się, czy jej nie pochwalić. Zamiast tego pochylił się do przodu i wyłączył wycieraczki.

Deszcz spływał po przedniej szybie równym strumieniem, tak silnym, że widoczność, chociaż nieco zakłócona, była dobra. Dla Phyllis, która nie prowadziła, była to słaba pociecha. Wpatrywała się w białe i czerwone światła za szybą, które rosły, kurczyły się, mrugały, rozpraszały i rozpływały w strugach wody. Wydawało się jej, że nie wie już, którędy jadą. Rozległ się grzmot, który zagłuszył odgłosy silnika i łysych opon wzbijających wodny tuman. Zdawało się, że grzmot pchnął samochód, któremu lekko zarzucił tył, z lewa na prawo, z prawa na lewo.

– Zabijesz nas! – krzyknęła Phyllis.

– Masz tylko zdjąć spodnie.

– Zrobię to, zrobię, ale najpierw zwolnij!

– Najpierw to zrób!

Phyllis odpięła pas, rozsunęła zamek błyskawiczny i wygięła się, żeby zdjąć dzwony.

– Powiem im – ogłosiła. – Powiem im, jak mnie traktujesz, i wylądujesz tam, gdzie twoja siostra. Oboje tam wylądujecie!

– Poproszę do końca.

Uniósłszy kolana, oparła obcasy na siedzeniu, odpięła botki, zdjęła, upuściła na podłogę i ściągnawszy spodnie, rzuciła je na buty. Potem spojrzała na niego i zdjęła także majtki, dorzucając je do sterty pod stopami. Potem zakryła dłońmi uszy, zamknęła oczy i schyliła głowę.

Daniel zdjął nogę z gazu i włączył wycieraczki. Phyllis płakała. Wsunęła palce we włosy, zakryła uszy i płakała. Daniel zjechał na prawy pas. Tuż nad ich głowami rozległ się trzask pioruna. Powiedział, żeby uklękła na siedzeniu twarzą do drzwi i pochyliła się do przodu tak mocno, jak się tylko da, żeby uklękła i skuliła się jak pokutnica, czcicielka, jak nędzna dewotka. Łkając, narzekała, że samochód jest za mały, a ona za duża, żeby móc przybrać wygodną pozycję. Daniel poprosił ją grzecznie, żeby spróbowała.

– Tak dobrze? – spytała ginącym we włosach głosem.

– Świetnie.

– Wszyscy będą mnie widzieć.

– Nikt cię nie widzi.

– Mały.

– Mały śpi.

– Nie spraw mi bólu. Tylko mi nie spraw bólu, Daniel.

Prawą ręką przesunął po jej pośladkach. Trochę wyżej skórę zrosił pot. Pod jego dotknięciem zdrząła, a po jej plecach przebiegł dreszcz. Ręką wzdłuż szczeliny w dół. Z powodu pozycji, w jakiej się znajdowała, przybrała kształt trójgraniasty; wydzielala słaby, kwaśny odór ekskrementów. Pociągnął lekko krótkie włoski dokoła małego odbytu. Potem wierzchem dłoni potarł wargi, opadłe ciężko w zagłębienie między podeszwami stóp.

Deszcz bębnił bez ustanku. Pioruny waliły dziko. Lewym pasem mknęły samochody. Niebo było czarne. Daniel pochylił się i włączył zapalniczkę. Jego ręka zawisała w powietrzu. Wierzysz w to? Mam mówić dalej? Chcesz wiedzieć, jak wyglądały trzy koncentryczne koła zapalniczki zarzające się w czarną, deszczową noc, oświetlające na pomarańczowo miękkie, biały dziewczęcy tyłek mojej żony? Właściwie kim ty jesteś? Kto ci powiedział, że możesz to czytać? Czy nie ma już nic świętego?

Z drugiej strony lepiej opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, niż zostawić to grze wyobraźni. Jest taki surrealistyczny film Bunuela i Dalego, klasyczny obraz kina niemego. Film o żywej ręce w pudełku, o człowieku ciągnącym na linie ścierwo krowy przez salon, o krowie zamieniającej się w fortepian, ręce wrzuconej do ścieku, gromadzącym się tłumie, o kimś, kto, uciekając przed tym koszmarem taksówką, znajduje w niej pudełko z ręką – jeśli przywołuję te sceny w złej kolejności, to nic nie szkodzi. A oto scena najważniejsza: ciężki, posępny, przystojny mężczyzna w obciskim podkoszulku w prążki stoi na środku pokoju i ostrzy brzytwę. W tym samym pokoju na drewnianym krześle siedzi kobieta. Ona też jest tylko na wpół ubrana. Ma spokojną twarz. Widzimy, że za oknem jest jasna noc, a po oświetlonym promieniami księżycy niebie suną chmury. Mężczyzna podchodzi do kobiety – wielkookiej, drobnoustej, niewzruszonej – i kciukiem oraz palcem wskazującym odciąga górną i dolną powiekę jej oka. Następnie przystawia jej do twarzy naostrzoną brzytwę. Na niebie widać wąską, cienką jak nóż chmurę prześlizgującą się po białym obliczu księżycy. I kamera, tak samo jak ty, czyli widz, godzi się na to symboliczne okaleczenie kobiecego oka, zawęża pole widzenia i w zbliżeniu pokazuje, jak brzytwa zagłębia się w gałce ocznej.

Nigdy nie rozmawiali o Paulu i Rochelle. Kiedy wychowywali się u Lewinów, nie było takiej potrzeby. Ich przeżycia były tak podobne, że mówienie o nich pomniejszałoby znaczenie tego, co wiedzieli i czego doświadczali. Dzielić się wszystkim, i to dzielić się po równo – oto kardynalna zasada sprawiedliwości wbijana dzieciom do głowy z okrutną skwapliwością. (Nie protestuj, to retoryczne, ale prawdziwe stwierdzenie. Tylko syn Rochelle mógł to tak ująć. W naszym domu padały sformułowania chłoszczące jak bicz. Jawne wybuchy wściekłości, smak spalenizny w ustach naszej matki i naszego ojca. Kiedyś powiedziała: „Niech dzień naszej śmierci będzie dniem jego bar

micwy".) Tak więc przynajmniej na początku nie było potrzeby o tym mówić. Kiedy brat i siostra szli gdzieś razem albo coś robili; kiedy zawiązywał jej łyżwy albo pomagał w odrabianiu lekcji, albo zabierał do kina. Mówił o tym sposób, w jaki się poruszali, przechodząc rekonwalescencję po przebytych cierpieniu. Mówił o tym sposób, w jaki trzymał ją za rękę, kiedy przebiegali przez jezdnię tuż przed nosem samochodom. Sposób, w jaki tężyły mu mięśnie za każdym razem, kiedy okazywało się, że nie ma jej tam, gdzie być powinna.

Rośli jednak. Nauczył ją grać w oko i wszystkich chwytów gitarowych, które sam znał. Nauczył jeździć na dwukołowym rowerze i pływać kraulem, aż któregoś dnia dotarło do niego, że wyrosła z wieku, kiedy dziecko trzeba uczyć i opiekować się nim. Niektórych potrzeb i oczekiwań nie zaspokoi brat czy siostra. To normalne. Musiało dojść do tego, że tak samo jak on poczuła, że nudzą ją i ciężką nawyki, którymi obrosły ich wzajemne kontakty, nawyki, które zamieniły się w jałowe, sentymentalne gesty. I było jeszcze coś – naturalna, jak przypuszczał, nieunikniona odraza do ludzi, którzy tak samo wyglądają i tak samo pachną. To uczucie całkowitego niezadowolenia z bliskich krewnych, którzy są nie dość bystrzy, nie dość elegancy, nie mają dość klasy, żeby przeżyć jeden dzień, nie nudząc cię i nie wprawiając w zakłopotanie. Odgrywał rolę worka treningowego – zamiast rodziców, których zazwyczaj używa się do tego celu, do ćwiczenia się w samookreślaniu, do wytyczania granic swej niezależności. Był jej matką, ojcem, bratem, rodziną. Ciężko to znosili i doszło między nimi do kilku okropnych starć.

Z zażenowaniem trzeba przyznać, że bez protestów przyjęli poprawę losu. Życie, jakie zapewniał im docent na wydziale prawa, w porównaniu z poprzednim było życiem w luksusie. Póki co, nie mówiono o Funduszu. Każde dziecko miało swój pokój. Lise kupowała im dopasowane ubrania. To było życie klasy średniej, życie niewiarygodnie przyjemne. Wydawało się, że Bob Lewin, ze swym uprzejmym uśmiechem i subtelnym poczuciem humoru, zjawiał się w ich życiu tylko po to, żeby im pokazać, że można żyć dostatnio, zachowując przy tym godność. Ich nowi rodzice nigdy nie krzyczeli, życie nie toczyło się w rytmie powracających kryzysów i przygotowań na nadjeście kryzysu. Nie było ideologii ani nieugiętych zasad moralnych. Mieli nowe nazwisko, co odbierali jak rodzaj awansu. Ulice były nowe, dom był nowy. Spokój. Żadnych nieproszonych gości. Na co dzień mieli szkołę, zabawę, treningi, odrabianie lekcji. Rutynę przerywały różne zajęcia albo wycieczki podczas weekendów. Panowała zasada, że w przyjemnym spędzaniu czasu nie ma nic złego, co dla Daniela było powodem nieustającego zdziwienia i do czego przywykał z trudem. Naprawdę nie było w tym nic złego.

Moje serce biło teraz miarowo, coraz rzadziej zdarzały mu się gwałtowne podskoki. Nie przypominało już piłki na gumce, którą zwykłem się bawić.

Tak więc Susan i Daniel Lewin wślizgnęli się w ospałe rytuały nastolatków z klasy średniej. Aby mogli to osiągnąć, musiało zajść dialektyczne uwolnienie: zadajesz sobie pytanie, dlaczego dochowywać wiary lub pamięci tym, którzy cię zdradzili? Z oczywistych powodów o tym również ze sobą nie rozmawiali. Upłynęło przynajmniej kilka lat, ładnych parę lat, zanim do tego doszło. A gdyby nawet doszło wcześniej, żadnego z nich nic a nic by to nie obeszło. Każde miało własne ciało, własnych przyjaciół, własne życie.

Wszystko to było jednak tylko kontrrewolucyjnym złudzeniem. Wyzwolenie nie wydawało się specjalnie trudne, ponieważ tego wymagał świat. Świat chciał, żebyś zapomniał, kim jesteś i co cię spotkało. Świat nie chciał, żebyś został ukarany za grzechy ojców. Nawet jeśli w swej zadufanej, zasmarkanej, udręczonej młodości on i jego siostra doszli w głębi serca do wniosku, że Paul i Rochelle nie byli warci ich lojalności, to i tak nic nie mogli zrobić, żeby ją w sobie zabić. Decyzja nie należała do nich. Cokolwiek by zrobili, jakikolwiek punkt widzenia by przyjęli, to i tak działał tu jedynie proces historyczny. I żadne wiarołomstwo w ich sercach, żadne zaprawione goryczą niebdalstwo ducha nie mogło zmienić sytuacji. Pod płaszczykiem takiego czy innego zachowania wciąż byli małymi Isaacsonami. „Biedne dzieciaki” – mówili towarzysze. Byli jak mitologiczne postacie, które znoszą ten sam los, niezależnie od tego, jak stara jest dana wersja; które tkwią w odwiecznych związkach, niezależnie od tego, jak się pisze ich imiona. Albo jak te konie z eksperymentu, o którym uczyłeś się w liceum, zaprzęgnięte do dwóch półkul zespojonych wytworzoną w środku próżnią; konie, które sapiąc i natężając siły, ciągnęły w przeciwne strony, ale nie rozerwa-

ły półkul, co dowodzi, że nie ma nic potężniejszego od siły próżni.

Nadal nie rozmawiali ze sobą. A skończywszy osiemnaście lat, Daniel wyjechał na studia, wynajął mieszkanie w Cambridge i przez dwa, trzy lata mogła dla niego w ogóle nie istnieć. A kiedy się opamiętał, kiedy rzeczywistość dzieciństwa, która zdążyła zamienić się w sen, na powrót stała się rzeczywistością, próbował znów nawiązać kontakt z Susan. Susan była jednak teraz dominującą osobą: zbyt inteligentna, zbyt hałaśliwa, zbyt histerycznie zajęta sobą. Podsuwała mu obrazy siebie w bieliźnie. Dała mu do zrozumienia, że niejednym razem spała z mężczyzną. Prowadziła bardzo bujne życie. A on opłakiwał małą siostrzyczkę i powtarzał w myślach: Powinniśmy rozmawiać, powinniśmy wtedy ze sobą rozmawiać.

LIST OD BINTEL

Szanowny Panie Redaktorze, poznał Pan tyle ludzkich nieszczęść, dzielił Pan z innymi ich niedolę, niech i mnie będzie wolno powiedzieć, co mam do powiedzenia, bo inaczej serce mi pęknie. Pewnie nie muszę Panu mówić, jak wyglądało moje życie: najpierw okropny strach, gdy uciekaliśmy przed carskimi szaleńcami, którzy nie dawali nam żyć, mordowali nas w czasie pogromów, wcielali naszych żydowskich chłopców do wojska na dwadzieścia pięć lat niewolniczej służby – uniknęłam zwierzęcego losu uciemnionych, bo dałam łapówkę tym samym dręczycielom, przed którymi uciekałam, i mogłam prześlizgnąć się przez granicę, bosa i obdarta mogłam zbiec ze Strefy – ze Strefy, gdzie żyli moi biedni, starzy rodzice, którzy nie mieli sił, żeby iść ze mną, i pocałowali mnie w czoło, pobłogosławili i wezwali imienia YHVH, by mnie chronił, Panie Redaktorze, wiedziałam, że ich więcej nie zobaczę, bo byłam ich życiem, ja i mój wyjazd do Ameryki, jedynym powodem, dla którego znosili cierpienia na ziemi, żeby tylko wiedzieć, że jestem bezpieczna, mały kawałek ich samych jadący do Ameryki, zanim padną z uśmiechem pod kopytami kozackich koni; zachowałam ich sepiowe zdjęcie; ocalałam je z brudów na pokładzie statku przewożącego bydło, a to my byliśmy tym bydłem, potem ze strasznych rąk Urzędników Imigracyjnych, którzy mogli, ale nie musieli pozwolić nam zostać Amerykanami – jedna kobieta idąca tuż obok mnie, po oczach było poznać, że chora na jaglicę, nie weszła, została sama na wyspie, w Ameryce, a przecież jeszcze nawet nie wjechała do Ameryki, i to jej musiałam powiedzieć do widzenia, pożegnać swój szczęśliwy los, swoje zdrowie, młodość, siłę. Razem ze mną wszedł na łódź chłopiec z mojego miasteczka, wszedł za starcem, który nie potrafił przypomnieć sobie nazwiska, jakie kazali mu powtórzyć synowie, jedyne, które inspektorzy amerykańscy potrafiliby wymówić, i biedny, oszołomiony staruszek odezwał się żałośnie w jidysz, zapomniałem, *ich vergessin*, i dostał nazwisko, jakby był noworodkiem, ten staruszek, Ike Fergusson, och, mogłabym opowiedzieć wiele takich historii... Tamten chłopiec i ja zaraz poszliśmy po kartę pobytu i bez dalszych ceregieli pobraliśmy się, następnego dnia poszliśmy szukać pracy i zaczęliśmy nowe życie, zarabiając na utrzymanie igłą i nitką, mój dzielny, młody opiekun i ja, w wynajętym pokoju, pensjonariusze na Stanton Street, para ani bystrych, ani głupich, ni jasnych, ni ciemnych, ani wysokich, ani niskich, ni ładnych, ni brzydkich, ale ciężko pracujących ludzi, przez tysiące lat mój lud błakający się po świecie w cierpieniu, wyglądający raju na ziemi, cnotliwie wielbiący YHVH, szukający domu na ziemi, na ziemi nadającej się do zamieszkania w sprawiedliwości i pokoju, gdzieś na ziemi. I mówię Panu, Panie Redaktorze, dla dzieci, które widziały od spodu podkopy koni tych pogan, Kozaków, i pijacki grymas carskiego biurokraty, szyć szesnaście godzin na dobę w złym świetle za parę pensów i mieszkać w jednej izbie z niemowlakami kąpanymi w kuchennej balii i martwymi szczurami pływającymi we wspólnym wychodku na końcu ciemnego, cuchnącego korytarza – to jest do zrobienia. I wydaje się, że można załatać życie, grosz po groszu, siłą malutkich mięśni w palcach przeciągających metalową igłę przez tkaninę milionów rącznych chwil, z których składa się każdy dzień – to jest do zrobienia. A mając nadzieję, wszystko można znieść: mój starszy syn przebiega przez ulicę i ginie pod kołami wozu. Moje dwie młodsze siostry, które sprowadziłam do tego kraju za własny, ciężko zarobiony grosz, zginęły w pożarze Triangle'a, sto pięćdziesiąt osób spłonęło w tym gnieździe wyzysku. A mój drugi syn, Jakub, który chciał, żeby mówić na niego Jack, i lubił pływać w Rzece Wschodniej, nie przeżył strasznej epidemii grypy w 1918. I w tym kraju, piętnaście, dwadzieścia lat, mój stary i ja, rozpoznaję nas któregoś dnia, jak obmywamy się przed szabasem: jesteśmy moją matką

i ojcem, a życie, to straszne życie, przygięło nas do ziemi. Och, Panie Redaktorze, były jednakowoż też słodkie chwile, i Bóg trwa niezmacony i jaśniejący nad ulicą Hester, gdzie domokrażcy sprzedają ryby na szabas, gdzie ręczne wózki z galanterią, gdzie mężczyźni w brudnych kaftanach i melonikach prowadzą handel wymienny, melodyjnie zachwalając swój towar. I myślę o dzieciach biegnących do szkoły i uczących się angielskiego, czytających w bibliotece książki z zachłannością. I wszędzie odbywają się wykłady i kulturalne spotkania, i ja, głupia kobieta, nawet ja rozumiem dumę prostych robotników, powoli zdających sobie sprawę, że ich marzenia są dla ich dzieci, a jednak starających się po nocach lub w czasie wolnym wzbogacić swój rozum, szukających satysfakcji z ćwiczeń umysłowych, zrozumienia wszechświata. I ta gra, która sprowadziła łzy na nas wszystkich, na żółtodzioba w Ameryce, którego czekała twarda szkoła, zanim błogosławiony Daniel pojedna się z mamą i tatą. I filiżanka herbaty przy oknie, z kostką cukru w zębach, a jeśli się dobrze wsłuchać, to ktoś zaśpiewa piosenkę w alei, między sznurami suszącej się bielizny. Ale czego nie mogę wybaczyć, Panie Redaktorze, to tego niewdzięcznego dziecka, które zaczyna się wstydzić matki i ojca, zapiera się ich, bluźni i gwałci szabas, żeby być nowoczesną Amerykanką, i leci do bezbożnych idei rodem z ulicy jak mucha do lepu. I która każe mówić po angielsku. I która płacze tylko raz, gdy jej ojciec, mój mąż, w końcu chwieje się i pada na kolana jak stary koń, który stracił siły – *mamaneu* – ugina się pod ciężarem toboła z ubraniami, Ameryki, i pada na ulicy pod ciężarem codziennej pracy na akord, pada na kolana i kaszle, pluje krwią, obryzgując chodnik, ktoś mnie woła Pani! Pani! twój mąż umiera, i jego przyjaciel, gruźlica, co to jest drobinkami nici w płucach, mój młody mąż z tego samego miasteczka, gdzie znają prawdę, że zostaliśmy zaślubieni dla bezpieczeństwa przez naszych rodziców, zanim przeszliśmy granicę, mój młodzieniec, który nigdy nie podniósł na mnie ręki i wszystkie swe smutki zanosił do synagogi, teraz jest dość stary, żeby umrzeć. I umiera. I zostaję sama w Ameryce z moją córką, Rachele, urodzoną w 1919, a koszmar mojego życia jeszcze się nie zaczął...

Chuda, mała, uwięziona kobieta, wysuszona na wiór
Babcia dawała mi pensia i nazywała grzecznym chłopcem
Z trzaskiem otwierając zmatowiały mosiężny zamek
Przy płaskiej antycznej torebce z popękanej skóry
I wyjmując jednego pensa dwoma palcami

Zdjęcie. Dotarło do ciebie. Greczny Daniel. Staralem się nie urazić jej, nie pokazać po sobie, że to ona mnie uraziła, bo śmierdziała okropnie, moja chudziutka, szalona mała babcia śmierdziała ziołami na astmę, które paliła jak kadzidło w błękitnej puszcze w swoim pokoju. Kwaśny zapach trzymał się jej jak śmierdzący cień – maluśki! – był na palcach, na torebce z drobnymi, na czarnej sukience, na siwych, falujących włosach. Unosiła moją dłoń i wciskała do niej pensa, a kiedy wstrzymywałem oddech, pochylała się nade mną, sięgała mi do karku i przyciągała do siebie, żeby złożyć suchy pocałunek na moim czole. Daniel jest grzecznym chłopcem, mówiła. To dla grzecznego chłopca. Myślałem, że mówi o pensie, pocałunek był dla niej – był jej nagrodą za to, że ma grzecznego chłopca za wnuka. Tak brzmiały jej słowa, które wymawiała nie jak osąd, lecz jakby oznaczały odrębną kategorię istnienia, gatunek w świecie przyrody, któremu na stare lata nadała przywilej zamieszkania z nią pod jednym dachem. Dzieliło nas pokolenie, o którym nigdy nie wspominaliśmy.

Moja babcia miewała napady. Oskarżała moją matkę, własną córkę, o to, że chce ją otruć. Matka musiała zawsze spróbować stawianej przed babcią potrawy, zanim starszka jej dotknęła, nabrała więc zwyczaju próbowania wszystkiego, co stawiała na stole, nawet mleka dla mnie. Babcia była miejscową wariatką. Kiedy popadała w jeden ze swoich stanów, nakrywała głowę szalem i uciekała. Schodziła z ganku, stąpając ciężko, przed zrobieniem kolejnego kroku dostawiając jeden wysoki sznurowany bucik do drugiego. Na chodniku, zanim ruszyła przed siebie, odwracała się i wygrażała pięścią domowi, przeklinając go w jidysz, ściągając na niego cholere i Kozaków, tyfus i całe piekło pieca ognistego, a jeśli ktoś akurat szedł ulicą, przeklinała również jego. Przypuszczalnie mały Daniel też tam był, zajmował się siostrzyczką leżącą w wózku. Babcia przeklinała także

jego, w jej płonących oczach nie było nawet iskierki zrozumienia, jej włosy rozczochrane, nie uczesane, kilka naelektryzowanych kosmyków sterczało spod szala na wszystkie strony jak druty. Potem pędziła, gestami opowiadając chodnikowi o swej bezmiernej goryczy. Daniel zawsze się cieszył, gdy widział, że się oddala. Bał się, że w połowie drogi do następnej przecznicy odwróci się z uniesioną pięścią i wykrztusi następne przekleństwo, które zamieniało się w przekleństwo retorycznie zawikłane, a ona zapominała, w którą stronę idzie, i zawracała ku niemu i ku domowi, i wszystko zaczynało się od nowa. Ciągle uciekała. Do Claremont Park. W dół, do szosy New York Central. W czarnej sukni wyjawiającej światu wszystkie sekrety opętanej rodziny. Czasami chodziła za róg, do swej jedynej przyjaciółki, pani Bittelman, również wdowy, chociaż młodszej, chyba pod sześćdziesiątkę, lekko zarumienionej kobiety, która na Danielu sprawiała wrażenie jedynej osoby, która lubi babcię i ma tyle cierpliwości, żeby brać poważnie potok złorzeczeń wylewających się z babcynych ust, żeby usiąść z nią i potakiwać z westchnieniem, uroczyście, dopóki atak nie minie. I żeby przyprowadzić ją z powrotem do domu. Za panią Bittelman, oprócz uprzejmości, przemawiał nieskazitelny list uwierzytelniający: jej jedyny syn, Jerome, poległ na wojnie. Mieszkanie pani Bittelman znajdowało się na parterze kamienicy czynszowej na rogu Sto Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Żaluzje były zawsze opuszczone. W oknie wisiała jedna z pamiętnych, wojskowych gwiazd. W czasie wojny błękitna gwiazda w oknie oznaczała, że mieszkająca tam rodzina ma kogoś, kto służy w wojsku. Żółta gwiazda informowała, że chłopiec poległ. U pani Bittelman wisiała błękitna, chociaż chłopiec poległ. Nigdy nie miała dość odwagi, żeby postawić sprawę jasno. Była starą Żydówką, chociaż nie tak starą, jak moja babcia, a wyblakła, błękitna gwiazda na tarczy z białej tkaniny obramowanej czerwienią, ze złotymi frędzlami, wisiała na patyku w jej oknie jeszcze przez wiele lat po wojnie.

Niekiedy babcia szła inną drogą. W takim wypadku po kilku godzinach dzwonił telefon. A czasem samochód policyjny – policyjny samochód! – podjeżdżał do krawężnika przed domem, zielono-biały samochód policyjny, a babcia wynurzała się z jego wnętrza z wielką godnością, z pogardą odwracając się od gliniarzy chcących jej pomóc przy wysiadaniu. Zielono-biały samochód policyjny podjeżdżał do krawężnika. Oto babcia z wściekłością odtrącająca protekcyjny chwyt gliniarza z Bronxu, z trudem wydostająca się z auta.

KILKA WYJAŚNIEŃ

W swym życiu, w życiu Daniela, słyszałem kilka wyjaśnień na temat babcynych skoków w otchłań. Wyjaśnienie Susan, piętnastolatki, która właśnie przyswoiła sobie szpanerski luz rodem z Ligi Bluszczowej: Nie znałam babki, ale z tego, co mówisz, wnoszę, że to była menopauza.

Wyjaśnienie mojej matki w chwilach szczególnie ciężkich napadów – zatrzymywałem się w drzwiach, żeby popatrzeć, jak ojciec przytrzymuje miotającą się staruszkę na łóżku, aby lekarz mógł dać jej zastrzyk; mała i krucha stawia zaciekły opór, a moja matka stoi w nogach łóżka i krzyczy: Mamo, przestań! Skończ z tym, mamo! – a potem, dostrzegłszy mnie w drzwiach, przeraźliwie bladego, sprowadza mnie na dół i wyjaśnia, dlaczego w wieku pięciu czy sześciu lat, czy ile tam mam, jestem świadkiem takich scen... To proste: babcia wpada w szał, kiedy nie może już dłużej znieść życiowej udręki. Matka ma całą listę nieszczęść staruszki – porzuceni rodzice, których sepiową fotografię babcia nadal trzyma w szufladzie, śmierć pierworodnego pod kolami wozu, śmierć obu siostr w wielkim pożarze, śmierć drugiego syna z powodu grypy, śmierć męża, mojego dziadka, który by mnie kochał, gdyby żył.

– To nie gruźlica go zabiła, zabiło go to samo, co wielu innych: nędza i wyzysk. To oznacza, że człowiek jest biedny i że niektórym zależy na tym, żeby był biedny, bo tuczą się i bogacą na jego pracy. To niesprawiedliwe, prawda?

– Tak, mamo.

– Twoja babcia przez całe życie była niewolnicą. I co osiągnęła? Nic.

Pomiń echa tej uwagi. Pomiń je. Pomiń. Pomiń... Ojciec był przekonany, że życie podporządkowane zabobonom nie może się skończyć inaczej niż szaleństwem, ponieważ szaleństwo jest chorobą wyobraźni, a wyobrażenie Boga, czyli zabobon, samo jest szaleństwem, kalekim przejawem zubożającego życia, i prowadzi do łatwego przewidzenia końca. Największym problemem, któ-

ry stanął przed bolszewikami, mawiał, była edukacja wieśniaków. Rosyjskich wieśniaków trzymano przez tyle pokoleń w ciemnocie i analfabetyzmie, że niewiele różnili się od zwierząt. Bóg był narzędziem Cara. A babcia wychowywała się oczywiście w sztetl prowincjonalnego rosyjskiego miasteczka, była Żydówką, ale także rosyjską wieśniaczką. Mój ojciec zawsze dawał odpowiedź dłuższą od tej, której człowiek się spodziewał.

A teraz proszę mi pozwolić wyłożyć, co o swych wyskokach mówiła sama babcia. Od czasu do czasu odwiedzała mnie po śmierci i wciskała w dłoń pensa, kreśliła znak błogosławieństwa nad moją głową i nazywała grzecznym chłopcem. Więc kiedyś zapytałem ją, czy naprawdę musiała tak wariować i straszyć dzieci. A babcia odrzekła:

– Życie może codziennie być źródłem radości i siły. W brudnym, zimnym pokoju z powybijanymi oknami, za którymi rozlega się łoskot butów ciemieżców – wszędzie. Głód, dziąsła przeżarte skorbutem, brzemie lat, które ciąży w kościach jak ołów, powieki zaciśnięte z przerażenia na wspomnienie tego, co widziały oczy – wszystko, łącznie z szaleństwem, które ogarnia dzieci, ja nazywam Bogiem. A przecież są jeszcze starodawne modlitwy, które same w sobie mają cudowną moc, ale przypominają ci, że inni ludzie, żywi i umarli, też znają te uczucia. Więc śpiewam sobie w tym języku. A moje przekleństwa to moja miłość do tych, których przeklinam za to, że zdają się na łaskę życia i Boga, i za to, że dopuszczają do tego, iż w pył się obrócą, bo się urodzili. I oburza mnie mój współludź w ich istnieniu, że wydałam owoc ze swego łona, że potrafiłam ich tym wystrychnąć na dudka. Niezdolna sprostać ich obecności z powodu mojej miłości do nich, której nie rozumieją, i mojego okropnego strachu przed ich bluźnierstwem, i dobierania się przez nich do wszystkich niezgłębionych, powikłanych spoin wszechświata. Zaczynasz rozumieć? Mówię o jedynej formie ekstazy dostępnej starym kobietom. Zaczyna się od paniki, że nie potrafi się już oddychać. A oni także dziedziczą to po mnie, tak jak ty, ten nadmiar namiętności, tę bulgoczącą pełnię zmagazynowanego życia, która zawsze jest piętnem ofiary. Świat najbardziej nienawidzi obfitości życia, którą każdy z nas posiada. Siejemy zgorszenie. Cuchniemy życiem. Nasze serca kochają się ze światem bez czułości. Z życiem obchodzimy się brutalnie, a naszą brutalność nazywamy cierpieniem. Krzyczymy w poduszkę, kiedy dochodzimy do szczytu.

Jesteś grzecznym chłopcem, Danielu. To znaczy, że może tylko ty żywiesz dla mnie współczucie, i niezależnie od tego, jak bardzo cię przestraszyłam albo jak mocno czuć mi było z ust z powodu astmy, ufaleś mi na tyle, żeby przyjąć ode mnie pensa i pozwolić mi się nazywać grzecznym chłopcem. A może rozpoznałam w tobie siłę i niewinność, które wybawią nas wszystkich od klęski. Które oczyszczą nasze życie i usprawiedliwią nasze cierpienie.

– To przeraża mnie jeszcze bardziej, babciu.

– Masz cholerną rację, Dan. Pamiętaj jednak, że wkładanie brzemienia na barki dzieciom jest w tej rodzinie tradycją. Jedynie twoja szalona babcia otrzymała łaskę przemienienia tego w rytuał. Rytuał, pod którym kryła się zręcznie przekazywana wiedza. Tak jak pod pensiakami krył się sens całego jej życia.

Podręcznik medycyny. Na kartkach, białych i gładkich, widnieją fotografie trzech kobiecych ciał. Mała, zwiędła babcia z głową otoczoną dziko zmierzwionymi, siwymi włosami. Kochelle, silna, piersiasta, krępa, z zasznurowanymi ustami. I Susan – w babcinych okularach oprawionych w cienkie, złoczone druciki. Stoją w rzędzie na rozkładówce, z dłońmi odwróconymi na zewnątrz, na lekko rozstawionych nogach, niczego nie zasłaniają. Może właśnie wstały albo miały zamiar się położyć. Pomarszczona babcia wygląda jak matka rodu z jakiegoś prymitywnego plemienia. Rochelle ma bujne piersi, za to Susan jest wyższa i bardziej kobieca. Każda ma trójkąt, ale spójrz wyżej. To książka medyczna. Sens ryciny leży w cienkiej, czerwonej kresce przypominającej wykres na karcie choroby – biegnącej od klatki piersiowej babci przez pierś twojej mamy do torsu siostry. Oznacza rozwój szaleństwa, które dziedziczy się z serca na serce.

biały ser, pomidory, jeśli są dojrzałe, funt mielonki, jakiś budyń czy kisiel na deser.

Teoretycznie to, co się objawia, jest dobre. Każde działanie jest poprawne, ponieważ wystę-

puje. A ta teoria? Tylko jeśli się sprawdza. Martwię się o obrazy. Obrazy są znaczeniem rzeczy. Weźmy obraz słowa. Przywodzi na myśl miękkie, przejrzyste ciało drżące w powietrzu jak tęczowa powierzchnia bańki mydlanej. Obraz przywodzi na myśl obrazy, zwielokrotnienie będące obrazem. Obrazy pękają z cichym brzdęk, ich zagłada jest równie wspaniała, jak ich istnienie, są w istocie narzędziami męczarni przebijających się przez zaskorupiałą zdolność człowieka do odczuwania prze-możnych, niezróżnicowanych emocji nasyconych tęsknotą, niezadowolaniem i patosem. Nie służą celom społecznym.

Będziesz musiał uczciwie pogadać z profesorem Sukenickiem. On sądzi, że nie ubiegasz się o stypendium NDEA (*National Defense Education Act — Ustawa o Przysposobieniu Obronnym*), ponieważ z zasady nie podpisujesz deklaracji lojalności. Dlaczego uczciwe postawienie sprawy ma być metaforą uczciwości? Nie staram się o stypendium, ponieważ nawet gdybym podpisał sto lojal-tek, to i tak bym go nie dostał. Powiniennem mu powiedzieć, kim jestem. Nie żebym próbował ukryć tę informację, ale trudno o tym mówić podczas jakichś tam pogaduszek. Sukenick to bardzo bystry, rozumiejący młodzież liberał. Będzie zaintrygowany moją opowieścią. Nie uwierzy, że rząd sprawdza mnie raz albo dwa razy w roku. Mój drugi ojciec w to nie wierzy. Oczywiście jest to przydział, który nawet najbardziej nieopierzony agent FBI traktuje jak śmiertelne nudy. Niemniej jednak moje dossier jest stale aktualizowane. Żyję w coraz większym oderwaniu od społeczeństwa, czyli do-świadczam tego samego, co zniszczyło moich rodziców. Nigdy nie zostaną powołani do wojska. Gdybym dzisiaj porzucił szkołę, dostałbym kategorię 2A, która oznacza przydział do zadań nie ma-jących znaczenia dla obrony narodowej. Posłuchaj, profesorze, mogę spalić swoją kartę powołania na schodach Pentagonu i nic się nie wydarzy. Cokolwiek bym zrobił, nic nie zaowocuje żadnym skutkiem, poza dodatkowym wpisem w mojej kartotece.

Moja kartoteka. Nie mam żadnych szans na przeciwstawienie się Rządowi. Nie mają już nic do odkrycia na mój temat. Cokolwiek bym zrobił, nic nie zostanie zakwalifikowane jako prowoka-cyjne, niszczyielskie czy obraźliwe. Żaden policjant federalny nigdy nie powie do kolegi: Kim jest ten facet! Nie ma znaczenia, jakiego czynu, politycznego albo symbolicznego, dokonam w prote-ście, czyli w akcie obywatelskiego nieposłuszeństwa – żadna krzywda mnie nie spotka. Sprawdzi-łem to. Naprawdę. Jestem zupełnie pozbawiony prawa do bycia zagrożeniem. Gdybym miał zamiar zamordować prezydenta, potwierdziłoby to tylko przestępczą naturę mojej rodziny, jej genetycznie uwarunkowane skłonności kryminalne. Nie mogę zrobić niczego ani zwyczajnego, ani skrajnego, czego by oni nie zaplanowali. Tymczasem władze musiały jedynie upewnić się, że nie jestem w za-żaden sposób związany z Rządem Stanów Zjednoczonych ani jako klient pomocy społecznej, ani jako stypendysta, choćby miało to być stypendium nie wiadomo jak poślednie. Nie dadzą mi pieniędzy. Zabronią mi założyć jakikolwiek mundur. Żaden urząd nie będzie chciał mieć ze mną nic wspólnego, żeby nie narażać się oportunistycznym kongresmanom.

Z drugiej strony, gdybym miał się stać wojowniczym działaczem Danielem Isaacsonem, wszystkie te środki ostrożności byłyby usprawiedliwione. I prawdopodobnie jakiegokolwiek sprawie bym się poświęcił, tym łatwiej będzie ją można zdyskredytować.

Najwyższą formą egzystencji jest obywatelstwo. Każdy człowiek jest wrogiem swojego kra-ju. KAŻDY CZŁOWIEK JEST WROGIEM SWOJEGO KRAJU. Każdy kraj jest wrogiem swych obywateli. Oto kilka miejsc na świecie, które mogę wymienić bez ryzyka popełnienia błędu: Szwaj-caria, Finlandia, Boliwia, Urugwaj, Szwecja, Czerwone Chiny, Tajwan, Rosja Sowiecka, Anglia, Francja, Włochy, Niemcy, Australia, Kanada, cała Afryka, cała Antarktyka, Japonia, Meksyk, In-die, Pakistan, Wietnam, Birma, Izrael, Egipt, Południowa Afryka, Kuba, Haiti, Aukland, wszystkie malutkie znaczki w klaserze, Wolny Port Shannon. Wszystkie te miejsca mają jakiś związek z moim krajem, nie ze mną.

Moim związkiem jest związek z moim krajem. W filmie Ścieżki chwały pokazano francuski regiment w okopach pierwszej wojny światowej. Żołnierze dostają rozkaz do ataku na bagnety na nie zdobytą pozycję w niemieckiej obronie zwaną Pryszcem. Są zbyt wyczerpani, by wyskoczyć z okopów i popełnić to zbiorowe samobójstwo. Rozwścieczony generał francuski, przyczajony na tyłach, rozkazuje własnej artylerii otworzyć do nich ogień. Artyleria odmawia wykonania rozkazu. Generał wycofuje regiment z linii frontu i chcąc ukarać go za niesubordynację, doprowadza do ska-

zania na śmierć trzech żołnierzy wybranych przez losowanie. Pluton egzekucyjny składa się z ich towarzyszy broni. Na wojnie niszczy się żołnierza rękami jego własnych towarzyszy. To jego rząd daje mu karabin do ręki, wysyła na front i mówi, że jego zadaniem jest przetrwać. Wszystkie społeczeństwa są społeczeństwami uzbrojonymi. Wszyscy obywatele są żołnierzami. Każdy rząd gotów jest w każdej chwili wysłać swych obywateli na śmierć w obronie własnych interesów.

Rozrywanie i ćwiartowanie. Ta szczególna forma kary była stosowana przez angielskich władców w stosunku do wszystkich z wyjątkiem wąskich kręgów arystokracji, która miała prawo do godnej śmierci przez zwyczajne ścięcie. W przypadku pozostałych metoda wyglądała mniej więcej tak: przestępcę wieszano, ale zanim skonał, odcinano go ze sznura, następnie kastrowano i patroszono, a jego wnętrzności rzucano na rozpalony przed nim stos. Jeśli kat był miłosierny, wyrwał mu w tym momencie serce, ale w każdym przypadku musiał rozegrać się ostatni akt rytuału: porąbanie ciała na ćwierci i rzucenie ich psom. Najczęściej karano w ten sposób za zdradę, której definicję królewscy sędziowie modyfikowali w zależności od wymagań Króla.

W 1954 Robert Lewin przyjął stanowisko docenta w Boston College, instytucji jezuickiej mieszczącej się w Newton w stanie Massachusetts. Po dokonaniu niewygórowanej przedpłaty kupił stary dom niedaleko Brookline i razem z żoną i dwojgiem dzieci – czternastoletnim Danielem i dziewięcioletnią Susan – wprowadził się do niego pewnego ciepłego wrześniowego popołudnia, mniej więcej na tydzień przed rozpoczęciem roku akademickiego. Dwupiętrowy budynek z szarymi stiukami, kasztanowymi opaskami wokół drzwi i okien, kryty łupkiem, stał przy ulicy Winthrop – cichej, stromej, willowej uliczce odchodzącej od Beacon Street. Przy Beacon mieściły się sklepy i kursowały po niej trolejbusy. Największą zaletą nowego domu, przynajmniej jeśli chodzi o Lewinów, było to, że przynosił dochód pozwalający na jego utrzymanie. Za drzwiami wejściowymi zasłoniętymi plastikowymi, przezroczystymi żaluzjami znajdował się maleńki korytarzyk prowadzący do kolejnych dwojga drzwi, które miały osobne skrzynki na listy i osobne dzwonki. Jak wiele domów w okolicy, dom pod numerem 67 przeznaczony był dla dwóch rodzin, ale zaprojektowany został tak, żeby wyglądał na zamieszkały przez jedną. Lewinowie zajmowali parter i połowę pierwszego piętra. Ich lokatorzy zajmowali połowę pierwszego piętra i całe drugie. Każde mieszkanie miało górę i dół i było lustrzanym odbiciem drugiego.

Dwurodzinny dom był po prostu osobliwym faktem w osobliwym życiu Lewinowych dzieci. Każdy dźwięk odbijał się echem, każdy obraz wywoływał następny. Pierwszy dzień po przeprowadzce, zanim jeszcze cokolwiek zostało rozpakowane, rodzina poświęciła na zwiedzanie, bieganie po stu czterdziestu siedmiu drewnianych stopniach Ścieżki Winthropa (zawsze było ich tyle samo, ta sama liczba za każdym razem, źródło ogromnej przyjemności) między przydomowymi ogródkami, na opadającym terasami zbocz pagórka, skąd było widać tyły domów podparte arkadami, bo cały Brookline leżał na wzgórzach; i na łapanie trolejbusu na Beacon Street, by dojechać do śródmieścia Bostonu. Tam podczas swoich odkrywczych ekspedycji – wszyscy byli nowojorczykami – natknęli się na tabliczkę z napisem „Szlak Wolności”.

Bardzo możliwe, że profesor prawa i jego żona uczciwie stawili temu czoło, od razu i bez namysłu. Możliwe, że z miejsca postanowili szukać innych wyjaśnień. Jednakże, według opinii pewnego podglądacza, który obserwował ich z dość bliska, niezbyt łatwo przystosowali się do obecności duchów w życiu ich dzieci. Te duchy to nie były niesamowite głosy na strychu ani cienie jęczące o północy w ogrodzie. Te duchy to drwiny. Przejęzyczenia. Brutalny podtekst niewinnych uwag. To konieczność zachowania wrażliwości na osobiste słowa i gesty. Duchy przyczepione do podniebienia, tłukące się po mózgu jak strach, wrośnięte w mięśnie jak nerwy.

Siedź prosto, Danielu. Stale się wierzysz. Ta niewinna uwaga Lise wypowiedziana przy stole podczas obiadu zaprowadziła ją do łóżka z chusteczką zgniecioną w zaciśniętej pięści. Odtwarzam wieczór sprzed ponad dwunastu lat. Moja nowa matka jest naprawdę zdenerwowana. Mój nowy ojciec, ssąc fajkę, dostraja swój wyrafinowany umysł do kłopotliwej sytuacji. Przebiera palcami w brązowych wówczas włosach, przeredzonych od przebierania w nich palcami za każdym razem, gdy o czymś intensywnie myśli. Siedzi przy łóżku, nie zwracając uwagi na płacz żony. Rozważa

problem i osiąga coś na kształt intelektualnego wyjaśnienia uczuć swych dzieci.

Kochanie, dla nich wszystko jest drwiną, m y, ten dom, nawet deszcz. Oplakujesz ich przeszłe życie, którego i tak nie można zmienić. Pogódź się z tym, proszę, i żyjmy zwyczajnie, tak jak inni ludzie. Będziemy normalnie kłaść się wieczorem do łóżka i wstawać rano. Tak samo jak reszta świata.

Jedynym, co mi ofiarowali, było ich własne życie. Oczywiście, było to bardziej skomplikowane, ale na powracającym do mnie obrazie, jest młode małżeństwo, które dowiaduje się o tym z gazety i w pośpiechu jedzie metrem do śródmieścia. Wiem, że dużo wcześniej Lise razem z jakimś innymi żydowskimi dziećmi uciekała przed nazistami z kraju do kraju, z piwnicy do piwnicy, dopóki nie dotarła do Anglii. Nie wiem, jak dostała się z Anglii do Ameryki. Nie wiem, kto się nią zaopiekował. Poznała Roberta Lewina na letnim obozie w New Jersey, gdzie oboje pracowali jako kelnerzy. Inny obraz ukazuje Roberta i Lise stojących przed rabinem.

Robert ma na sobie wojskowy mundur. Są tam jacyś dalecy kuzyni. I stara ciotka, może dwie. Teraz jest już za późno, żeby się dowiedzieć, kim są i skąd się wzięli. Nie mam nawet do tego serca. Wybrał ich Ascher. Stworzyli nam dobry dom i, dając siebie za przykład, pokazali nam, jak można normalnie żyć. Odplaciliśmy im, traktując ich tak samo źle, jak większość dzieci traktuje swych prawdziwych rodziców. Są liberalnymi żydami, którzy żyją dostatnio w świecie chrześcijan. Ich dom odzwierciedla ten rodzaj przyzwyczajień, który bardzo cenię. Jeśli chodzi o meble, Lise ma wyraźnie staroświeckie upodobania i skłania się ku europejskiemu mahoniowi. Kuchnię prowadzi wiedeńską. Wiele lat temu Robert zaczął pracować w jadalni i weszło mu to w nawyk. Prawdopodobnie nie chciał, aby praca odcięła go od rodziny. Z jadalni mógł widzieć salon, który znajdował się po drugiej stronie holu. Mógł słyszeć, co się dzieje w kuchni. Tak więc mamy jadalnię – z maszyną do pisania, niebieskimi książkami egzaminacyjnymi, czasopismami prawniczymi, porozrzuconymi listami i przygotowaniami do posiłku polegającymi na przenoszeniu wszystkich prawnych szpargałów ze stołu na kredens.

Wieczorem tamtego Dnia Pamięci w 1967 roku Daniel podjechał pod dom Lewinów przy Winthrop i wyłączył silnik. Deszcz przestał padać. Mokra jezdnia lśniła od świateł latarni. Żona Daniela natychmiast wysiadła z samochodu, odchyliła oparcie przedniego siedzenia i wyjęła dziecko. Potem odeszła w stronę Beacon Street.

Dom Lewinów wyglądał jak jakiś kompletny dziwoląg. Miał na piętrze wykusz z oknami w stylu Tudorów, a do tego neoklasycystyczny portyk ze stiukowymi kolumnami po obu stronach drzwi. Na prawej kolumnie błyszczały cyfry 6 i 7, wymodelowane z drobnych półkul tworzących odbłaskowego. Daniel wyłączył reflektory.

W domu panowała ciemność. Przypuszczał, że wyprzedził Lewinów o jakieś piętnaście minut, chociaż możliwe, że przyjadą jeszcze później, jeśli musieli wysadzić pod drodze Dubersteina. Daniel wysiadł z samochodu, żeby rozprostować nogi. Deszcz przyniósł ochłodzenie. Powietrze było rześkie, wiał wilgotny i chłodny wietrzyk.

Daniel odkrył, że skrzynka na listy przy drzwiach jest pełna. Oto miara roztargnienia Lewinów. Jak inaczej bowiem można wytłumaczyć pocztę leżącą w skrzynce w Dzień Pamięci. Wśród listów znajdowała się mała, niebieska koperta zaadresowana dziewczęcym pismem do Daniela Isaacsona Lewina. Ze stemplem poczty w Cambridge.

Daniel poszedł z listem do samochodu. Miał dużo wrodzonego wdzięku, więc starszka w przydeptanych papciach wyprowadzająca na spacer malamuta nie mogła się powstrzymać od wygłoszenia uwagi na temat bezczelnej, długonogiej gracji młodości, która czytuje listy przy świetle lampek deski rozdzielczej, z jedną stopą na mokrej jezdni, a drugą na podłodze auta. Napisała do niego. Był przerażony. Kiedy siedział obok niej, uznał, że nie oszalała, że jest jedynie roztrzęsiona. Okazuje się, że była szalona.

Oto treść listu.

Drogi Danielu,

Myślałam o ostatnim Bożym Narodzeniu. Oczywiście nie rezygnuję ze swoich planów, ale

nie o to chodzi. Nie powinieneś być tak do tego podchodzić, chyba że wierzysz, iż Isaacsonowie są winni. Oto, czego nie chciałam wówczas przyjąć do wiadomości. Uważasz, że są winni. To wystarczy, żeby odebrać komuś życie.

Któregoś dnia, Danielu, goniąc za swoimi żalonymi majakami, utopisz się we własnym gównie. Aby jakoś doczekać tej chwili, wypisuję cię z mojego życia. Odtąd nie istniejesz.

S. I.

Uwagi do Listu Susan.

1. Adres na kopercie, ul. Winthrop 67, wskazuje na to, że nie przyjęła do wiadomości pobytu Daniela w Nowym Jorku, czyli – w konsekwencji – ostatnich pięciu lat jego życia. Zrobiła to celowo, choć nie miała to być złośliwość. Susan wciąż wraca do pewnych spraw. Wciąż uważa, że nie można o nich zapomnieć. Nic, co dotyczy życia Daniela w ostatnim okresie, się nie liczy – chyba że potwierdza, iż jest stracony dla sprawy. Zabawne jednak, że dostał list w tym samym miejscu, z którego ów list został wysłany. I to bardzo szybko.

2. Boże Narodzenie, o którym mowa, to Boże Narodzenie minionego roku, należące do poprzedniej epoki, do innego świata. Ruch pacyfistyczny nie osiągnął jeszcze apogeum. Uczestników marszów nazywano gołębiaми. Tamtej wiosny odbył się wspaniały, wielki marsz gołębi pod gmach ONZ. Żył Martin Luther King. Żył Bobby Kennedy. Studencka lewica nie doczekała się jeszcze zainteresowania ze strony „Time'a”. W Newark, Detroit i Cleveland rozróbę zaczną się dopiero latem. Wielki najazd na Pentagon odbędzie się dopiero w październiku następnego roku. Każdy po swojemu definiował Black Power. Pamiętasz? Poza tym był to niewinny świat przepojony nostalgią za dawnymi czasami. Beatlesi nie wzięli się jeszcze za politykę. Właśnie umarł Walt Disney. W domu Lewinów przy ulicy Winthrop Lise ma twarz zarumienioną od zaglądania do piekarnika, gdzie piecze się świąteczny indyk. Robert rozrzutnie serwujący drinki oraz dość poważna sprzeczka między rodzeństwem powodują, że święta Bożego Narodzenia, zuchwale obchodzone w tym żydowskim domu jako Dzień Rodziny Amerykańskiej z Dziećmi w Domu, nie należą do radosnych.

3. Plany, o których mowa, były jawną przyczyną goryczy. Starsza sierota, Daniel, nie został o nich poinformowany w odpowiedni sposób. Plan założenia Fundacji na rzecz Rewolucji opracowała młodsza sierota Susan, studentka Radcliffe, zachwycona triumfami Bostońskiego Ruchu Oporu: luźno skonfederowanej grupy chłopców i dziewcząt z klasy średniej, którzy odsyłali karty powołań do Waszyngtonu i urządzali demonstracje pod nosem komisji poborowych dla podkreślenia swego sprzeciwu wobec wojny w Wietnamie. Daniela martwiła zuchwałość i żarliwość, z jaką jego siostra mówiła o ostatniej demonstracji, którą policjanci rozpędzili pałami. Niosła planszę z napisem *Dziewczęta mówią tak chłopcom, którzy mówią nie*, została skopana, a glina próbował trafić ją między nogi. Susan odpięła rękawy bluzki i pokazała spuchnięte i sine nadgarstki. Phyllis wlepiła w nie wzrok. Daniel zauważył, że Lewinowie spojrzeli na siebie i pobledli ze strachu. Robert Lewin zdziwił się, że żadna kość nie była złamana. Susan promieniała. Miała na sobie staromodną bluzkę z koronkową stójką i bufiastymi rękawami oraz ciemną, aksamitną spódnicę sięgającą czubków sznurowanych bucików. Była szczupłą, atrakcyjną dziewczyną, która nosiła stare ciuchy wyszukane w sklepie z używaną odzieżą, a one oczywiście wyglądały na niej jak najmodniejsze łąszki. Włosy z przedziałkiem na środku, zaczesane ciasno na uszy i spięte kłamrą na karku, upodabniały ją do Róży Luksemburg, która spoglądała na Daniela zza babcinych okularów w cienkich, złotych oprawkach jakby zza bramy obcego miasta. Spojrzenie jej nieustraszonych, niebieskich oczu chwyciło go za serce niczym głos dzwonu. W takiej sytuacji jak ta Daniel odczuwał całe ubóstwo swego małżeństwa. Podejrzewał, że Lewinowie mają słabość do działań radykalnych – tę słabość, wobec której liberalowie są bezbronni – abstrakcyjny szacunek dla politycznego ryzyka, którego sami nie są zdolni podjąć. Jestem niesprawiedliwy. Zaniepokoiło ich to, co zrobiła, odebrało całą odwagę, tak samo jak wtedy, gdy miała rzucić kwas. A ona postępowała otwarcie, z takim samym idealizmem i tak samo namiętnie korzystając z tamtego wyzwolenia, jak i tego.

Susan zlekceważyła obawy rodziców. Pogardzała nimi, bo byli ostrożni. Zrobiła wykład na temat etycznych i taktycznych różnic między tymi, którzy są za pójściem do więzienia, a tymi, którzy wolą wyjechać do Kanady. Daniel sączył drinka. Fundacja miała otrzymać imię Paula i Rochelle Isaacsonów. Fundacja na rzecz Rewolucji im. Paula i Rochelle Isaacsonów. Finansowana będzie z funduszu powierniczego, kiedy nadejdzie czas, że będą mogli nim rozporządzać. Rozmawiała już z ludźmi w Nowym Jorku. W nadchodzącym roku na ich kolejne urodziny – jego dwudzieste piąte, jej dwudzieste pierwsze – wejdą w posiadanie pieniędzy z funduszu powierniczego ustanowionego na ich nazwisko przez Aschera dwanaście lat temu i z powodzeniem zarządzanego przez ten czas przez ich przybranego ojca. Pół na pół. Susan napomknęła, że byłaby wdzięczna, gdyby Daniel włączył się w prace Fundacji, nie tylko z powodu pieniędzy, które należą do niego, ale również dlatego, że w ten sposób zademonstrują rodzinną jedynomyślność, pokażą, że potrafią godnie spożytkować spadek po Isaacsonach. Komu pokażą, chciał wiedzieć Daniel. No cóż, światu, odparła Susan, a jej brwi uniosły się w zdziwieniu. Daniel zapytał Roberta Lewina, co sądzi o tym pomysle. Robert Lewin odpowiedział, że Susan zastanawiała się nad tym długo i pytała go, czy formalnie jest to wykonalne, na co odpowiedział, że tak. Daniel odrzekł, że urządzenie pikiet pod nosem komisji poborowych albo pójście do więzienia za odmowę służby wojskowej nie jest jego zdaniem sposobem na przeprowadzenie rewolucji. Susan przytaknęła, jakby spodziewała się usłyszeć taką właśnie opinię. Ona sama uważała, że bierny opór jest fazą początkową, stanem przejściowym w rozwoju politycznym, i że dzieją się inne rzeczy, nowe rzeczy się rodzą, i czy nie zauważył nic z tych rzeczy w Columbia, ponieważ ona jest pewna, że Cambridge nie ma monopolu na dialektykę Nowej Lewicy. Ona sama zmienia się każdego dnia i uważa, że nie należy stać z boku i krytykować, ale wejść do środka i pomagać tworzyć.

– Ruch potrzebuje pieniędzy, Danielu. Fundacja może pomóc ustabilizować naszą pozycję. To może być coś naprawdę wspaniałego. Coś, z czego narodzą się inne rzeczy.

– Susan, dlaczego, ilekroć przedstawiasz mi jakiś swój pomysł albo prosisz mnie, żebym coś zrobił, to zawsze jakoś tak wymyślisz, że tracę całe zainteresowanie?

Spuściła wzrok.

– Przypuszczam, Danielu, że dlatego, iż niewiele trzeba, byś stracił zainteresowanie.

– Zachowajmy rozsądek – wtrącił Robert Lewin.

– Próbuję, tato – odrzekła Susan – ale wszystko, co wychodzi ode mnie, automatycznie staje się podejrzone. Prawda, Danielu?

– Nie, po prostu słyszę, że to ma być dla mnie honor, chociaż decyzje już zapadły.

– Ależ nic jeszcze nie zostało przesądzone. Po prostu rozmawiamy.

– Kto rozmawia?

– Trudno z tobą wytrzymać. My rozmawiamy, teraz, ty i ja. My.

– Nieprawda, powiedziałaś, że rozmawiasz z ludźmi z Nowego Jorku.

– Och, tak, rozmawiam, rozmawiam z wieloma ludźmi. Rozmawiam z każdym, kto mnie słucha.

– Z kim?

Susan zwinnie zapięła mankiety.

– Zapomnij o tym. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałam. Zrobisz, co zechcesz. – Odwróciła się do ojca. – Smuci mnie to, naprawdę. Prowadzimy tę straszną, imperialistyczną wojnę, palimy ludzi, a on robi problem z tego, jak rozmawiam.

– Nie, powiem ci, co jest tym problemem. Rzecz polega na tym, że jeśli chcesz rozdać swoje pieniądze, to dlaczego tego po prostu nie zrobisz, dlaczego musisz doczepiać do tego rodzinną wizytówkę? Dlaczego musisz robić reklamę?

– Typowe pytanie prawnicowca. To nie reklama. Nazwisko Isaacson ma swą wagę. To, co spotkało Isaacsonów, jest lekcją dla naszego pokolenia. Przypuszczam, że nie potrafisz tego zrozumieć.

– No proszę, pieprzony rodzinny talent do samouprzedmiotowienia. Słyszałeś to? Nazywa własną matkę i ojca Isaacsonami!

– Słuchajcie oboje – rzekł Robert Lewin. – Jeśli nie potraficie kulturalnie rozmawiać, to ja

się wycofuję.

– Nie wstydzę się tego nazwiska. Jestem dumna z tego, kim jestem. W przeciwieństwie do ciebie. Nie masz pojęcia, jakim debilem jesteś. Trzymaj tak dalej.

– Możliwe. Ale nie uważam, żeby założenie Fundacji było dobrym pomysłem, właśnie dlatego, że ma nosić imię Isaacsonów. Na czym będzie się opierać jej działanie? Komu ma służyć? Jakie przyniesie skutki?

– DLACZEGO NIE SPRÓBUJEMY, POTE M ZOBACZYMY! – Wstała, przyciskając pięści do boków. – Wykręcasz się tym udawanym cynizmem, bo to pozwala ci nic nie robić, bo tak ci wygodnie. No, powiedz mi, co robić. Podsuń mi lepszy pomysł na to, co zrobić z tymi zbrukany mi krwią pieniędzmi.

– Te zbrukane krwią pieniądze dały ci wykształcenie, lekcje jazdy na nartach i płyty.

– Dlaczego po prostu nie przyznasz, że jesteś samolubnym kutasem!

– Przeciwnie. Nie chcę tego szmalu. Myślałem, żeby dać go rodzicom.

Robert Lewin wtrącił:

– Na takie rozwiązanie jako wasz prawny opiekun nie pozwolę.

– Cóż, sądzę, że powinieneś to jeszcze raz przemyśleć. Należą ci się za te wszystkie bzdury, których musiałeś wysłuchiwać.

– Nie martw się, Danielu. Możesz zapomnieć o Fundacji. Obejdzie się bez ciebie. Cechuje cię konserwatyzm polityczny. Wracaj do swego życia. Zabieraj tę swoją mleczną krowę i idź do domu.

– Jeśli natychmiast nie przestaniecie – odezwała się Lise – nie podam kolacji.

– Wracaj między regały, Danielu. Świat czeka na jeszcze jednego doktoranta.

– Cóż, nie muszę wychodzić na ulicę i dostawać batów, żeby usprawiedliwić swoje istnienie.

– Nie, raczej zasłonisz się książką i będziesz walił konia.

– Przestańcie wreszcie – powiedziała matka. – Psujecie całe święta.

– Susan, uważam, że sobie z tym nie radzisz.

– Ależ tak, radzi sobie, naprawdę. Jest Rewolucjonistką! Znalazła wszystkie odpowiedzi.

Idzie na barykady!

– O Jezu – odparła Susan i zaczęła płakać. – A wiesz, to twoja wina – zwróciła się do Roberta Lewina. – Wszystkich was winię za tego gnojka, mojego brata...

– Susan...

– Mówię poważnie. Po co oni to zrobili? Za co umarli? Za tego złamasa?

– Susan...

– Zostaw mnie, tato. Pozwalasz mu siedzieć tu i przekręcać wszystko, co mówię. Moja matka i mój ojciec zostali zamordowani. Dlaczego pozwalasz mu siedzieć tu i robić to jeszcze raz!

4. Odtąd już *nie istnieje*. To przekleństwo, bo jest to jego literacka forma, tak naprawdę zawiera dwie fazy. Pierwsza jest proroctwem ostatecznego rezultatu, utopienia się Daniela w jego własnym gównie, które jest jedynym właściwym miejscem przeznaczenia dla jego egocentryzmu. Jednakże zanim to się wydarzy, niezbędne jest inne działanie, żeby z miejsca wykluczyć go z ludzkiej społeczności. Zostaje „wypisany” z życia. Dlaczego w tej skomplikowanej konstrukcji Daniel nie jest jeszcze gotowy do utopienia się we własnym gównie? Ponieważ nie wykorzystał wszystkich okazji? Ponieważ może jeszcze dostąpić zbawienia? „Któregoś dnia” nie oznacza „dzisiaj”. Tak czy inaczej musi zostać oczyszczony. To jakaś wskazówka, że łatwiej było powiedzieć niż zrobić. To jakiś dowód, że w końcu Susan została doprowadzona do tego, że wykorzystała go ze swej świadomości radykalnie: wykorzystała swoją świadomość.

1947

W domu działo się coś ważnego. Było całkiem fajnie. Odczuwało się podniecenie. Ubrany był w drogą, białą koszulę z przypinaną muszką. I nowe spodnie. Miał przykazane, żeby się nie ubrudzić. Nikt mu specjalnie nie zwracał głowy. Na kuchennym stole piętrzyło się nieprawdopodobne bogactwo ciastek i słodczy: tort beżowy, piernik z drobno siekanymi orzechami, domowy

przekładaniec z różowym lukrem. Tort i piernik przybyły owinięte w papier o przypieczonych brzegach. Odlepiało się szeleszczący papier od odkrojonego kawałka i zlizywało z niego resztki. Były też białe, kartonowe pudełka pełne ciasteczek z cukierni – malutkich, kruchych ciasteczek z maźnięciami czekolady na środku, lepкими wisienkami albo zielonymi cętkami lukru. I nie rozpakowane pudełka cukierków. Ustawił je w piramidy za ciastkami. Bawił się w sklep.

Na palniku podgrzewał się szklany dzbanek z kawą, a na blacie stały filiżanki i spodki. Co chwila wchodziła któraś z kobiet niosących ze sobą tchnienie ulicy, uśmiechała się do niego przytulnie i fałszywie, mówiła coś głupiego, nalewała sobie filiżankę kawy i wracała do drugiej części domu. Niekiedy zauważała pamiątkową szklanek stojącą na lodówce i robiła smutną minę. Przeszkadzały mu głosy wypełniające dom. Paplanina gości wlatywała do kuchni jak ptaki. Tak czy inaczej, musiał przyznać, że jest to podniecające. Podniecenie wstrząsnęło domem, wprowadziło do niego swoistą harmonię. Wydawało się, że dom zatłoczony gośćmi, wypełniony powietrzem ciężkim od ludzkich głosów pewniej trzyma się ziemi. Gdyby na przykład nadciągnęła wielka burza, wiatrowi trudniej byłoby porwać dom z tyloma ludźmi w środku. Wielki wiatr – porywisty, łkający, złorzeczący wiatr – musiałby dużo bardziej wyteżać siły, żeby unieść tak wielu ludzi. Byli jak ciężkie kamienie przytrzymujące budynek na miejscu. Prawdopodobnie wielki wiatr i tak zostawiłby dom w spokoju, ponieważ oprócz Daniela i jego rodziny byli tu też inni, którzy nie mieli z tym wszystkim nic wspólnego. Którzy nie mieli z tym nic wspólnego.

Od czasu do czasu w kuchni pojawiał się mężczyzna i nalewał sobie whisky z otwartej butelki, która stała na kontuarze obok trzech czy czterech małych szklaneczek. Nalewał whisky do jednej ze szklaneczek i wypijał jednym haustem, po czym mlaskał albo popijał wodą z kranu. Żadnemu z nich nie przeszkadzało, że ktoś wcześniej pił ze szklanek. Odstawiali je bez mycia i ponownie ich używali. Na szczęście nie upijali się od razu. Pili whisky i wracali do drugiej części domu trzeźwi, co przyjmował z pewną ulgą. Dzięki temu gorzkawa, ulatniająca się po chwili woń dawała się znieść. Zapach kawy był przyjemny, a aromat piekarni, który unosił się nad ciastami, jeszcze przyjemniejszy – ciepły i cytrynowy. Podobnie jak goście, wszystkie zapachy były nowe, ruchliwe. Oznaczały, że chociaż ktoś umiera, inni żyją nadal. Ta świadomość była bardzo pokrzepiająca. Z tego, że ktoś, kogo znasz, umiera, nie wynika, że ty również musisz umrzeć. To nie znaczy, że teraz twoja kolej. Był za to wdzięczny. Był szczęśliwy. Zastanawiał się, czy cały ten śmiech i paplanina dochodząca z drugiej części domu oznacza, że wszyscy pozostali czują się równie dobrze jak on. Otwierając gościom drzwi, zauważył, że każdy wchodzi do domu ze smutnym wyrazem twarzy, ale już po kilku minutach spędzonych w środku rozmawia na całego, trajkocząc i śmiejąc się bez ustanku. Może po prostu cieszyło ich, że jego babcia umarła. Ponieważ babcia umarła zamiast nich. Może dlatego, że umierając, wyczerpała całą pulę śmierci i nikt inny nie umrze przez dłuższy czas. Albo może wszyscy rozmawiali i śmiali się, ale tylko udawali, że są szczęśliwi. I tylko próbowali rozweselić jego matkę. I sprawić, żeby zapomniała o smutku. Przeszedł przez hol do salonu, żeby ją zobaczyć. Siedziała na małym, drewnianym stołeczku w kręgu rozmawiających z ożywieniem sąsiadek. Była boso. To go zaniepokoiło. Nie miała na nogach butów, a jej włosy były w nieładzie. Siedziała zgarbiona, obejmując ramionami kolana, jak na nocniku. Twarz miała obrzmiałą, z workami pod oczyma. Gapił się na nią żałośnie. Dostrzegła go i wyprostowała się, wyciągając ręce.

– Oto mój skarb – powiedziała, uśmiechając się zapuchniętą, obcą twarzą.

Nie chciał, żeby go zauważono.

– Spójrzcie na niego, wygląda jak laleczka – stwierdziła jedna z kobiet. – Jaki on duży!

– Mój grzeczny chłopiec – rzekła matka. – Bardzo grzeczny. – Przyciągnęła go do siebie, a kiedy go objęła, spódnica uniosła się jej nad kolana. Trzymała go mocno.

– Dobre chociaż i to – wtrąciła inna kobieta. – Przynajmniej Bóg dał jej wnuki.

– Kochała je. – Matka powiedziała to nienaturalnie miękko. Pomimo wszystkich swoich kłopotów zawsze się uśmiechała, kiedy Danny wchodził do pokoju. Był jej ulubieńcem. Nigdy nie interesowała się małą, ale za to Danny... w jej oczach Danny nigdy nie zrobił nic złego. Miała bziaka na jego punkcie.

– Jest większy od mojego Philipa – zauważyła jedna z kobiet.

Przestał słuchać. Stopniowo rozluźniał objęcia matki, aż uznał, że może się z nich wyśli-

znać, nie ściągając na siebie jej uwagi.

Przed salonem ojciec rozmawiał z kilkoma mężczyznami. Rękawy koszuli miał podwinięte, krawat nieco rozluźniony, kołnierzyk rozchylony. Palił cygaro i mówiąc, machał nim w powietrzu. Popołudniowe słońce zaglądało przez okno, odbijało się w jego okularach. Kiedy dym z cygara przepływał przez smugę słonecznego światła, robił się niebiesko-biały. Daniel usiłował śledzić jakieś pojedyncze pasmo, od chwili gdy pojawiała się na koniuszku cygara – jak się najpierw marszczy, następnie wpada w lśniącą, błękitną białość i rozmazuje, niemal znika, wznosząc się i rozrastając nad równinami słonecznego światła.

– Nie mogę uwierzyć – mówił ojciec – że Kongres Stanów /jednoczonych przegłosował tak paranoiczną ustawę. To zwyczajny absurd. Jeśli Partia Komunistyczna się nie zarejestruje, złamie prawo. Jeśli się zarejestruje, będzie się mówiło, że spiskuje w celu obalenia rządu Stanów Zjednoczonych. Zostanie potępiona, jeśli to zrobi, i potępiona, jeśli tego nie zrobi. Tylko szaleńcy mogą uchwalić takie prawo. Tylko szaleńcy mogą się łudzić, że nie zostanie ono podważone przez sąd. – Ojciec zaśmiał się z udawanym zdziwieniem. Na policzki wystąpiły mu rumieńce, oczy błyszczały. Wyglądał na bardzo szczęśliwego i podnieconego.

– Ależ mój drogi – odparł jakiś mężczyzna – niesłusznie uważasz to za niewiarygodne! Czyżbyś żywił taki szacunek dla Kongresu Stanów Zjednoczonych, że cię to dziwi? Czyżbyś spodziewał się czegoś więcej po tych barbarzyńcach? Połowa z nich to przestępcy, a druga to drobni, burżuazyjni spekulanci. Każdy kongresman z Południa sprawuje urząd nielegalnie, a na każdym posiedzeniu wszyscy głosują za zwiększeniem uprawnień Komisji do Badania Działalności Antyameerykańskiej. Co w tym takiego niewiarygodnego?

Ojciec znowu się roześmiał. Mężczyzna, który mówił, siedział w ogromnym fotelu z uszankami, które zupełnie zasłaniały głowę, gdy się w niego zagłębiło. Siedział z rękami założonymi na piersi i nogami skrzyżowanymi w kostkach. Daniel widział go po raz pierwszy.

– Faktem jest – powiedział – że politycy dobrze wiedzą, że ustawa Mundta i Nixona jest niezgodna z konstytucją. Mało tego, wiedzą, że nie zostanie poddana głosowaniu w Senacie przed końcem kadencji. Ich zamiarem nie jest przegłosowanie zwykłej ustawy, która robi z amerykańskiego komunisty banitę. Póki co nie mają takiej władzy. Ich zamiarem jest zdusić i zastraszyć siły postępu w tym kraju, cofnąć bieg historii, co oczywiście jest skazane na niepowodzenie. Lecz najpierw sytuacja musi się pogorszyć, żeby potem mogła się poprawić – deportacje, poniżające procesy, czarne listy, aresztowania – wszystko to jest częścią spisku ukartowanego na Wall Street, ostatnim zrywem kapitalistycznego imperializmu usiłującego wzmocnić swe próchniejące fundamenty. To jest zasadniczy cel tak zwanej zimnej wojny. To jest zasadniczy cel naszej polityki zagranicznej od czasu śmierci Roosevelta. Kapitalizm amerykański zdaje sobie sprawę, i ma rację, że może przetrwać jedynie w opozycji do demokracji socjalistycznej. Takie jest prawdziwe znaczenie doktryny Trumana. Oto, dlaczego osaczamy naszego socjalistycznego sprzymierzeńca, który wygrał wojnę na Wschodzie i tym samym uratował Zachód przed zalewem faszyzmu – otaczamy jego granice pierścieniem baz wojskowych. Oto, co robisz człowiekowi, który wyświadczył ci przysługę. Nie potrafisz przyznać, że masz wobec niego dług wdzięczności, więc znajdujesz sposób, żeby móc go darzyć nienawiścią. Kochamy się z Rosją Sowiecką w czasie wojny, bo jej potrzebujemy. Teraz ją znowu rzucamy i wracamy do teorii o wielkim spisku, który został zawiązany na samym początku Rewolucji, kiedy amerykańscy żołnierze zajmowali Syberię z nadzieją na odbudowanie carskiej tyranii.

– Drinka? – spytał ojciec. – Kawy?

– Nie, dziękuję. Widzisz więc, że przejawy zimnej wojny w kraju, cały ten kontrrewolucyjny ferment przyniesie efekt dokładnie przeciwny do zamierzonego. Jedynie zjednoczy, umocni i rozszerzy ruch postępowy. Przyczyni się do politycznej edukacji i otworzy oczy tym wszystkim, którzy w innym razie uwierzyliby, że imperialistyczny kapitalizm jest rozsądną alternatywą i że są inne, mniej radykalne odpowiedzi na przemiany społeczne w Ameryce niż marksizm-leninizm.

– Dobrze mówi – wyszeptał jakiś głos za plecami Daniela.

On sam był innego zdania. Nie lubił tego mężczyzny. Uważał go za bufona. Prawdopodobnie jakaś gruba ryba. Jednak spoglądając na ojca, Daniel stwierdził, że zgodziłby się on z wyszeptanym

ną uwagą. Gdy mężczyzna przemawiał, ojciec rozglądał się dokoła z dumą, zadowolony, że może się nim popisać przed ludźmi w pokoju. Ssał cygaro, oczy mu błyszczały powiększone szklami okularów. Jego twarz pod cieniem zarostu była zaczerwieniona. Naprawdę lubił tego pozera.

– Powiedz, Isaacson. Z pewnością nie jest to dla ciebie nic nowego.

– Tak, teoretycznie. Rozumiem oczywiście, o co w tym wszystkim chodzi. Ale nie potrafię zachować spokoju, gdy widzę to faszystowskie szaleństwo, jakie ogarnia kraj. Niepokoi mnie to, nic na to nie poradzę. Zawsze przeżywam wstrząs, gdy coś takiego widzę.

– I mimo to się dziwisz... Jesteś wciąż młodzieniaszkiem, Isaacson. Nie dojrzałeś jeszcze. Masz dobre serce, ale ono cię zwodzi. Jeśli nie potrafisz rozpoznać sił reakcji i ich dialektycznej nieuchronności, to stają się one dwakroć groźniejsze. Robisz grubo błąd, zakładając, że przejrzą na oczy. Z takich błędów składała się herezja Browdera. Czasem zapominam, że jesteś taki młody.

Ojciec nagle się zaczerwienił.

– On tylko wygląda staro – odezwał się doktor Mindish, dentysta, który zawsze uważał, że jest bardzo zabawny. Wszyscy się roześmiali.

Daniel wyszedł. Stał na wąskim ganku i zaczął się bawić w statek. Był kapitanem i stał na mostku – dom był żaglowcem – gdy nadciągnął potężny sztorm. Chwycił się poręczy, zacisnął powieki i kołysał się powoli, kiedy fale napierały na statek. Naśladował głosem pękanie drewnianego grotmasztu, walącego się na pokład w płataninie lin i podartych żagli, a osiągnięty efekt brzmiał w jego własnych uszach nadzwyczaj realistycznie.

Kończyło się niedzielne popołudnie i ulica opustoszała. Zszedł po schodach. Wszedł pomiędzy dwa zaparkowane przy krawężniku samochody, spojrział najpierw w lewo, potem w prawo i dopiero wtedy przebiegł na drugą stronę ulicy, do płotu szkolnego boiska. Tutaj, od Weeks Avenue, teren opadał na długości jakichś trzydziestu do czterdziestu stóp, licząc od poziomego chodnika. Boisko było zbudowane na stoku wzgórza, które wznosiło się od Eastburn Avenue do Weeks Avenue, miało długość jednego i szerokość połowy kwartału. Z drugiego końca, przy Eastburn Avenue, znajdowało się na tym samym poziomie, co ulica. Kiedyś, gdy bawił się na ganku, zobaczył kobietę, która szła wzdłuż płotu, właśnie tędy. Wracała do domu, mijając szkołę. Niosła dwie torby zakupów. W chwili gdy podniósł głowę i dostrzegł kobietę, jakiś samochód wpadł w poślizg, wjechał na chodnik i przygniótł ją do ogrodzenia tak, że zniknęła Danielowi z oczu. Maskę samochodu przebiła płot, a koła obracały się w powietrzu. Nadjechała policja, zgromadził się tłum gapiów, a kiedy przeszedł przez ulicę, zobaczył, że kobieta leży na boisku; w torbach niosła butelki z mlekiem, które się rozbiły, a mleko wymieszało z krwią i szkłem. Zginęła na miejscu, więc zabrano ją na noszach na Eastburn Avenue, okrytą kocem, a jej ramię zwisало z noszy i podskakiwało, kiedy ją niesiono, jakby wciąż jeszcze żyła.

Matka powiedziała, że знаła córkę tej kobiety. To zdarzyło się dawno temu. Potem wyciągnięto samochód i umyło boisko, polewając je wodą z węża. Przy dziurze stanął policjant. Kilka dni później przyszli robotnicy i wstawili nowy kawałek siatki, który jeszcze dzisiaj jest jaśniejszy, bardziej błyszczący i srebrzysty niż reszta. Chociaż dziś różnica jest mniejsza niż wtedy, kiedy go wstawiono.

Podwórko było puste. Z rana dorośli rozegrali mecz softballu, ale teraz było popołudnie i taki upał, że nikt nie miał ochoty prażyć się na słońcu. Długie, kamienne schody prowadziły z dziedzińca do bramy szkoły. Wchodziło się tędy do przedszkola i pierwszych klas. Szkoła wyglądała jak twierdza. Ciemnoczerwona budowla. Mnóstwo wysokich okien. Największy budynek, jaki widział w swym życiu. Z miejsca, w którym stał, mógł zobaczyć swoją klasę, której okna wychodziły na podwórko. Czasami w klasie, kiedy nauczycielka nie patrzyła, przechylał się przez wielki kaloryfer – jeśli nie był gorący – i podciągał się do góry, skąd mógł zobaczyć swój dom.

Odwrócił się. Na ganku matka i ojciec żegnali mężczyznę, który uchodził za grubą rybę. Mężczyzna uściśnął rękę ojca, uchylił kapelusza przed matką i zszedł ze schodów. Rodzice odprowadzali go wzrokiem, dopóki nie zniknął za rogiem.

Zastanawiał się, gdzie ten mężczyzna mieszka. Sposobem mówienia przypominał ojca, ale nie należał do jego przyjaciół. W ich rozmowach dźwięczała nuta przechwałek. Oczywiście, rozumiał, że chodzi im o poprawienie losu klasy pracującej. Ale co to ich gadanie uczyniło dla tych

wszystkich okolicznych domów? Wydawało mu się, że z tej gadaniny powinno coś dla nich wynikać, a jednak nie wynikło. Budynki stały nieporuszone. Kamienice czynszowe wznoszące się jak schody wzdłuż Sto Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy, od Eastburn Avenue do Weeks. Prywatne domy z czerwonej cegły ciągnące się wzdłuż Eastburn. Wszędzie pagórki domów. Nie było ich jedynie na dziedzińcu szkoły, który wyglądał jak wielka, prostokątna dziura.

Daniel czekał, aż matka i ojciec go zauważą i zawołają. Ojciec miał podwinięte rękawy koszuli, matka była bez butów. Odwrócili się i weszli do domu, jego dłoń spoczywała na jej ramieniu.

Daniel wspiął się na płot najwyżej, jak mógł, to znaczy niezbyt wysoko. Nawet nie na wysokość podskoku. Płot zrobiono z drucianej siatki, która miała oczka w kształcie rombu. W te oczka można było włożyć czubek buta – dobrze wiedział, jak to się robi, ale jeszcze nie potrafił sobie z tym poradzić. Wisząc na płocie, spojrzął za siebie, na ulicę. Miał dziwny dom. Był to jedyny dom na całej ulicy, który nie przylegał do innych. Po jednej stronie stała kamienica czynszowa, po drugiej szereg domków jednorodzinnych. Wszystkie inne domy były z cegły, ale jego miał ściany pokryte ciemnozielonymi płytami, w których wyżłobiono rowki, żeby wyglądał na ceglany. Nikt jednak nie dał się temu znieść. Gdy się w nich dłużyło, odpadały kawałkami jak linoleum. Podwijały się na narożnikach.

Niekiedy trwożył go wiatr, który omiatał pagórek i zakręciwszy na szkolnym dziedzińcu, uderzał prosto w dom, a podczas burzy deszcz tak zaciął, że ściana przy drzwiach wejściowych była mokra od środka. Na otwartej przestrzeni nic nie dawało osłony. Wywoływało to uczucie bezbronności, poczucie, że jest się wystawionym na łaskę nieba wiszącego nad głową.

A skoro dom nie dawał schronienia, to było to naprawdę przerażające. Chyba że teraz, kiedy babcia nie żyje, będzie lepiej. Nie będzie łapała go za kark, żeby dać mu pensa. Nie będzie miała swoich napadów i nie będzie obrzucała go przekleństwami. Nie będzie się musiał zastanawiać, czy dzisiaj przypada dzień, w którym będzie go kochać, czy ten, w którym będzie go nienawidzić. Mała dostanie teraz jej pokój, a on będzie miał swój wyłącznie dla siebie. Nie będzie tej umierającej starej wariatki, babci, którą zobaczył nagą w dzień jej śmierci. Była bardzo blada, rozczesane włosy leżały na poduszce, a ona nie przypominała wcale starszej pani. Leżała naga na łóżku, a lekarz osłuchiwał jej serce. Daniel widział ją tylko przez ułamek sekundy, kiedy przechodził przez jej pokój do swojego. Biel.

Pomyślał o Williamsie. Przeszedł przez ulicę, okrążył dom i zbliżył się do wejścia do piwnicy, w której mieszkał Williams. Szedł odważnie, bo był przekonany, że Williamsa tam nie ma. Kiedy otworzył drzwi, jego oczy dopiero po chwili przyzwyczaiły się do ciemności, dozorca natomiast już mu się przyglądał. I głosem, w którym czaiła się groźba i mord, tak głębokim, że brzmiał jak śpiew, spytał: Czego chcesz?

Piwnica cuchnęła popiołem, kurzem, śmieciami i zieloną trutką na myszy i karaluchy wyłożoną w kątach. Unosiła się tam też woń Williamsa, wypełniająca piwnicę niczym mikroklimat, napawająca strachem – przytłaczające wybuchy zapachu, które dowodziły, że w piwnicy rządzi Williams, że chociaż w domu mieszka rodzina Daniela, piwnica należy do Williamsa. Była to woń jego nieustającego gniewu.

Fascynowało mnie wszystko, co robi. Potrafił naprawić każdą rzecz. Nie wiedziałem, czy jest stary, czy młody. Nie umiałem powiedzieć. Był bardzo wysoki i silny, ale jego splątane włosy przyprószyła siwizna. Był moczarnym, ale chodził powoli, z pewnym wysiłkiem. Wszystko, co robił, było monumentalne. Zrzucanie węgla. Pamiętam, jak zrzuczał węgiel. Było to chyba latem. Ogrodniczki wkładał na gołe ciało. Ciężarówka z węglem podjeżdżała pod dom i zatrzymywała się tyłem do krawężnika. Kierowca zostawiał silnik na chodzie, aby działał napęd wywrotki i siadał okrakiem na tylnej klapie skrzyni, która przechylała się coraz bardziej niebezpiecznie. Wtedy pociągał dźwignię i węgiel wysypywał się na chodnik, gdzie czekał Williams z łopatą. Zaczynał swoją robotę, zanim jeszcze ciężarówka odjechała, i pracował długo po jej odjeździe: łopata po łopacie zmniejszał tę gigantyczną górę węgla, przerzucając go ze sterty na taczkę. Kiedy taczka była już pełna, wbijał łopatę w stertę i pchał taczkę przez alejkę powoli, chwiejnie, majestatycznie. Kilka minut później wracał i znowu chwycił łopatę. Słyszał tylko szorowanie i grzechotanie. Szorowanie łopaty o chodnik, chwila ciszy, kiedy węgiel frunął w powietrzu, i zaraz potem grzechotanie brył o taczkę.

Williams zawsze nabierał od spodu, metodą, która zadziwiła dziecko tak samo jak przeskakiwanie płomienia z dołu jednego knota na czubek drugiego.

– Moja babcia umarła – oświadczył Daniel, stojąc w drzwiach.

Williams uniósł się ze swej koi, tak nieprawdopodobnie wielki, że musiał się trochę pochylić, żeby nie uderzyć głową o rury biegnące pod sufitem. Ruszył ociężale w stronę Daniela, aż ten sprężył się do ucieczki, lecz Williams jedynie złapał dwa puste kubły na śmieci stojące przy drzwiach i zawlókł je w ciemność, na drugi koniec piwnicy, obok skrzyni na węgiel. Potem wrócił i wziął dwa następne, podnosząc je za obręcze, jakby były lekkimi, papierowymi kubeczkami. Kiedy Williams zabierał się za przenoszenie kubłów, rozlegał się taki łoskot, jakby uderzył piorun. W pokoju na górze Daniel niekiedy słyszał, jak kubły zderzają się pod jego nogami, jakby były burzą, która wypiętrza fundamenty domu. Teraz zakrywał uszy dłońmi.

Williams sypiał na koi bez pościeli. Przy jego posłaniu stała skrzynka po pomarańczach, a na niej stare, drewniane radio w kształcie kości obojczykowej. Radio podarował Williamsowi ojciec Daniela. Podłączone było przewodem do oprawki żarówki pod sufitem. W skrzynce Williams trzymał swoje ubrania, z wyjątkiem garnituru, który wisiał na wieszaku na rurze. Daniel zobaczył też butelkę whisky. Widocznie Williams pił, bo miał już w czubie. Kiedy Daniel zerkał na butelkę, wciąż zakrywając dłońmi uszy, Williams pojawił się w jego polu widzenia, usiadł na koi i pociągnął łyk.

Patrzył w podłogę.

– Z tej podróży się nie wróci – rzekł. – Tera naprawdę zwiła.

– Była obłąkana – powiedział zuchwale Daniel.

Williams spojrział na niego tymi swoimi czerwonymi oczami mordercy.

– Nie tak, jak co poniektórzy.

Daniel zrozumiał, że dozorca ma na myśli jego matkę i ojca. Teraz słyszał kroki i stłumione głosy gości na górze.

– To była wariatka boża – powiedział Williams. – Żaden inny nie miał tej wiary jak ona. Żaden. – Wyciągnął zza ucha niedopałek papierosa i zapalił go zapalką potartą o paznokieć kciuka. Zrobił to z wielkim namysłem.

– Co ty tam wiesz – odezwał się. Spojrział w dół, między wielkie, szeroko rozstawione stopy.

– Nie była taka wariatka, bo odeszła rychlej ode mnie. A wiesz, wiele razy zwiwała? Przeca starczyło ostać w środku, tutaj – powiedział, wskazując wprost na Daniela. – Ganiłi wte i wewte po ulicy, a ona stała se jak raz tu, gdzie ty tera. – Zaczął się śmiać głębokim śmiechem, który przeskakiwał nad długimi pauzami, z wolna opadał z jednej nuty na drugą. – Czasym mi tu zamiatała. Brała miotłę i zamiatała brudy. Czasym przynosiła mi herbatę w szklance.

Daniel to widywał: piła herbatę ze szklanki. Sama gotowała wodę, żeby nikt jej nie otruł. Szklankę, starą, pamiątkową szklankę, jakich pełno było w domu, stawiała na spodeczku. Przełamywała palcami kostkę cukru (miała silne palce – on nie umiał złamać kostki cukru w ten sposób), brała połówkę do ust i popijała herbatę przez cukier. Niekiedy kładła na dno szklanki trochę galaretki i mieszała. Popijając gorącą herbatę, mrużyła wyblakłe, niebieskie oczy. Jeśli w takiej chwili przyłapała go na przyglądaniu się jej, odwzajemniała mu się spojrzeniem równie ciekawskim, przenikliwym, baczny, taksującym i ani trochę szalonym z gniewu czy miłości. Po prostu odpowiadała mu spojrzeniem.

– Kompletny głupek z ciebie – rzekł Williams.

– Nieprawda.

– Boisz się tej bidnej, starej Żydówki.

– Nieprawda.

– To była klasa kobita. – Dozorca spojrział w kierunku sufitu. – Taaaa... Pewnie by mi się należało iść na pogrzeb, gdyby się jej spytali.

– Ale ona nie żyje.

– Na dokładkę stróż na pogrzebie.

– Ale ona nie żyje.

– Won! – zawył nagle Williams. Podniósł się z koi. – Wynocha!

Daniel wybiegł z duszą na ramieniu. Pobiegł alejką, a jaskrawe promienie słońca kłuły go w oczy. Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Williams go goni. Wpadł do domu, minął wszystkich w salonie i pobiegł na górę. Żeby dostać się do siebie, musiał przejść przez jej pokój. Tu się zatrzymał. Nic się tu nie zmieniło. Mahoniowe łóżko i komoda do kompletu. Cedrowa skrzynia posażna i puszka z ziołami na astmę do połowy spalonymi. Wciąż jeszcze czuł jej zapach. Na dole, w kuchni stała pamiątkowa szklanka, w której odbijał się drżący płomień, tak samo jak wtedy, gdy ona go zapalała. Jeśli nie żyła, dlaczego wciąż czuł jej zapach? Dlaczego wciąż płonął ogień?

Wpadł do swego pokoju i zatrzęsął drzwiami.

Mała się obudziła i zaczęła płakać.

Nigdy nie mogłem pogodzić się z tym, że byliśmy ludźmi mało znaczącymi. Biedna rodzina z Bronxu, gdzie latem panował upał, a w zimie mrozy. Myślałem, że jesteśmy szychami. Kimś ważnym. Że świat naprawdę krąży wokół mojej rodziny. Zachowywaliśmy się, jakbyśmy wszystkie rozumy pojedli. Mój ojciec potrafił wszystko wytłumaczyć. I nawet jeśli się źle działo, zawsze wiedzieliśmy, o co chodzi. To był potworny wysiłek, ale zaczynałem rozumieć, że warto. Nie byliśmy skromni, o nie. Kurczowo trzymaliśmy się swojego zarozumiałstwa. Naprawdę byliśmy dla siebie ważni. Nasze życie było ważne i to, co nas spotykało, było ważne. Pochłaniały nas codzienne obowiązki. Chodzenie do szkoły. Do pracy. Po zakupy. Na wieczorne zebrania, regularne spotkania. Wszystko to było strasznie ważne. Tak więc kiedy ich zabrano, najpierw jedno, potem drugie, i później, kiedy oglądałem ich w telewizji albo patrzyłem na ich zdjęcia w gazecie, zrozumiałem, że świat wreszcie dowiedział się o tym, o czym zawsze wiedziałem – że jesteśmy ważni. Zasłużone uznanie. Więcej niż zasłużone – spodziewane.

Zawsze jednak wydawało mi się, że miejsce naszego zamieszkania jest kwintesencją niejednoznaczności. Przylegające do siebie bloki mieszkalne w Bronksie wypełniały szczelnie każdy kwartał. Sześć-, siedmiopiętrowe kamienice ciągnęły się wzdłuż ulic całymi milami. Dzieci wychowywały się w bramach, na werandach, na podwórkach. I w ciemnych korytarzach wyłożonych kafelkami, z mosiężnymi kratami wind i starymi, podrabianymi angielskimi fotelami. Jeden kwartał za drugim. Milowe szeregi bloków z przedsionkami pełnymi kuchennych zapachów, z armią kubłów na śmieci przy krawężniku. Ze wzniesienia na Weeks Avenue, gdzie stał nasz mały drewniany domek, widziałem budynki otaczające szkolny dziedziniec jak stopnie amfiteatru. Wiedziałem, że poza zasięgiem mojego wzroku znajdują się kolejne wzgórza Bronxu, kolejne szeregi bloków co piętnaście lub dwadzieścia przecznic urozmaicone czerwoną twierdzą szkoły dokładnie takiej samej jak moja. Było w tym otoczeniu coś pokrzepiającego, ponieważ dzięki niemu czuliśmy się mniej bezbronni w naszym niezwykłym, spróchniałym, drewnianym domu, stojącym nad przepaścią ulicy przy szkolnym boisku. Wystarczająco różniliśmy się od innych, żeby nie cierpieć z powodu obskurnej architektury Bronxu.

Choć bowiem byliśmy przez nią otoczeni, mieliśmy dzięki niej ochronę przed gorszymi rzeczami: burzami, meteorami, najezdami mrówek, oberwaniem chmury – nic w tej części świata nie było warte takiego kataklizmu, takiego zniszczenia. Tak to sobie wytłumaczyłem. Ludzie z Bronxu i tak oberwali od życia. Po co więc zawracać sobie głowę niszczeniem ich. Po co więc zawracać sobie głowę nami, tymi, którzy mieszkają wśród nich. To spostrzeżenie powodowało, że chciało się nam żyć, że różowiały policzki i błyszczały oczy. Moja matka oświetlała fasady tych domów swoją osobowością. Kiedy przechodziliśmy koło nich, zapalały się pod wpływem bijącego od niej obrzydzenia. Ściskając moją rękę i pchając wózek, pośpiesznie mijała spiętrzone grobowce kamienic, których widok napawał ją nienawiścią i strachem, jakby mogło nas skalać życie toczące się w środku, gdybyśmy nie szli dostatecznie szybko. Rochelle czuła głęboki wstręt do zwykłych ludzi. Jej życie polegało na bolesnym usiłowaniu wyróżnienia się. Może dlatego mieszkaliśmy tu, gdzie mieszkaliśmy. Kto wybiera dom – żona czy mąż? Nie mieliśmy za oknami bloku, tylko niebo nad szkolnym boiskiem. Jedynymi naszymi sąsiadami byli mieszkańcy domów po tej samej stronie, tak więc była to ulica w połowie zamieszкана, to najważniejsze, i połowiczni sąsiedzi, których domy były zwrócone w tę samą stronę co nasz i których nie musieliśmy oglądać. Znałem kilkoro z nich. Moi rodzice znali wszystkich, ale z nikim się nie przyjaźnili. Może wstydzili się babci, która wybie-

gała na dwór o dziwnych porach dnia i nocy, z rozwianymi włosami miotając żydowskie przekleństwa. Wątpię w to jednak. Robienie z siebie publicznego widowiska nie przeszkadzało Paulowi. Pamiętam, jak jednego razu roześmiał się, gdy babcia, przechodząc Sto Siedemdziesiątą Czwartą koło jego warsztatu, zaczęła wygrażać mu pięścią. A w środku był właśnie klient. Poza tym w tamtych latach, tuż po wojnie, ludzie byli oswojeni z widokiem nieszczęścia. Na ulicach widziało się więcej dziwaków niż dzisiaj. Pamiętam jednego, wielkogłowego faceta, który miał na imię Iggy i za którym ciągnęły watahy dzieciaków. Zataczał się pod ciężarem swej głowy i uśmiechał do siebie. Uchodził za matematycznego geniusza. Nikt nie wiedział, ile ma lat. Mówiono, że jest starszy, niż na to wygląda.

Paul i Rochelle nie mieli przypadkowych przyjaciół. Nikt nie stawał się ich przyjacielem tylko dlatego, że był sąsiadem. Moi rodzice zadawali się tylko z ciekawymi ludźmi. To było jej wyrażenie. Powiedzieć o kimś, że jest osobą interesującą, oznaczało, że się ją szanuje. Dentysta był interesujący. Kuśnierz. Bileter w metrze. Skrzypek. Nauczyciel. Pracownica opieki społecznej. Ci ludzie byli ciekawi. Nie byli z góry skazani na ponury los, choć mieszkali w blokach. Nie byli więźniami swych nędznych zarobków. Nie zostali doprowadzeni do takiego stanu, żeby zaakceptować niewolnictwo. Mieli otwarte umysły. Wyznawali idee. Umawiali się na pogadanki i płacili składki na wymarzoną przyszłość. Stado ćwierkających ptaszków zachwyconych sobą, dumnie stroszących piórka, wydających trele charakterystyczne dla tego znamienitego, ptasiego gatunku. Zawsze razem. Był to rodzaj rytuału odziedziczonego po przodkach. Dodawali sobie nawzajem ducha.

Tak tak, Królu Niebieski. Tak tak, zadowolony z siebie Panie.

A to co za gówno w rodzaju Dawida Copperfielda.

Tak więc miało rację kuratorium stanu Ohio, kiedy w 1956 zapuszkowało wykładowcę angielskiego za umieszczenie w spisie lektur dla pierwszego roku Buszującego w zbożu. Wiedzieli, że nie ma jakościowej różnicy między małolatem, który myśli, że pierdnięcie w kaplicy jest śmieszne, a Che Guevarą. Wiedzieli, że Holden Caulfield założy SDS.

Urodziłem się w Waszyngtonie, ale nie pamiętam innych domów przed Weeks Avenue w Bronksie. Wprowadziliśmy się tam w 1945 roku, kiedy miałem cztery lata. A może w 1944, kiedy miałem trzy. Z wojny pamiętam jakieś puszki zgniecione dla „zbieraczy złomu”. Koncepcję, że z tłuszczu wytopionego z boczku można zrobić naboje. Pamiętam staruszka w białym hełmie, który służył w obronie przeciwlotniczej. A także bataliony inżynieryjne marynarki. Pamiętam grube strzałki z zakrzywionymi ogonami oznaczające ruchy wojsk na mapach drukowanych w gazetach i czasopismach.

Pamiętam Cztery Wolności. Pamiętam, jak wyglądały kartki żywnościowe i nalepki A, B i C na szybach samochodów. Pamiętam, Niebo Było Czerwone w Siedemdziesiątym Szóstym i Wybuchły Pociski nad Naszymi Głowami, i Stary Król Jerzy Nie Zaśnie w Łóżku Swym, i W Ten Ranek Burzowy Urodził Się Stary Wuj Sam. Pamiętam prezydenta Roosevelta jadącego Grand Concourse otwartym samochodem, bez kapelusza, chociaż dzień był wietrzny. Spojrzał prosto na mnie i pomachaliśmy do siebie. Pamiętam Chór Armii Czerwonej śpiewający *Stepy*, męską, hipnotyczną pieśń, w której słyhać było koński galop. Pamiętam, jak oglądałem okładkę płyty na 78 obrotów, na której był Chór Armii Czerwonej, roześmiani żołnierze męznego, sojuszniczego wojska. Pamiętam nadciągające z oddali konie: w zbliżającym się tętencie kopyt słyshałem crescendo wojennego braterstwa, które wdzierało się arystokratycznym, końskim galopem do mojego serca. Pamiętam, jak stałem na ganku naszego domu na Weeks Avenue. Było ciepłe popołudnie, a ja przewróciłem się na chodniku i zdarłem skórę z kolana. Matka wyszła z domu, żeby mi powiedzieć, że na Japonię została zrzucona bomba. Spojrzałem na niebo nad boiskiem, ale było czyste. Nasłuchiwałem odgłosu wybuchu, ale na niebie panowała cisza.

Księga druga

HALLOWEEN

Cały lipiec i sierpień 1967 roku bardzo troszczyłem się o Phyllis. Przechodziliśmy coś na kształt rekonwalescencji, stwierdzając każdego ranka po przebudzeniu, że małżeństwo znów nieco okrzepło, ale wciąż potrzebuje uścisków, pocałunków i czulego seksu. Okres wstydliwych, poważnych rozmów zdawał się dobiegać końca. W czasie tych rozmów Phyllis szukała racjonalnego powodu, aby mi wybaczyć, a ja byłem gotów jej takiego powodu dostarczyć. Staraliśmy się podzielić między siebie odpowiedzialność za moje uczynki. Rozważaliśmy moją osobę jako wspólny problem. Nie wstydziłem się tego. Chodziliśmy całą rodziną na Broadway na zakupy, a kilka razy wieczorem, kiedy było szczególnie gorąco, zabrałem ją do kina i podczas seansu trzymałem śpiącego Paula na kolanach. W czasie upałów w naszym mieszkaniu nie dawało się wytrzymać. Wydałem trzydzieści dolarów na przenośny wentylator. Mieszkamy w dwóch pokojach na Sto Piętnastej, między Broadwayem a Riverside Drive, zaraz przy rzece Hudson, znad której ciągle wieją wiatry, ale trudno się tego domyślić, gdy wygląda się oknem. Żadnego powiewu. Słychać szczury buszujące w ścianie. Phyllis ostatnio zaczęła marzyć o wyniesieniu się z Nowego Jorku. Rano odprowadziła mnie do biblioteki, uczepiona mojego ramienia, gdy niosłem Paula. Przed wejściem do Gmachu Butlera odebrała ode mnie dziecko i oddaliła się, rozmyślając beztrosko o moim kolejnym dniu pracy nad dysertacją i o tym, że przyniesie mi ona stopień doktorski, który pozwoli nam opuścić Nowy Jork. Wymyśliła sobie mały college na Zachodzie, w którym ja miałbym wykładać, a ona studiować. W niczym nie przypominałby Columbii. Nie byłoby sadzy na trawnikach. Nie odbierałem jej złudzeń. Pewnie sama mogłaby zabrać się za moją dysertację, właściwie stworzyć ją samym wyobrażaniem sobie mnie w bibliotece. Dlaczego nie, skoro miała taką bujną wyobraźnię?

Pewnego jesiennego dnia, kiedy wiatr prześlizgiwał się przez ogrodzenie szkolnego boiska, a ciężkie szare chmury wpadały na siebie ponad dachami kamienic, Rochelle wybrała się na zakupy, zabierając ze sobą syna Daniela i córeczkę Susan. Daniel, jak mu przykazano, trzymał się plecionki wózka, który pchała matka. To był stary spacerowy wózek z małymi, porządnymi kółkami i aerodynamicznymi błotnikami przypominającymi pokrywy na koła wyścigowych bolidów z lat trzydziestych. Miał opuszczaną budkę. Daniel też w nim jeździł, kiedy był mały. Teraz wózek należał do Susan. Rochelle owinęła nogi dziewczynki kocykiem i otuliła ją aż po brodę. Daniel ubrany był w kurtkę, na głowie miał czapkę myśliwską z opuszczonymi nausznikami. Szli najpierw do rzeźnika, potem do sklepu nabiałowego Daitcha, a może wstąpią też do warsztatu ojca, żeby się z nim przywitać. Działo się to chyba w 1949 albo w 1950 roku. Miałem siedem czy osiem lat, a Susan około czterech. Za czerwoną twierdzą szkoły, kiedy przeszliśmy przy Sto Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy na drugą stronę Eastburn Avenue i zostawiliśmy za sobą zakład szewski, Rochelle gwałtownie przyspieszyła, mijając nabiałowy Daitcha. Daniel musiał biec, żeby dotrzymać jej kroku.

– Mój Boże – odezwała się matka. – Mój Boże, stało się.

Wózek zakołysał się na krawężniku przy Morris Avenue i Susan krzyknęła ze strachu. Daleko przed nimi, w połowie następnego kwartału, przed Warsztatem Radiowym Isaacsona – Sprzedaż i Naprawa zebrał się tłum. Rochelle nie miała czasu na zastanawianie się, jak jedzie, na podnoszenie najpierw przednich kół wózka, stawianie ich porządnie na chodniku i powtarzanie tego samego z tylnymi. Przebiegła ostatni kawałek, a długi, czarny płaszcz płątał się jej wokół nóg. Stało się. Tak właśnie powiedziała. Daniel biegł, skórzana czapka mu się przekręciła, a jej denko niepokojąco zsunęło się na lewe ucho; Susan trzymała się obiema rączkami wózka, wystawiała głowę do przodu. Drżenie jej górnej wargi oznaczało, że w każdej chwili gotowa jest wydać dziki wrzask gniewu.

Sto Siedemdziesiąta Czwarta Ulica, którą szli, przeżywała właśnie wstrząs po otwarciu supermarketu. Pojawił się „A&P” – trzy-, czy czterokrotnie większy od zwykłego sklepu; wkrótce podwoje miał otworzyć „Safeway”. Pomimo to kobiety wciąż kupowały mięso u rzeźnika, masło i jajka w nabiałowym, ryby w rybnym, a chleb w piekarni. Nadal pod oknami jeździł konny wóz z warzywami i owocami w drewnianych skrzynkach, a sprzedawca wykrzykiwał ceny, które były wypisane kredką na szarych, papierowych torebkach przypiętych do skrzynek – cały sklep na drewnianych, obitych żelaznymi obręczami kołach, fura załadowana skrzynkami ustawionymi w piramidę, żeby każda gospodyni mogła łatwo zobaczyć, co jest do kupienia. Sprzedawca okręcał lejce wokół rączki hamulca, zmuszając konia do zatrzymania się między samochodami, i ustawiał sklep dla

swych stałych klientek. Rozprawiał na temat związku jakości jego owoców i warzyw z cenami, wdrapując się na stertę skrzynek po kilka funtów tego czy parę pęczków owego wedle życzenia klientki, i tonem wielce radosnym wygłaszał ponure, filozoficzne uwagi. Sprzedawca warzyw, który przejeżdżał obok mojego domu wozem zaprzężonym w starą szkapę, wiedział, że jest ostatnim przedstawicielem ginącego gatunku. Dziesięć lat wcześniej krążyli jeszcze po okolicy szlifierze noży i nożyczek, handlarze starzyzną z tobołkami na plecach, wykrzykujący swoje: „Butelki, szmaty skupuję!”, latem pojawiali się sprzedawcy lodów domowej roboty, zimą zaś gorących, słodkich ziemniaków – relikty rojnych ulic handlowych na Lower East Side z początku wieku. Niegdyś Bronx był cichym azylem. W 1900 ludzie dobili Lower East Side, przenosząc się na Bronx. Tylko że historia bezlitośnie obchodzi się z ludźmi. I najskrytsze marzenia wywleka na światło dzienne. To historia, ten wieprzek, wgrzyza się w tajemnice serca.

Tamtego roku w szkole nie szło mi najlepiej. Byłem w trzeciej klasie. Nie trzymałem rąk na ławce. Wychodziłem do ubikacji bez podnoszenia palca. Gadałem, kiedy miałem na to ochotę. Co jakiś czas odbywały się ćwiczenia na wypadek zrzucenia bomby atomowej. Maszerowaliśmy na korytarz, który nie miał okien, i z opuszczonymi głowami siadaliśmy zgarbieni pod ścianą, obejmując rękami podciągnięte kolana. Było to chyba w 1949 roku. Wszystkie szkoły przywiązywały dużą wagę do ćwiczenia próbnych alarmów przeciwlotniczych. Rosjanie przeprowadzili próbę z bombą atomową. Mówiło się, że Truman jest zbyt uległy wobec komunistów. W Chinach czerwoni wykopali Czang Kajszecka. Przywódców amerykańskich komunistów postawiono przed sądem za spiskowanie w celu obalenia rządu. W mojej szkole często ogłaszano alarmy przeciwlotnicze. Dziewczynki wołały klęczeć z opuszczonymi głowami i splecionymi na karku dłońmi. W rezultacie chłopcy po drugiej stronie korytarza nie mogli zaglądać im pod sukienki. Ćwiczyliśmy na wypadek zrzucenia bomby. Ojciec powiedział mi, żebym nie siadał z głową na kolanach i nie udawał, że bomby spadają z nieba. Przeklinał wszystkich nauczycieli, którzy wmawiali uczniom, że wojna jest nieuchronna. Tamtego roku nie szło mi dobrze w szkole.

Będę musiał jednak popracować nad jeszcze jedną kwestią: nad uczuciami Daniela chodzącego w za dużych ubraniach, uczuciami nie całkiem zsynchronizowanymi z rytmem rozgoryczeniokryzys, rozgoryczeniokryzys, którym to rytmem – paradoksalnie – żyli jego rodzice, jednocześnie doświadczając strachu i nadziei, ponosząc klęskę i świętując zwycięstwo. Tak więc biegnąc tego wietrznego jesiennego popołudnia ku warsztatowi ojca i stojącemu przed nim tłumowi, zachował spokój na tyle, że mógł zauważyć, iż nic się nie dzieje, że tłum jest przyjazny, a gliniarzy i karettek nigdzie nie widać. W całej scenie nie ma napięcia. To spotkanie towarzyskie. Okazją jest pierwszy telewizor, jaki pojawił się na Sto Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy. Okno Warsztatu Radiowego Isaacsona – Sprzedaż i Naprawa okupuje wielką, brązową skrzynia wyświetlającą maleńkie obrazki ku uciesze ciekawskiego tłumu.

Szkoda, że nie przyjrzałem się twarzy matki, kiedy to do niej dotarło. Aleja się pchałem, żeby zerknąć na Faye Emerson. Wątpię, żeby poczuła ulgę. Żeby uśmiechnęła się na myśl, jak nieдорzeczne były jej obawy.

Ojciec wyszedł z warsztatu i przecisnął się przez sporą grupę ludzi, którzy zupełnie nie zwracali na niego uwagi. Nie miał na sobie płaszcza, tylko koszulę z podwiniętymi rękawami i roboczy fartuch z kieszeniami na narzędzia. Wziął matkę pod ramię i razem odeszli kilka kroków na bok, ona wciąż pchała wózek.

– Skąd to masz? – spytała Rochelle.

– Dostałem zamówienie. Słuchaj...

– Czy możemy wziąć go do domu? – zapytałem.

– Za chwilę, Danny. Pozwól mi porozmawiać z matką. Mindish został aresztowany.

– Co?!

– Mów ciszej. Z samego rana, podczas śniadania. Przyszli z FBI i zabrali go do miasta.

– O mój Boże...

– Nie mów nikomu. Zajmij się swoimi sprawami i niech wszystko wygląda tak samo jak zwykle. Wrócę do domu na kolację, wtedy porozmawiamy.

– Skąd wiesz?

– Jego żona do mnie telefonowała. Postąpiła bezmyślnie. Nie wiem, co ludzie mają w głowie. Powiedziała, że Mindish chciał, żebym się dowiedział. Kazał jej do mnie zadzwonić.

– Och, Pauly...

Spojrzałem najpierw na twarz matki, potem ojca, śledząc przepływający między nimi prąd, który wyobrażałem sobie teraz jako niebieską poświatę telewizora – rzadki pierwiastek, który jest nośnikiem przytłaczającego smutku i osłepiającego przerażenia.

– Co on zrobił? – pociągnąłem ojca za rękę.

– Musisz się nauczyć panować nad sobą i nie pokazywać uczuć – powiedział do matki, która się trzęsła i przygryzała palce. Wziął Susan na ręce i przez chwilę się z nią bawił, udając wesołość.

– Jak się ma moje serduszko? – zagadał do małej, poważnej dziewczynki. – Co słysząc u mojego pączuszka?

– Dlaczego go aresztowali?

– Nie wiem, Danny. Uważają, że coś zrobił. Gdyby nie zamykali ludzi, nie mieliby nic do roboty. Więc dochodzą do przekonania, że ktoś zrobił coś, czego nie powinien, i go aresztują.

– Czy ciebie też aresztują?

Ojciec roześmiał się z przymusem.

– Nie martw się.

– Co teraz będzie? – wyszeptła matka.

– Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Mam do ciebie prośbę, Rochelle. Kup, co ci jest potrzebne, i idź do domu. Wróć o zwykłej porze. Nadchodzi faszyzm, nic więcej, zatem nie powinniśmy się dziwić.

Doktor Mindish kojarzył mi się z zapachem gipsu i masy do plombowania – emanował cierpkim zapachem lekarstw, przypominającym nieco woń „Ratownika” – wyciągu ze starzeńli. Nie był to przykry zapach. Nie czuło się go jedynie w jego gabinecie, kiedy miał na sobie biały, wykrochmalony kitel i miotał się przy szafce pełnej szuflad płytkich jak piórniki, w których leżały wiertła i inne narzędzia, kiedy włączał rozpylacz, wpychał pacjentowi do ust ligninę, napierając brzuchem na jego ramię, kiedy pochylał się całym ciałem nad jego twarzą. Wtedy nie rozsiewał tego zapachu. Wtedy pachniał salami.

Nienawidziłem Mindisha. Traktował mnie protekcyjnie. Był ogromnym, zwalistym mężczyzną, miał małe oczka i mówił z obcym akcentem. Od początku wiedziałem, że jest nieuczciwy. W rozmowie wychodził na oportunistę, który nigdy nie prezentuje własnej opinii, a jedynie żywi się odpadami i resztkami opinii innych, jak tłusty wilk o rozbieganych oczkach. Wilk z komicznym, wilczym uśmieszkiem, tak o nim myślałem. Martwiłem się tym, że moi rodzice uważają go za przyjaciela. Był naszym dentystą i zawsze sprawiał mi ból, kiedy przychodziłem do jego gabinetu. Jego zachowanie cechował jakiś zdeprawowany erotyzm. Ciągłe patrzył na cycki albo tyłek Rochelle, czego ona zdawała się nie zauważać. Mojego ojca traktował jak cudowne dziecko, w którym to traktowaniu można było wyczuć lekką nutę zazdrości o mądrość Paula, młodość czy może energię. Wypróbowywał na nim swoje przyciężkie poczucie humoru. Mindish był dużo starszy od moich rodziców. Kiedy go aresztowano, chyba przekroczył już pięćdziesiątkę.

Nowina mnie ucieszyła. Uznałem, że jeśli tajniaki muszą kogoś aresztować, jak powiedział mój ojciec – bo jak nie, to nie mają co robić – to robią mądrze, aresztując Mindisha. Gdybym sam musiał kogoś aresztować, również wybrałbym jego.

Nazajutrz z samego rana, kiedy wychodziłem do szkoły, rozległ się dzwonek u drzwi, więc otworzyłem. Na ganku stali dwaj mężczyźni. Byli porządnie ubrani i nie wyglądali na kogoś z sąsiedztwa. Mieli wąskie, kształtne twarze, małe nosy i włosy obcięte na rekruta. Trzymali kapelusze w rękach, a ich płaszcze były w dobrym guście. Pomyślałem, że pewnie są członkami jednego z kościołów chrześcijańskich, które wysyłają swoich ludzi, żeby chodzili od drzwi do drzwi i sprzedawali wydawnictwa religijne.

– Synku – odezwał się jeden – czy jest twoja mama albo tata?

– Tak – odpowiedziałem. – Oboje są w domu.

Matka nie pozwoliła mi spóźnić się do szkoły tylko z tego powodu, że przyszło FBI. Nie wiem, co się wydarzyło w czasie tej pierwszej wizyty. Mężczyźni weszli, a ja, szedłszy po trzesz-

czących schodach, odwróciłem się i dostrzegłem w przelocie, jak Paul wychodzi z kuchni na ich spotkanie, dokładnie w chwili, gdy drzwi się zamykały. Matka je przytrzymała, a ojciec szedł ku mężczyznom. W prążkowanym podkoszulku wyglądał na dużo chudszy od nich.

Kiedy FBI puka do drzwi i chce ci zadać tylko kilka pytań, możesz im odmówić. Nie masz obowiązku z nimi rozmawiać tylko dlatego, że oni tego chcą. Nie musisz iść z nimi do biura. Nie musisz nic robić, jeśli nie zostałeś wezwany albo aresztowany. Szkopuł w tym, że swoje prawa poznajesz poniewczasie.

– Sami nie wiedzą, czego chcą – mówi Paul do Rochelle. – To rutynowa wizyta. Jeśli im nic nie powiesz, nie mają się do czego przyczepić. To prostaki bez polotu.

– Boję się – odpowiada matka. – Polizei nie muszą być sprytni.

– Nie martw się – mówi Paul. – Mindish nie ucierpi z powodu tego, o czym mówiliśmy. – Chodzi w tę i z powrotem po kuchni i uderza pięścią w otwartą dłoń. – Nie zrobiliśmy nic złego. Nie ma się czego bać.

Okazuje się, że wszyscy przyjaciele Mindisha są przesłuchiwani. Nie wiadomo, dlaczego go zatrzymano. Nie podano żadnej wiadomości w radiu, nie pojawiła się żadna relacja w gazetach. Sądzie Mindish wpadła w histerię. W jej mieszkaniu przeprowadzono rewizję. Jej córka nie chodzi do szkoły. Nikt nie wie nawet, czy mają adwokata.

Następnego dnia znowu przychodzą ci sami ludzie z FBI, tym razem wczesnym wieczorem. Siadają w salonie na miękkiej kanapie z wystającymi sprężynami. Kolana trzymają równo, kapelusze w dłoniach. Mówią bardzo cicho i zachowują się przyjaźnie. Ich obce nazwiska brzmią Tom Davis i John Bradley. Uśmiechają się do mnie, kiedy matka wychodzi, żeby zadzwonić do ojca.

– W której jesteś klasie, młody człowieku?

Nie odpowiadam. Nigdy przedtem nie widziałem na własne oczy agentów FBI. Przyglądam się im bacznie, szukając oznak nadludzkiej mocy, ale nie widzę nic, co by świadczyło o tym, że ją posiadają. Nie wyglądają ani tak przystojnie jak na filmach, ani tak ohydnie, jak ze wstrętem odmalowują ich moi rodzice. Szukam na ich twarzach czegoś, co naprowadziłoby mnie na trop ich prawdziwej natury. Ale ich twarze nie ujawniają takich tropów.

Paul wraca do domu. Jest zdenerwowany.

– Mój adwokat powiedział, że nie muszę z wami rozmawiać, jeśli nie chcę – odezwał się. – Zapomnieliście wczoraj napomknąć o tym istotnym fakcie.

– W samej rzeczy, panie Isaacson, ale mamy nadzieję, że będzie pan współpracował. Potrzebujemy jedynie informacji. Nie ma w tym nic niezwykłego. Sądziłyśmy, że jest pan przyjacielem doktora Mindisha. Jako jego przyjaciel może będzie mu pan w stanie pomóc.

– Z przyjemnością odpowiem na każde pytanie w sądzie.

– Czy zaprzecza pan teraz, że go zna?

– Odpowiem na każde pytanie w sądzie.

Mężczyźni wychodzą po kilku minutach i wsiadają do samochodu nieprzepisowo zaparkowanego przed naszym domem – zablokował inny pojazd stojący przy krawężniku – i siedzą w nim przez dziesięć czy piętnaście minut. Chyba coś piszą na kartkach przypiętych do podkładki albo w notesie, nie potrafię dokładnie powiedzieć. Jest ciemno, więc włączyli górną lampkę w samochodzie. Przypominają mi policjantów z drogówki wypisujących mandaty za złe parkowanie. Jednak ta ich pisanina wywołuje we mnie wrażenie czegoś poważnego i nieodwołalnego, co mnie przeraża. Nad boiskiem widać jeszcze na niebie nikłą, szarawą smugę światła. Wiatr gwizdże przez szpary w oknach.

– Danny! – woła ostro Rochelle. – Odejdź stamtąd.

Moje miejsce przy zasłonie zajmuje ojciec.

– To poniżające – mówi. – Widzisz, to w ich stylu. Chcą nas zastraszyć. Ale nie z nami te numery. Jesteśmy górą. Jeśli o mnie chodzi, mogą siedzieć tam całą noc.

Nazajutrz wszystko wygląda gorzej. Podczas lunchu ojciec mówi do matki, iż jest pewny, że ktoś przeszukał warsztat. Kiedy otwierał drzwi, zauważył, że rzeczy są troszeczkę poprzesuwane. Nie umiałby sprecyzować, na czym to polegało. Może chodziło o wyrzucone do kosza lampy. Może o kwitki z nazwiskami klientów. Raczej coś więcej niż tylko przekonanie, że ktoś coś ruszał.

Na lunch mamy kanapki z pumpernika z żółtym serem i zupę pomidorową z puszki. Ojciec nie je. Siedzi z łokciem na stole, dłonią podpierając głowę. Potakuje, jakby zgadzał się z własnymi wnioskami.

– Otóż to. Dlatego przyszli tutaj i poprosili cię, żebyś zadzwoniła po mnie do warsztatu. Mogli i bez tego się tam dostać, prawda? Ale nie zrobili tego. Chcieli mieć pewność, że jestem w domu, kiedy będą tam szperać.

Matka się nie zgadza. Mówi, że mogli poczekać, aż nadejdzie noc, i osiągnęliby to samo. Uzmysławiam sobie, że specjalnie umniejsza powagę sytuacji. Sugeruje, że ojciec ubzdurał sobie całą tę historię z rewizją w warsztacie. W miarę jak napięcie rośnie, ona zdaje się uspokajać. Atak hysterii mija. Martwi się o Paula. Buduje stan umysłu, który w następnych trzech latach przerodzi się w hart ducha – wielu ludzi uzna go za odrażający.

– Miałeś klasówkę, Danny?

– Będzie po południu.

– Nauczyłeś się wszystkich słówek?

– Tak.

Pod oczami ma jednak ciemne kręgi. Kiedy wracam ze szkoły, agenci FBI znów siedzą w samochodzie. Matka leży na kanapie z kompresem na czole. Lewe przedramię ma zabandażowane. Sparzyła się okropnie w trakcie prasowania. Zręby naszej egzystencji zdają się walić w gruzy. W domu jest zimno. Williams wychodzi z piwnicy i swym najgrubszym głosem, w którym brzmi pogrożka, oznajmia, że piec nie działa prawidłowo i musi być wyczyszczony. Zabierze się za to, kiedy będzie mógł. Rozumiem, że znaczy to, iż zajmie się tym, kiedy nie będzie się to kłóciło z jego poczuciem godności. Wszystkie zmysły mam wyostrzone. Snuję się po domu, wczuwając się w różne odcienie dziennego światła. Upajam się powietrzem. Delektuję smakiem jedzenia. Każda chwila mojego życia na jawie nabiera intensywności i wiem dokładnie, co się dookoła mnie dzieje. Konstrukcja z gigantycznym okiem przypominająca tajemniczą, czarną aparaturę z Planetarium Haydena, która ma dwie głowy w kształcie hełmów do nurkowania, czarne nity i owadzie nogi, powoli zwraca planetarny snop swego światła w naszą stronę. To on sprowadza ciemność i zimno. A kiedy nas dosięgnie, zatrzyma się jak reflektor w nazistowskim obozie koncentracyjnym. Zostaniemy przyszpileni jak tamta pani zmiażdżona na szkolnym płocie, której krew wymieszała się z mlekiem i odłamkami szkła. Nasza krew też będzie ranić, jak gdyby było w niej szkło. Będzie gorąco pod tym snopem światła i nasz dom zacznie śmierdzieć i dymić, aż czernieje na brzegach i buchnie z niego ogromny snop syczących płomieni.

I tak właśnie się dzieje.

Jeśli mieli coś na nich, zanim oskarżono Mindisha, to dlaczego ich nie zabrali? Jeśli ich podejrzewano, zanim Mindish poszedł na układ, dlaczego dano im cztery tygodnie na ucieczkę albo zniszczenie obciążających dowodów lub utrudnienie śledztwa w jakiś inny sposób? Jedynym wytłumaczeniem jest głupota czy też nieporadność FBI, ale, choć logicznie poprawne, nie jest ono właściwe.

Wędzenie. W szesnastym wieku w Japonii chrześcijan rozpoznawano w ten sposób, że kazano wszystkim mieszkańcom wioski przechodzić po rozłożonym na ziemi ryżowym papierze z namalowanym wizerunkiem Chrystusa. Ci, którzy odmawiali nadeptnięcia na twarz Chrystusa, natychmiast byli wyciągani z szeregu i wieszani głową w dół w oparach siarki. To jedna z najbardziej powolnych i najboleśniejszych form egzekucji znanych ludzkości: następuje krwotok z oczu, a ciało ofiary powoli ulega uwędzeniu. Krew wrze, mózg się gotuje. Śmierć może przyjść nawet po dwóch tygodniach, a ofiara do końca jest przytomna.

Najpierw zamierają telefony. Każdego dnia o kilka rozmów mniej. Potem następuje okres, kiedy telefon dzwoni raz, drugi i milknie. Czasem zdążę podnieść słuchawkę, ale nikt się nie zgłasza. W końcu telefon zupełnie przestaje się odzywać. Martwy przedmiot. Ojciec chodzi dzwonić do sklepów ze słodyczami przy Sto Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy. Bawią mnie pertraktacje, jakie z nim prowadzę w sprawie piątek, które są w moim posiadaniu. Potrzebuje mnóstwo drobnych, więc w szkole najważniejszą sprawą staje się dla mnie rozmielenie ćwierćdolarówki na drobnicę.

Lubię być przydatny w jego wieczornych wyprawach do budki telefonicznej. Nie czerpię z tego żadnego zysku, chcę mu tylko pomóc. Ojciec wędruje coraz dalej od domu, zużywając telefony tak samo, jak zużywa drobne.

Tymczasem gazety donoszą o łańcuchu aresztowań na całym świecie. Angielskiego naukowca. Amerykańskiego inżyniera. Pół tuzina imigrantów w Kanadzie. Wykradzione zostają tajemnice. FBI wynajduje tych ludzi i skazuje ich w jednym komunikacie prasowym. Reakcja łańcuchowa. Ojciec wraca do domu nie tylko z „Daily Workerem”, „Timesem” i „Postem”, ale także z „Telegramem”, „Tribune”, a nawet „News”, „Mirror” czy „Journal-American”. Czyta wszystko. Mówi o autodafe, a ja widzę nazistowskiego demagoga Ottona Duffy'ego, złowieszczonego Europejczyka, którego faszystowskie idee zalewają Stany Zjednoczone. Ale chodzi nie tylko o aresztowania szpiegów. Zaczynają się też procesy polityczne, na przykład Fostera i Dennisa oraz innych przywódców partyjnych. Poza tym oszczerstwa rzucane na takich orędowników Nowego Ładu jak Alger Hiss. Przesłuchania twórców hollywoodzkich prowadzone przez Komisję do Badania Działalności Antyamerykańskiej. Lista organizacji wywrotowych sporządzona przez Prokuratora Generalnego. Ojciec roztacza wizję: nasz dom otoczony ze wszystkich stron przez armię szaleńców.

Pewnego wieczoru ojciec czyta na głos reportaż w „New York Timesie”, w którym jest mowa o tym, że z kampusów właściwie zupełnie zniknęły wszelkie polityczne dyskusje. „Times” przeprowadził na ten temat badania. Profesorowie boją się, że ich poglądy mogą zostać źle zinterpretowane. Na uniwersytetach stanowych konieczne staje się podpisanie deklaracji lojalności.

– Słyszysz, Rochelle? Co ci to przypomina? Wiesz, dokąd to prowadzi, Rochelle.

– Ciii, Pauly. Obudzisz dzieci.

Bałem się zasnąć. Męczyły mnie koszmary, których potem nie pamiętałem, chyba że w chwili, gdy budziłem się przerażony, nie mogąc złapać tchu. Panicznie bałem się, że jeśli położę się spać, to dom spłonie albo rodzice odejdą bez słowa. Z jakiegoś powodu druga z tych możliwości wydawała się bardziej prawdopodobna. Leżałem w ciemności i myślałem, że nie wolno mi zasnąć, bo jeśli to zrobię, to w tej samej minucie oni zostawią mnie i Susan i pójdą gdzieś w nieznane. W tajemnicze miejsce. To tak samo, kiedy przyłapie się ich na pieprzeniu – ten sam paniczny strach przed wykluczeniem. Płaczą się dokoła, zupełnie nad sobą nie panują, a mają władzę nad tobą. Mruczą coś, jęczą, wzdychają, a mówią ci, żebyś zawiązał sznurówki i wypił sok. Widziałem, jak od aresztowania Mindisha najgorsze przeczucia przybierają realny kształt. Świat próbował dostosować się do wymagań matki i ojca, jakby kierowała nim jakaś tajemnicza, niewidzialna konfiguracja sił – tak więc bez oporu i w fizycznej harmonii wszystkie ciała i przedmioty ukrywały to jedno uczucie, które było ich Namietnością i które miało mi ich odebrać.

Nie przyszłoby mi do głowy, że miejscem, do którego zwieją, będzie więzienie. Wyobrażałem sobie, że jest to raczej stan egzystencjalnej harmonii. Stopniowo określiłem jego położenie. Znajdowało się gdzieś w pobliżu Peekskill, tam gdzie Paul został pobity. Leżał potem całymi dniami w salonie na kanapie z bólem głowy i opuchniętymi wargami, ze złamaną ręką, a Rochelle się nim zajmowała. Opiekowała się nim z pełnym oddaniem i robiła to fachowo jak sanitariuszki w szpitalu polowym. Traktowała swoje zajęcie z równym zaangażowaniem, z jakim on traktował swoje poświęcenie. Zdawali się mnie nie zauważać. Pojąłem, że wszechświat wreszcie zajął właściwe stanowisko wobec rodzinnego ego.

OCH, PAULY, OCH, TATUSIU, JUŻ DOBRZE, JUŻ WSZYSTKO DOBRZE. TYLKO DLACZEGO MUSIAŁEŚ DAĆ OKULARY DO POTRZYMANIA MINDISHOWI?

Pewnego ranka Daniel usłyszał pukanie do drzwi. Odgadł, która jest godzina. Trzeba dobrze znać dom, żeby wiedzieć, co się dzieje. Drzwi wejściowe znajdowały się po lewej stronie, patrząc od środka. Otwierały się na korytarzyk z wejściem do salonu po prawej stronie. W połowie tego krótkiego, ciemnego korytarza zaczynały się wąskie schody, które prowadziły do dwóch pokoi sypialnych. Pod schodami był schowek, gdzie trzymaliśmy wózek i stare gazety, a tuż za nim przejście do kuchni, która znajdowała się za salonem. Mówię ci (komu?) o tym, żebyś mógł dobrze zapamiętać jedną z Wielkich Chwil w Historii Amerykańskiej Lewicy. Amerykańska Lewica jest w tej chwili przemysłnie zredukowana do nikczemnego spisku pewnego małżeństwa, Paula i Rochelle Isaacsonów, którzy śpią na rozkładanej kanapie w salonie. Kupili ją od starszej siostry Paula,

Friedy, mojej ciotki Friedy, która ma myszkę z jednym włosiem tuż nad górną wargą, ciotki Friedy, która po śmierci męża przeprowadziła się do mniejszego mieszkania. Korytarz wyłożony jest linoleum. Na małym, przyściennym stoliku obok drzwi stoi telefon i leży książka telefoniczna Bronksu.

Za drzwiami, które otworzył, stali ci sami agenci FBI, co przedtem – Tom Davis i John Bradley. Za nimi, po drugiej stronie ulicy, na słupkach siatkowego płotu otaczającego szkolne boisko lśniła w porannym słońcu szadź. Błyszczała jak gwiazdy w oczach Daniela.

– Cześć, Danny. Czy twój tato jest w domu?

– Co się tam dzieje, Danielu?! – zawołała matka z salonu.

– To ci dwaj panowie – odparł.

Daniel i agenci FBI przysłuchiwali się odgłosom dochodzącym z salonu, kiedy matka budziła ojca. Daniel nadal trzymał rękę na klamce. Był gotowy w każdej chwili zamknąć drzwi, gdyby mu kazano.

– Która godzina? – spytał ojciec zaspanym głosem.

– Mój Boże, wpół do siódmej – odrzekła.

Wyszła na korytarz, wciągając szlafrok. Nocna koszula była z cienkiej bawełny i Daniel wpadł w popłoch, bo przez chwilę przez materiał widać było jej sutki, ale zaraz owinęła się szlafrokiem i zawiązała pasek. Zerknął na dwóch mężczyzn za progiem, żeby sprawdzić, czy zauważyli, ale z ich twarzy nic nie dało się wyczytać.

– ...dobry, pani Isaacson. Możemy wejść?

Matka przeczesywała palcami gęste włosy. Skupiła uwagę na mężczyznach, którzy zdążyli już stać się swego rodzaju znajomymi. Mieli podejście typu „wszyscy jedziemy na jednym wózku”. Z wyrazem przesadnego cierpienia na twarzy znosili upór i słowne zniewagi ojca, dając do zrozumienia, że niechętnie biorą udział w tej brudnej sprawie, ale mają zadanie do wykonania, więc może nieco wzajemnej uprzejmości, a nawet trochę humoru ułatwi wzajemne stosunki. Kiedyś nawet napomknęli o naciskach, jakie wywiera na nich „góra”.

– Co to za „góra”? – chciał wiedzieć ojciec.

– Cóż, Paul, mamy zadać ci kilka pytań.

– Więc jednak nie wydostaliście ze mnie wiele – rzekł ojciec nie bez dumy.

– Dobra, jesteś twardy orzech – stwierdził jeden. – Wiemy na dodatek, że będziesz próbował nas indoktrynować.

– Dobrze, powiem wam coś. Odpowiedziałem na dotyczące mnie pytania. Opowiedziałem wam ze szczegółami swój życiorys. Nie odpowiedziałem na pytania dotyczące innych.

– Masz na myśli doktora Mindisha?

– Powiedziałem, co mam na myśli. Ale interesuje mnie pan. Interesuje mnie, dlaczego tak inteligentny człowiek jak pan zgodził się być narzędziem w rękach klasy panującej. Chciałbym wiedzieć, czemu pan to robi? Jakie są pańskie motywy? Co chciał pan powiedzieć wszystkim biednym, chorym, wykorzystywanym jednostkom w tym kraju, wstępując do tego Federalnego Biura Inkwizytorskiego?

– No cóż, Paul, my nie patrzymy na świat tak jak wy, komuniści.

Albo moja matka skinęła głową, że mogą wejść, albo oni wzięli jej milczenie za zgodę.

Wiem, że byłaby zła, że ciepło ucieka na dwór. Przeszli próg i natychmiast zza drzwi wionął do środka prąd życia. Tuż za nimi wszedł następny mężczyzna, potem jeszcze dwóch, za nimi zaś kilku innych, wszyscy ciepło ubrani i przygotowani na mroźny, jesienny ranek, w sumie tuzin agentów FBI wniosło na zwalistych barach cały chłód z dworu do naszego małego, kruchego domku. Przewalili się przez drzwi jak śnieżna lawina.

– Co to znaczy! – krzyknęła matka.

– Rochelle! – zawołał ojciec.

Wyjrzałem na dwór. Pięć albo sześć sedanów stało nieprzepisowo zaparkowanych „na drugiego” wzdłuż ulicy. Podjeżdżał jeszcze jeden samochód. Następnym dwóch tajniaków stało na chodniku. Jeszcze jeden szedł alejką ku wejściu do piwnicy. Dobiegł mnie trzask włączanej policyjnej krótkofalówki.

Ojcu, siedzącemu na składanym łóżku z bosymi stopami na podłodze, pokazano nakaz

aresztowania. Zaczął macać wokoło siebie w poszukiwaniu okularów. Powiedział matce, że nagle ogarnęły go mdłości, więc kazała mu opuścić głowę między kolana i trzymać tak, dopóki nie miną. Była wściekła.

– Co tu robią ci ludzie? – zwróciła się do Bradleya i Davisa. – Zdaje się wam, że złapaliście Johna Dillingera? Co wy robicie? – Mężczyźni przeszukiwali półki, pościel, mahoniową szafę. Wchodzili na górę.

Matka trzymała na ręce Susan, a po policzkach spływały jej łzy. Każdy mebel w domu był dla niej najważniejszą rzeczą w życiu, przynajmniej przez krótką chwilę. Sama uszyła każdą zasłonę, wyszorowała i zapastowała każdy cal podłogi w tej starej, dziurawej, drewnianej chałupie, w której mieszkaliśmy. A czy któryś z pismaków opisujących proces choćby wspomniał o biedzie Isaacsonów, o opłakanym star e domu, o połamanych meblach i łachmanach z Armii Zbawienia, o pomalowanych po amatorsku ścianach i brudnych tapetach z zaciekami od deszczu przy drzwiach wejściowych?

– Mordercy! – krzyczała matka. – Maniacy! Nie wystarczy wam, że nas zaszczuliście? Nie możecie nas zostawić w spokoju?

Jakby nie docierało do niej, że ojciec został aresztowany.

Pobiegłem na górę. Dwóch było w moim pokoju. Sprawdzili książkę o dinozaurach, model samolotu, który składałem, i pudełko po cygarach, w którym trzymałem szklane kulki. Zajrzeli pod materac łóżka, podnieśli linoleum, przetrząsnęli szafę i obejrzel koce i prześcieradła, które matka w niej trzymała. Rozkładali je po kolei i rzucali na podłogę. Jeden z nich wyciągnął sznur z kontaktu, owinał go wokół aparatu i wetknął sobie pod pachę detektor kryształkowy, który ojciec pomógł mi zrobić, i radio skrzynkowe, starego, blaszanego edisona, w którym słuchałem ulubionych audycji. W pokoju Susan drugi rozciął scyzorykiem brzuch małpki i wetknąwszy do środka palce, wyciągnął trociny. W tym pokoju stała błyszcząca skrzynia posażna babci, którą zaczęli przeszukiwać, wyrzucając z niej sepiowe zdjęcie rodziców babci, sidur, dwie podarte poduszki, kilka jej starych ubrań, koronkową serwetę z frędzlami. Kulki naftaliny grzechotały o podłogę. Na samym dnie skrzyni leżała niebieska, prostokątna puszka z zaokrąglonymi narożnikami. To była ostatnia puszka mojej babci z ziołami na astmę. Jeden wziął ją, otworzył powoli, powąchał, zamknął z powrotem wieczko i zwinąwszy w chusteczkę do nosa, włożył do kieszeni.

Daniel pobiegł z powrotem do swojego pokoju. Jego niebieska puszka, w której nie wiadomo skąd pojawiły pensjaki, leżała otwarta, a pieniądze wały się po podłodze.

Na dole był sądny dzień. W kuchni potłuczone naczynia. Gazety ze schowka pod schodami porozrzucane. Jeden z agentów wybierał egzemplarze „Daily Workera” i innych czasopism z wiadomościami na temat SZPIEGÓW ATOMOWYCH aresztowanych w Anglii, Kanadzie i New Jersey. Okropny przeciąg hulał teraz po całym domu, bo drzwi były otwarte na oścież. Wyjrzałem na dwór. Williams stał na chodniku. Miał na sobie ogrodniczki, a pod nimi szarą bluzę dresową. Był w papciach. Patrzył w głąb alejki. Pod stopami poczułem grzmot rozrzuconych po piwnicy kubłów na śmieci.

Nie wiem, jak długo to trwało. Po drugiej stronie ulicy, pod płotem szkolnego boiska, rósł tłumek dzieci, które nie zamierzały iść na lekcje. W kamienicach przy Sto Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy ludzie wychylali się z okien. Na każdym rogu naszego kwartału na środku skrzyżowania stał samochód policyjny. Krótkofalówki agentów bulgotały jak napar ziołowy mojej babci. Nauczyciele się przyglądali. Agenci zabierali wszystkie te cenne przedmioty do samochodów. Stałem w drzwiach i patrzyłem, co wynoszą: mój detektor kryształkowy i radio, w którym słuchałem ulubionych audycji. Stojak z wybranymi gazetami. Polisę ubezpieczeniową Międzynarodowego Zrzeszenia Robotników mojego ojca na pięć tysięcy dolarów. Skrzynkę z narzędziami. Rocznik „Masses and Mainstream”. I następujące książki: *Żydz bez pieniędzy* Mike'a Golda, *Żelazna stopa* Jacka Londona, *Państwo i rewolucja* W. Lenina, *Gene Debs – wojujący Amerykanin* Herberta Marais i Williama Cahna, *Cena zwycięstwa* Henry'ego A. Wallace'a, wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, *Wielki spiszek* Michaela Sayersa i Alberta E. Kahna, *Kto jest właścicielem Ameryki* Jamesa S. Allena (na okładce jest gruby kapitalista w cylindrze i z symbolem dolara na brzuchu siedzący przed fabryką na wielkim worku z napisem „Zyski” – o czerwona satyro! O Robercie Minorze

i twoja bogini wolności, zgwałcona i okrwawiona, twoi robotnicy o muskularnych ramionach, twoje białe i czarne dłonie splecione w braterskim uścisku, twoje szeregi robotników maszerujących na płaszczącym się kapitalistycznych sługusów, pozdrawiam cię! Pozdrawiam cię, twórcu antykomiksu! Waszymi śmiałymi pociągnięciami ołówka moje dzieciństwo na zawsze zostało wrysowane w mój wywrotowy umysł, o Robercie Minorze, o Williamie Gropperze, o geniusze ołówkowej kreśli, o precyzyjne narzędzia snów klasy pracującej, artyści symboli, awangardo awangardy z nieprzemijającym prawem do rzucania kamienia obrazy) i *Dzieje planu pięcioletniego* M. Ilina. Ta ostatnia książka zostaje zabrana z mojego pokoju. Jest to tłumaczenie rosyjskiego elementarza. Ojciec dał mi go i powiedział, żebym trzymał go u siebie, aż podrosnę i nauczę się czytać. Podrosłem, ale nie udało mi się przebrnąć przez pierwszy rozdział.

Na brzegu wielkiej rzeki kruszy się na kawałki ogromne skały. Potężne maszyny przypominające przedpotopowe potwory wspinają się ociężale po stopniach gigantycznych schodów wyciosanych w zboczu góry. (...) Tam, gdzie nigdy niczego nie było, płynie teraz rzeka długa na sto kilometrów. (...) W miejscu bagien powstaje duże jezioro. (...) Na stepie, gdzie przedtem rosła jedynie ostnica i mietlica, teraz rozciągają się tysiące akrów pszenicy falującej na wietrze. (...) Samoloty latają nad syberyjską tajgą, gdzie w maleńkich chatkach mieszkają ludzie o skośnych oczach, odziani w dziwne stroje ze zwierzęcych skór. (...) W Republice Kałmuckiej, w środku nagiego stepu, obok wołokowych jurt koczowników wyrastają budynki ze stali i betonu. (...) Stalowe maszty wznoszą się jak kraj długi i szeroki: każdy maszt ma cztery nogi i wiele ramion, a każde ramie dzierży pęk drutów. (...) Tymi drutami płynie prąd, płynie siła i potęga rzek i wodospadów, torfowisk i złóż węglowych. Wszystko to (...) nazywa się Planem Pięcioletnim.

Daniel stanął w drzwiach salonu. Był jeszcze w piżamie. Chłód ranka przeniknął jego ciało. Wypełnił mu pierś i gardło. Zakłuł w oczy. Przeraził go sposób, w jaki to odczuwa. Zimno wisiało na sercu jak sople lodu. Jaja pokryły mu się szronem. Lód wykręcił kolana. Kiedy się zatrząsł, lód kawałkami posypał się z kręgosłupa. Ojciec był już ubrany w swój najlepszy garnitur w szarą pepitę z szerokimi klapami i kanciastymi, za szerokimi ramionami i jasnozielony, szeroki krawat, i właśnie odwijał kołnierzyk białej koszuli, zapinał jedną ręką guziki dwurzędowej marynarki, i odwrócił nie ogoloną twarz, jakby chciał coś zapamiętać, jakby to coś leżało na podłodze, a na twarzy ten smutek, ten potworny smutek potrzeby zapamiętania, więc odświętnie ubrany w za duży garnitur i zaprasowane na kant spodnie, których mankiety niemal zakrywają brązowe półbuty, jego druga ręka unoszona za nadgarstek, ramię się podnosi za nią, a on zdaje się nie zwracać na to uwagi, uwięziony w kajdankach, kiedy mężczyzna, który go skuł, podnosi ręce, żeby zapalić papierosa, ręka mojego ojca podąża za tym ruchem, agent stula dłonie i zapala papierosa, ręka ojca zwisa, poruszana jedynie ruchem ręki innego człowieka.

Pamiętam, że Susan płakała.

– Co oni robią tatusiowi? Co oni robią tatusiowi? – pytała w kółko. – Co oni robią tatusiowi? – Pamiętam też, że matka ją kołysała, obejmując mocno, i kiwała się z Susan w ramionach, powtarzając: „ciiiii, ciii...” Ale Susan wpadła w histerię, szlochala i zachłystywała się powietrzem. Wszyscy w naszej rodzinie mieli kłopoty z oddychaniem. Kopałem agentów po goleniach, waliłem ich głową pod zebro, wrzeszczałem i szarpałem się, i wymachiwałem pięściami w ich kierunku. Jestem pewien, że kilku nieźle przyłożyłem, ale zostałem odepchnięty na bok. Kiedy zacząłem od nowa, podniesiono mnie za ręce i nogi i miotającego się, i wijącego jak wąż, krzyżącego: „Zostawcie mojego tatę w spokoju! Zabiję was! Zabiję!” wrzucono pod schody na stertę gazet. Ojciec został wypchnięty za drzwi. Zdążyłem odtajać z wściekłości. Z klęczek, rozpalony płaczem, zobaczyłem jego twarz, gdy na jedną krótką chwilę odwrócił się i krzyknął przez ramie: „Ascher!”

A potem zaległa straszliwa cisza. Wszystkie samochody odjechały, gapie się rozeszli i drzwi zostały zamknięte, a ja spojrzałem na zapłakaną matkę i wziąłem od niej jej córeczkę, żeby matka mogła zadzwonić. I zdałem sobie sprawę, że ojca naprawdę nie ma.

Isaacsonowie aresztowani pod zarzutem udziału w spisku, którego celem było przekazanie

tajemnic telewizji Związkowi Sowieckiemu...

I w ten sposób wszedł do naszego życia Ascher, pierwszy z surogatów. Ascher nie należał do lewicujących prawników. Przez całe życie prowadził praktykę w Bronksie i zasadniczo specjalizował się w prawie cywilnym. Był, jak mawiała ciotka Frieda, typem żydowskiego dżentelmena. Należał do tych prawników, którzy całymi latami, bez żadnej zapłaty, dyskretnie służy pomocą prawną swej synagodze. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, przekroczył już sześćdziesiątkę, a grube rysy twarzy zdradzały, że cierpi na rozedmę płuc. Szerokie usta, głęboko osadzone, trochę wylupiaste oczy. Kiedy znajdował się w pobliżu, czułem cały ciężar swojego nieszczęścia, ponieważ Ascher, tak samo jak lekarz, pojawiał się tylko wtedy, gdy stało się coś złego. Ale lubiłem go. Miał ogromniaste ręce, a do dzieci odnosił się z burkliwą łaskawością, której nigdy nie uważałem za niewłaściwą czy obraźliwą.

Był filarem adwokatury w Bronksie. Może nie był błyskotliwy, ale cieszył się opinią solidnego prawnika i człowieka honoru, na dodatek pobożnego. Był uczciwym adwokatem i zażarcie bronił swoich klientów. Wyobrażam go sobie stojącego w ławce w Jom Kippur w homburgu na głowie i tałesie na ramionach. To do niego podobne, żeby założyć i tałes, i kapelusz.

Jego kandydatura nie była pierwszą ani jedyną, jaką rozważali moi rodzice. Rzadko mieli do czynienia z adwokatami, doradcami finansowymi, kasjerami bankowymi. Teraz myślę, że ojciec musiał obdzwonić z pół tuzina adwokatów poleconych mu przez przyjaciół, zanim trafił na Aschera.

Adwokaci, nawet ci lewicujący, nie kwapili się zbyt do podejmowania się spraw, w które zamieszane było FBI. W czasie, kiedy ojciec szukał obrońcy, już zaczęli nachodzić go agenci, więc sprawa była otwarta, z czego zdawał sobie sprawę każdy bystrzejszy adwokat. Może Ascher również. Z pewnością wiedział, że dla czerwonych – lub „postępowych”, jak komuniści sami się określali – to nie najlepszy czas na to, żeby dostać się w tryby maszyny prawa. Od 1946 roku w kraju źle się działo. Paul tłumaczył to Rochelle, jakby sama o tym nie wiedziała. Demokraci z Harrym Trumanem na czele licytowali się w Kongresie z republikanami, którzy z nich są twardsi dla Lewicy. Ludzie tracili pracę albo spadali ze stołków za to, że piętnaście lat wcześniej coś powiedzieli albo poparli jakiś apel. Oskarżano ich, przesłuchiowano i wyrzucano z pracy bez wyjaśnienia, o co są oskarżeni ani kto ich oskarża. Trafiali na czarne listy. Publiczne przyznawanie się do błędu stało się narodowym zwyczajem, zupełnie jak w Rosji. Kongresmani chwalili świadków, którzy podawali nazwiska przyjaciół i znajomych spotkanych na zebraniu przed dwudziestoma laty. Donosicielstwo stało się nową etyką. Ekskomuniści, którzy składali zeznania na temat metod działania Partii i spisywali swoje wyznania, zarabiali mnóstwo forsy. Miarą ich sukcesu była wielkość ich grzechu. To była epoka Czerwonego Zagrożenia. Nad życiem normalnych ludzi z normalnych miasteczek zawisł strach przed komunistami przejmującymi władzę nad PTA (*Parent-Teacher Association - Stowarzyszenie Rodziców i Nauczycieli*) i Community Chest (*Fundusz dobrowolnych składek na rzecz lokalnej społeczności*). Każdy, kto znał jakiegoś komunistę, czuł się zbrukany. Wszystko, co wiązało się z komunistami, nosiło na sobie piętno. Ludzie, którzy z zasady bronili swych swobód obywatelskich. Pierwsza, Piąta i Czternasta Poprawka do Konstytucji. Pablo Picasso, ponieważ wziął udział w komunistycznym Kongresie Pokoju w Paryżu i namalował gołąbka pokoju. Gołębie. Pokój. Pojawiła się nowa ustawa o kontroli imigracji, ustawa o deportacji cudzoziemców, ustawa o kontroli obywateli amerykańskich za granicą. Potem ustawa o bezpieczeństwie wewnętrznym, przewidująca obozy koncentracyjne dla każdego, kto byłby podejrzany o szpiegostwo. Następnie zaczęły mnożyć się przypadki ludzi, którzy nie mogli dostać paszportu, a potem tych, którzy nie mogli dostać pracy, i innych, którzy trafiali do więzienia za obrazę sądu, i takich, którzy nie mogli znaleźć w bibliotece książek Marka Twaina, bo Rusczy je lubili i stały się u nich bestselerami.

Ascher powiedział:

– A Sowieci jeszcze pogorszyli sprawę tą swoją bombą. Są teraz tak samo groźni jak my. To nie do zniesienia. W Chinach komuniści też przejęli pałeczkę. Tego również nie możemy tolerować. Żyjemy w czasach, o których historycy nie będą mówili z dumą. Postanowiliśmy, że ktoś musi zapłacić za to, czego nie da się tolerować. Strzeż się, jeśli nie jesteś Robertem Taftem.

Matka z trudem znosiła tego rodzaju przemowy. Ascher nie należał do ludzi taktownych.

Brakowało mu współczującego podejścia dobrego lekarza. Tolerowano jego sposób bycia, ponieważ był człowiekiem nieskazitelnej uczciwości, a poza tym nie było w kim wybierać. Nie znał się na polityce. Łatwo można było przewidzieć, że odda głos na każdego, kto tylko wyróżnia się przymiotami moralnymi, niezależnie od jego przynależności partyjnej. Jeśli w ogóle miał jakieś przekonania, to konserwatywne. W prawie widział kodeks religijnego sensu życia. Mówiono o nim, że od lat pracuje nad książką, która dowodzi wkładu Starego Testamentu do prawodawstwa amerykańskiego. Polowania na czarownice były dla Aschera barbarzyństwem. Irracjonalizm – grzechem. Przychodził do naszego zimnego domu, siadał, nie zdejmując płaszcza, z kapeluszem zsuniętym na tył głowy. Zadawał kilka pytań, odpowiadał na kilka, potakiwał i wzdychał, i potrząsał głową. Łatwo mu przychodziło wybaczyć moim rodzicom ich poglądy, bowiem komunizm w ich wydaniu był w jego oczach jednocześnie żalospisny i brawurowy. Jeden z dziennikarzy, którzy pisali o Paulu i Rochelle – żydowski krytyk literacki – powiedział, że są tak beznadziejnie głupi i pełni hipokryzji, że gotowi są nawet powołać się na swą żydowską wiarę, żeby tylko podtrzymać okazaną im w ostatnich miesiącach życia sympatię. Ten pisarz nie rozumiałby Aschera. Ani szerokich ramion moralnej świętości, którymi Ascher otaczał bezbożnego komunistę, kiedy ten pojawiał się w postaci wybrakowanego Żyda takiego jak mój ojciec, który nie ma najmniejszego pojęcia o tym, czym jest prawdziwy, konkretny świat ludzi i władzy. Ascher rozumiał, że można wyprzeć się żydowskiego dziedzictwa i uwierzyć w marzenie idealisty o rajku na ziemi, i mimo to, a może właśnie dlatego, nadal uważać się za Żyda.

EDUKACJA PRAWNIKA

Przyjrzyjmy się temu człowiekowi pełnemu dobrej woli, ale mniej utalentowanemu od innych, który jeździ do miasta metrem i studiuje prawo, bo wymaga tego bardzo silna konkurencja w federalnych urzędach prokuratorskich.

Po rewizji FBI matka otworzyła warsztat, żeby klienci mogli odebrać naprawione radia i żebyśmy mogli dostać pieniądze, które należały się ojcu. Potrzebowaliśmy każdego dolara. Nie wystarczyło na czynsz i chociaż Ascher powiedział, żeby nie zaprzętać sobie głowy jego honorarium, to przecież doszły kolejne ogromne wydatki, które dokładały nam zmartwień.

Wziąłem swoją niebieską puszkę z pieniędzmi i zaniósłem je matce: było tego chyba z osiemdziesiąt centów. Rozpłakała się i objęła mnie mocno, tak jak się spodziewałem. Chciałem, żeby płakała. Chciałem, żeby mnie objęła. Żeby doświadczyła tej chwili w całej jej ostrości, tak jak zaplanowałem.

Niewielu klientów przyszło do warsztatu. Ci, którzy przyszli, odwracali twarze, jakby, patrząc matce w oczy, mogli zarazić się jej pechem. Dotarły do mnie plotki, iż Rochelle ma tupet, żeby pokazywać się z dziećmi w warsztacie, gdzie każdy może widzieć jej wstyd. Nikt nie chciał mieć z nami do czynienia. W tej żydowskiej dzielnicy Paul Isaacson działał na szkodę Żydów. Czyż McCarthy nie wygłosił mowy na temat wielkiej wojny wydanej przez międzynarodowy, bezbożny komunizm chrześcijaństwu? Nikt nie miał wątpliwości co do tego, po której stronie są Żydzi – zdaniem Joego McCarthy'ego.

Matka była rozgoryczona reakcją sąsiadów. Zastanawiała się nad tym, czy nie zadzwonić do tych, którzy nie odebrali swoich radioodbiorników, ale zrezygnowała.

– Moglibyśmy równie dobrze mieszkać wśród wieśniaków – powiedziała Ascherowi. – Strach, głupota. Nikt, nawet ci nieliczni, którzy są nam życzliwi, nie chcą przyznać, że mój mąż może być niewinny.

– Nawet ci lepiej wykształceni – odpowiedział Ascher. – To skutek postawienia w stan oskarżenia przez Wielką Ławę Przysięgłych, które podważa zasadę domniemania niewinności. Ale nie martw się, sąd wciąż jest sądem i tam zapadnie wyrok. Nie na Sto Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy, tylko na sali sądowej.

Mój ojciec został oskarżony razem z Seligiem Mindishem i innymi, nie wymienionymi z nazwiska, o naruszenie Ustawy o Szpiegostwie z 1917 roku. Wyznaczona za niego kaucja wynosiła sto tysięcy dolarów. To oznaczało, że pozostanie w więzieniu do procesu, który miał się zacząć za

miesiąc, jak powiedział Ascher. Ascher wnioskował o zmniejszenie kaucji, która jego zdaniem była zbyt wysoka, ale prośba została odrzucona. Wojna w Korei toczyła się nie tak, jak się spodziewano, gazety roztrząsały kwestię rozmiarów zniszczeń, jakie spowodowałoby zrzuconie bomby atomowej na Nowy Jork. Tyle a tyle setek tysięcy zabitych; tyle a tyle milionów umierających na chorobę popromienną; tyle a tyle znajomych ulic obróconych w perzynę.

Warsztat został zamknięty.

Oto scena, w której Rochelle, dwoje dzieci i Williams, kolorowy, który mieszka w piwnicy, przenoszą części do radioodbiorników, narzędzia, pudełka z lampami etc. z Warsztatu

Radiowego do domu. Sprzątanie warsztatu przez kilka wietrznych i zimnych dni i powrót do domu z tonami śmieci – nawet Susan niesie w pulchnych, małych rączkach jakieś części. Williams pchający wózek z telewizorem, posuwający się niezdarnie, jakby w zwolnionym tempie, ubrany w swoje spłowieale, niebieskie ogrodniczki i rzucający groźne spojrzenia. Williams pchający pod górę wózek z telewizorem Sto Siedemdziesiątą Czwartą Ulicą. Warsztat jest już pusty. Puste witryny. Właściciel założył kłódkę na drzwi, a malarz śpiesznie zamalowuje napis „Warsztat Radiowy Isaacsona – Sprzedaż i Naprawa”.

Nasze życie się kurczy. Rodzina Isaacsonów istnieje teraz tylko w obrębie własnego domu. Za namiastkę ojca służy śrubokręt z gumową rączką, który wzięłam na pocieszenie, oraz kilka pustych pudełek po lampach, które poukładałam tak, żeby wyglądały jak komórki tworzące złożony organizm lub jak dzielnice nowoczesnego miasta. Także ciężki, stary, romboidalny mikrofon, którego używano w prawdziwej stacji radiowej. Można z niego nadawać na tajnej częstotliwości wprost do celi więziennej mojego ojca. Szeptem wydaję mu instrukcje, "co ma zrobić, kiedy usłyszysz dzisiejszego wieczoru pohukiwanie sowy pod swym oknem. To będzie nasza ekipa ratunkowa, która go uwolni. Zawiadamiam go, żeby był gotowy i czekał na dalsze polecenia. Roger potwierdza przyjęcie wiadomości. Roger, bez odbioru – odpowiadam.

Z gazet dochodzi mnie jego głos. W rozmowach z reporterami stwierdza, że wysuwane przeciwko niemu oskarżenia są absurdalne. Mam jego zdjęcie, jak stoi w kajdankach na Foley Square. Nie zna angielskiego naukowca, imigrantów kanadyjskich, inżyniera z New Jersey. Mindish jest dla niego jedynie przyjacielem. W miarę jak nasze życie się kurczy, rozrastają się obrazy, wzbierają głosy innego bytu, innego wymiaru. Zachowałam zdjęcie, na którym matka schodzi po schodach naszego domu, ręką zasłaniając twarz przed wycelowanym w nią obiektywem. A może jej gest ma wyrażać groźbę, jak głoszą nagłówki? W rozmowie z reporterem stwierdza, że jej mąż jest niewinny i że FBI zabrało rzeczy z jej domu, nie mając nakazu. W reportażu określono jej postawę jako wyzywającą.

W tym nowym wymiarze życia nasze istnienie rozkłada się między nagłówki gazet a wiadomości radiowe. Nasi żołnierze trafiają do niewoli i tam giną. Matka czyta o jakimś wzgórzu w Korei i mówi do mnie:

– To się odbije na nas.

Twarz ma bladą i skurczoną. Prawie nic nie je. Jest opanowana, ale często bez uprzedzenia chwyta mnie i obejmuje zbyt mocno albo przygląda się twarzy Susan, albo czesze ją z przesadną przyjemnością, napawając się dotykiem ciemnych, jedwabistych włosów albo ich zapachem po umyciu. Niekiedy mam wrażenie, że przygląda mi się tak, jakby sprawdzała, ile jest we mnie z ojca, a ile z Rochelle.

Przez tydzień czy dwa pod naszymi drzwiami zjawiali się jedynie reporterzy lub Ascher. Aż pewnego wieczoru rozległo się pukanie i wszedł jeden z interesujących ludzi, Ben Cohen, miły przyjaciel, zawsze taki niepozorny. Przyszedł prosto z pracy w metrze, gdzie zajmuje się wydawaniem reszty i które daje mu schronienie przed bombą atomową.

Na jego widok matka wybucha płaczem. Ben niezgrabnie poklepuje ją po ramieniu.

– Ben, to niemądre z twojej strony, że przyszedłeś. Bardzo nierozsądne. Zachowujesz się doprawdy głupio. – Matka okazuje mu wdzięczność.

On się wzdryga, potrząsa głową. Piją herbatę w kuchni. On gładzi palcami wąsy. Zapala fajkę. Zakłada jedną chudą nogę na drugą. Słucha, co mówi matka.

– Co go opętało, żeby to powiedzieć? Możesz mi to wyjaśnić? Tyle lat... Jeśli od przyjaciół nie można oczekiwać kultury i zwykłej przyzwoitości, to od kogo? Myślę o tym i myślę, i nie potrafię się w tym rozeznaczyć. Po prostu nie mogę zrozumieć, jak człowiek może zrobić coś tak strasznego. Zniszczyć rodzinę, zmarnować życie dzieciom.

Ben w milczeniu kiwa głową.

– Jego żonie też nie mogę wybaczyć. Nie znosiłyśmy się z Sadie Mindish. Bóg wie, co oni sobie ubzdurali.

– Chcę – odzywa się Ben – żebyś powiedziała swemu adwokatowi, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. Będę zeznawał jako wasz świadek. Wszystko.

– Paul już rozmawiał o tym z Ascherem. Powiedział mu, że nie chce nikogo wplątywać. Nie chce, żeby nasi przyjaciele byli w to zamieszani. Wygląda na to, że każdy, kto z nami przestaje, sam staje się podejrzany. Paul twierdzi, że nie chce ponosić za to odpowiedzialności, że byłaby dla niego zbyt wielkim ciężarem. Dla mnie też, Benie. Wystarczy nam świadomość, że zaofiarowałeś pomoc.

Jest coś w jej zachowaniu, jakieś dostojeństwo w znoszeniu cierpienia, które nie uchodzi mojej uwagi. Może dzięki temu, że waży każde słowo, że utrzymuje emocje w ryzach.

– Może potrzebujecie pieniędzy – błaga Ben Cohen cichutko.

Matka wybucha płaczem.

– Tak bardzo za nim tęsknię. Ascher twierdzi, że Paul czuje się dobrze. On sam też pisze, że czuje się dobrze. Ale jak człowiek w więzieniu może się czuć dobrze? Trzymają go pod kluczem jak jakiegoś pospolitego przestępcę.

Ben jest pierwszą kroplą z wąskiej strugi przyjaciół, którzy zaczęli nas odwiedzać. Nate Silverstein, kuśnierz o ochrypłym głosie i czerwonej twarzy. Henry Bergman, skrzypek. Zapomniałem, kto jeszcze. Było ich niewielu. Właściwie stawiali czoło nie tylko FBI, ale i miejscowej hierarchii partyjnej. Wiem, że przed upływem dwudziestu czterech godzin od aresztowania ojca oboje – on i matka – zostali skreśleni z listy członków Partii. Usunięto ich z rejestrów. Partia nie chciała, żeby ją kojarzono z kimkolwiek, kto został oskarżony o szpiegostwo. Szybko i po cichu zostali wymazani z życia.

Jednak każdy, kto przychodził, zostawiał kilka dolarów albo placek, albo funt ciastek z cukierni, albo pudełko cukierków od Kruma z ulicy Fordham. Susan spytała mnie: „Czy tatuś umarł?” Czułem podobnie. Tak samo jak w dniu, w którym umarła babcia i zeszli się goście. Jakbyśmy odprawiali szibah po moim ojcu.

Zapytałem matkę, co teraz będzie. Odpowiedziała, że odbędzie się proces, po którym sędziowie orzekną, czy ojciec jest winny. „Twój tato”, tak go nazwała.

– Proces pokaże, czy twój tato jest winny.

– Winny czego?

– Winny szpiegostwa, zdrady tajemnic państwowych. Ale tak naprawdę winny tego, że pragnął nowego świata, socjalistycznego, w którym nie ma miejsca na chciwość.

Wiedziałem, że tego był winny, i zacząłem płakać.

– Co się z nim stanie? Co się stanie z moim ojcem? Co oni mu zrobią? Czy go zabiją? Czy on umrze?

– Danielu, cicho. Chodź tutaj. Chodź. Ciągłe zapominam, że jesteś jeszcze mały. Czy to nie zabawne? Przytulę cię. Przytulę mojego Danny'ego. Jest takim dużym, dzielnym chłopcem, a ja stale zapominam, że wcale nie jest duży. Tak wspaniale opiekuje się swoją młodszą siostrzyczką, a ja zapominam, że on sam jest jeszcze dzieckiem.

– Nie jestem dzieckiem.

– Moją dzieciną.

Dotykałem jej policzka ustami.

– A potem wezmą ciebie – szlochałem.

– Nie, nie, kochanie.

– Doktor Mindish ciebie też zabije.

– Nie bój się Mindisha. Pożałuj go. Nie bój się żadnych Mindishów. Współczuj im. – Odsu-

nęła się ode mnie. Jej nastrój się zmienił. – Nikt nie może zrobić im większej krzywdy, niż oni sami sobie wyrządzają. Nikogo nie mogą skrzywdzić bardziej, niż skrzywdzili siebie. Zdrada, której się dopuścił, będzie go prześladować do końca życia. Będzie prześladować jego dzieci. Mindish na wieki będzie się smażył w piekle za okropny czyn, który popełnił. Sam siebie wykluczył z ludzkiej wspólnoty.

Nie mogłem powstrzymać łez.

– Przestań płakać, Danielu. Nie płacz. Nikt nam nie zrobi nic złego. Podnieś głowę. Wyprostuj się. Nie bój się. Nikt ci nie odbierze tatusia. Nikt nas nie rozdzieli.

Rochelle próbowała uratować resztki normalnego życia. Każdego ranka wyprawiała mnie do szkoły. Nienawidziłem wychodzić z domu. Wydawało mi się, że gdy mnie nie będzie, FBI ją porwie. Byłem przerażony na myśl o ich powrocie. Biegiem wracałem na lunch i biegiem wracałem po lekcjach o trzeciej.

Nigdy jej tego nie powiedziałem, ale w szkole nic już nie było tak jak dawniej. Któregoś dnia do klasy wszedł dyrektor i powiedział coś naszej nauczycielce, ale stanął pod samą tablicą, więc nikt nie mógł nic usłyszeć. Po jego wyjściu nauczycielka poprosiła mnie, żebym na chwilę poszedł do innej sali. Tamta sala była pusta, a ja przesiedziałem w niej do końca dnia. Następny dzień spędziłem w bibliotece, całe przedpołudnie i całe popołudnie. Kolejnego dnia, kiedy już pozwolono mi wrócić do mojej klasy, zostałem posadzony w pierwszej ławce w rzędzie przy oknie. Zastanawiałem się, co ma oznaczać ta zmiana. Zrozumiałem, że to nowe miejsce ma ograniczyć mój kontakt z innymi dziećmi. Nie przejmowałem się tym zbytnio. Właściwie było mi to na rękę, ponieważ co kilka minut mogłem podskoczyć i uwiesić się na kaloryferze, żeby wyjrzeć przez okno i rzucić okiem na dom – i sprawdzić, czy coś się zmieniło. Nauczycielka, uśmiechając się fałszywie, okazywała mi nadmierną troskliwość. Jakby bała się, że się załamie. Pozwalała mi wyglądać za okno tak często, jak tylko chciałem. To, że traktowała mnie inaczej niż kiedyś, sprawiło, że poczułem się samotny. Starła się zachowywać tak, jakby nic się nie stało, czym oszukiwała całą klasę. Dzieci to wszystko czuły. Czuły, kiedy za bardzo chwaliła mnie za odpowiedź na jakieś łatwe, główniane pytanko, jakbym był przedszkolakiem. Chciały porozmawiać o moim ojcu, ale nie pozwoliła na to.

– Czy ojciec Daniela jest szpiegiem?

– Nie będziemy teraz o tym mówić, kochani.

Moją matkę, która zmieniała się nie do poznania – była teraz szczupła i blada, cerę miała wręcz przezroczystą, przez skórę niemal dało się zobaczyć mięśnie i kości – porównywałem z tą matową nauczycielką, która malowała na czerwono usta i paznokcie, miała białe, błyszczące jak porcelanowe szkliwo zęby, pachniała wodą kwiatową i zwracała się do mnie „mój drogi”.

Dzieci z mojej klasy powiedziały mi, że w więzieniu wrywają kleszczami paznokcie, przykuwają łańcuchem do ściany, że zawsze jest tam ciemno, a szczury kąsają skazańców, że do jedzenia jest tylko chleb i woda, a w chlebie są robaki.

Że wojsko już rozstrzelało mojego ojca, bo był Ruskiem. Że Generał MacArthur przyleciał specjalnie z Japonii, żeby nożyczkami obciąć mojemu ojcu fiuta.

Zapytałem Rochelle, jak wygląda więzienie. Powiedziała mi, że podczas wojny jako ochotniczka brała udział w akcji Honorowego Krwiodawstwa. Któregoś dnia pobierały krew od mężczyzn siedzących w więzieniu na Manhattanie. Możliwe, że to było to samo więzienie. Powiedziała, że było tam bardzo czysto. W każdej celi prycza, krzesło i okno. To prawda, że okna i drzwi miały kraty, że ściany wyłożono kafelkami, że podłogi były cementowe i że nie było tam przytulnie. Ale było czysto. I więźniowie mogli czytać. I chodzili trzy razy dziennie na posiłki do sali jadalnej. I było tam małe podwórko, gdzie wychodzili na spacer. I mieli koce, żeby mogli się w nocy okryć.

– Naprawdę – matka uśmiechnęła się do mnie – nie jest tam tak źle.

Któregoś ranka powiedziała, że musi jechać do miasta złożyć zeznania przed Wielką Ławą Przysięgłych. Zanim wyszedłem do szkoły, przyszła dawna przyjaciółka babci, pani Bittelman, żeby zająć się Susan. Pani Bittelman uważała, że w nieszczęściu nie ma miejsca na politykę. Moja matka wpadła w rozpacz, kiedy otrzymała wezwanie, bo nie знаła nikogo, kto mógłby podczas jej nieobecności zająć się Susan. Nie miała pieniędzy, żeby wynająć opiekunkę. Obie siostry mojego ojca, Frieda i Ruth, pracowały, a poza tym od czasu, gdy Paul trafił do więzienia, żadna z nich ani

nie zadzwoniła, ani nas nie odwiedziła. Chyba uważały, że tylko im należy się pocieszenie. Wtedy matka przypomniała sobie o przyjaciółce babci, która mieszkała za rogiem, więc poszła do niej z prośbą, a uprzejma kobieta zgodziła się zostać z Susan.

– Będę z powrotem, zanim wrócisz ze szkoły, Danny. Ale gdybym nie zdążyła, to weź sobie mleko i ciastka, kiedy wrócisz. I zabierz Susan do parku. W lodówce zostawiłam ci na lunch kanapkę z masłem orzechowym i jabłko.

Nie chciałem, żeby wychodziła.

– Muszę iść, Danielu.

– Zamkną cię w więzieniu.

– Nie, nie zamkną. Chcą mi zadać kilka pytań, to wszystko. Po to jest Wielka Ława Przysięgłych. Pytają cię i słuchają odpowiedzi. Prokuratorzy chcą mnie zapytać o tatusia, a ja im powiem, że to okropne, co zrobili, i żeby zrozumieli, że jest niewinny.

Pojechała metrem, spotkała się z Ascherem na stacji przy Sto Sześćdziesiątej Pierwszej i dalej, do miasta, pojechali już razem. Miała na sobie czarny płaszcz, który sięgał jej niemal do kostek, jak to było wówczas w modzie. Odwinęła zakładkę, żeby był jeszcze dłuższy. Miała też na sobie niebieską sukienkę z białą stójką. Na ręce małeńki zegarek, który ojciec dał jej jeszcze przed ślubem. Na głowie mały, czarny kapelusik, który nazywała poduszką na szpilki.

Po raz ostatni widziano ją w czarnym, miękkim płaszczu z odwinętą zakładką i w czarnym kapelusiku w kształcie poduszki na szpilki. Po raz ostatni moją matkę widziano z małeńkim zegarkiem na ręce, na pięknym, smukłym przegubie z wystającą kostką i uroczymi, cienkimi, niebieskimi żyłkami. Zostawiła za sobą posprzątaną dom, a w lodówce kanapkę z masłem orzechowym i jabłko. Na podwieczorek miałem swoje mleko i ciastka. I nigdy nie wróciła do domu.

Matka opuściła mnie ubrana w długi, czarny płaszcz i kapelusz. Chociaż nigdy nie nosiła kapelusza, tego dnia go nałożyła. Czarny, niemal niewidoczny na gęstych, czarnych kręconych włosach. Na lunch zjadłem kanapkę z masłem orzechowym i jabłko z lodówki. Pani Bittelman uśmiechnęła się do mnie i powiedziała, że jestem milusim chłopczikiem. Punktualnie o trzeciej wróciłem do domu i wypilem szklankę mleka, i zjadłem dwa ciastka z cukrem. Matka ciągle nie wracała. Czekałem na nią. Bawiłem się z Susan. Pani Bittelman co rusz szła do drzwi i wyglądała na dwór. Czekałem. Zrobiło się ciemno. Pani Bittelman zaczęła cicho zawodzić i potrząsać głową, jakby wraz z nadejściem nocy wrócił jakiś chroniczny ból. Była tęgą, starą kobietą ze spuchniętymi nogami, która chciałaby wreszcie usiąść. Nadeszła pora kolacji, więc rozejrzała się po naszej kuchni, ale nic nie znalazła i postanowiła pójść do swego domu, i ugotować nam coś do jedzenia. Chciała, żebyśmy z nią poszli. Nie zgodziłem się.

Powiedziałem, żeby poszła sama, a ja z Susan poczekam na nią w naszym domu. Pani Bittelman poszła. Czekaliśmy z Susan na matkę. Było zimno. Usiedliśmy w kuchni. Reszta domu tonęła w ciemnościach. Co chwilę szedłem do ciemnego korytarza i wyglądałem na dwór, żeby zobaczyć, czy matka wraca. Zaczął sypać śnieg i osiadał na wszystkim. Zapaliłem światło w korytarzu. Usiadłem w kuchni i zacząłem się bawić z Susan. Dopytywała się, gdzie jest mamusia. Kaprysiła. Wreszcie zasnęła z głową na stole. Czekałem. Siedziałem prosto na krześle. Głowę trzymałem wysoko. Nasłuchiwałem, czy Williams jest w domu, na dole, w piwnicy. Nie słyszałem go. Bałem się wyjść z kuchni, żeby sprawdzić. Musiałbym wyjść na dwór albo zejść po ciemnych schodach do piwnicy.

Potem usłyszałem, jak wychodzi: najpierw puka do drzwi od piwnicy, potem je szarpie. Przekręciłem klucz, otworzyłem i biegiem wróciłem do stołu. Stał w progu. Byłem przerażony. Sięgał głową sufitu. Stał tam i patrzył na nas w morderczym gniewie. Przyniósł ze sobą groźny zapach whisky. Oczy miał przekrwione.

– Mamusia was zostawiła tu samych?

– Nie, zostawiła nas z panią Bittelman, ale ona poszła do domu, żeby zrobić nam kolację.

– Nikt wam nie powiedział?

– Co?

– Dobry Jezu. W radiu gadali.

I wtedy zaczął dzwonić telefon.

CZYŻ PAN MÓJ NIE OCALIŁ DANIELA?

– Paul Robeson

Knuty. Knuty były podstawową karą za ciężkie przestępstwa wymierzaną w carskiej Rosji aż do końca dziewiętnastego wieku. Stosowano ją wyłącznie wobec chłopów pańszczyźnianych. Zanim zebrala się cała wioska, chłopu zdzierano koszulę i przywiązywano mu ręce, nogi i kark do drewnianych drągów. Knut był batem ze skórzanych rzemieni, który w rękach tęgiego kata mógł rozciąć ciało do kości. Sir Robert Porter pisze w *Notatkach z podróży po Szwecji i Rosji* (Londyn, 1809), że był świadkiem chłosty wymierzonej woźnicy oskarżonemu o zamordowanie swego pana. Mówi o „krwawych razach knuta” spadających na odrętwiałe z bólu ciało ofiary. W tym wypadku wymierzono dwieście razy. Następnie ofiara, która jakimś cudem wciąż żyła, została ceremonialnie oszpecona, na wypadek gdyby miała przeżyć. Włożono jej do nosa pęsetę i nagłym szarpnięciem oderwano nozdrza od twarzy. W 1807 roku uchwalono prawo, że słabsi nie mogą otrzymać więcej niż trzydzieści uderzeń knutem. Możemy nazwać to oświeconym prawodawstwem? Jednakże w słynnej sprawie o zamordowanie kochanki księcia Arakczejewa, ministra wojny w rządzie Aleksandra, sprawcy, brat i siostra, oboje poniżej osiemnastego roku życia, zmarli po otrzymaniu siedemdziesięciu razy. Według Michaela Jenkinsa, autora *Arakczejewa, wielkiego wezyra imperium rosyjskiego* (Dial Press), cały system pańszczyźniany opierał się w zasadzie na stosowaniu okrutnych kar cielesnych, co nasiliło się po powstaniu chłopskim w 1774, za panowania Katarzyny. Kajdany, knuty, dyby, bicze do chłosty i więzienne klatki były – podobnie jak chomąta – standardowym wyposażeniem rosyjskich majątków. Chłopi nie mieli prawie żadnej szansy znalezienia dla siebie sprawiedliwości, bo pan posiadał właściwie nieograniczoną władzę nad ich życiem. Byli pod tym względem braćmi chłopców okrętowych w angielskiej flocie handlowej i ordynansów w angielskim wojsku, których chłostano równie często z tych samych klasowych powodów i w tak samo barbarzyński sposób. I którzy mieli równie nikłą szansę na uzyskanie zadośćuczynienia za doznaną krzywdę. Por. czarni niewolnicy w Ameryce.

Palenie na stosie. Praktyka znana wszystkim narodom europejskim do dziewiętnastego wieku. Lubowali się w niej duchowni. Stosowana również wobec Indian w Ameryce Północnej. W dwudziestym wieku spotykana wyłącznie na Południu Stanów Zjednoczonych, często w połączeniu z kastracją. Dokonywana na członkach niższych klas społecznych.

To nie przypadek, że spalona na stosie Joanna d'Arc była chłopką.

Zbadać historię kar cielesnych pod kątem różnic klasowych. Zawsze istniały zwolnienia dla klas uprzywilejowanych. W Anglii wysoko urodzonych szlachciców nigdy nie włączono koźmi ani nie ćwiartowano. W Rosji chłostano tylko chłopów. Za to samo lub podobne przestępstwo klasy wyższe skazywane były na stosunkowo bezbolesną i nie poniżającą karę. Jeśli na śmierć, to szybką. Nigdy na zbezczeszczenie zwłok. Jeśli z takiego czy innego powodu wobec przestępcy z wyższej klasy trzeba zastosować tortury, odprawia się pewne obrzędy, za pomocą których dokonuje się przewartościowania i które wykluczają go z jego klasy przed wymierzeniem kary. Ekskomunika kościelna, ekskomunika plemienna. Niewierny albo wróg, podobnie jak niewolnik, może zostać poddany egzekucji bez żadnych skrupułów.

W czasie rewolucji francuskiej po raz pierwszy klasa społeczna przestępcy przestała określać rodzaj kary, którą mu wymierzano. Pod gilotyną stawał każdy – od króla po Dantona.

Można powiedzieć, że cały podział klasowy społeczeństwa opiera się na różnicach w stosowanych karach cielesnych. Klasy społeczne biorą się z tych różnic i dzięki nim trwają. Władza głowy państwa w systemie autorytarnym bierze się z poparcia klas wyższych albo uprzywilejowanej biurokracji – ustanawiających swój rząd i dzielących się apanażami – nie zaś z poparcia mas. Przeciwnie, lojalność mas wymuszana jest nieustannym fizycznym zastraszaniem. W miarę dojrzewania społeczeństw zaczynają dominować złożone systemy kar cielesnych oparte na kategoriach ekonomicznych. Dlatego Marks użył określenia „zniewolenie” do opisanie roli, którą klasa robotnicza odgrywa w kapitalizmie. Zniewolenie oznacza stan całkowitej uległości wobec kar cielesnych. Jednak w czasach próby klasy rządzące przypominają sobie o dosłownym, a nie, jak zwykle, symbolicznym wymiarze posiadanego prawa do stosowania kar cielesnych wobec klas niższych, zazwyczaj

w imię praworządności. Przepięstwo popełnione przez członka klasy niższej nigdy nie jest wymierzone przeciwko innej istocie ludzkiej, ale zawsze przeciwko porządkowi i władzy państwowej.

Zapisałem wszystko, co zapamiętałem z ich działalności i rozmów z okresu przed aresztowaniem. A przynajmniej tak mi się wydaje. Przesiałem to przez palce. Nie znalazłem żadnego dowodu, który potwierdzałby czy to ich winę, czy niewinność. Przypuszczalnie nie byli ani winni, ani niewinni. Oczywiście, ich reakcja na pukanie do drzwi mogła wydawać się odrobinę osobliwa – jakby wiedzieli, na co się zanosi. Ale nie wiedzieli. I tak samo wszyscy inni, którzy mieli wówczas jaką taką świadomość. Szerzyły się idee polityczne, których demokracja amerykańska nie mogła dłużej tolerować. Jeśli ktoś był żydowskim komunistą, antyfaszystą; jeśli krzyczał: „Pokój!” i okłaskiwał Vita Marcantonia na zjeździe Partii Postępowej na Stadionie Jankesów; jeśli był biedakiem – jeśli był wszystkim tym naraz, to wiedział, na co się zanosi. Jeśli człowiek był biedakiem i wyznawał którykolwiek z powyższych poglądów, wiedział, co się święci. Mógł nawet poczuć ulgę na myśl, że nie musi dłużej czekać. Mógł zażądać od społeczeństwa, aby nie zmuszało go do czekania ani chwili dłużej.

WYCIECZKA DO MIASTA

Riverside Park. Był już wrzesień, kiedy któregoś sobotniego poranka, bardzo gorącego, Phyllis poprosiła mnie, żebym nie szedł do biblioteki. Żebym zrobił sobie jeden dzień przerwy i poszedł z nią i małym do Riverside Park na spacer. Może ochłodzimy się trochę nad rzeką. Panował okropny upał, codziennie dochodziło do zamieszek w metrze i podpalali się ludzie, a my wychodziliśmy z naszej rozłąki, która zaczęła się w Dniu Pamięci. Odzyskiwaliśmy siły, lepiej się nawzajem rozumieliśmy. Oboje nabraliśmy wypłowiałego od nowojorskiego słońca wyglądu i oboje żyliśmy w napięciu. W parku podrzucałem Paula i łapałem go, a on się śmiał. Phyllis się uśmiechała. Kątem oka zobaczyłem, że staruszka z laską, która na chwilę przerwała spacer, też uśmiechnęła się na widok uroczej, młodej rodziny. Podrzuciłem synka trochę wyżej, a on zapiszczał jeszcze głośniejsze, gdy go złapałem. Szliśmy przez park. Podrzuciłem go coraz wyżej, więc przestał się śmiać i krzyknął. Podrzuciłem go jeszcze wyżej i złapałem tuż nad ziemią. Wtedy Phyllis zaczęła błagać mnie, żebym przestał. Dziecko zacisnęło usta, koncentrując się na swym strachu. Jego twarzyczka – moja twarz Isaacsona – została uwieczniona w całkowitym, niemym strachu przed zapierającym dech lotem do nieba i jeszcze bardziej przerażającym spadaniem na ziemię. Nie mogę spokojnie myśleć o tym morderczym uczuciu. Phyllis ciągnęła mnie za rękę, żebym przestał podrzucać dziecko coraz wyżej i ryzykować, że go nie złapię. Nie potrafię sobie przypomnieć, co wtedy myślałem. Chyba jego ciężar, waga jego ciała spowodowała mnie do tych wybryków. Czuję się dobrze, kiedy opuszczają moje ręce, i źle, kiedy powracało i wywoływało wstrząs w mięśniach ramion. Przyjemność sprawiał mi strach jego matki. Kiedy wreszcie przestałem, złapała Paula, usiadła na ławce, objęła go i siedziała tak, tuląc go mocno. Był trupio blady. Rozejrzałem się i zobaczyłem kilku ludzi gapiących się na mnie z drugiej strony ulicy. Wyniosłem się stamtąd.

Czternasta Ulica. Daniel Lewin wsiadł do metra na West Side i dojechał do Czterdziestej Drugiej, gdzie przesiadł się na autobus zmierzający w stronę Lexington Avenue, a potem wzdłuż Lex do śródmieścia. Wysiadł w samym środku wieczoru późnego lata, wieczoru z pizzą, fistaszkami i hot dogami, jarzącego się blaskiem neonu S. Kleina na Union Square. Chociaż w oddali zamykał mu czerwony autobus nadjeżdżający z Avenue B, postanowił pójść pieszo. Mijał sklepy z płytami, okazyjne wyprzedaże, dawny sklep Luchowsa, latynoskie kino, ślusarza, księgarnię z wydawnictwami pornograficznymi. Czternasta Ulica była najbardziej przygnębiającą ulicą na świecie. Wszystko w jej pobliżu było tanie i beznadziejne, pewnie dlatego, że przylegała do Union. Nieprzerwany ciąg sklepów z tanim obuwiem i tanią odzieżą przypominał linię montażową lichych nadziei skąpanych w czerwonym, żółtym i zielonym świetle. Klienci ze swoimi banknotami jednodolarowymi złożonymi starannie w portfelach; migdałowookie słowiańskie matki z córkami o delikatnych wąsikach, szukającymi kandydata na męża, który by je porwał daleko stąd; odziani w pastelowe kretony Czarni, od których bił żar beznadziejności; Latynosi jak gołębie wydziobujące okruchy z gorącego chodnika – wszyscy przemierzali Union w tę i z powrotem, nie rozglądając się

na boki, tak jak przechodzi się przez cmentarz. Szedł przez plac, żeby dostać się na odległą ulicę po wschodniej stronie. W oddali, na tle bezwietrznego wieczornego nieba, rysowały się kominy Con Edison dymiące jak lufy armatnie. Kiedy Daniel skręcił w wąską Avenue B, natychmiast zrobiło się ciemno. Od razu poczuł się lepiej.

Park na Placu Tompkinsa. Park jest zatłoczony. To nie Czternasta Ulica, to wspólnota. Fenomen. Muzyka dochodząca z setek tranzystorów. Mambo. Psy goniące za kością, psy na smyczy, psy włączające się hordami. Mecze piłki ręcznej na ogrodzonych boiskach, mężczyźni i dziewczyny. Dziewczyny są dobre. Pokrzykują po hiszpańsku. Psy uganiają się po boisku za piłką. W całym parku na ławkach siedzą stare Ukrainki w chustkach na głowach. Trzymają na smyczach małe, jazgoczące pieski. Starzy mężczyźni grają w szachy na kamiennych stolikach. Pod nimi leżą z wywieszonymi językami stare psy staruszków. Zboczem dużego, zaśmieconego pagórka w środku parku turkają się pies i chłopiec. Obok snuje się jakiś nahajowany gość: bosi, z czerwonymi, spuchniętymi nogami. Pies warczy na niego. Za staruszkami w chustkach na głowie siedzi na metalowej barierce blondynka. Otaczają czterech czarnych facetów. Jeden z nich opowiada jej coś z przejęciem. Ona gapi się przed siebie. W jej radiu leci Aretha. Śpi jej pies uwiązany na smyczy. Na środku parku jest brukowany plac, na którym stoją przenośne ławki i muszla koncertowa odgradzona kurtyną ze stalowej siatki. Dziś nie ma przedstawienia. Ławki są poskładane, grupa hipisów tłoczy się wokół gitarzysty, po estradzie w tę i z powrotem ganiają psy jak kule bilardowe. Dwa policyjne wozy stoją na Dziesiątej Ulicy. Mambo, mambo. Z tysiąca tranzystorów leci rock.

Avenue B.

– Pewnie, znam twoją siostrę. Co u niej?

– Jest chora.

– Pewnie, ja też. Mam zapalenie wątroby, nie podchodź za blisko.

W pokoju jest pięć osób, w tym dziewczyna, która zbiera materiały do artykułu dla „Cosmopolitana”. Dziennikarka robi krok w tył, jej fotograf robi krok w tył.

– Robi sobie jaja – wyjaśnia dziewczyna Artiego. – Wyszedł ze szpitala na dwa tygodnie.

– Z moją wątrobą jest źle. – Artie zwala się bezwładnie na materac. – Mam cykorię. Cykora. Żółtaczkowego cykora. – Wszyscy wybuchają śmiechem, bo reputacja Artiego Sternlichta przeczy jego słowom. – Wątróbkowego cykora. Hej, kotku, dlaczego nigdy nie robisz mi wątróbki?

– Zrobię, kotku. – Klęczy przy nim i trzyma jego dłoń na podołku. – Dorobił się tego przeze mnie.

– Co to znaczy? – pyta dziennikarka.

– Najlepsze psy są bardzo pomysłowe – mówi Artie. – Ostatnio wymyślili, że zrobią mi badanie krwi. Powiedziałem im: „Ode mnie krwi nie pobierzecie. Chyba z pięćdziesiąt razy lądowałem w pudle i nigdy mi nie pobierano krwi. Dotkniecie mnie tą igłą, a wkopię wam jaja w dupę. Moi kumple dostali instrukcje, że jak nie przekażę im innych poleceń w ciągu dwudziestu czterech godzin, to zaatakują komendę. A potem podłożą bombę U Murphy'ego”. U Murphy'ego to bar, gdzie się spotykają po robocie. Więc się śmieją i jeden mówi: „Artie, albo pobierzemy ci trochę krwi, albo zapudłujemy twoją dziewczynę. Zamkniemy ją za posiadanie narkotyków. Wsadzimy ją do aresztu kobiecego, do celi z lesbijami. Chcesz tego?” Więc pozwoliłem skurwielom wbić mi w ramię ich brudną igłę. Tego chcieli, tylko tego. Znaczą się, co policja musi wiedzieć o krwi? Czy jest czerwona? Pierdolone wampiry. Jak im się poszczęści, to może umrę.

– Twierdzisz, że policja umyślnie zaraziła cię żółtaczką?

Sternlicht nie odpowiada, odwraca głowę i spogląda na mnie.

– Siadaj, stary. Pogadam z tobą, ale zejźdź na mój poziom. Chodź, zniż się do poziomu robotli.

Sternlicht ma na sobie drelichowe szorty, na nogach sandały. Jest bez koszuli. Ma długą, liśnią szczękę i urodę chytrusa. Może i jest chory, ale jego ciało wygląda na silne i wysportowane. Ma płaski, szeroki nos, szerokie usta, zepsute zęby i długie, sięgające ramion włosy. Na czole wyszywana paciorkami opaska, która nadaje mu wygląd Indianina. Jasnoszare oczy, podobne do oczu

żony Daniela, robią wstrząsające wrażenie, bo rzucają bystre i przenikliwe spojrzenia na przekór otaczającej go aurze brudu. Wyciągnięty na boku leży na gołym materacu rzuconym wprost na podłogę, ręką podpierając głowę. Fotograf krąży po pokoju, pstrykając zdjęcia we wszystkich możliwych ujęciach.

– Jaka przyszłość czeka Lower East Side? Co się stanie? – pyta dziennikarka.

– No cóż, u hipisów nie jest najlepiej i cała komuna wrze. Meksyki nie lubią ćpunów. Nikt nie lubi psów. Nie wiem, jak to jest, kotku? Macie tu PLP (*Progressive Labour Party - Postępowa Partia Pracy*) i W. E. B. Du Boisa, lokalnych reformatorów, diggerów, jak ja sam, kilka czarnych ugrupowań wywrotowych, każde dziwadło, jakie tylko możecie sobie wymyślić. W końcu zbierzemy to wszystko razem, całe to nasze gównno zbierzemy w jednym miejscu. Wszystkie dziwadła znajdą się razem. Od tej chwili już nie będziemy dziwadłami. Wtedy staniemy się namacalnym, prawdziwym zagrożeniem.

– Tak? – dziewczyna czeka na ciąg dalszy.

Sternlicht patrzy na nią.

– Pierwsza rzecz, na jakiej nam zależy, to dostać czasopisma kobiece – mówi. – Uwolnić te dziewczyny, które piszą o seksie i randkach. Ściągniemy im majtki i wsadzimy stokrotki w cipki.

– Nie wątpię – mówi reporterka. – Czy to jedna z tych uwag, z powodu których ludzie mówią, iż ruch pokojowy powinien się ciebie pozbyć?

– Jacy ludzie? Pytanie brzmi, czy rewolucja powinna się pozbyć ruchu pokojowego. Masz na myśli tych wszystkich dudków, którzy maszerują ulicami i myślą, że coś zmieniają? Marsze pokoju organizuje się dla klasy średniej, żeby obłupić ją z forszy. Ruch pokojowy jest elementem wojny. Orzeł czy reszka – oba są na tej samej monecie. Indianin czy bizon, to ta sama cholerna pięciocentówka. No nie? A i tak są to dwa wymarłe gatunki.

– Nie tak szybko, nie mam stenografa – wtrąca dziewczyna. Ma blond włosy w odcieniu miodowym i sztuczne rzęsy, jest bardzo chuda, ubrana w kombinezon spadochroniarski. Kiedy pochyla się nad notatnikiem, Artie spogląda na swych przyjaciół siedzących na podłodze pod oknem. Ze świstem wciąga powietrze i potrząsa ręką, jakby sparzył się w palce. Tamci się śmieją.

– Hej! – woła fotograf. – Masz siłę wstać? Chcę ci pstryknąć fotę na tle tej ściany.

Sternlicht natychmiast zrywa się na równe nogi i staje pod ścianą w pozie Chrystusa, z rozłożonymi ramionami i opuszczoną na bok głową. Wywraca oczy i wywiesza język.

– Super – stwierdza fotograf i robi zdjęcie.

– Pod ścianę! – wrzeszczy jeden z przyjaciół. Artie zsuwa opaskę z włosów na oczy i staje z rękami przyciśniętymi do ciała. Jego dziewczyna wtyka mu w usta papierosa.

– Bomba – stwierdza fotograf i robi zdjęcia z przykłęku, na stojąco, z bliska i spod przeciwległej ściany.

Ściana jest interesująca. W całości pokrywa ją kolaż ze zdjęć, fotosów, plakatów i przedmiotów trójwymiarowych. Babe Ruth obiegający bazy, Marlon Brando na rowerze, Shirley Tempie w baletkach, FDR, kostium bikini opryskany złotą farbą, Marilyn Monroe z kalendarza, Myszka Miki, Waszyngton Gilberta Stuarta z dorysowanymi ołówkiem wąsami, prawdziwa czapka Legionu Amerykańskiego, Fred Allen przed mikrofonem, Susan B. Anthony z zaciśniętymi ustami, Paul Robeson, Sammy Baugh w popisowym minięciu, Calvin Coolidge w pióropuszu indiańskim, bitwa powietrzna z czasów pierwszej wojny światowej, grupa więźniów skutych jednym łańcuchem przy robotach drogowych, stara lalka, dziewczyna robiąca to z osłem, zbrązowiałe okładki od *Przeminęło z wiatrem* i *Jedynego świata* Wendella Willkiego, wkładka spryskana srebrną farbą, zlepek niedopałków, plakat do *Śmierci komiwojażera*, młody Elvis, Murzyn powieszony na drzewie, biały sprzedawca jabłek po pięć centów...

– Rewelacja! – ogłasza dziennikarka.

– Słyszysz? – Sternlicht zwraca się do swojej dziewczyny. Okazuje się, że to ona jest autorką tego dzieła.

Reporterka jest pod wrażeniem.

– Jesteś wspaniała! Ile czasu ci to zajęło?

– No cóż, właściwie jeszcze nie skończyłam – odpowiada dziewczyna Sternlichta – stale, no

wiesz, zbieram te wszystkie szpargały, a kiedy mam już tego pełno, wybieram co lepsze i przylepiam. Pod spodem jest materia, której nigdy już nie będzie można oglądać. Myślę o pokryciu, no wiesz, wszystkiego, całego domu. Kapujesz? – Wybiera garść gazetowych wycinków i zdjęć leżących na stole w kącie. Pozwala im wypaść z ręki, sfrunąć na podłogę i zawładnąć przestrzenią. Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Nie traktujesz swojej pracy poważnie – stwierdza reporterka – ale moim zdaniem widać w niej twój ogromny talent. Czy masz jakieś wyższe wykształcenie?

– Hm – dziewczyna rzuca okiem na Sternlichta i zaczyna się śmiać – jeśli w ogóle ktoś przysłużył się mojej sztuce, to pan Magruder.

Sternlicht parska śmiechem.

– Pan Magruder jest naszym gospodarzem, dlatego, no wiesz, zaczęłam to robić. Żeby zakryć dziury w ścianie. Papier to bardzo dobra izolacja.

Sternlicht opada na materac, sadza sobie na kolanach dziewczynę i oboje zanoszą się śmiechem i obejmują. Fotograf pstryka.

– Nie wciska ci kitu – potwierdza Sternlicht. – Ty wiesz, jak tu lodowato zimą? Wszystkie rewolucje zaczynały się od lokatorów. Wszystkie rewolucje zaczynały się od dzierżawców, którzy w zimie odmrażali sobie tyłki.

– To rewelacja – upiera się dziennikarka, gapiąc się na ścianę. – Powinno mieć jakiś tytuł. Dałaś temu jakiś tytuł?

Artie Sternlicht i jego dziewczyna spoglądają sobie głęboko w oczy. Odpowiadają unisono, a przyjaciele powtarzają chórem: **RZECZY, KTÓRE BYŁY PRZEDTEM, NIC NIE RÓŻNI!**

Reporterka spogląda na fotografa i już wiesz, że złapała trop i tekst pisze się sam. Wszyscy są szczęśliwi.

MÓWKA STERNLICHTA

Mówi bardzo szybko, zgrzytliwym głosem, który łamie się wzruszająco na puencie. Gada, podskakując, wymachując rękami, odgrywając swe opowiadanie.

– Jak powiedziałaś, ruch powinien się nas pozbyć. Dobra. Nie pojechałem na przedmieścia, by wziąć udział w spotkaniu koalicyjnym, na którym miał powstać program przyszłorocznego zjazdu? To są miłe dzieciaki, dzieciaki z Nowej Lewicy, które wiedzą, co w trawie piszczy. Powinnaś posłuchać, jakie pierdoły opowiadają. Demokracja przedstawicielska. Dokooptowywanie. Restrukturyzacja. Antyinstytucjonalizm. Stara, co to za słowa. To namiastki życia. Wstałem i powiedziałem: „O czym wy, do cholery, mówicie? Co z rezolucjami i komitetami? Stary, co ty za pierdoły opowiadasz? Znaczy się, naprawdę nie potrzebujesz, żeby dokooptowywał cię jakiś pieprzony establishment. Sam się dokooptujesz. Widzisz to krzesło? To jest krzesło, stary”. I połamałem to pierdolone krzesło na drzazgi – rzuciłem je na podłogę, podeptałem i do reszty pogruchotałem to cholerne krzesło. I cały czas wrzeszczałem: „Patrzcie na Sternlichta, jak łamie krzesło! Łamię krzesło!” I podniosłem kawałki. „Rozpierdolmy ich. Dołóżmy im. Wysadźmy Pentagon! Rewolucjonista to ktoś, kto wywołuje rewolucję. Jeśli chcecie siedzieć tutaj i bić pianę, dobra, ale nie nazywajcie tego rewolucją”. No i wywołałem zamieszki! Ale była zadyma! Wszyscy się wściekli jak diabli i spotkanie wyraźnie się ożywiło. Trzeba odrzucić wszystko, co nie jest prawdziwą rewolucją. Trzeba skończyć z teoretyzowaniem na jej temat, marzeniami o niej, czekaniem na nią, przygotowywaniem się do niej, urządzaniem na jej rzecz demonstracji. To wciąż nie jest rewolucja. Nie jest i nigdy nie będzie. Rewolucja wybucha. To działanie! To przemiana świata. Nowe zwierzę. Nowa świadomość! To ja! Ja jestem Rewolucją!

– Ale nawet Fidel ma jakiś plan – wtrąca reporterka.

Jej uwaga zostaje zbyt absolutnym milczeniem. Sternlicht obrzuca spojrzeniem przyjaciół siedzących w kącie. Odzywa się jeden z nich, tłusty dzieciak z rozwichrzoną brodą:

– To prawda. Panie Sternlicht, co pan na to? – Wszyscy się śmieją. Dziennikarka się rumieni.

– Dajcie spokój – Artie unosi ręce. – To sensowne pytanie. Dobra. Na Kubie zrozumieli, co to rewolucja, kiedy wcielili ją w życie. Kubańczycy to banda stukniętych szpiegów, którzy najpierw

coś robią, a potem patrzą, co z tego wyszło. Jeśli nie wychodzi, zmieniają sposób działania. Ale powiadasz, że Fidel ma plan. Czy to ma znaczyć, że nasza rewolucja powinna przypominać rewolucję w wydaniu Fidela? Nie, to ma być nasza własna rewolucja. Kapujesz? Odpowiem ci na twoje pytanie. Ono dotyczy taktyki. Fidel pobił swoją rewolucją bandę podrzędnych, latynoskich gangsterów i United Fruit Company. Ale nasza rewolucja ma nas uwolnić od tego. – Pokazuje palcem na kolaż. – Liberalny korporacjonizm, George Waszyngton, pedalski ruch pokojowy, gruba forsa, hardware, astronauta. Nasza rewolucja ma nas uwolnić od czegoś, co ma własny, całkiem niezły impet. Nie wzniesi się jej, idąc w góry z kilkoma strzelbami. No nie? Jedyni ludzie w Stanach, którzy wiedzą, że są niewolnikami, to Czarni. Dzisiaj smoluchy nie muszą się organizować, bo rodzą się z nienawiścią do tego gównianego życia, bo od urodzenia ich celem jest zginąć za sprawę. A białe wyrzutki, zaniedbane dzieciaki, ci cali hipisi, luzacy, to wszystko ruch zbiegłych niewolników. Naprawdę. Więc może oni o tym wiedzą. Ale reszta? Dzieciaki, które chodzą do szkoły, żeby później zrobić karierę, te gnidy kupczące robotnikami, ci wszyscy alfonsi z dzielnic podmiejskich, którzy podtrzymują ten system opierający się na wyzysku, którzy dźwigają go na swoich barkach i myślą, że są dobroczyńcami. Uważam, że to rodzaj podwójnego myślenia, a nie tylko zwykłe stłumienie tego, co złe, nie? Mój kraj postawił ci stopę na karku, a ty myślisz, że stoisz wyprostowany. Wciska ci twarz w gnój, a tobie się wydaje, że spoglądasz w niebo. Chodzi mi o to, że nie potrafisz skojarzyć tego, jak postępujesz, z nienawiścią, jaką darzą cię w Chile. Masz fioła na punkcie kryzysu tożsamości. Sądzisz, że jesteś przyzwoitym facetem. Nie masz uprzedzeń. Wierzysz, że można się uczciwie dorobić. Dostajesz wylewu. Masz długi hipoteczne. Twoje płuca to jeden wielki śmietnik. Slepnieiesz wśród cudów architektury. Łudzisz się, myśląc, że Biali mogą się czegoś nauczyć, że Czarni sami polepszą swój byt. **ŁUDZISZ SIĘ, ŻE WIDAC POSTĘP. ŻE TWOIM DZIECIOM BĘDZIE LEPIEJ. JESTEŚ PRZEKONANY, ŻE ROBISZ TO DLA SWOICH DZIECI!**

– Ty, Sternlicht, zamknij ten swój pierdolony dziób!

– Ty, Artie, wypierdź to!

– Sternlicht, wyssij się!

Głosy dochodzą z ulicy. Sternlicht wspina się na parapet i wychodzi na schody pożarowe.

Podnosi pięć i przeskakuje przez barierkę.

– **WSZYSCY, KTÓRZY ZNAJDUJĄ SIĘ W TYM DOMU, SĄ ARESZTOWANI!**

Na zewnątrz rozlega się śmiech. Obecni w pokoju tłoczą się do wyjścia na schody pożarowe. Przyjaciele z piętra i przyjaciele z chodnika docinają sobie nawzajem. Na Avenue B panuje duży ruch. Wąską jezdnią suną auta. Z powodu upału pełno ludzi wyległo na ulicę. Z parku na Placu Tompkinsa, oddalonego o dwie przecznice, płynie tętniąca energią fala muzyki, krzyków i ciepła zebranych tam ludzi. Świat przyszedł do Ameryki, na Avenue B. W barze po drugiej stronie ulicy kłębi się ogromny tłum, Daniel widzi przez okno stare, zmatowiałe lustro w ramach z polerowanego drewna i odbłask ekranów telewizyjnych. Nagle dostrzega Lower East Side oczami Sternlichta: inkubator i rezerwat dzikich zwierząt, jakby stworzony właśnie dla niego. *Z nędzarcami tego świata chcę dzielić swój los.*

Próbowałem wyłowić z hałasu dźwięk któregoś z radiodbiorników albo adapterów, bliższego lub dalszego. Nie udało się. Muzyka dochodziła zewsząd, przypominała naelektryzowane powietrze, jakby rozpalone do białości.

Wielka łaska, wielka łaska, tego wieczoru na schodach pożarowych w oparach maryški jak pod żelazną chmurą nad Avenue B znajduje się jeszcze ktoś kto rozumie, że to co mówi i robi jest ważne I ma poczucie własnej wartości i wartości swego życia i nagle jego otoczenie zyskuje na wyrazistości a głos potężnieje i miliony ludzi słyszą i każdy odprysk farby na pordzewiałych schodkach pożarowych jej położenie i prądzieje są naprawdę ważne

Przyjaciele odchodzą i Artie od nowa podejmuje swą mówkę. Stoimy na podeście schodków pożarowych w gorącą wrześnieją noc.

– No więc, jak chcesz zmienić coś tak potężnego. Jak chcesz zrobić rewolucję. Tak samo jak chucherkowaty, mikry szajbus trenujący judo, który rzuca na matę kolesia trzykrotnie większego od siebie. Nie wygłaszasz kazań. Nie gadasz o nędzy, niesprawiedliwości, imperializmie i rasizmie. To tak jakby zmuszać ludzi do czytania Szekspira. Tego się nie da zrobić. Spójrz tam. Co widzisz? Ma-

lutki, niebieski kwadracik w każdym oknie. Zgadza się? Wszyscy gapią się na reklamy. Tak wygląda dzisiejsza edukacja, stary. Reklama telewizyjna trwająca nie dłużej niż minutę może ci wykreować całe życie. Opowiada historyjkę od randki do ślubu. Pokazuje ci dziecko, dom, samochód, absolutorium. Rozśmiesza cię i wzrusza. Oglądasz dziewczynę tak piękną, jakiej nigdy nie widziałeś w rzeczywistości. Olbrzymy, karły i babki w kabrioletach, rycerze i damy, miłość na plaży, odrzutowce pieprzące niebo, smakołyki parujące na talerzach, głos prawdziwego równiacha przekonujący cię, jaki jesteś równiacha, jakim równiachą możesz się stać. Reklamy są materiałem szkoleniowym. Więc kiedy bracia stają przed komisją poborową w Baltimore i spryskują krwią kartoteki rekrutów – to jest prawdziwa lekcja. Kiedy yippiesi szastają forszą na giełdzie. I marsz na paradzie w Dniu Flagi Narodowej i sprowokowanie Legionistów, żeby cię ścigali, i psów, żeby cię ścigały i podarły twoją flagę, amerykańską flagę, w Dniu Flagi Narodowej! Kapujesz? Społeczeństwo jest parodią, więc parodiujmy parodię. Władza ma siłę. Postaw się jej. Legitymizacja jest nielegalna. Zmusz ją, żeby odsłoniła tyłek. Wal i zmiataj. Masz czterdzieści sekund, stary. Prasa potrzebuje tematu? Daj jej temat. Jak mówi Abbie, każdy, kto coś robi w tym kraju, staje się sławny. Zrób coś i bądź sławny. W następnym miesiącu jedziemy do Waszyngtonu, żeby odprawić egzorcyzmy nad Pentagonem. Modlitwą i zaklęciami, trąbieniem klaksonów i rzucaniem niewidzialnymi przedmiotami w jego mury zmusimy Pentagon do lewitacji. Podniesiemy go i opuścimy. Ukatrupimy go kwiatami. Jedź tam! Będziemy w telewizji. Obalimy Stany Zjednoczone potęgą obrazu!

Mam temat na artykuł. Jeśli go napiszę, może uda mi się go sprzedać i ujrzę swe nazwisko w druku. Ten temat to dynamika myśli radykalnej. Każdy cykl rozwojowy myśli radykalnej zawiera stadium prawdziwie twórczej pasji, w trakcie której znajdowane są różnego rodzaju powiązania. Radykał odkrywa związki między dostępnymi danymi a istotą odpowiedzialności. W końcu kojarzy wszystko ze wszystkim. W tym miejscu zaczyna tracić wątek. Nie chodzi o to, że jego skojarzenia były niepoprawne, ale że skojarzył wszystko ze wszystkim. Nic nie zostało na zewnątrz tych związków. Wtedy społeczeństwo zaczyna się nim nudzić. Bez reszty zamknięte przez radykała w sieci wzajemnych związków zajmuje postawę antybuntowniczą i niszczy go. Wtedy radykał ma szansę na jedno jedyne, ostatnie odkrycie: jaki jest związek społeczeństwa z jego, radykała, śmiercią. Po jego śmierci śpiewana przez niego za młodu pieśń zaczyna ścigać jego prześladowców. Korzystają z tego liberałowie, aby dojść do władzy. Długo szukałem w historii choćby jednego przykładu postawy radykalnej, do którego nie stosowałaby się taka interpretacja. To znaczy, jest to trudniejsze, niż się wydaje, a jeśli uważacie inaczej, sami spróbujcie. Oto wyjątek z Historii *amerykańskiego lotnictwa* – natknąłem się na niego dzisiaj i być może jest to ten właściwy przykład: w 1897 roku trzech Szwedzi postanowili polecieć na biegun północny balonem. Wystartowali ze Spitsbergenu, pożeglowali na północ i wszelki śluch po nich zaginął. Trzydzieści trzy lata później, w roku 1930, norweska wyprawa badawcza natknęła się na arktycznym lodowym pustkowiu na obóz, w którym znaleziono trzy zamrożone na kamień ciała szwedzkich baloniarzy. W obozie znaleziono też aparat fotograficzny z kliszą w środku. Trzydziestotrzyletnie klisze wywołano i otrzymano zdjęcia, na których widać było baloniarzy w ich ostatnim obozie stojących nad ciałem upolowanego niedźwiedzia, wciągających flagę na maszt etc...

Ascher w kapeluszu zsuniętym po kowboj sku na tył głowy, w rozpiętym płaszczu. Splecione dłonie założone z tyłu, schowane pod płaszczem. Kołysze się na piętach, a ciotka Frieda siedzi na kanapie i popłakuje.

– Jestem wdową, żyję sama – mówiła. – To zbyt wielki ciężar na moje barki. Mieszkam w trzech pokojach. Gdzie ich pomieszczę? Jestem na nogach dwanaście godzin na dobę. Codziennie wstaję o wpół do siódmej. Kiedy mam dzień wolny, nie mam siły ruszyć się z łóżka. Jak podołam temu, o co mnie pan prosi?

– Pani Cohn, o nic panią nie proszę. Paul jest bratem pani, nie moim. Jestem prawnikiem. Cokolwiek pani postanowi, ja będę zobowiązany to wykonać.

– A co na to moja siostra, Ruth?

– Rozmawiałem z nią tylko przez telefon.

– Wie pan co, szkoda pańskiego czasu. Samolubna? Tego słowa nie było, póki nie urodziła

się Ruthie. – Ciotka Frieda machnęła na swą siostrę ręką. Gest ten przyciągnął uwagę Daniela. Jego ciotka miała na nogach wysokie, sznurowane buty z grubymi obcasami. Ujrawszy większy, niżby sobie życzył, kawałek pończoch nad jej kolanami, Daniel odwrócił się szybko w stronę telewizora. Uważał, że jest odpychająca. Miała kosmatą myszkę w kąciku ust. Była podobna do ojca z kształtu szczęki, z ust. Nosiła grube szkła w rogowej oprawie.

– O ile wiem, jej mąż jest cukrzykiem, bardzo chorym człowiekiem. Mam przecucie, że pani poradzi sobie w tej sytuacji lepiej niż pani siostra.

Ciotka Frieda przytaknęła.

– Niech Bóg ma mnie w opiece. To ja musiałam być zawsze osobą odpowiedzialną w tej rodzinie. Od dziecka. Paul, gdyby go nie pilnować, już dawno by nie żył. Nigdy nie nauczył się przechodzić przez jezdnię. Gdyby mu nie postawić jedzenia przed nosem, to by nic nie jadł. Gdyby nie zabierać mu pieniędzy, to by je rozdał albo pozwolił sobie odebrać. Nie mogłam liczyć na Ruthie. Ruthie zawsze była leniuchem. Tylko Frieda potrafiła radzić sobie z kłopotami. Frieda, ta dobroduszna niezdara, która zawsze była w pobliżu, kiedy trzeba było wyciągać ich z tarapatów.

– Pani jest od niej starsza?

– O osiem lat. Ojciec poszedł do grobu niedługo po matce, kiedy skończyłam dwadzieścia lat, więc odtąd byłam i matką, i ojcem. Zmarnowałam sobie życie. Mówię panu, panie Ascher, nigdy nie byłam panią swojego życia.

Znów płakała. Ascher skupił uwagę na telewizorze świecącym w kącie. Dzieci siedziały na podłodze. Pomyślał, że za blisko. Za blisko. Nie ruszył się jednak, żeby odciągnąć ich uwagę. Gdyby mogły wleźć w środek telewizora, byłyby jeszcze szczęśliwsze. Na ekranie Hopalong Cassidy rzucał lassem. Koń Hopalonga wyhamował i stanął dęba. Szarpnięcie lassem ściągnęło szulera z siodła. Oszust leżący w kurzu z ramionami spętanymi liną miał ponurą minę. Z wysokości swego białego konia Hopalong spoglądał na niego z uśmiechem. Ascher pomyślał: Jesteśmy barbarzyńcami.

– Chyba lubią telewizję – rzekł. – Może powinniśmy zrobić wyjątek. Czy ma pani telewizor, pani Cohn?

– Co? Skądże, kogo stać na telewizor?

– To droga rzecz – przytaknął Ascher. – Wkrótce przyjdzie tu ktoś, żeby wycenić majątek. Powiem mu, żeby nie wliczał telewizora.

Ciotka Frieda otworzyła torebkę i wyciągnęła chusteczkę. Zdjęła okulary i wytarła oczy. Wydmuchała nos.

– Przepraszam – powiedziała. – Taki już mój los. Mój mąż, Panie, świeć nad jego duszą, długo nie pożył. Ruthie, biedna Ruthie, ma pełno roboty z kaleką. I Paul. Czy może być większa tragedia? Skumać się z czerwonymi. Mój Pauly kumunista! Wie pan co, nie było bardziej religijnego człowieka od mojego ojca. Czy wierzy pan w Boga, panie Ascher?

– Chodzę do świątyni. – Ascher wzruszył ramionami.

– Mój ojciec w grobie się przewraca. Bo jego syn skumał się z czerwonymi. A nawet gorzej!

– Co pani ma na myśli, mówiąc: gorzej?

– Bóg jeden wie. Będę miała szczęście, jeśli zostawią mi sklep. Gdyby ktoś skojarzył go z moim panięmskim nazwiskiem. Gdyby moi sąsiedzi się o tym dowiedzieli.

– O czym pani mówi?

– Nic takiego. Ale jak mam wytłumaczyć, czyje to dzieci? Jak mam wyjaśnić, gdzie są ich rodzice?

– Ich rodzice są w więzieniu. Ich rodzice są w więzieniu, bo wyznaczono wygórowaną kaucję. Wyznaczono wygórowaną kaucję, bo przy aktualnych nastrojach pomaga to rządowi dowieść, że są bardzo winili i niebezpieczni. Jeśli tak się pani tego wstydzi, to niech pani skłamie. Może pani powiedzieć, że są na Florydzie. Że podróżują po Europie. Isaacson to nie takie rzadkie nazwisko.

Ciotka Frieda włożyła chusteczkę do torebki i zatrzasnęła zamek.

– To nie jego wina – powiedziała. – On nie potrafił sobie z tym wszystkim poradzić. To ona. Wszystko przez nią. Ona zmarnowała mu życie. Od samego początku urabiała go jak wosk. Kiedy

poszedł do wojska, pojechała do Waszyngtonu, żeby z nim zamieszkać. Żyła z nim jeszcze przed ślubem! W grzechu z nim żyła. W szkole Paul zawsze miał same piątki. Na świadectwach w szkole średniej miał z testów dziewięćdziesiąt dziewięć, nawet sto punktów. W szkole, do której chodził, w Townsend Harris, gdzie uczyły się same najzdolniejsze dzieci, jego przeciętny wynik to dziewięćdziesiąt sześć punktów. A potem te szalone pomysły. Rozumiem, że na studiach wstępuje się do różnych klubów. On by z tego wyrósł. Ale ona była taka sama, tak. Wciągnęła go. To ona jest sprawczynią tego wszystkiego!

– Pani Cohn...

– Nigdy jej nie wybaczę tego, co zrobiła mojemu Paulowi. Co zrobiła nam wszystkim. Co zrobiła z naszym życiem. To wszystko przez nią. Tylko przez nią.

– Pani Cohn, czy pani naprawdę chce, żeby dzieci tego słuchały?

– Niech się pan nie martwi, one wiedzą, co czują. Poza tym one nie słuchają. Oj, co się z nimi stanie. – Ciotka Frieda przyłożyła dłoń do policzka, jakby bolał ją ząb.

– No więc, jak brzmi pani odpowiedź?

– Nie wiem – odpowiedziała ciotka. – Nie wiem.

– Nie mogą tu zostać – stwierdził Ascher. – Murzyn się nimi nie zaopiekuje. Sąsiadka się nimi nie zaopiekuje. Nie mają pieniędzy na czynsz, nie mają pieniędzy na dom, dociera to do pani, pani Cohn?

Ciotka Frieda jęknęła z dłonią przy policzku.

– Przyjdzie człowiek i wyceni meble. Sto, sto pięćdziesiąt, to wszystko, na co możemy liczyć. Jutro w sądzie wypełnię w imieniu pani brata oświadczenie o ubóstwie. Czy pani wie, co to znaczy?

– *Vey iss mir, vey iss mir...*

– To znaczy, że sąd powoła mnie na obrońcę i opłaci moje honorarium, więc mogę nadal prezentować pani brata i bratową. *Vershtey?* To oznacza też, że te dzieci są dziećmi biedoty i nie mają dokąd pójść. Jeśli pani ich nie zabierze, pani Cohn, pani własnych krewniaków, znajdą się na ulicy. *Vershteyen zie?* Przejdą pod kuratelę państwa.

– Dzieci! – zaczęła zawodzić ciotka Frieda. – Co ja wiem o dzieciach!

– Proponuję, żeby zebrała pani teraz ich rzeczy w jednym miejscu, może chłopiec pani pomoże, i przygotowała je do wyjścia.

– Teraz? W tej chwili?

– Koniecznie. – Ascher spojrzał na zegarek. – Zaraz przyjdzie człowiek, który ma wycenić meble. Uważam, że dzieci nie powinny tego oglądać. Nie chcę, żeby patrzyły, jak ogałaca się ich dom.

– Mam taszczyć bagaż na Brooklyn? Nie wolno mi niczego dźwigać.

– Niech się pani nie martwi, nie mają dużo, wyślę was taksówką.

– Gdzie ja je ulokuję? Co będą jadły?

– Droga pani! – krzyknął Ascher. – To są dzieci pani brata. To nie zwierzaki z zoo. Co się z panią dzieje? *Vas iss der mair mit dein kopf?* Nie ma pani litości? Nie wie pani, co się stało? Nie wie pani, w jakich tarapatach znaleźli się ci ludzie?

Ascher gwałtownie usiadł. Usiadł jak król, ręce położył na oparciach fotela, próbując ochłoniąć z gniewu, a ciotka Frieda uśmiechała się przymilnie i równocześnie popłakiwała.

Zapach, jaki unosił się w jej mieszkaniu, był nie do opisania. Zapach wędnącego, nie kochanego ciała. Kurzu i ciemnych szybów wentylacyjnych Brooklynu. Pokrowców na meble i podwójnych zamków u drzwi. Lamp, których nie wolno włączać, bo prąd kosztuje. Przyjemności, której nie da się znaleźć w żadnym kącie, w żadnym korytarzu, w żadnej szafie. Zapach domu obcego flejtucha, gdzie zawsze czułem się nieproszonym gościem. Zapach życia, które nie ma znaczenia dla nikogo.

– Danielu – rzekł Ascher. – Chcę z tobą chwilę porozmawiać. Chodź tu.

Daniel podniósł się z podłogi i poszedł za nim do kuchni. Ascher usiadł przy stole i odwrócił się w jego stronę. Zobaczył w drzwiach Susan.

– Nie, nie, malutka, nie chciałem ci przeszkadzać. Możesz wrócić i dalej oglądać program.

W odpowiedzi Susan tylko wsunęła się bokiem i oparła o ścianę. Gapiła się na Aschera z poważną miną.

– No dobrze – rzekł prawnik. – Możesz też posłuchać. Dzieci, wasza ciotka Frieda zgodziła się zabrać was do siebie do czasu uwolnienia waszych rodziców. To może stać się za miesiąc albo za dwa. Może za trzy. Ale rozmawiałem z waszymi rodzicami, z obojgiem, i oni postanowili, że w tych okolicznościach będzie to najlepsze rozwiązanie. Do tego czasu dom będzie zamknięty.

– Słyszeliśmy – odrzekł Daniel. – Wiemy.

– Tak. No cóż, nie potrafię udawać, że to wesoła przygoda. Ale wasi rodzice bardzo się o was martwią i chcą mieć pewność, że ktoś się wami opiekuje pod ich nieobecność. Wiecie, że wasza ciotka ma sklep z cukierkami na parterze, w tym samym domu, w którym mieszka.

– Tak – stwierdził Daniel. – Ale nie pozwala niczego dotykać. Głupia baba.

– Ciiii. – Ascher położył palec na ustach. – Niełatwo ją zrozumieć. Ludzi, którzy się boją, czasami trudno zrozumieć. Kiedy ludzie się boją, mówią rzeczy, których nie chcieliby powiedzieć. Zdajecie sobie z tego sprawę?

– Chyba tak.

– Nauczy się od ciebie, Danielu, jak być grzeczną. Nie jest wcale taka zła. Nauczy się na twoim przykładzie, jak być silną. Jesteś wspaniałym chłopcem. Oboje jesteście wspaniali. – Ascher zwrócił spojrzenie na Susan.

– Gdzie mamusia? – spytała Susan.

Ascher westchnął:

– W więzieniu. Jest w więzieniu.

– Co to więzienie?

– Więzienie jest miejscem, gdzie ludzie przebywają, kiedy nie są w domu. Jak hotel. Jak szkoła. Jest wiele miejsc, gdzie ludzie przebywają, kiedy nie są w domu.

– Więzienie jest gorsze – powiedział Daniel do Susan. – Nie można pójść do domu, kiedy się chce.

– No dobrze – rzekł Ascher. – No dobrze.

– Czy mnie wezmą do więzienia? – spytała Susan.

– Nie, nie martw się.

– Czy mamusia przyjdzie do domu?

– Danielu, nie potrafię jej tego wyjaśnić.

– Czy mamusia umarła?

Ascher wstał i zirytowany podniósł ręce.

– Proszę cię, dziecko! Dość tego. Twoja mamusia nie umarła!

Gest Aschera przestraszył Susan. Wybuchnęła płaczem. Daniel podszedł do niej i otoczył ramionami.

– Ona tęskni za mamą i tatą – wyjaśnił przez ramię.

– Czy stało się coś złego? Co się dzieje?! – zawołała z góry ciotka Frieda.

– Nic takiego! – odkrzyknął Ascher. – Nic. A teraz, dzieci – zniżył głos – trzeba coś zrobić. Ciiii, Susan, nie płacz. Ciocia pakuje wasze rzeczy. Chcę, żebyście jej pomogli, żeby wiedziała, co zabrać. Musicie jej pokazać, które rzeczy są ważne, zabawki i tym podobne. Poza tym oboje wyglądacie nieporządnie. Czy nie możecie się trochę umyć? Nie możecie się doprowadzić do ładu?

– Umyję ją – obiecał Daniel. – I jeszcze nasze szczoteczki do zębów. Będziemy musieli je zabrać.

– Racja.

Daniel głąskał Susan, dopóki nie przestała płakać. Jej ciałem wstrząsało łkanie, które przypominało czkawkę. Zwrócił się do Aschera:

– Dlaczego nie możemy się z nimi zobaczyć? Strażnicy przeszukają mnie i ją, i zobaczą, że nie mamy pistoletów ani niczego takiego.

– Tu nie chodzi o strażników, Danielu. Zarówno mama, jak i tata są przekonani, że gdybyście ich zobaczyli w więzieniu, to byście się zmartwili.

– Dlaczego?

– Ponieważ po skończonej wizycie nie mogliby pójść z wami. A wy, szczególnie twoja siostra, moglibyście nie zrozumieć tego i się zmartwić.

– I może sami też by się zmartwili – zamyślił się Daniel.

– To prawda. I dlatego to byłoby gorsze, niż nie widzieć się z nimi wcale.

– A jak się dowiedzą, gdzie jesteśmy? – zapytał Daniel.

– Prosimi mnie, żebym zapytał waszą ciocię, czy możecie z nią zostać. Powiem im, że jesteście u niej.

– Czy znają adres?

– Tak.

– Czy jeśli napiszemy do nich stamtąd list, to go dostaną?

– Załatwię, żeby dostali.

– Dostałem list, który wysłali – powiedział Daniel. – Kiedy pan ich zobaczy, niech im pan powie, żeby pisali częściej.

– Mówiłem ci, Danielu, że wolno im pisać tylko jeden list tygodniowo. A muszą też pisać do siebie.

– Czy to znaczy, że nie są w tym samym miejscu?

– Twój ojciec jest w jednym więzieniu, a matka w innym, dla kobiet. Nie widzieli się od aresztowania twojego ojca.

Co Bóg złączył, niech człowiek nie waży się rozłączać – Ojciec narzeczonej ze Spencerem Tracym i Elizabeth Taylor.

Kto napisał to rosyjskie opowiadanie o mężczyźnie umierającym w łóżku, Babel czy może Jurij Olesza? Jego śmierć opisana jest jako stopniowy zanik możliwości, metodyczne zawężanie się wolności wyboru. Najpierw nie może opuścić swego pokoju, więc przestaje mieć dla niego znaczenie na przykład bilet kolejowy. Następnie nie może wstać z łóżka. Później nie może podnieść głowy. Potem nie może wyjrzeć za okno. Przestaje widzieć swoje ręce. Jego życie zwraca się do wewnątrz, wrażenia się zacieśniają, widnokrąg zbiega się w jeden punkt. I taka jest jego śmierć.

Śmierć jako rodzaj celi więziennej. Człowiek zamykany w coraz mniejszych celach, jego świadomość opróżniana z wrażeń, które są ostatnią i najmniejszą celą. Punkt świetlny. Jeśli tak wygląda prawda o śmierci, to rzeczywiste więzienie jest jej metaforą. Kiedy więc wtrąca się człowieka do więzienia, podpowiada mu się, jakie są prawdopodobne stopnie umierania, zanim nadejdzie śmierć prawdziwa. Zmusza się go, żeby był swym umieraniem. Każda przemoc wobec wolności narzuca warunki śmierci. Kara więzienia narzuca życiu rozkład śmierci.

– To znaczy, że są osobno?

– Tak.

– Są samotni?

– Tak.

– Czy są nieszczęśliwi?

– Nie są zbyt szczęśliwi.

– Boją się?

– Nie, nie boją się. Są niewinni, więc nie mają się czego obawiać. Wiedzą, że po procesie zostaną zwolnieni. Udowodnimy, że są niewinni. A wtedy znów będziecie razem. Słyszysz, Susele? Twoja mamusia i tatuś wrócą do ciebie, uściskają cię i wycalują, i wszyscy będziecie znowu razem.

(Więc musisz być grzeczną dziewczynką i słuchać brata. Więc teraz idźcie oboje i pomóżcie ciotce).

Ascher wyjął wielką chusteczkę, strzepnął ją i przycisnął do nosa. Staliśmy i patrzyliśmy na niego. Odwrócił się do nas plecami i głośno wydymuchał nos, wydając absurdalny dźwięk, jakby odgrywał starożytny rytuał dla uczczenia dnia, w którym rodzice zostaną wypuszczeni z więzienia.

Tylko dwa albo trzy obrazy zostały mi w pamięci z tamtego okresu w naszym życiu. Długie, szorstkie palce ciotki Friedy wydłubujące drobne, zaciskające się na pięciodolarówce i dwóch jednodolarówkach, które Ascher wręczał jej po kolei, i wciskające zwitek banknotów do portmonetki, zatraskujące zamek, zatraskujące torebkę. Taksówkarz ziewający za kierownicą. Na desce rozdzielczej, w płytkim pudełku po cygarach bez pokrywki leżały ogryzki ołówków związane gumką.

Zawsze, kiedy przychodzi kryzys, baczniej się przyglądam ludziom z nizin. Taksówkarz nazywał się Henry Lichtenstein, miał numer boczny 45930. Nosił brązowy kaszkiet odwrócony tyłem do przodu. Jego wąsy przypominały szczoteczkę do zębów, a kiedy ziewał, we wstecznym lusterku odbijał się jego złoty ząb.

– Niczego nie obiecuję – powiedziała ciotka Frieda Ascherowi przez okno. – Zrobię, co będę mogła, ale to wszystko. ZROBIĘ, CO BĘDĘ MOGŁA, ALE TO WSZYSTKO.

W tamtym czasie taksówki były jeszcze obszernymi limuzynami. Ta była wielkim, złotym de soto. Nasze zawiniątka piętrzyły się na podłodze u naszych stóp. Susan siedziała między mną a tym babsztylem. Mam może z osiem sekund na ostatni rzut oka na dom, zanim taksiarz odłoży swój bloczek, wrzuci bieg i powiezie nas w dal. Na ścieżce pojawił się Williams z kubłem na śmieci w objęciach. Unosi ogromne, płaskie stopy z gracją orła, płynie w powietrzu jak pieśń. Zatrzymuje się, stawia na ziemi swój ciężar. Widzę jego parujący oddech. Patrzy na taksówkę. Wpatruję się w jego czerwone oczy szaleńca. Pochyla głowę i wyciąga ramię w moim kierunku, auto wchodzi w zakręt, i już go nie widać. Po drugiej stronie, w szybie za głową ciotki Friedy, zaczynają się rozpląwać rombówce oczka siatki ogradzającej szkolny dziedziniec. Ani razu nie wspomniałem o szkole Ascherowi czy ciotce. Nie wspomniałem o opuszczeniu szkoły, przeniesieniu się do innej ani o czymkolwiek związanym ze szkołą. Albo zapomnieli, albo nic ich to nie obchodziło. Wyłumaczyłem sobie jednak, że zgoda na pójście z ciotką Friedą uzasadnia niechodzenie do szkoły. Okazało się, że to nie koniec. Gdzieś na Bronksie kazała taksiarzowi podjechać pod stację IRT (*Interboro Rapid Transit - nazwa jednej z sieci nowojorskiego metra*). Zaoszczędzi większość z siedmiu dolarów, ciągnąc nas po schodach z walizkami, tobołami i czym tam jeszcze i zmuszając nas do jazdy na stojąco przez całą drogę na Brooklyn.

Wszyscy poszli – przyjaciele, dziewczyna, która pisze dla „Cosmopolitana”, fotograf. Artie Sternlicht leży na plecach na materacu, z rękami pod głową.

– Jestem wypompowany – mówi. Jego głos jest teraz cichy. – Jestem chory. Nie mogę ruszyć dupy.

Daniel chce już iść, ale zarówno Artie, jak i jego dziewczyna upierają się, żeby został na kolacji. Ona krząta się we wnęce kuchennej tuż obok frontowych drzwi, gdzie na wannie, spełniającej również funkcję zlewu, leżą deski tworzące stół. Lodówka jest tak mała, że trzeba się mocno schylić, żeby ją otworzyć. Czerniała, dwupalnikowa kuchenka ma pogięte nóżki. Całe mieszkanie to ta alkowa zamieniona na kuchnię, łazienka wielkości szafy, z bojlerem i spłuczką, i sypialnia umeblowana materacem, stołem, kolorowym telewizorem i kolażem na ścianie.

– Twoja siostra wspomniała o tobie tylko raz – mówi Artie. – Powiedziała, że ma brata, który jest politycznie niedorozwinięty. Postarała się, żeby zabrzmiało to jak „zdrowo jebnięty”.

Jedynym oświetleniem pokoju był lampion z japońskiego papieru.

– Jest piękna – odzywa się z kuchni Kotek. – Bardzo ją lubię. Nie mam pojęcia, co jej odbiło. Nie wyglądała na taką.

– Myślę, że się tu wybierała, że jechała do ciebie – oznajmiam. – Chyba miała przywieźć ci materiał do twojego kolażu.

Kotek staje w drzwiach.

– Uwolnić Isaacsonów – mówi. – Ten plakat.

Przytakuję. Artie podnosi się i siada z podwiniętymi nogami.

– O Jezu – mówi. Składa ręce.

– Rozmawiałeś z nią o tym?

– O kurwa. Szkoda, że nie mogę się czegoś napić. Albo przyćpać. Kiedy będzie jedzenie, Kotek?

– Robię spaghetti z mąki razowej.

– Jest na to, kurwa, za gorąco – stwierdza Artie. – To kurewskie miasto jest jak piec. –

Wstaje i zaczyna chodzić po pokoju. – Chcecie wiedzieć, co było nie tak ze starymi, amerykańskimi komunistami? Stali się częścią systemu. Zaczęli nosić krawaty. Mieli stałe posady. Wysuwali swoich kandydatów na prezydenta. Myśleli, że politykę uprawia się na zjazdach. Kiedy dostali wpier-

dol, okrzyknęli to tyranią. Ssali rosyjskie cycki. Rosja! Kto jest wolny w Rosji? Jedynym celem Rosjan jest dać każdej dupie karabin. Gdzie w Rosji jest rewolucja?

Patrzy na mnie, jakby rzeczywiście oczekiwał odpowiedzi.

– Amerykańska Partia Komunistyczna pojawiła się na lewicy pięćdziesiąt lat temu. Przypuszczam, że pracowali dla FBI. To jedyne wytłumaczenie. Ukrywali się. Wynałazł ich J. Edgar Hoover. Byli jego największym wynalazkiem.

– Jak poznałeś Susan?

– Kotek, jak poznaliśmy Susan? Chyba spotkaliśmy ją w Bostonie, kiedy palnąłem tam mówkę.

– Zgadza się! – woła Kotek.

– Siedziała po uszy w tej sprawie związanej z waszymi rodzicami – wyjaśnia Sternlicht.

– Właśnie.

– Tak więc, stary, powiem ci to wprost, jeśli mi obiecasz, że nie zmyjesz się zaraz, jak tylko otworzę gębę.

– Wal.

– Twei starzy gównu wiedzieli. Ich zachowanie podczas procesu było żałosne. To znaczy, rozegrali go według ich zasad. Według zasad rządu. Wiesz, o czym mówię? Zamiast wstać i powiedzieć: pieprzcie się, róbcie, co chcecie, tak czy inaczej nie będę mieć uczciwego procesu, bo jesteście sukinsynami – to oni się krygowali, wnosili o uniewinnienie, odzywali się tylko wtedy, kiedy się do nich zwracano, udawali. Prawda? Cały ten układ upokorzył ich, ponieważ zachowywali się na procesie jak oskarżeni. Kapujesz?

– Jasne.

– Chodzi mi o to, że pewnego dnia naprawdę się za mnie wezmą. Kiedyś federalni obudzą się i zobaczą, że nie jestem jakimś tam ocipiałym ćpunem, kiedyś zobaczą, że wszystkie dziwadła są razem i że jak jesteśmy w kupie, łatwiej im w nas uderzyć albo zapudłować, albo jedno i drugie. I dobrze, bo ja mam gdzieś śmierć. Jeśli bierzesz się za rewolucję, musisz zginąć i nie możesz być za rewolucją, jeśli nie jesteś gotowy umrzeć. Ale, stary, jeśli wytoczą mi proces, pokażę im, jakimi są skorumpowanymi skurwysynami. Ten proces stanie się moją szansą. Wstrząsnę salą sądową, a to, co tam powiem i zrobię, wyjdzie po drutach i dalekopisami na zewnątrz, i dzieciaki na całym świecie będą na tym procesie, więc powiedzą: „Stary, kim jest ten twardziel!” Jeśli uznają mnie winnym, ja uznam ich winnymi, jeśli uznają mnie za niewinnego, ja nadal będę uznawał ich za winnych. I nie wyjdę z tego inaczej niż tylko jako ich sędzia, nowy człowiek, jako nowy naród, którego życie rządzi się nowymi prawami. I to oni staną przed sądem, nie ja. Rozumiesz? Przewalą całą sprawę!

– A Susan się z tym nie zgodziła.

– Właśnie.

– Powiedziała, że tak czy inaczej oni byli męczennikami – odzywa się z kuchni Kotek.

– Z pewnością byli męczennikami. Ale rewolucja ma więcej męczenników, niż potrzebuje.

Na przykład wszystkie smoluchy, o których nigdy nie słyszałeś, zamordowani w łóżkach, we wszystkich więzieniach świata, miliony dzieci mordowanych w szkołach, ludzie umierający z głodu, zabijani, paleni w Wietnamie. Mamy męczenników powyżej uszu.

– Musisz przyznać Artiemu rację – wtrąca dziewczyna. Sternlicht kładzie się z powrotem na materacu.

– Musimy się z nią zobaczyć – mówi Artie.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Z nią naprawdę jest niedobrze. Nie chce z nikim rozmawiać.

Podczas posiłku w pokoju panuje milczenie. Naszym stołem jest podłoga. Światła Avenue B odbijają się w nie zasłoniętych, otwartych oknach aż matowych od brudu. Dźwięki z Avenue B wdzierają się do pokoju jak upał. Zastanawiam się, czy Phyllis poszłaby za nim, gdyby go spotkała. Czy dokonałaby prostego wyboru, uległaby swemu wewnętrznemu, wyzwolonemu rytmowi, a ten rewolucyjny ogier rypałby ją i potem oboje by się śmiali i czuli świetnie. Ten skończony dzieciak o pustym sercu nie trzymałby się faceta, który nie potrafi zaspokoić jej popędów i zachcianek lub

choćby sprawić, żeby się ujawniły. Jestem bardzo zadowolony, że moja żona nigdy nie spotkała Sternlichta. Prawdopodobnie jest mistrzem w rypaniu. Nie robi z kobiety niewolnicy.

Patrzę na Kotka. Ma na sobie bluzkę wiążaną na karku i kuse szorty, długie włosy zebrane w koński ogon. Jest drobna, nie tyle ładna, ile zmysłowa, a w jej chudości kryje się seksowna siła życia, która robi na mnie ogromne wrażenie. Patrząc, jak pakuje w usta spaghetti nawinięte na widelec, rozumiem – bez podtekstu – co Sternlicht w niej widzi.

– Szkoda, że twojej siostrze nie udało się przywieźć tutaj tego zdjęcia – mówi Sternlicht. – Dobrze by jej to zrobiło. Przylepilibyśmy je tutaj na ścianie, prawda, Kotku? I mogłaby z tym skończyć, mogłaby wreszcie z tym skończyć. Wszystko ma znaczenie, każdy, nawet nieistotny czyn zmienia świat.

– Czy rozmawiała z tobą na temat swoich pieniędzy z funduszu powierniczego?

– Pewnie.

– A o Fundacji na rzecz Rewolucji?

– Też.

– Co sądzisz o tym pomysle?

Sternlicht się uśmiecha. Dopija szklanek mleka, po której zostaje kółko na podłodze. Ociera usta.

– Powiedziałem twojej siostrze, że jeśli ma zamiar przeznaczyć te środki na kaucje dla aresztowanych, na wolny uniwersytet czy inny, równie szczytny szajs, to odwołam każdą opinię, jaką miałem o Isaacsonach, i z przyjemnością zostanę beneficjentem jej Fundacji. Wszystko można o mnie, kurwa, powiedzieć, ale nie to, że jestem konsekwentny. Powiedziałem jej, że jeśli znajdą się środki na nasz ruch, mogą być nawet dawane w imieniu Ronalda Reagana. Powiedziałem, że za zupę na kościach do kotła diggerów wartą trzydzieści pięć tysięcy dolarów mogę całować dupę każdego psa w mieście Noły Jołk. Oto, co powiedziałem. Zadowolona cię moja odpowiedź?

– W porządku.

– Z wszystkich spraw, o które pytałeś – mówi Artie – to jedyna, o którą pytać nie powinien.

– Możliwe – przyznaję.

– A poza tym jestem dla ciebie wyrozumiały.

– Wiem.

– Dlaczego tu przyszedłeś? Jak nas z tym skojarzyłeś?

– Napisała twoje nazwisko na tubie z plakatem.

WCIAŻ NAS OLEWAJĄ. Nie chodziło jej o Paula i Rochelle. To raczej ja bym o nich pomyślał. Chodziło jej po pierwsze o wszystkich innych, a w następnej kolejności o Lewicę. Isaacsonowie dla Nowej Lewicy nic nie znaczą. A jeśli nic nie znaczą dla niej, to dla kogo. ZDJĘCIE DO-TARŁO DO CIEBIE. ŻEGNAJ, DANIEL.

Później Sternlicht i Kotek zaprosili mnie na dach, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Paliliśmy trawkę. I na tym zakopconym dachu, śmierdzącym stęchlizną i smołą, pod koniec gorącej, bezgwiezdnej nocy oświetlonej ulicznymi latarniami, które powodowały, że czułem się jak w piecu, zaśpiewali mi piosenkę. Miała tytuł *Po której jesteś stronie*.

Mówią, że w Harlan powiecie

Nikt z boku nie stoi przecie.

Albo w związku jesteś, koleś,

Albo Blaire'a pieskiem jesteś.

Jak to wytrzymać możecie,

Och, robotnicy, powiedzcie!

Czyście chłopcy prawdziwe,

Czy łamistrajkami wszawę?

Po której jesteś stronie?
Po której jesteś stronie?
Po KTÓREJ JESTEŚ stronie?
PO KTÓREJ JESTEŚ STRONIE?

Zakończyli refrenem wyśpiewanym mi prosto w twarz. Strasznie im było wesoło. Wróciłem do domu z poczuciem odnowienia znajomości z niemiłosiernie radykalnym temperamentem.

We wrześniu 1967 roku Daniel I. Lewin napisał list do swego przybranego ojca Roberta Lewina, profesora prawa. Wyrzuciłem kopię listu i mam nadzieję, że i ojciec go nie zachował. To był niegodziwy list, Artie Sternlichcie, niech to będą moje przeprosiny.

Zostaw tu miejsce na list, który napisał w odpowiedzi mój ojciec:

4 października 1967 r.

Kochany Dan,

Przepraszam, że tyle czasu zajęło mi odpisanie na Twój list. Zadałeś mi niezłą pracę do odrobienia. Nie będę przytaczał Ci precedensów prawnych, ale wydaje się zupełnie nieprawdopodobne, żeby sąd przychylił się do wniosku Susan o odblokowanie pieniędzy z funduszu powierniczego, skoro jest pod opieką psychiatryczną. Chociaż w tym roku osiągnie pełnoletność, Lise i ja pozostaniemy jej opiekunami, dopóki nie wyzdrowieje.

Jednakże wiesz zapewne, że z chwilą ukończenia dwudziestu pięciu lat Ty nabywasz prawo do swojej części pieniędzy. Choroba Susan go nie podważa. Jeśli postanowisz zostać jej opiekunem zamiast nas i zaczniesz starać się o to w sądzie, argumentując, że jako jej brat, wiesz lepiej niż my, jak chciałaby rozporządzić swoją częścią pieniędzy z funduszu, to prawdopodobnie sąd przychyli się do wniosku. Ja, oczywiście, nie będę podważał takiej decyzji.

Jest jeszcze inna możliwość. Ktoś trzeci może wystąpić do sądu w jej imieniu, utrzymując, że jej stan umysłowy uległby poprawie, gdyby zachowała kontrolę nad swoją częścią funduszu. Trudno przewidzieć, czy wystąpienie takie miałyby szanse powodzenia. Ale twierdzenie, że Fundacja Isaacsonów wsparta jej pieniędzmi wywarłaby zbawienny wpływ na stan jej zdrowia, mogłoby przekonać sąd do zastanowienia się nad taką argumentacją.

Nie muszę dodawać, że byłem zaintrygowany Twoimi pytaniami. Czego się dowiedziałeś? Nie przypominam sobie, żeby Susan wspominała o jakimś Artiem Sternlichcie. Również Twoja matka sobie go nie przypomina. Oczywiście, przez pewien czas – przez miesiąc czy półtora – nie chodziła na zajęcia i nie wiadomo, co wtedy robiła ani gdzie przebywała, ani z kim się widywała. W każdym razie cieszę się, że ponownie chcesz się zastanowić nad swym stanowiskiem w sprawie zdjęcia z mych barków odpowiedzialności za Twoją część pieniędzy z funduszu. Poinformuj nas, proszę, o swojej decyzji.

Serdeczności od nas obojga,

Tato

Tak się kończy ta część opowieści. Poza wszystkim innym interesujące w liście Roberta Lewina jest jego głębokie poczucie ojcostwa. Chce utwierdzić we mnie poczucie odpowiedzialności. To niezawodne, amerykańskie, purytańskie podejście. Mieści się w nim mieszanina żydostwa i Ameryki, bo zarówno Żydzi, jak i Amerykanie są spadkobiercami dawnych podróżników morskich: najlepiej przemierzać morza z kilem obciążonym ołowiem. Nie jest przypadkiem, że mam ojca prawnika ani że on wielbi Prawo Amerykańskie, instytucję, która ponosi klęskę za klęską, a którą on wciąż kocha, jakby była niegrzecznym dzieckiem, które pewnego dnia zacznie zachowywać się odpowiedzialnie, dzięki czemu okaże się godne jego miłości.

Kiedy moi rodzice siedzieli w więzieniu, czekając na proces, odwołano najwyższego rangą generała Douglasa MacArthura, który zadawał tyle szyku swą kukurydzianą fajką, lotniczymi okularami i zawadiacko przekrzywioną czapką polową. Usiłował prowadzić politykę opozycyjną wobec polityki Waszyngtonu i oczerniał własnego zwierzchnika. Z powodu niesubordynacji, osobowości neandertalczyka i kompletnej niezdolności do dyplomatycznego ignorowania rozkazów nieudolnego kapitana artylerii został zwolniony ze stanowiska Najwyższego Dowódcy Wszystkiego i wysłany do domu, gdzie powitano go entuzjastycznie. Ameryka nie zapomniała o swym bohaterze. W Waszyngtonie i Nowym Jorku ulice były zapchane krzyczącymi i wrzeszczącymi czcicielami. Odbywały się parady. Ckliwa przemowa przed obiema izbami Kongresu. Mówiło się o postawieniu w stan oskarżenia prezydenta. O wysunięciu kandydatury MacArthura na prezydenta. Oglądałem całą tę ohydę na ekranie nowego, magicznego telewizora ciotki Friedy popołudniami, kiedy była w sklepie i nie mogła mi zabronić marnowania prądu. MacArthur był bliższy obalenia rządu Stanów Zjednoczonych niż jakakolwiek inna osoba w najnowszej historii. Oklaskiwał go cały kraj. Zauważyłem, że zaczesuje włosy z jednej strony głowy na drugą, żeby ukryć łysinę. Jak kraj mógł zaufać człowiekowi, który okazuje się tak żałośnie próżny? Zacząłem się zastanawiać, czy on naprawdę był tak dobrym generałem, jak go przedstawiano. Co to właściwie znaczy „dobry generał”? Według jakich kryteriów się go oceniać? W nocy spaliśmy z Susan w jednym łóżku, łóżku ciotki Friedy, a ona spała na kanapie w salonie. Nie było to dobre rozwiązanie. Pod prześcieradło położyła ceratę. Susan cofnęła się w rozwoju i nie budziła się, kiedy musiała iść do toalety. W środku nocy ciepła fala powoli zalewała mi piżamę. Budziłem się o świcie w oparach moczu.

Czułem się opuszczony. Doświadczałem uczucia dojmującej pustki. Pamiętam radość z wyprawy metrem do miasta z rodzicami, z ojcem trzymającym mnie za jedną rękę i matką, która trzymała mnie za drugą. Jechaliśmy na koncert Filharmoników Nowojorskich w Roxy. Albo na film w technikolorze. Kiedy indziej zabrali mnie do Teatru Stanleya na Ósmej Avenue przy Czterdziestej Drugiej Ulicy, gdzie obejrzelśmy Aleksandra *Newskiego*. Co się stało z moim życiem, że leżę obok sikającej siostry w zatęchłym łóżku ciotki Friedy w Brooklynie, łóżku nie znającym miłości, i czekam z utęsknieniem na następną noc, na kolejną ckliwą mowę generała zabójcy.

Gdy zastanawiam się nad chronologią, dochodzę do wniosku, że okres spędzony u Friedy zbiega się z pierwszymi zastępczymi oskarżeniami wysuwanymi przez rząd. W sumie były trzy, bo Prokurator Stanów Zjednoczonych i FBI stopniowo ulepszali scenariusz. Najpierw było osiem aktów zdrady. Potem dziewięć Aktów Zdrady. W końcu DZIESIĘĆ AKTÓW ZDRADY.

SMAŻENIE – sztuka w dziesięciu aktach (zdrady).

Poniedziałek, 5

Cześć, najdroższy Danny, co myślisz o Brooklynie? Czyż nie jest interesujący? Czy zdążyłeś się już z kimś zaprzyjaźnić? Zdaję sobie sprawę, skarbie, że chyba się nudzisz z dala od szkoły, ale to wszystko – niechodzenie do szkoły, zakłócenie codziennego porządku – jest chwilowe. Tymczasem poproś ciocię Friedę, żeby zabrała Cię do biblioteki i wypożyczyła dla Ciebie mnóstwo książek do czytania. Pan Ascher, „wujek Jacob”, stara się zapisać Cię do najbliższej szkoły, ale to może zająć kilka dni. Moja ukochana, mała Susan pójdzie do przedszkola.

Posłuchaj, mój gołąbeczku, mam dla Was niespodziankę: „wujek Jacob” przyniesie Wam od nas prezenty. Myślę, że się Wam spodobają. Twój ojciec i ja zastanawialiśmy się w listach, co moglibyśmy Wam ofiarować, i poprosiliśmy wujka, żeby przyniósł Wam prezenty ze sklepu. Chcemy, żebyście nie czuli się samotnie, bo prezenty są przecież od nas – a także żebyście przez ten czas mieli się czym bawić!

Proszę, napisz znowu do mnie, mój słodki aniołeczku, Twój list bardzo mnie ucieszył. Napisz mi, o czym myślisz. Jesteś moją wielką pociechą!

I proszę, nie martw się o nas! Wszyscy za sobą tęsknimy, ale słuchaj ciotki i opiekuj się siostrą – wiem, że to robisz i bez mojego przypominania, kochanie – a zanim się obejrzysz, znów będziemy razem.

Ściskam Cię mocno, mocno,

Dostaliśmy po dwa prezenty. Dla mnie „Mały budowniczy”, który był nudny, i blok rysunkowy z kredkami. Ton listu mnie zaniepokoił. Poczulem się dotknięty, bo nie zawierał żadnej informacji. Susan dostała cynowy serwis do herbaty i książeczkę do kolorowania z kredkami. Musiałem bawić się z nią w dom – nie kończąca się zabawa, która zaczynała się zawsze od tego, że rozkładaliśmy serwis i siadaliśmy do śniadania. Bawiliśmy się w roztargnieniu. Ona była matką, ja byłem ojcem. Po śniadaniu rysowaliśmy obrazki, na których był nasz dom. Stwierdziłem, że coraz trudniej jest mi oddychać w mieszkaniu ciotki Friedy. Nie otwierała okien. Kiedy Ascher przyszedł z prezentami, próbował otworzyć okno w salonie, ale bez skutku. W mieszkaniu panowała ciemność i duchota. Jeszcze trudniej się w nim spało. Widziałem w telewizji film z lat trzydziestych o człowieku w więzieniu: szarpał kraty celi i krzyczał: „Jestem niewinny! Jestem niewinny, przysięgam! Jestem niewinny!” i zachłystywał się łzami, bo nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć, osuwał się bezwładnie na podłogę, uczepony krat w drzwiach celi. Każdej nocy moi rodzice raz za razem wstawali i rzucali się na kraty ruchem koników na karuzeli. Podciągali się i osuwali, rękami uczeponi krat.

Susan brała poduszki z kanapy ciotki i robiła z nich ściany domu. Przesunęliśmy fotel, który służył za czwartą ścianę. Niechęć trawiliśmy którąś z kredek i wdeptywaliśmy ją w dywan. Nie odstawiłem Budowniczego na miejsce i w ciemnym korytarzu ciotka omal się nie przewróciła na kilku śrubach, które nadepnęła i które porysowały podłogę.

Była strasznie akuradna, ale wcale przy tym nie schludna. Nie chciała, żeby cokolwiek ruszono w jej zakurzonej domu. Próbowaliśmy czytać gazety, które miała w sklepie, ale krzyczała, kiedy tylko zdjąłem którąś z kontuaru. Jeślibym je pomieszał, jak by je sprzedała? Nauczyłem się, jak zwędzić jej gazetę sprzed nosa, żeby zobaczyć, czy nie napisano czegoś o Paulu i Rochelle. Dzieciaki z sąsiedztwa ciągle jej coś kradły. Kiedy się odwracała. Kiedy oślepiało ją na chwilę światło. Mógłbym jej pomagać, ale ona nie prosiła mnie o pomoc. Na półce w sklepie zobaczyłem taką samą książeczkę do kolorowania, jaką dostała Susan. Zobaczyłem taki sam blok rysunkowy i takie samo pudełko kredek, jakie sam miałem. Uświadomiłem sobie, że były to prezenty od Aschera i że kupił je prawdopodobnie u ciotki. Wyrzuciłem gazetę, którą ukradłem, do śmieci. Często przez krótką chwilę miałem kłopoty z oddychaniem. Zorientowałem się, że jeśli zacznę biegać, wymachując młynka rękami, to po chwili będzie mi się lżej oddychało. Potłukłem lampę. Nie mogłem znaleźć sobie kolegów w okolicy, bo należałem do ciotki Friedy, a ona nie tolerowała dzieci i nikt jej nie lubił. Ostrzegła mnie, żebym broń Boże nie powiedział o sobie nic ponad to, że jestem jej bratankiem. Któregoś dnia Susan wygadała jakiejś małej dziewczynce, że rodzice siedzą w więzieniu. W sąsiedztwie wynajmowali mieszkania ludzie z niższej klasy średniej. W okolicy roilo się od cwanych biedaków. Któregoś dnia rozeszła się wieść o zaginięciu czyjegoś starszego brata w Korei. Zdarzały się wypadki.

Zauważyłem, że kiedy trudno mi oddychać, robię się potwornie ruchliwy. Zamiast mówić, krzyczę. Zamiast chodzić, biegam. Nie mogę usiedzieć w miejscu. Zabawiałem się w szpiegowanie ciotki Friedy. Podglądałem przez dziurkę od klucza, co robi w ubikacji. Kiedy schodziła do sklepu, szedłem za nią w odległości jednego półpiętra. Kradłem cukierki z kontuaru. Nauczyłem się na pamięć numeru telefonu do sklepu i wykręcałem go z aparatu w mieszkaniu. Kiedy podnosiła słuchawkę, rozłączałem się. Razem z Susan robiliśmy figury akrobatyczne na łóżku: trzymałem Susan nad głową na wyprostowanych rękach. Chwytałem ją za nogi, a ona dyndała głową w dół obok krańca łóżka. Piszcziała z uciechy. Łóżko służyło nam za trampolinę.

Z tamtego czasu nie zostało nic, co warto byłoby wspominać. Teraz żal mi ciotki Friedy, która była po prostu dość ograniczoną osobą, ciężko doświadczoną przez brata, przez jego srające i sikające dzieci, które ją zamęczały, i przez życie, które była zmuszona prowadzić. Nie była podła, znerwicowana, egotyczna, nieczuła czy zła. Była ograniczona. Wytrzymałaliśmy z nią – a raczej ona z nami – pięć tygodni. Nigdy nie poszliśmy do szkoły w Brooklynie. Nie ma śladu po tych pięciu

tygodniach. Gdyby jeszcze żyła, nie spotkałbym się z nią, bo nie miałaby mi nic ciekawego do powiedzenia.

Każdego wieczoru mieliśmy na kolację makaron z białym serem. Kiedy Ascher starał się o umieszczenie nas w ochronce, Frieda zeznała, że nie stać jej, aby nas utrzymywać, i że nie ma gdzie nas ulokować. To była tylko część prawdy. Któregoś dnia zostałem przyłapany na podglądaniu jej w ubikacji: oczy zaciśnięte, głowa odrzucona do tyłu, wyszczerzone zęby, a ona siedzi na sedesie z reformami opuszczonymi do kolan i plecami wygiętymi w łuk w ekstazie wypróżnienia; coś jakby kamień wpada do wody pod nią. Chwilę później uderzyłem głową o klamkę i niedokładnie zamknięte drzwi zaczęły się powoli otwierać. Nigdy mi tego nie wybaczyła.

Nie pamiętam nic z drogi do ochronki w Bronksie. Prawdopodobnie zabrał nas Ascher. Może Frieda też poszła, żeby się upewnić, że tam zostaniemy. Może były dwie podróże, w tym jedna na rozmowę wstępną. Pamiętam coś, co mogło być taką rozmową. Przedziwny okres. Gazety stale osądzały moich rodziców w zastępstwie Departamentu Sprawiedliwości. J. Edgar Hoover w żadnej swojej oficjalnej wypowiedzi nie zająknął się o domniemaniu niewinności. Utrwalał się wizerunek mojego ojca jako arcyszpiega. Arcyszpiega i szefa siatki. Przez te kilka tygodni w każdej kolejnej informacji o aresztowaniach najróżniejszych szpiegów ojciec stawał się coraz ważniejszą figurą. Doktor Mindish został przedstawiony jako jeden z tych, którzy wykonywali jego rozkazy. Powoli się w tym gubiłem. Jeśli ojciec był szefem siatki, to czyja też do niej należałem? Jak mogłem należeć do jego siatki, skoro nic o niej nie wiedziałem, zanim przeczytałem w gazecie? Czy to był ten sam Paul Isaacson, który jest moim ojcem? Jeśli nie, to gdzie jest mój ojciec? Wielu słów nie rozumiałem. Tęskniłem za głosem ojca, który analizował, bez końca analizował i obnażał kłamstwa w gazetach, w radiu i telewizji, wszędzie; tęskniłem za jego diagnozą, za pasją, z jaką ukazywał mi prawdziwe znaczenie tego, co mi się podsuwa. List, który od niego dostałem, był tak samo pusty i obcy, jak list od matki. Zupełnie nie był w jego stylu. Próbowiałem rozpracowywać problemy, tak jak on to robił, ale nie potrafiłem. Nie potrafiłem wykrzesać z siebie tej pasji. Przeobrażał się na moich oczach i nie było go pod ręką, żeby zatrzymać to przeobrażenie. Jeśli jest w więzieniu, to może jest szefem siatki szpiegów atomowych. Mój mózg pracował, usiłując dostosować moje życie i związek z ojcem do słów w gazecie.

Do rzeczywistości nieodmiennie przywoływała mnie sroga twarz Aschera. Kiedy widziało się tego człowieka uginającego się pod nadmiarem trosk, które na niego spadły, coraz mocniej angażującego się w sprawę moich rodziców, nie miało się wątpliwości co do semantyki katastrofy. Olewali nas. Każdy nowy akt oskarżenia formułowany przez Wielką Ławę Przysięgłych, precyzując definicję konspiracji, rozszerzając ją, dodając kolejne akty zdrady, pogłębiał zarzuty.

Czułem się winny. Truman musiał rozkazać naukowcom, żeby skonstruowali superbombę. Robert Oppenheimer, chociaż pracował nad skonstruowaniem bomby atomowej, sprzeciwił się budowaniu superbomby i dlatego uznany został za zagrożenie dla bezpieczeństwa. Lubił bombę A, ale nie lubił bomby H, dlatego uznano go za zdrajcę.

SAMOTNIE PRZEZ ZIMNĄ WOJNĘ wraz z Franny i Zooeyem

Każdy chłopiec miał wojskowe łóżko, coś na kształt pryczy, przykryte kocami w kolorze khaki, które musiał codziennie rano ścielić, oraz szafkę i kufer, taki, jaki mają żołnierze w koszarach. Torba z rzeczami do prania miała wisieć na ramie w nogach łóżka. Nie wolno było niczego przyklejać do ścian wyłożonych czymś w rodzaju brązowych kafli. Podłogę pokrywały płytki winylowe, również w brązowym kolorze. Okna były zamalowane i zabezpieczone drucianą siatką o romboidalnych oczkach, taką, z jakiej robi się płoty. Wszystkie powierzchnie były twarde, a zgiełk czasami nie do wytrzymania. Żeby nas uciszyć, wychowawca używał gwizdka, którego przeraźliwy dźwięk przewiercał uszy aż do bólu. Gwizdał też rano, żeby nas obudzić. W pokoju przebywało przeważnie trzydziestu do czterdziestu chłopców w wieku od pięciu do dwunastu lat. Starano się przydzielać młodszych chłopaków starszym, żeby stworzyć coś w rodzaju związków braterskich, ale to się nie sprawdzało. Na pierwszy rzut oka było widać, że z niektórymi coś jest nie w porządku: uważano powszechnie, że są opóźnieni w rozwoju, ale teraz wiem, że przynajmniej kilku chorowało na autyzm. Jeden malec nigdy sam z własnej woli nie opuszczał łóżka. Jeśli już przy nim stanął, stał tak, dopóki go ktoś nie przestawił. Wołano na niego Bezwładek. Ktoś zawsze musiał pomóc mu przyjąć taką pozycję, w jakiej akurat powinien się znajdować. Inny chłopiec, śniady, mały histeryk, mówił zupełnie niezrozumiale albo okazywał emocje, które nie miały nic wspólnego z tym, co się akurat działo. Miał zwyczaj chodzenia wokół sali gimnastycznej, gdy tylko się tam znalazł. Albo wokół boiska. Biegał po obwodzie każdego pomieszczenia, w którym właśnie przebywaliśmy, i po kilku pierwszych okrążeniach już się go nie zauważało. Bez ustanku mruczał coś do siebie i krążył po obrzeżach. Wszystkie świrry miały łóżka w jednym końcu pokoju. W drugim końcu, przy drzwiach, postawiono łóżka dla przejściowych. Chłopców, którzy przychodzili do ochronki jedynie

na kilka dni, na tydzień lub dwa, umieszczano przy drzwiach. Tak więc tworzyła się społeczność, której środek zajmowało stałe jądro, a granice rozmywały się wśród czubków i gości sezonowych. Po upływie miesiąca mój status zmienił się z sezonowego na stały.

Chłopcy spali na drugim piętrze budynku. Oddział dziewięcący mieścił się na pierwszym. Niekiedy w nocy leżałem po Zgaszeniu Światła i w mrocznej ciszy nasłuchiwałem gniewnych wrzasków mojej siostry dochodzących przez ścianę.

Raz w tygodniu mieliśmy Alarm Pożarowy. Raz w tygodniu odbywał się Alarm Bombowy. W czasie Alarmu Pożarowego wychodziło się na zewnątrz. W czasie Alarmu Bombowego zostawało się w środku.

Na parterze znajdowały się biura pracowników, jadalnia i kuchnia. Trzecie i najwyższe piętro w całości zajmowała sala gimnastyczna. Instytucja nazywała się Ochronka Społeczna dla Dzieci ze Wschodniego Bronksu w Nowym Jorku (Wielebny William O'Dwyer, Burmistrz Wielebny Edward J. Flynn, prezydent dzielnicy Bronx). Mieści się za Tremont Avenue, niedaleko Parku Crotona, w zespole budynków miejskich.

Stali pensjonariusze codziennie jeździli autobusem do szkoły. Nie wiem, dlaczego wożono nas akurat do tej szkoły, a nie do innej. Niedaleko znajdowała się taka, do której moglibyśmy chodzić pieszo, ale do niej nas nie posyłano. Nasza wielka, czerwona szkoła była chyba w tej samej odległości – chociaż w innym kierunku – co moja prawdziwa, czerwona szkoła, SP nr 70. Nie zrobiła na mnie dużego wrażenia i dzisiaj już nie pamiętam jej numeru. Nikogo nie obchodziło, czy odrobiliśmy lekcje, czy nie. To była stara szkoła ze zmęczonymi, ponurymi nauczycielami i mnóstwem murzyńskich dzieciaków.

W ochronce graliśmy głównie w softball. Zajęcia sportowe stały na bardzo wysokim poziomie. Dzieciaki grały często i dobrze. Najfajniejsze mecze rozgrywaliśmy w niedziele. Rano, ubrani w najlepsze ubrania, siadaliśmy wszyscy na łózkach i czekaliśmy na krewnych, opiekunów czy kogoś innego, kto zabrałby nas na cały dzień. W południe było już wiadomo, po kogo nikt nie przyjdzie. Zazwyczaj sami dobieraliśmy się w drużyny i graliśmy na boisku, a jeśli było zimno, to w sali, zwykle bez żadnego nadzoru. Mecze niedzielne były bardzo zacięte. Walczyliśmy jak lwy. Wtedy właśnie nauczyłem się grać. Ktoś zawsze podarł swe najlepsze portki, przejechał się po betonie, albo zdarł podeszwy butów. Dziewczynki kibicowały i podśmiewały się z nas. Stanowiliśmy całkowicie samowystarczalną, kompletną społeczność, w której nie brakowało nikogo ważnego.

Większość dzieci nosiła za duże ubrania. Skarpetki zawinięte na kostkach. Kwieciste sukienki po starszej siostrze. Spodnie od Goodwilla, które trzeba było podwijać w talii i wpychać pod pasek.

W jadalni dostawaliśmy letnie frankfurterki wyciągane z wielkich garnków z wodą, na powierzchni bursztynową. Dostawaliśmy zupę jarzynową. Szklankę mleka. Puree kukurydziane. Puree ziemniaczane. Nigdy nie zapomnę zapachu tej jadalni: ciepły, miły zapach, dużo lepszy od samego jedzenia. Podejrzewam, że był to zapach zupy jarzynowej, który zagłuszał wszystko inne, co i tak w końcu w zupie lądowało. Ten zapach kojarzy mi się z biedą. Myślę o zupie jarzynowej jak o odebraniu prawa wyborczego. Kiedy Phyllis robi zupę jarzynową, dodaje do niej ciągle coś innego, w nadziei, że przywoła dla mnie ten zapach. Nigdy jej się to nie udało, nawet w przybliżeniu. Chyba że potrzebne są wykafelkowane ściany. Wysokie sufity z lampami wiszącymi na łańcuchach i barowe tacki z brązowego plastiku.

Innym, wszechobecnym w ochronce zapachem był smród wymiocin. Ciągłe ktoś wymiotował. Dzieciaki stale dostawały mdłości i rzygały. Woźny chodził w kółko z wózkiem, wielką miotłą, szuflą i wiadrzem piasku. Zasypywał wymiociny piaskiem, a kiedy całkiem wsiąkły, zmiatał glądę na szuflę.

Potem zmywał podłogę roztworem amoniaku. Amoniak zagłuszał odór wymiocin może na pięć minut, ale przez resztę dnia otoczenie załatywało mdlącym smrodem. Jako mdły ekstrakt odór był tajemniczy i przerażający. Zapach wnętrza ciała.

Może to smród wymiocin wpływał na zupę jarzynową.

Niektórzy, starsi chłopcy przechodzili okres dojrzewania i sypał im się wąs. Bez przerwy dochodziło do bijatyk. Jeden chłopak lubił trzepać kapucyna na środku pokoju, gdzie wszyscy mo-

gli go oglądać. Raz miała miejsce próba sodomii. Powtarzały się ostre bójk i jednego czy drugiego przyłapywano z nożem, którego nie wolno mu było posiadać. Karą było natychmiastowe trzepnięcie po głowie. Pan Levinson, wychowawca chłopców, nie tolerował żadnego stawiania się. Na noc przychodził jego pomocnik, starszy gość nazwiskiem Clancy, bezzębny, ślamazarny alkoholik, któremu praca w ochronie pozwalała zregenerować siły. Kiedy zasypialiśmy, Clancy też zasypiał.

Susan widywałem tylko w przelocie, gdy gdzieś wychodziliśmy, zwykle kiedy zazębiały się rozkłady dnia dziewcząt i chłopców. Za każdym razem doskakiwała do mnie i obejmowała kurczowo. Któregoś dnia zdałem sobie sprawę, że są jej urodziny, więc powiedziałem o tym panu Levinsonowi, który napisał kartkę do wychowawczynie dziewcząt. Na kolacji postawiono przy jej talerzu babeczkę z jedną świeczką, a dziewczynki przy jej stole zaśpiewały „Sto lat”. Nie dostała jednak tego dnia żadnego prezentu. Dwa dni później przyszła kartka z więzienia. Podpisali się oboje. Charakterem matki napisane było: „Najlepsze Życzenia dla naszej najukochańszej córeczki. Na następne urodziny wynagrodzimy ci te nieudane. Całusy, mamusia i tatuś”. Susan kończyła pięć lat. Ponieważ była mała, spodziewano się po niej, że będzie lubiana przez wszystkich jak domowe zwierzątko, ale ona się nikomu nie przymilała. Nie była słodką dziewczynką. Była przerażona. Jej czarne włosy były brudne, błękitne oczy zapadnięte. Wyglądała jak uciekinierka. Któregoś dnia ugryzła wychowawczynię w rękę i dostała klapsa. Wtedy ją kopnęła. Dawała się im we znaki. Za każdym razem, gdy się spotykaliśmy, przyskakiwała do mnie i nie chciała puścić.

Pewnego dnia pan Levinson kazał mi iść na dół do gabinetu psychologa, pana Guglielmiego. Był on młodszy od pana Levinsona i pracował w ochronie na pół etatu. Nosił marynarkę i krawat, a pan Levinson tylko koszulę. Chodził w błyszczących, brązowych butach na grubych podszwach. Rozmawiał z każdym dzieckiem raz w miesiącu przez dziesięć albo piętnaście minut.

– Wejdz, Dan, usiądź.

Zapalił papierosa i rozparł się w obrotowym fotelu, który zaskrzypiał.

– Dan – rzekł – potrzebuję twojej pomocy.

Daniel nie spuszczał z niego wzroku.

– Nie wiem, co robić z twoją siostrzyczką. Staramy się, żeby czuła się jak w domu. Próbuje-
my się z nią zaprzyjaźnić, ale mamy z nią ciężkie życie. Powiedz mi, proszę, czy kiedy byliście
jeszcze w domu, miewała napady złości?

Daniel potrząsnął przecząco głową.

– Nie chce jeść. W nocy budzi inne dzieci. Zaczyna krzyczeć, kiedy ktoś coś do niej powie
albo choćby spojrzy na nią krzywo. Nie chce nikogo słuchać.

Daniel się uśmiechnął. Nic nie mógł na to poradzić.

– Pytam cię, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić – dokończył pan Guglielmi.

– Ona myśli, że jest w więzieniu – odparł Daniel.

Psycholog coś zanotował. Potem pochylił się.

– Ależ to niemądre – rzekł cicho. – Nie ma tu krat w oknach. Ani zamków w drzwiach.

Może bawić się na podwórku, kiedy jest na to czas.

– Nie pozwalacie jej spać razem ze mną – dodał Daniel.

Psycholog coś zanotował. I rzekł:

– I dlatego uważa, że jest w więzieniu?

– W więzieniu ludzi trzyma się osobno. A potem zabija. – Daniel nie mógł się powstrzymać
od uśmiechu.

– No nie, zaraz, chwileczkę. Takie rzeczy nie mają miejsca w więzieniu. Jak ludzie zrobią
coś złego, stają przed sądem. Jeśli zostają uznani winnymi, idą do więzienia na jakiś czas, a potem
są wypuszczani. Nikt ich nie zabija. Tylko bardzo niewielu ludzi dokonuje takich strasznych czy-
nów, żeby na to zasłużyć.

– Moja mama i mój tata są w więzieniu i nie stanęli przed sądem.

– No cóż, to problem administracyjny. Czekają na swoją kolej.

– Dlaczego nie mogą czekać w domu, razem z nami?

– Nie wiem, Dan, nie jestem prawnikiem. Może rząd się boi, że uciekną.

– Ale rząd by się nie bał, gdyby nie miał zamiaru ich zabić.

Psycholog potrząsnął głową. Odłożył papierosa.

– Rozmawiałeś o tym z Susan?

– Nie, ona zawsze wtedy płacze.

– Czy ty też chcesz z nią spać?

– Nie, bo się moczy.

Psycholog coś zanotował. Powiedział:

– No tak, co tu zrobić? Przypuśćmy, że pozwolimy wam za dnia częściej przebywać razem.

Czy to pomoże?

Daniel wzruszył ramionami.

– Widzisz, tutaj obowiązują pewne reguły. Wszystko musimy załatwiać w określony sposób. Chłopcy są w jednym oddziale, dziewczynki w drugim. Takie są reguły.

– Więc jednak jak w więzieniu – rzekł Daniel z uśmiechem.

– Danielu, to jest Ochronka dla Dzieci ze Wschodniego Bronxu. To nie więzienie! No, patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię: czy kazałem ci tu przyjść?

– Nie.

– Nie. Czy powiedziałem Susan, że musi tu przyjść?

– Nie.

– Nie! Więc co to za więzienie? Twoi rodzice zwrócili się z prośbą do władz miejskich, abyście mogli tu zostać. Poprosili swojego adwokata, żeby napisał wasze nazwisko na podaniu. Czy przypuszczasz, że rodzice wsadziliby własne dzieci do więzienia?

Daniel wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Nie wiem! Otóż nie wsadziliby. Wiesz dobrze, że nie.

Daniel przesunął palcem po krawędzi biurka. Przypuśćmy, że listy, które dostawał od matki i ojca, zostały w rzeczywistości napisane przez FBI, które podrobiło charakter ich pisma. Albo że FBI zmusiło ich, żeby oświadczyli, iż chcą umieścić dzieci w ochronce. Tak naprawdę nie wierzył w to, ale musiał być czujny na wypadek, gdyby to jednak była prawda. Bo gdyby FBI umieściło tutaj jego i Susan, to musiało mieć ku temu jakiś powód, a powodem mogło być to, że FBI chciało, aby znienawidzili swoich rodziców i potem rozpowiadali kłamstwa na ich temat.

skrzypcowe pająki

Pan Guglielmi obszedł biurko i usiadł na nim bokiem.

– Poza tym – ciągnął – gdyby to było więzienie, nie wolno by wam było się bawić. A przecież możecie się bawić, prawda, Dan?

Daniel wzruszył ramionami:

– Tak.

– Masz kolegów?

Daniel wzruszył ramionami. Skinął głową.

– Dobrze. Czy jest coś, co cię martwi i o czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

– Nie.

– No dobrze. Sądę, że pozwolimy wam siedzieć w stołówce przy jednym stole. I chyba pozwolimy ci posiedzieć z Susan parę minut przed zaśnieciem. Zróbmy tak, dobrze?

– Dobrze – odparł Daniel.

– Gdybyśmy nie przestrzegali tu pewnych reguł – rzekł psycholog – nie moglibyśmy wypełniać swoich obowiązków. Rozumiesz, prawda? Jest nas po prostu za dużo, abyśmy mogli obyć się bez pewnych rygorów.

(gdy pierwszy raz weszliśmy tam z naszymi rzeczami i usiedliśmy w gabinecie, każdy z pracowników przychodził nas obejrzeć. Ukradkowo oczywiście. Taka sensacja. Osobistości. Szybko zaspokoiliśmy ich ciekawość, no nie, Susy. Niech przeklinają ten dzień)

ZDRADA jest jedynym przestępstwem zdefiniowanym w Konstytucji. Cechą charakterystyczną tyranii, na przykład pod panowaniem dynastii Stuartów i Tudorów, było eliminowanie politycznych przeciwników pod zarzutem zdrady. Ustawy o zdradzie, na które składały się niezliczone paragrafy, były instrumentem, za pomocą którego monarcha nie tylko pozbywał się opozycji, ale

jednocześnie bogacił. Zdrada była czynem tak nikczemnym, że prawowitym spadkobiercom konfiskowano cały majątek zgładzonego zdrajcy. Sądowe ściganie podejrzanych o zdradę, podobnie jak podejrzanych o czary, stało się swego rodzaju przemysłem. Ojcowie Założyciele za wszelką cenę chcieli uchronić się przed możliwością zaprowadzenia w tym kraju tyranii na mocy dwuznacznego prawa. Sami byli zresztą zdrajcami według prawa brytyjskiego. Zgodnie z ich sformułowaniem można było stać się winnym zdrady jedynie wobec narodu, nie zaś konkretnego władcy czy partii. Zdrada została zdefiniowana jako czyn raczej niż myśl czy słowa. „Za zdradę przeciw Stanom Zjednoczonym uważać się będzie wszczęcie przeciw nim wojny lub sprzymierzenie się z ich Nieprzyjaciółmi, udzielanie im Pomocy i Poparcia. (...) Za zdradę stanu można skazać tylko na Jawnej Rozprawie sądowej, na podstawie zeznań dwóch świadków Aktu Zdrady lub na podstawie Przyznania się do winy”. Zdaniem członków zgromadzenia konstytucyjnego oznacza to, że nie można zmienić definicji Zdr. inaczej, jak tylko przez wprowadzenie poprawki do konstytucji. „Decyzja, aby stworzyć konstytucyjne zabezpieczenia w stosunku do oskarżeń o zdradę, stanowiła część rodzącej się tradycji amerykańskiego liberalizmu. (...) Nigdy nie wykonano egzekucji na żadnym Amerykaninie skazanym za zdradę swego kraju” pisze Nathaniel Weyl w książce *Zdrada: dzieje niełojalności i niewierności w Ameryce*, wydanej w roku 1950. A ja mówię, że JEŚLI MA TO BYĆ ZDRADA, TO TRZEBA JĄ WYKORZYSTAĆ DO KOŃCA!

Jeśli to jest dobra rada, trzeba ją wydoić
Jeśli głowa spada, trzeba coś wykroić
Jeśli zupę się dziś jada, trzeba ją posolić
Jeśli dupa jest namolna, musi to odrobić
Jeśli chłopak dycha, trza zeń zrobić ducha

Kiedy zachorowałem na grypę, moja żona wróciła, żeby się mną zająć. Chciało mi się płakać, gdy usłyszałem, jak otwiera drzwi. Zwalczyłem w sobie nagłą chęć okazania jej wdzięczności. Moja bezradność wyzwoliła w niej instynkt opiekuńczy, jak mawiają pisarze. Ponieważ byłem do niczego, ani ona, ani dziecko nie musieli się niczego obawiać z mojej strony. Cuchnący, wypompowany, nie ogolony, żółty na twarzy, leżałem i patrzyłem, jak krząta się po sypialni, robiąc porządek. Czekałem na jeden fałszywy ruch z jej strony wskazujący na chęć pogodzenia się, ale ona tylko karmiła mnie i zmieniała pościel.

Jej powrót zwolnił nas z posępnych rytuałów pojednania. Przebaczenie mi chyba ją podnieca, nie umiem inaczej wyjaśnić jej powtarzających się powrotów. Phyllis lubi mi wybaczać. W kącikach jej oczu pojawiły się drobne zmarszczki. Schudła na twarzy, wysmukłała w udach. Cierpienie to wyrafinowany rzeźbiarz. Odkrywam, że jest zachwycająca, i to mnie wkurza.

Dzisiaj, kiedy wychodziłem z mieszkania po raz pierwszy od dwóch tygodni, zauważyłem, że coś ją gryzie. Ten gest, którym poprawia długie, jasne włosy, zakładając za ucho pasemko opadające na policzek. Kiedy karmiła dziecko, zrobiła ten gest z takim namysłem, że wydawało mi się, iż musiała się bardzo skupić, żeby go dokończyć. Żeby był w pełni doskonały. Z miejsca, gdzie stałem, widziałem jej głowę dokładnie pod plakatem z Isaacsonami, przylepionym na ścianie w kuchni. Odkąd wróciła, jeszcze się do niej nie dobrałem i nasze życie upływa w przyjaźni.

W czasie naszego ostatniego pojednania zrobiłem coś, co trudno mi zrozumieć. Chciałbym wiedzieć, na czym polega uczenie się. Chciałbym zgłębić tajniki tego procesu. Nie ma to nic wspólnego z czasem, ze znanymi nam miarami czasu. Małe, sekretne, chemiczne przełączniki kryjące się w ciemności. Wąziutkie ścieżki wyłobione wśród elektrycznych połączeń między tkankami. Jedwabiste sekwencje atomów, które nie mają na własność nic prócz samowiedzy.

Jak to się zwykle dzieje między pojednanymi małżonkami, poszliśmy do łóżka. Właśnie skończył jej się okres, a to oznaczało, że jest bardzo podniecona, i znacznie mnie wyprzedziła. Jeszcze nim doszła do szczytu, odebrałem to jako wyłączone zainteresowanie sobą, skupienie się na własnym wnętrzu, co zdawało się stawiać mnie poza nawiasem. A jednak wykrzyczała moje imię. Od-ruchowo wpijała palce w moje plecy. Napinała się coraz bardziej, jej ruchy były coraz gwałtowniejsze i szybsze. Nie zmieniałem swego rytmu, który był wyniośle powolny. Serce waliło jej mocno,

piersi przy moich piersiach były spocone, oddech łowił moje ucho, a potem ściągnęła usta, jakby z wysiłkiem gwizdała, na poły z bólu, na poły ze zdumienia. Wszystko to działało na mnie i powoli traciłem spokój. Drżała za każdym razem, gdy dochodziła. Każdy spazm był silniejszy od poprzedniego. Gryzła moje usta. Zmierzała do wielkiego wybuchu. W tym momencie zrobiłem rzecz okrutną: wycofałem się. To zmusiło ją do uniesienia się w ślad za mną. Zamieszałem piankę w jej kubeczku. Uwiesiła mi się na szyi, skamlać wprost w usta. Kiedy doszła do kresu szaleństwa, powoli zanurzyłem się z powrotem i to było posunięcie, które wyniosło ją poza niepodzielność charakteru i ciała.

Później powiedziała mi, że nigdy dotąd nie było jej tak dobrze. Nie mogła się ruszyć przez godzinę. Jednak pochylając się nad jej zaspanymi, uśmiechniętymi oczyma, nie mogłem znaleźć śladu zdobytej nauki, żadnego wrażenia okrucieństwa – okrucieństwa, bo to właśnie okrucieństwo łączy nasze łzy, oddechy, krzyk naszego szczytowania...

Kiedy leżałem w łóżku, przypominałem sobie coś, co zdarzyło się w ochronce – żeby przypomnieć sobie coś takiego, trzeba dostać gorączki. Czułem rodzaj wewnętrznego przymusu, żeby czymś się wykazać przed innymi dzikusami ze stałej grupy. Jak każde dziecko z ochronki, poczułem przemożną chęć zostania jednym z przywódców. Przywódcami są tylko ci, którzy wszędzie czują się jak u siebie. Reszta boi się zdrzeć z przywódcą. Nie byłem najlepszy w sporcie. Nie znać to, że miałem jakieś trudności, ale niektóre dzieciaki były naprawdę nie do pobicia. Jeden muryński chłopak imieniem Roy robił wszystko lepiej niż większość dorosłych facetów: po każdym odbiciu biegł jak błyskawica, skakał wyżej, łapał lepiej, wykonywał niemożliwe rzuty – potrafił nawet z głupawej siatkówki zrobić grę do rzeczy. Sprawiał, że piłka szybowała jak kania. Wszystko, do czego się zabrał, robił po mistrzowsku. Był po prostu najlepszy. Byli też inni, tak samo świetni w swoich specjalnościach. Tak więc moje szanse jako sportowca przedstawiały się kiepsko. Ale sądziłem, że rozum i język mam nie gorsze od innych. Że będę mógł zostać przywódcą dzięki mojemu umysłowi, co nie jest rzeczą łatwą w dziecięcej społeczności. Popisywanie się zaletami umysłu bez odpowiedniego podejścia, bez mówienia właściwym tonem, mogło mieć w takiej sytuacji katastrofalne następstwa – przyklepiano takiemu etykietkę mądrali, mocnego tylko w gębie, i zostawało się na lodzie. To było wyzwanie. Staram się opisać swoje rozumowanie – jeśli w ogóle było to jakieś rozumowanie – które doprowadziło mnie do naśladowania Bezwładka. Może ostatecznym przedłużeniem intelektu jest błazenada. W pozycji siedzącej Bezwładek wygląda na zgarbionego, głowę ma przekrzywioną, jakby jeden z kręgów szyjnych wypadł ze stawu. Ręce leżą, jakby były złamane w nadgarstkach, kciuk wsadzony w drugą dłoń. Nawet nie musiałem się wysilać, żeby pokazać dokładną jego karykaturę. Potrafiłem naśladować jego niezdarne, szurający chód. Jego spanie, zawsze na wznak, z otwartymi oczyma. Nigdy nie zamykał oczu, gdy spał. Tylko jego oddech się zmieniał. Przedrzeźniałem te wszystkie nawyki, w jednej chwili zdobywając sławę. Nowy łebek w towarzystwie, dowcipniś, mim nieszczęścia, kapłan. Potrafiłem robić to rutynowo, nawet nie patrząc na Bezwładka. Prawdę mówiąc, nie mogłem na niego patrzeć.

To był jedyny okres w moim życiu, kiedy występowałem publicznie. Nie mam natury tresowanego zwierzęcia. Są tacy, którym wczucie się w rolę przychodzi tak łatwo, jakby nigdy nie musieli udawać czy narażać się na samozatrąę. Stwierdziłem, że przedrzeźniam Bezwładka nawet wtedy, kiedy nikt nie patrzy. Żeby zachowywać się tak jak on, trzeba było odłączyć swój mięsień sercowy, porzucić go – tak, porzucić, by opadł pod własnym ciężarem. Trzeba było odłączyć wszystkie gumowe rurki, skrócić wszystkie gałki regulacyjne i pozwolić sercu, by tak zwisało w tobie z zamkniętymi oczami, odłączonym językiem i członkami. Umiałem się nawet ślinić, aż ślina kapłała mi z kącików ust. Przez kilka dni ciągle żądano ode mnie udawania Bezwładka, które coraz bardziej się wydłużało, okrucieństwo przedrzeźniania wykraczało poza zwykłe okrucieństwo, aż wreszcie stało się pokazem samym dla siebie, ku uciesze innych, nawykiem, z którego coraz trudniej było mi się wyzwolić.

Och, mały, starszy bracie, do góry, do góry, woła mój dowódca skrzydła, kiedy jego szczerzący zęby najlepszy pilot zbyt zapędza się w lot nurkowy. Leć do góry, zanim dźwięk zaryje w ziemię i zapadnie cisza. Zapominałem wręcz oddychać. Nasłuchiwałem bicia swego serca.

Wnętrznosci walczyły o powietrze, kiedy próbowałem sobie przypomnieć, jak się oddycha. Traciłem przytomność, starając się przypomnieć sobie, po co jest światło.

Dlaczego go potrzebujemy? Co się z nim robi? Do czego się go używa? Co jest w nim tak wartościowego? Co w nim jest godne pożądania?

Fundacja. Pożądanie Fundacji.

– Czy chcesz iść do domu?

– Tak.

– Jeśli cię zabiorę, będziesz dużą dziewczynką i zrobisz to, co ci powiem?

– Tak.

– Musimy to zrobić po kryjomu, żeby nikt nas nie widział, więc musisz mnie słuchać i robić, co ci każę. Dobrze?

– Dobrze.

– Teraz słuchaj, to jest przysięga.

– Tak.

– Powiedz: „Przyrzekam, Danielu”.

– Przyrzekam, Danielu.

– W porządku. Więc tak, dzisiaj jest czwartek. Uciekniemy w sobotę. To nie jest dzisiaj ani nie jutro, ale pojutrze.

– Chcę uciec teraz.

– Susan, przed chwilą złożyłaś przysięgę. Albo będziesz mnie słuchać, albo w ogóle tego nie zrobimy. Jeśli uciekniemy wcześniej, łatwiej będzie nas złapać. Nie chcesz przecież, żeby nas złapali, prawda?

– Nie.

– Dobra. Tymczasem musisz robić wszystko, co ci każą. Idź spać, kiedy ci każą, i jedz, kiedy ci każą. Nie będę na ciebie czekał, jeśli będziesz zmęczona, więc lepiej, żebyś nie była zmęczona. A jeśli się najesz, nie będziesz głodna, kiedy odejdziemy. Nie wiem, kiedy będziemy mogli coś zjeść, gdy uciekniemy. Więc musisz zjeść wszystko, co dostaniesz, i wyspać się. Dobrze?

– Tak.

– A w sobotę pójdziemy.

– Tak.

– I słuchaj: nie wolno ci nikomu nic powiedzieć.

– Nie powiem. Nienawidzę ich.

W sobotę dyscyplina się rozluźniała. Niektóre dzieci szły na weekend do domu. Nie było lekcji. Mieliśmy więcej wolnego czasu. Po śniadaniu bawiliśmy się na podwórku. Biegało po nim pełno dzieciaków. W sobotę nikt na ulicy nie zapyta, dlaczego nie jesteście w szkole.

Ranek był zimny. Spojrzałem na szare niebo, na pędzące chmury i serce podskoczyło mi do gardła. Miałem na sobie sukienną kurtkę i skórzaną czapkę myśliwską. Susan ubrana była w zimowy płaszcz z kapturem. Ja miałem tenisówki, ale ona tylko czarne lakierki zapinane na pasek.

– Dobra, usiądź pod płotem. Tak. Kiedy powiem, położysz się. Podniosę siatkę, a ty się pod nią przeturlasz.

– Dobrze.

– Potem ja się przeczołgam. Potem biegnij. Biegnij tak szybko, jak tylko możesz.

Mój pomysł polegał na tym, że jeśli dostaniemy się do domu, do Williamsa, to jakimś cudem sprawimy, że matka i ojciec też się tam znajdują. Zdawało mi się, że tak długo, jak długo będziemy w ochronce, oni będą w więzieniu. Byłem przekonany, że nie mają żadnej szansy wrócić do domu, dopóki my jesteśmy w ochronce. Chciałem, żeby wszystko było jak dawniej. Wtedy moje rozumowanie wydawało mi się logiczne. Nie była to kwestia wiary czy ufności. Po prostu logiczne było, że jeśli razem z Susan znajdziemy się w domu, wszystko wróci na swoje miejsce. Może nawet Paul i Rochelle nas wyprzedzą. Będą tam na nas czekać.

– No dobra, uważaj. Nie musisz iść do ubikacji?

– Nie.

– Nie wiem, gdzie będzie jakaś ubikacja, więc lepiej idź teraz, jeśli musisz. Poczekam na

ciebie.

– Nie muszę.

Samotni na zimnej wojnie, Daniel i Susan biegą po Tremont Avenue. To jest ruchliwa, kręta, brukowana ulica, przy której pełno jest sklepów, delikatesów, kin, salonów samochodowych, barów i chińskich restauracji. Wije się z zachodu na wschód po wzgórzach Bronxu, jest jego główną arterią. Środkiem biegnie trakcja trolejbusowa, już nie używana. Słychać beczenie klaksonów samochodowych. Daniel potrafi się wykazać pewną wiedzą na temat miasta: wie, że ochronka znajduje się we Wschodnim Bronksie, natomiast ich dom jest w Zachodnim. Ale nie wie, w którą stronę jest zachód. Sprawdza napisy na każdym sunącym przed siebie autobusie. Sprawdza, gdzie jest słońce, ale słońca nie widać. Pędzą do przodu, spieszenie mijając wejścia do sklepów, przelatując obok bram, klucząc między ludźmi, którzy idą, robią zakupy, czekają na przejściach dla pieszych – mała dziewczynka, którą brat ciągnie za rękę. Daniela kluje w boku. Każdy krok sprawia mu ból. Poci się.

– Nie tak szybko – jęczy jego siostra. – Przewrócisz mnie.

Co kilka minut musi się zatrzymać i wyciągnąć skarpetki spod pięt. Białe, bawełniane skarpety są na nią za duże i zsuwają się do butów, więc musi je podciągać.

Przed nimi Trzecia Avenue El krzyżuje się z Tremont Avenue, zostawiając za sobą tunel głębokich cieni, przecucie wielkich odległości. W tych mrokach wspartych na czarnych stalowych belkach, które wibrują niepokojąco, kiedy górą przejeżdża z rykiem pociąg, zielone światła wyglądają jaskrawo i zimno. Pod schodami, które prowadzą na perony, stoją budki z gazetami. Zapach hot dogów, owocowej gumy do żucia i prażonej kukurydzy. Wrażenie zagubienia w mieście.

Nie można zapytać o drogę, bo nikt nie wzbudza większej sympatii niż dziecko, które się zgubiło. Ludzie tego nie zapominają. To tak jakby zostawić za sobą rozsypane okruszki.

Gorzej, biorą dziecko za rękę i już jest w pułapce. Więc idziesz dalej z uczuciem obezwładniającego strachu, mając nadzieję, że w dobrym kierunku, wypatrując znaków, poganiając swą intuicję, starając się wyglądać tak, jakbyś wiedział, dokąd zmierzasz. Stanowczo przechodzisz przez jezdnię i skręcasz w lewo.

– Jak daleko jeszcze? Dojdziemy niedługo?

– Cicho bądź.

– Niedługo?

– Tak. Tylko bądź cicho.

Mała, ciepła rączka w mojej ręce. Trwały odcisk. Mała, ciepła rączka w mojej ręce. Została mi dana i nie odebrana. Mała, ciepła rączka w mojej ręce. Co kilka kroków słyszę w zgiełku miasta, w tykaniu jego mechanizmu ciche psss psss jak tajemny znak dawany z bramy, jak zakłócenia w nielegalnie posiadanym radiu. Bez przerwy czujnie nasłuchuję tajnych sygnałów. Ale to tylko Susan kapie z nosa. Rytmiczne siąkanie – sygnał przeznaczony tylko dla moich uszu – odmierza pokonaną odległość. Od czasu do czasu Susan przeciąga rękawem po buzi.

– Dlaczego płaczesz?

– Nie płaczę.

– Czy za szybko idę?

– Tak.

Sprawdzam, czy ktoś nas nie śledzi. Zostawiliśmy za sobą hałaśliwą ulicę i znaleźliśmy się we Wschodnim Bronksie, na ulicy, przy której stoją kamienice czynszowe. To biedna okolica. Z rzadka mijamy pokryte gontem domki z gankami dokładnie takie same jak nasz. Wygląda na to, że nikt za nami nie idzie. Zwalniam, ale się nie zatrzymujemy. Stojące na schodkach i w drzwiach dzieciaki gapią się na nas. Nie potrafię udawać, że robię cokolwiek innego poza tym, że tylko tędy przechodzę. Rośnie we mnie tęsknota za ochronką. Myślę o porze lunchu, o frankfurterkach w sobotnie południe. Nostalgia. Słaby przyływ tęsknoty za domem. Czy to możliwe? Czy to możliwe, aby uczucia były tak niewybredne?

Za nami zostało wspomnienie Bezwałka leżącego na pryczy. Wstyd mi z powodu mojego zachowania. Poniosłem klęskę. Wiedział, że się z niego naśmiewam. Wiedział, co robię. Czuję się okropnie. Nachodzą mnie mdłości, jak kogoś, kto się sprzedał. Z rzadka, w pewnych okoliczno-

ściach, kretynizm malujący się na jego twarzy na chwilę zniknął. Jego twarz stawała się urodziwa. Wiedziałem, że jest przystojny i mądry. Bałem się na niego spojrzeć. Podziwiałem go. Gdybym został w ochronce, zaopiekowałbym się nim i obronił przed odczłowieczeniem. Czy Roy potrafiłby tak odbić piłkę, skoczyć tak wysoko?

Po południu Daniel i Susan dotarli na odcinek Bathgate Avenue między Sto Siedemdziesiątą Trzecią Ulicą a Claremont Parkway, przy którym znajdował się targ ze straganami z owocami i warzywami i wózkami domokrażców przy krawężnikach. Chodniki okupowali sklepikarze i kupcy w długich, białych fartuchach narzuconych na płaszcze, wykrzykujący ceny, aby zwrócić uwagę przechodniów. Na straganach wznosiły się piramidy jabłek i ciemnych winogron, pomarańczy i dyni. Ceny wypisano na szarych papierowych torebkach przyczepionych do drewnianych listewek. Dwa funty za dziewiętnaście centów! Sześć za trzydzieści trzy! Świeże! Słodkie! Soczyste! Masa zielonej papryki. Skrzynki marchewki w pęczkach, której natkę sprzedawca ukręci przy zakupie. Daktyle wsypywane do torebki metalową szufelką. Orzeszki pinii. Kamyczki. Zatrzymują się przed otwartymi delikatesami przyciągnięci widokiem płatów wędzonego łososia, beczek z marynatami, tacek z orzechami, śledzi w śmietanie. Co podać? Ile dla pani? Kobiety przepychają się łokciami, niosąc wypchane siatki. Z piekarni doleciał zapach świeżego, gorącego chleba. Drzwi rzeźniczej chłodni zamknęły się z głośnym trzaskiem. A tutaj jest sklep taki sam jak sklep rybny Irvinga, z podłogą posypaną trocinami, z żywymi rybami pływającymi w wannie i czekającymi, aż Irving ogłuszy je walkiem, a potem nożem odetnie głowę. Ile, proszę pani! A wzdłuż krawężnika stały wózki z galanterią, guzikami i nićmi, z damskimi majtkami, z butami w drugim gatunku i trampkami powiązanymi sznurowadłami, z bananami, samymi bananami, wózek wyładowany bananami, handlarz specjalizujący się w bananach. Mając ich tak dużo, musiał sprzedawać je taniej niż facet obok. Ile, proszę pani! Są zgniłe, mówi pani do swej przyjaciółki. I wszędzie rozlegały się krzyki życia i handlu, unosiły zapachy pomarańczy, gorącego chleba, ryb i nowego, taniego obuwia. Samochody sunęły powoli wąską ulicą. Matki stojące w kuchennych drzwiach krzyczały do dzieci biegnących po ulicy. Daniel holował za sobą Susan i posuwał się powoli do przodu, niesiony pełnym wirów prądem kupujących. Uderzały go wypchane siatki. Starcy odpychali go na bok. Wybrał niebezpieczną trasę, ale poczuł ulgę, bo rozpoznał Bathgate Avenue i wiedział, gdzie jest. Matka i ojciec wyrażali się z uznaniem o Bathgate, a ojciec żałował tylko, że znajdowała się za daleko, żeby robić tu codzienne zakupy. Ale żywność była tu najlepsza, a ceny najniższe, więc przy szczególnych okazjach, takich jak podwiezienie starym chryslerem Mindisha, Isaacsonowie zaopatrywali się na zapas w bogatych sklepach przy Bathgate Avenue. Kupowanie na Bathgate było sztuką. Czerpało się zadowolenie z własnego osądu i zrobionych zakupów. Daniel wiedział też, że kiedy dojdzie do Claremont Avenue, zobaczy stamtąd wzgórze parku Claremont, a gdy wejdzie do niego po schodach z Webster Avenue, niewątpliwie dojdzie do Weeks Avenue, oddalonej o niecałe dwie przecznice od ich domu.

– Wkrótce będziemy na miejscu, Susan.

Wiedział, że jest głodna. Zastanawiał się, czy czegoś nie ukraść. Widział właśnie, jak dwójka dzieciaków – każde na własną rękę – zwijało po owocu, ale się bał. Nie dbał o to, że wałęsają się sami po ulicy, ponieważ czuł się właściwie niewidzialny. Czy ktoś mógł powiedzieć, że nie są razem z kimś, kto idzie tuż przed albo tuż za nimi? Ale gdyby coś ukradł i został złapany, przestałby już być niewidzialny.

– Wkrótce będziemy w domu – rzucił przez ramię.

A teraz opowiedz o tym ostatnim odcinku podróży, najbardziej przerażającym i niebezpiecznym. Claremont Avenue była szeroką, niebezpiecznie ruchliwą ulicą. Potem należało przejść Webster, dwukierunkową aleję, po której jeździły ciężarówki, autobusy i samochody, a światła na skrzyżowaniach nikomu nie pozwalały przejść spokojnie na drugą stronę. Nie wyglądała na ulicę przeznaczoną na piesze wędrowniki. Po drugiej zaś stronie wznosiły się skarpy parku, za którymi rozciągała się nie zabudowana przestrzeń pod szerokim niebem. W mieście, na otwartej przestrzeni, głowa i plecy człowieka były wystawione na niebezpieczeństwo. Przeszedłszy przez Webster i wspiąwszy się po kamiennych schodach do parku, poczułem, że mój czyn naraża mnie na skrajne niebezpieczeństwo. Byliśmy coraz bardziej zmęczeni. I do tego teraz, kiedy opuszczaliśmy trzewia

Wschodniego Bronxu i zmierzaliśmy ku wzgórzom Claremont, przypomniałem sobie o Brookiesach, bandzie młodocianych terrorystów ze Wschodniego Bronxu, którzy wypadali jak wicher z Brook Avenue i grasowali po lepszych, na pierwszy rzut oka bogatszych okolicach w sąsiedztwie tego parku. Tłukli mniejsze dzieci, ściągali z nich haracz, zabierali forszę. Im bliżej byliśmy naszej ulicy, tym bardziej się baliśmy. Susan zaczęła płakać. Z oczu płynęły jej łzy, z nosa ciekły smarki. Chciała usiąść na ławce, żeby odpocząć. Chciała podciągnąć skarpetki, które już całkiem się zsunęły. Miała obtarte pięty.

W parku było pusto. Gwałtowne podmuchy wiatru targały bezlistnymi drzewami, sterty liści wirowały nam wokół kostek i przylepiały się do kolan. Kurz kłuł mnie w oczy. Odwróciliśmy się plecami do wiatru i zasłoniwszy oczy dłońmi, wirując i kręcąc się, popędziliśmy do domu.

Oto nazwiska niektórych zdrajców. Benedict Arnold, oczywiście wraz z żoną Peggy; generał Charles Lee, zaufany adiutant Waszyngtona; Burr, córka Burra, i jego zięć, podwójny zdrajca Wilkerson. Także nazwiska federalistów, zbyt wysoko postawionych, żeby ich wymieniać, którzy udzielili Brytyjczykom pomocy i poparcia i rozpoczęli z nimi negocjacje, licząc na przeprowadzenie zamachu stanu po brytyjskim zwycięstwie. Podpada pod tę definicję również Robert E. Lee, podobnie jak mormoni, którzy wszczęli wojnę przeciw rządowi Stanów Zjednoczonych. Przykładów jest bez liku. Historycy zajmujący się wczesnym okresem dziejów Ameryki zapomnieli jednak wspomnieć o zdrajcy archetypowym, mistrzowskim wywrotowcu Poem, który zrobił dziurę w pergaminie i wpuścił przez nią ciemność. Zrobił to tak: najpierw kapnął kilka kropli whisky tuż pod preambułą. Do tego dodał krew swej trzynastoletniej kuzynki Wirginii, która cierpiała na krwotoki z gardła i którą poślubił. Zamieszał te płyny w małe, eliptycznie spłaszczone kółko za pomocą zęba usuniętego martwej Ligei. Potem dodał do tego trochę odchodów kruka. Konstytucja zaczęła wydzielać silną woń, pojawiła się smuga dymu, który wybuchł i szybko zmienił kolor na musztardowy. Kiedy Poe go zdmuchnął, przez powstały w pergaminie otwór zaczął się wydobywać mrok otchłani, i wciąż się wydobywa z tej małej szparki, przez te wszystkie lata ustawicznie zalewa Oszczędność, Cnotę, Rozum, Prawo Naturalne i Prawa Człowieka swymi ciemnymi, piekielnymi gazami w postaci kopcium, smogu, trującego blasku spalin samochodowych. To Poe, nie tamci faceci. On, on sam. To Poe nas zniszczył, wrzask wydobywający się z uśmiechniętej twarzy Ameryki.

Z ganku zajrzeliśmy przez okna do środka. Srebrne niebo rozpościerające się nad szkolnym boiskiem odbiło się srebrnym światłem w naszych twarzach. Niebo ze srebra przetoczyło się przez nasze oczy, przez nasz dom. Zerwał się wiatr i przycisnął nas do okna. Razem z wiatrem znad zakopconych wzgórz, gdzie stały kamienice czynszowe, z zachodu ponad szkolnym podwórkiem napłynęły falami kuleczki światła dziennego i przez szybę wpadły do pokoju: salon był pusty. Na ścianach strzępki szarego światła. Nagie podłogi. Pusty pokój. Okna bez zasłon. Pusty dom. Podszedłem do drugiego okna wychodzącego na ganek. Nagie ściany, naga podłoga. Nacisnąłem klamkę. Drzwi były zamknięte. Zbiegłem z ganku, skręciłem na ścieżkę. Zapukałem do drzwi piwnicy Williamsa. Przyłożyłem do nich ucho. Podciągnąłem się, żeby zajrzeć przez szybę. Zobaczyłem w ciemności swoje oczy. Drzwi były zamknięte. Pobiegłem na tył domu. Biegiem wróciłem od drugiej strony do drzwi frontowych. Zajrzałem przez okno na ganek. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Słyszać było tylko szum wiatru. Susan stała na środku ganku i wyglądała jak duże A. Przy jej nodze rosła ciemna plama. Zdrętwiałem z zimna. Twarz mnie paliła, ręce mi zgrabiały. Patrzyliśmy, jak plama się rozlewa po drewnianej podłodze ganku.

Na podstawie obserwacji przeprowadzonych na Nowej Zelandii Evans stwierdza, iż tamtejsze komary siadają na pływających poczwarkach samic, rozcinają je narzędziami płciowymi i kopulują z samicami, zanim te wyjdą z kokonu.

Ascher wielkimi łapskami przyciskał nas do siebie, do grubych poduszek swojego płaszcza. Szliśmy Tremont Avenue. Moja skórzana czapka myśliwska z nausznikami przekrzywiła się. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, jaką siłą dysponuje. Susan miała zaczerwienione od zimna policzki. Patrzyliśmy na siebie, przyciśnięci do jęgo boków.

– *Mamaneu* – westchnął. – Gdybyście wiedziały, dzieciaki, ile mi sprawiacie kłopotu. Nie mogę nic powiedzieć waszym rodzicom. Ale jak ja mogę im nic nie mówić? Co ja mam zrobić? Co ja mam zrobić? Nie pożyczę długo.

Była niedziela. Ruch na Tremont Avenue był niewielki. Na boisku do gry w polo Giants grali z Pittsburgh Steelers. Jeden z chłopaków z ochronki poszedł na mecz ze swym wujkiem, ale nas Ascher zabierał tylko na spacer. W drużynie Giants grał Charlie Conerly. Steelersi mieli Bobby'ego Layne'a.

Ręce mieliśmy zajęte prezentami od Aschera: dostaliśmy pomarańczowe, plastikowe dynie w kształcie głowy z wyciętymi oczami i ustami oraz kościotrupy namalowane białą farbą na czarnym kartonie, które ruszały rękami i nogami, bo w stawach miały metalowe kółka.

– Co mam wam powiedzieć? – ciągnął Ascher. – Niektórzy ludzie myślą, że mają specjalne prawa. Światu brak ogłady. Ludzie nie boją się Boga. Jesteście jeszcze dziećmi, więc tego nie rozumiecie, to zrozumiałe. Ja też bym stamtąd uciekł. Dzięki Bogu, wiedziałem, gdzie was szukać. Och, dzieci moje. Co j a mam wam powiedzieć? Niedługo, już niedługo sprawa trafi do sądu. Będziemy mieć nasz proces.

Księga trzecia

ROZGWIAZDA

Śpiewaj mi, ciszo wybrana. Strażnicy przyglądają się, jak przemierza swą cełę. Unosi ramię, wycelowuje palec. Niekiedy tej pantomimie towarzyszy jakiś dźwięk, jakiś jęk udręki, którego wymowa nie jest jasna.

Dołącza do Wielkiego Billa Haywooda, do Debsa, do Mooneya, do Billingsa. Do grona bojowników. Do chłopców ze Scottsboro. Ich gwiazdy oświetlają mury, spalają poniżenie na popiół. Cęła Debsa była ogromna, wielka jak cały świat. Tego rządzący nigdy się nie nauczą. Rzeczy z żelaza i kamienia podlegają zasadom moralnym.

A ponadto śmierć jest czymś innym, niż się wydaje. Kiedy rządzący uśmiercają tych, co do których mają obawy, że odkryją tę prawdę, śmierć zaczyna żyć własnym życiem. To paradoks. Żyje Ma Ludlow. Joe Hill. Crispus Attucks. Nawet Leo Frank. Dlaczego mam myśleć, że Frank kołysze się na drzewie w Georgii, ale niech będzie – Frank. Dwaj Włosi przemawiają, budzą poruszenie, uśmiechają się i podnoszą pięści – z otchłani historii. Jestem ich towarzyszem. Mówią do mnie. Sacco kieruje swą deklaracją do mnie.

Sokrates był sądzony. Uznano go winnym. Zmuszono do wypicia cykuty. Swoim postępowaniem jego prześladowcy zapewnili mu życie wieczne, a siebie skazali na prawdziwą śmierć, na całkowite zapomnienie – los wspólny wszystkim prześladowcom.

Jezus był sądzony. Uznano go winnym. Torturowano go i zgładzono. Gdyby nie był sądzony, gdyby nie został skazany na śmierć, czyjego nauki by przetrwały? Sami chrześcijanie częściej to wydarzenie, głosząc ideę zmartwychwstania: On wraca i żyje pośród ludzi, w wyobraźni tych, którzy przyszli na świat setki pokoleń po nim. Oczywiście, inna sprawa, że instytucje mówiące w jego imieniu wypaczały później jego idee, które miały całkowicie żydowski rodowód.

Różnica między Sokratesem a Jezusem polega na tym, że nikt nie został skazany na śmierć w imię Sokratesa. A to dlatego, że idee Sokratesa nigdy nie stały się fundamentem prawa.

Prawo, w czymkolwiek mówiłoby imieniu, chroni uprzywilejowanych. Mówię o prawie tych państw, które nie osiągnęły fazy socjalizmu. Autorytet prawa zawiera się w jego zdolności do wprowadzania siebie w życie. Zdolności te znajdują wyraz w Procesie Sądowym. Nie byłoby prawa, gdyby nie było procesu. Proces jest istotą prawa. A kara jest istotą procesu – nie można wytoczyć komuś procesu, jeśli nie ma się mocy ukarania obwinionego. Całe zaś zwyrodnienie i hipokryzja prawa są najwyraźniej widoczne w wyroku sądu. To bardzo czułe miejsce, niewiarygodnie czułe. Męka skazańca fascynuje jednak rasę ludzką. Takie jest prawo, rzeczywiste prawo, którego rządzący nigdy nie przekraczają – niewzruszone i niezmiennie jak prawa fizyki.

Dlatego radykał marnuje swą szansę, kiedy poświęca uwagę własnemu procesowi. Jeśli zostanie uznany winnym, oznacza to, że siły rządzące zdecydowały, iż nie można go dłużej tolerować. Jeśli zostanie uniewinniony, oznacza to, że siły rządzące uznały, że nie jest groźny. Radykałowi nie wolno walczyć o uniewinnienie, ponieważ nie ponosi odpowiedzialności za swój proces; radykał musi walczyć o swe idee.

Jego proces odbywa się w wielkiej, zacienionej sali. Ściany odbijają echem każdy dźwięk. Każdy gest jest uroczysty, oratorski. Audytorium wypełniają bohaterowie Lewicy, cały panteon zmarłych, którzy przeszli do światowej historii.

Z podziemnego aresztu przywozi go mała winda. Wychodzi z niej poprzedzany przez jednego strażnika i trzymany za łokieć przez drugiego i przekracza próg sali sądowej. Stół sędziowski na podwyższeniu znajduje się poza zasięgiem jego wzroku. Widzi duży, kwadratowy pokój, nie salę, tylko pokój, w którym miejsce dla ławy przysięgłych to rząd krzeseł obitych zieloną skórą. Ściany pokrywa boazeria z tego samego ciemnego drewna, co balustrada oddzielająca ławki dla publiczności od miejsca, gdzie toczy się rozprawa. Na podłodze marmur. Tylne drzwi wyglądają na obite, mają okrągłe okienka. Kiedy wchodzi, nikt go nie zauważa. Siada i czeka. Ascher dotyka jego ręki i mówi mu coś na ucho. Po drugiej stronie Aschera siedzi Rochelle i pisze coś w notesie. Jest zdezorientowany, paraliżują go jego własne widzenia. Zwykli ludzie krzątają się po pokoju w jakichś tajemniczych sprawach. Widzów jest niewielu. Odwraca się na krześle i rozgląda po sali, ale nie potrafi powiedzieć, kto jest z prasy. Wszyscy wyglądają tak samo. W świetle dziennym zmieszonym ze światłem słabiotkich żarówek wszyscy w tej sali mają taką samą, ziemistą cerę. Głosy brzmią metalicznie, akustyka jest fatalna. Coś mu to przypomina – bibliotekę, prawdziwy teatr z opuszczo-

ną zasłoną przeciwpożarową, gabinet lekarski, kryty basen. Czuje się nie najlepiej. Rozpoznaje to uczucie, tę pieczarę, która się w nim otwiera, pieczarę strachu. Zamyka oczy i zagląda w jej mrok, który nie ma dna.

Kiedy drzwiami przeznaczonymi wyłącznie dla niego, drzwiami znajdującymi się z tyłu stołu sędziowskiego, wchodzi sędzia i w pośpiechu zajmuje miejsce, Paul, któremu stanie sprawia lekki ból, bierze głęboki wdech. Po to, żeby zapieczętować pieczarę przygotowującego o mdłości strachu. Wszyscy siadają i sędzia, jak przedsiębiorca zaczynający dzień pracy, wprawnym, cichym głosem, jakby prowadził zwykłą rozmowę, rozpoczyna postępowanie sądowe. Nie patrzy w dół, na Paula. Zwraca się jedynie do prawników. To sędzia Hirsch. Jeszcze kilka miesięcy temu Paul nie wiedział o jego istnieniu, teraz zaś wie o nim całkiem sporo, zna nawet jego najbardziej skrywaną tajemnicę zawodową: nadzieję, że zostanie mianowany sędzią Sądu Najwyższego. Wszyscy prawnicy o tym wiedzą. Hirsch przewodniczył większej liczbie rozpraw dotyczących działalności wywrotowej wszczętych z powództwa rządu niż którykolwiek inny sędzia. Jest Żydem. Nosi pasiasty krawat Ligi Bluszczowej, którego węzeł wypycha sędziowską togę.

Paul zdaje sobie sprawę z tego, że musi się dostosować do sytuacji. „Rudy” Howard Feuerman, Prokurator Generalny Stanów Zjednoczonych, jest drobnym, piegowatym chłopaczkiem z cienkimi włosami w kolorze piaskoworudym, mówiącym wysokim głosem. Jest młodszy, niż Paul się spodziewał, chyba nawet w jego wieku, i ma na sobie taki sam garnitur w pepitę w brązowym odcieniu, ale na nim leży on lepiej. Feuerman to bohater. Dowodził niszczycielem. Zrobił błyskawiczną karierę. Ukończył St. John's, ożenił się z Irlandką, z którą ma siedmioro dzieci. Paul przeczesuje palcami włosy. Szybko poprawia węzeł krawata. Chciałby w tym momencie – choć trudno mu w to uwierzyć i wstydzi się tego – znaleźć się z powrotem w swojej celi. Na parapecie, pod kratami, w pudełku po butach trzyma listy od Rochelle i dzieci, a także grzebień i przybory toaletowe, a obok pudełko po cygarach ze swą kolekcją. Zna bardzo dobry sposób na złożenie dodatkowego koca w nogach pryczy. Pewnie gawędziłby sobie teraz z Doylem, strażnikiem z dziennej zmiany, przyzwoitym człowiekiem, który miał bardzo smutne życie.

Wyraźnie widać, że to również jest częścią planu. Takie wymuszone odosobnienie ma podkopać wiarę w siebie. Wtedy przebywanie z innymi ludźmi w jednym pokoju okazuje się nagle rzeczą przerażającą. Liczą na te uczucia, których właśnie doznają. Pokażę im, że nie mają na co liczyć.

Tak czy inaczej, czuje się tak, jakby zgubił coś w ciągu tych kilku minut, odkąd tu wszedł. Punkt dla drużyny przeciwnej. Ascher stoi teraz przy stole sędziowskim obok Feuermana. Paul spogląda nad pustym krzesłem Aschera w lewo i napotyka zmartwiony wzrok Rochelle, która z uwagą mu się przygląda. Z tyłu sala zapełnia się ludźmi, spośród których wybrani zostaną przysięgli. Trudno przypuszczać, że jest wśród nich choćby jeden komunista. Ma ochotę wyciągnąć rękę, dotknąć dłoni Rochelle. Dusi w sobie to pragnienie. Postanowili, że będą zachowywać się spokojnie i dostojnie, i w żadnym wypadku nie zrobią z siebie widowiska na oczach szpiegującej ich prasy. Nie pokazywać uczuć, nie dawać powodów do zadowolenia, nie dawać nikomu pretekstu do okazania pogardy lub współczucia. Chodzi im nie o litość, ale o sprawiedliwość, i nie mają zamiaru o nią skamleć, lecz jej żądać. Uzgodnili to między sobą: Rochelle była w tej sprawie bardzo stanowcza.

Musi mieć jasny umysł i zachować spokój. Zależy mu tylko na tym, żeby zachować trzeźwy osąd sytuacji. Żeby ją zanalizować, właściwie ocenić i na podstawie tej oceny zrobić, co trzeba. Rozumie, że proces będzie prowadzony z wyraźnie nowojorskimi akcentami. Jego adwersarzami są ludzie, którzy mają do wykonania zadanie. Wywiążą się z niego z poczuciem, że czynią zadość standardom sprawiedliwości. Amerykańska flaga, piękna flaga ze złotymi frędzlami, wisi na maszcie osadzonym w podstawce za stołem sędziowskim. Zostaną przedstawiony jako wróg tej flagi. A przecież pani Goldstein, moja nauczycielka w czwartej klasie, powiedziała przed całą klasą, że mam najlepszą postawę przy salutowaniu, i dała mnie za wzór innym dzieciom:

– Paul stoi tak, jak powinno się stać, gdy składa się przysięgę wierności: ładnie, godnie i prosto.

Cudowna pani Goldstein. Cudowny zapach klasy w deszczowe dni, pełnej nieprzemakalnych płaszczy i kaloszy. Sala szkolna w deszczowy dzień, zaparowana od mokrych płaszczy w szafie i mokrych kaloszy. Zaparowane okna, po których spływa deszcz. Akcja gorących lunchów. Go-

raża zupa. Nauczyciele rozmawiający między sobą w jidysz, co było zabawne, bo dziewięćdziesiąt procent dzieci było Żydami i znało jidysz z domu, rozmawiało w jidysz z rodzicami i dziadkami. Mapy, które zwijały się jak rolety. Oprawione w szkło akwarelowe portrety Waszyngtona, Lincolna i Coolidge'a wiszące wysoko na ścianach.

Wszystkie społeczeństwa indoktrynują swoje dzieci. Cudowna pani Goldstein z całą naiwnością uczyła nas o naszej dzielnej ekspansji na Zachód: pełnej chwały historii osławiania barbarzyńskich Indian, odważnego oporu pod Alamo, potężnych dróg żelaznych podbijających równiny. I tak muszę rozumieć naturę spisku zawiązanego przeciwko mnie: z całą szczerością i w poczuciu sprawiedliwości wyreżyserowali go uczniowie pani Goldstein.

Poczuł się trochę lepiej. Żołądek się uspokaja. Zaczyna się przewlekle procedura wybierania przysięgłych. Siedzi z rękami złożonymi na krawędzi stołu. Nie gapi się zbyt natrętnie na tych ludzi, którzy prawdopodobnie zadecydują o jego losie. Jego maniery nikogo nie urażą. Jego mózg pracuje. Już nie czuje się oszołomiony. Jest zadowolony jak żołnierz, który skończył niezbędne przygotowania przed bitwą. Teraz ogarnia go ożywienie, a w umyśle panuje jasność.

Mój kochany, nawet jeśli ktoś patrzy, pomyśli, że to, co piszę, dotyczy jakichś formalności i jest przeznaczone dla Aschera. Podam to jemu, a on poda tobie. Wyglądasz bardzo blado, kochanie. Nie bój się. Nie wiesz, że twoja dziewczyna tęskni za tobą całym sercem, niezniszczalną miłością? Podnieś głowę, a zobaczysz, jak się do ciebie uśmiecham.

R.

Jest tak, jak mówi. Paul się uśmiecha i natychmiast spada na niego cały strach, a wiarołomne mięśnie odpowiedzialne za uśmiech tylko czekają, żeby go zdradzić i zmusić do płaczu. Przełyka to okropne uczucie, przełyka przerażenie, smakuje je, połyka. Och, Rochelle! Och, moja najdroższa. Wiesz co? Nikt nas nie popiera. Sprawdziłem. Nie ma żadnej znajomej twarzy. Ani Friedy, ani Ruth. Nikogo z Concourse Jefferson Club. Jesteśmy zupełnie sami.

Kto jest wyższą instancją? Do kogo mam się zwrócić? Kto mnie uratuje? Mięśnie wołające, wypuście mnie. Mięśnie krzyczące, nie możecie mi tego zrobić. Kiedy drzwi celi zamknęły się za mną po raz pierwszy, myślałem, że się otworzą, jeśli będę chciał. Naprawdę zamknęli mnie w celi. Oni naprawdę to robią, umieszczają człowieka w miejscu, z którego nie może się wydostać. Stało się. I ci sami ludzie, którzy mnie tu zamknęli, będą mnie sądzić. Czego mogę się spodziewać po procesie prowadzonym przez tych samych ludzi, którzy mnie aresztowali i wsadzili do więzienia. Pragnienie wydostania się. Przerażenie, od którego sztywnieją mięśnie ramion, zwieracze, intymne sznurki płci; ciało zwija się w sobie, całe się napina i zaczyna promieniować wielką, straszliwą, bezcelową energią. Baterie się wyczerpują. Dłonie roztapiają się od dotknięcia krat. Im bardziej obłąkany, rozwścieczający i niedorzeczny zdaje się przymusowy pobyt w celi, tym bardziej jest prawdziwy. Z każdą minutą staje się coraz bardziej obłąkańczy i prawdziwy. I w końcu człowiek dochodzi do takiego stanu, że zdaje sobie sprawę, iż sytuacja jest tak obmyślona, żeby zdał sobie sprawę z tego, iż jest własnym wrogiem: mięśnie krzyczące „wypuście mnie” zniszczą go. Musi je rozluźnić, wyprząc z wściekłości duszącej w gardle, zwolnić z blokady umysłu. Rozluźnić sznury. W chwili kiedy rozluźni pętlę i zacznie oddychać, zacznie też odsiadywać karę. To nazwa, jaką społeczność więzienna nadaje takiemu przystosowaniu. Odsiadka. Zaczyna się proces, który dla więźnia oznacza osławianie się z wrogością tych, którzy go tu wsadzili. Człowiek zabija czas swego życia, minuty i godziny, wypala je swą obojętnością, odbiera im wartość, jaką dla niego miały, zanim one zrobią to za niego. Jak ustępujące przed Hitlerem wojska czerwonych, które paliły za sobą ziemię, własny kraj, własne plony, swoje żniwo, żeby w porze zbiorów nie wpadło w ręce tamtych.

Dzisiaj rano, kiedy przyszli, żeby zabrać mnie do sądu, wszyscy więźniowie z bloku życzyli mi powodzenia.

PODCZAS TWOJEJ NIEOBECNOŚCI

Panie A., dzwonił pan Feuerman, nie zostawił numeru ani wiadomości, powiedział tylko, że

ma do omówienia jakąś sprawę interesującą was obu – nie będzie rozmawiał z nikim innym. Życzę szczęścia.

Joanne, 17.15

– Nie rozumiem, Jake. Czy to znaczy, że nawet teraz mogą to odkręcić?

– Możliwe. Wystarczy, że powołają się na argument, że fakt, iż się przyznajesz, stwarza nową sytuację prawną, która wymaga rozpatrzenia.

– Czy ty wiesz, co mówisz? Mówisz, że on wykorzystuje nasz własny proces, żeby nas ukarać.

– Proszę cię, Paul, nie mamy na to czasu. Mówię ci tylko, co powiedział Feuerman. To rutynowe posunięcie. Zostawmy to i przejdźmy dalej.

– O Boże, kolejne komplikacje! – śmieje się Paul. Ma wypieki. – Taki jest pożytek z tego twojego cudownego prawa, Jake!

– Proszę, wyświadczyć mi tę łaskę. Żadnych analiz.

– To dlatego aresztowali Rochelle, żebym zaczął mówić. Co oni chcą ode mnie usłyszeć? Cokolwiek by to było, wiedzą, że nie pękłem nawet pod groźbą aresztowania mojej żony. Dlaczego miałbym teraz zmienić zdanie? Co o tym sądzisz, Rochelle?

Siedzą naprzeciwko Aschera. Rochelle się nie odzywa, trzyma mocno w obu dłoniach rękę Paula. Ramieniem dotyka jego ramienia. Pod stołem udem dotyka jego uda.

– Co o tym sądzisz, Rochelle? Czy to oznacza milczące przyznanie, że wiedzą, iż nie wygrają? Czy tak? Próbują blefować, zanim się zorientujemy. Jest tak, prawda?

– Nie są tak zupełnie bez szans w tym procesie – mówi Ascher.

– Co mu powiedziałaś, znaczy się, Feuermanowi?

– Och, skarbie, proszę – wtrąca Rochelle. – A co myślisz, że mu powiedział?

– Poważnie, Jake, co powiedziałaś?

– Powiedziałem: żadnych układów. Nie pójdziemy na żaden układ.

– Powiedz mu, żeby poprosił Seliga Mindisha! – chichocze Paul. Śmieje się. – On umie opowiadać wspaniałe historie! Może przyzna się do czegoś nowego, jeszcze lepszego. Tak, tak, powiedz im, żeby poprosili dentystę.

Rochelle słyszy przerażenie w jego głosie. Martwi się o niego. Kiedy są razem, tak jak teraz, on wpada w podniecenie, robi się czerwony na twarzy. Udaje, że jest nieugięty, co ją przeraża, ponieważ to oznaka hysterii. Bardzo schudł! Rochelle wie, że on nic nie je. Powtarza jej, że posiłki w więzieniu są tak przygotowywane, żeby miały jak najmniej wartości odżywczych. Żeby wywołać przygnębienie, osłabić ich czujność i energię. Odżywia się batonikami z kiosku i radzi jej robić to samo. W kiosku nie ma jego ulubionych cygar, więc pali camele. Pali za dużo i jest za chudy. Dobry Boże, czy on naprawdę szuka sprawiedliwości? Dobry Boże, daj mu trochę rozsądku. Zdejmij z moich barków ten wielki ciężar.

Nie martw się, powtarza bez przerwy Jake. Wszystko będzie dobrze. Kiedy to mówi, kładzie czasem swą ciężką rękę na moim ramieniu. Nie zdaje sobie sprawy z jej ciężaru ani z tego, że wymowa jego gestu przeczy temu, co od niego słyszę. Jake, drogi Jake, skąd możesz wiedzieć. Tak się dystansujesz od płomiennego poczucia sprawiedliwości mojego męża, ale spójrz na siebie, mój ty żydowski dzentelmenie, wykształcony i mądry. Wzbudzasz zaufanie, bo jesteś adwokatem z prywatną praktyką. Ale to on mi powiedział, czego mam się spodziewać. Postawienie nam zarzutów oznacza odstępianie od normalnych zasad w postępowaniu dowodowym. W naszym przypadku zasady takie nie istnieją. Nie jesteśmy oskarżeni o szpiegostwo, ale o spiskowanie prowadzące do szpiegostwa. Skoro zaś nie trzeba udowadniać szpiegostwa, nie potrzeba żadnych dowodów, że coś zrobiliśmy. Wystarczy udowodnić, że mieliśmy zamiar coś zrobić. A co jest tym dowodem? Tak się składa, że za wystarczający dowód w świetle prawa można uznać zeznanie tak zwanego współnika. Czy ja jestem głupia, żebym nie rozumiała, co to oznacza? Czy muszę być prawnikiem, żeby pojąć, że to pozwala im powołać doktora Mindisha na świadka, a zgodnie z tak hołubionym przez Jake'a prawem, cokolwiek Mindish powie przeciwko nam, będzie to miało wagę dowodu. Tak samo nie-

zbitego jak pistolet w rękę mordercy.

Rochelle potrafi ocenić dowody z instynktowną wiedzą księgowej. Na sali sądowej zachowuje kamienną twarz. Przybiera pozę odpychającego dostojeństwa. Myśli tylko o swym mężu. Myśli o tym, co mu powiedzieć. To jedyny znany jej sposób, żeby przetrwać tę ciężką próbę bez złudzeń – udawanie dla niego. Gdyby ujawniła swój fatalizm, on poczułby się dotknięty. Tylko że to emocjonalna defraudacja. Jeśli ona ma rację (a jak mogłaby nie mieć), to nadejdzie kiedyś czas zapłaty. I co wtedy mu powie? Co wtedy będzie mogła zrobić, żeby go obronić?

Zgodnie z przyjętymi zasadami postępowania dowodowego w tym procesie werdykt jest z góry przesądzony. Jeśli zeznanie Mindisha będzie uznane za wiarygodne, spisek zostanie udowodniony. Ponieważ nie mogłoby być uznane za takowe, gdyby nie przyjęto założenia, że spisek istnieje. Uśmiecha się. Tu, w tym kraju, gdzie się urodziła, oskarżony może zostać uznany winnym z tego powodu, że został postawiony przed sądem jako oskarżony.

Leżę w celi, a przekleństwa mamy dochodzą do mnie z korytarza. Cholera. Kozacy. Poczekaj, dziecko. Poczekaj jeszcze trochę, a spotka cię to samo, co mnie. Za twe grzechy łono twoje wyschnie jak pustynia, w proch obróci się cud dający życie, w popiół z pieca – i poznasz jego smak na języku, który ośmielił się rzucić wyzwanie Bogu i prosić go, żeby czynił swą powinność. Poczekaj, dziecko, poczekaj.

W wieczór poprzedzający ich pojawienie się w sądzie ona pisze list:

Mój kochany Pauly,

Czy muszę mówić, że z niecierpliwością czekam na proces? Nie tylko dlatego, że zostaniemy oczyszczeni z zarzutów i że dzieci* wrócą do nas. Nie tylko dlatego, że w sądzie „fortuna kołem się toczy”. Ale z najbardziej przyziemnego powodu: że będzie to chwilowe uwolnienie z tego barbarzyńskiego więzienia.

(* w wersji opublikowanej zmienione przez redakcję na „nasze ukochane dzieci” – żeby nikt nie miał wątpliwości, czyje dzieci miała na myśli; do tego czasu w PK zostało bardzo mało osób, które wiedziałyby coś na temat ich korespondencji)

Na procesie będziemy siedzieć przy jednym stole, najdroższy. Czy potrafisz zrozumieć, jak trudno mi będzie się skupić na toczącej się sprawie! Również podczas naszych spotkań z Jakiem muszę powstrzymać się przed przyglądaniem się Tobie, bo działa to na mnie jak łyk świeżej wody po długiej suszy. Ale, mój kochany – czy nie jestem zbyt śmiała? – ten łyk wywołuje jeszcze większe pragnienie!

Jak zawsze kochająca

Rochelle

Zadaję pytanie profesora Sukenicka: w jakich okolicznościach powstrzymujemy się od krytyki? Warto tu odnotować świetny przykład paradoksu literackiej wrażliwości – wrażliwości ukształtowanej przez poprzednie pokolenie. Jednakże w czasie tych spotkań z Ascherem zdarzały się chwile bolesne dla wszystkich. Stary adwokat poświęcał im minutę, stawał na wprost szyby ze szkła antyrozpryskowego w drzwiach, z zamkniętymi oczami, pochyloną głową, dokumentami sądowymi w ręku, ale nie mógł zamknąć uszu na strumyki słonej wody, na odgłosy jej połykania, połykania i cmokania; ręce szybko zanurzające się pod ubrania – a temu także towarzyszy dźwięk, którego nie ma się ochoty słuchać, bo nie wszystkie ciała są posłuszne prawom fizyki i wykazują właściwości ciał nieożywionych, więc ku naszemu wielkiemu skrępowaniu kurki odkręcają się z hałasem i siuski leją się jak woda z kranu, a odbył jest instrumentem muzycznym. Tak bolesna jest dla wszystkich ta wzajemna pospieszna kradzież doznań i zapachów, nagła, ostra woń niezaspokojonych uniesień miłosnych, że ze względu na uczucia wszystkich dochodzą do wniosku – Ascher wzdycha – że mniej bolesne są spotkania pod nadzorem. A to przypomina im ich pierwsze cnotliwe dni ukradkowych spojrzeń, kiedy obowiązywała zasada: zrobilibym, gdybym mógł, i to

wystarczało. Wystarczało podniecenie wywołane udziałem w mityngu. „Każdy czeka na nasze przyznanie się”, pisze później. „Przypuścimy, że przyznam, iż kocham męża, i zdradzę, jak się w nim zadurzyłam na naszej pierwszej «randce» – na wiecu lojalistów na Convent Avenue!”

ZADURZENIE

Wzgórze. Długi pagórek, u którego stóp zaczyna się Sto Dwudziesta Piąta Ulica, pod ciemniejącym, zimnym brykietem chmur nadciągających nad Nowy Jork jak flota Hindenburgów, chmur wojennych, które wyszły spod ołówka burżuazyjnych satyryków, chmur brzemiennych deszczem śmierci i ognia, zbyt ciężkim jak na wiotki, rozpięty parasol Neville'a Chamberlaina. Trolejbusy mozolnie pną się na szczyt tego pagórka, trzymając się trakcji jak magnes, szarpiąc i ślizgając po każdym impulsie elektrycznym zasysanym przez pantograf z napowietrznych drutów; i to te trolejbusy w zapadającym zmroku wożą studentów nowojorskiego City College z miejsc pracy na wieczorowe wykłady. Płoty sterczące jak las włóczni i budynki z szarego i czarnego kamienia – to nie Yale, ale panuje tu swobodna atmosfera, a poziom nauczania jest wysoki i jeśli jesteś burżuazyjnym romantykiem, możesz spojrzeć przez palce i udać, że to prawdziwy kampus uniwersytecki, jak na Uniwersytecie Michigan czy Brown, i nie widzieć niechlujnych kwater dla synów i córek imigrantów, biedoty, w większości Żydów. Patrzenie, jak aktualna drużyna futbolowa trenuje na Stadionie Lewisohna pod osłoną ciemności, chociaż niektórzy mają spodenki czarne, inni zaś brązowe, a lawendowe swetry nie na wszystkich pasują. Notre Dame nigdy się nie przestraszy. Ani Tommy Harmon. Ale jeśli jesteś jednym z nas, Lewisohn oznacza dla ciebie miejsce mityngów, gdy się udaje zorganizować, i koncertów filharmoników latem: John Barbirolli za trzydzieści pięć centów za miejsce na kamiennej ławce. Siedzi na niej dwoje z tych wieczorowych studentów luźno związanych z drużyną futbolową. Znają się niecały rok i dla obojga trzydzieści pięć centów nie jest małą kwotą. Przeżywają gorączkowy okres, nietypowo chłodne lato, on zaleca się do niej, wykorzystując pokrewieństwo poglądów. Oczywiście nie mogą się pobrać. On zarabia sześć dolarów tygodniowo na pół etatu w sklepie radiowo-muzycznym na Szóstej Alei i mieszka ze starszymi siostrami na Lower East Side; jest chudy i ma szczęście. Ona ma więcej szczęścia, bo jako księgowa zarabia czternaście pięćdziesiąt, które oddaje matce, jedynej żyjącej krewnej, z którą mieszka na Bronksie. Oboje jednak sumiennie oddają część swego majątku na chłopców ze Scottsboro, na uwolnienie Toma Mooneya, na lojalistów. **ZNIEŚĆ EMBARGO NA BRON!** Pięciocentówki przechowują na przejazd. Zabierają ze sobą lunch w papierowych torebkach, składanych potem do powtórnego użycia. Antrakt na Stadionie Lewisohna jest czymś wspaniałym: wspólnotą gustów, gdyż Benny Goodman nie podrywa ich na nogi, podobnie jak większość popularnych utworów tego okresu z pierwszej dziesiątki „Lucky Strike Hit Parade”, której on słucha na okrągło w sklepie na Szóstej Avenue, tam gdzie wcześniej był Hippodrom. Moja miłość mnie ogrzewa. Pieśni te dowodzą zdegenerowania kultury burżuazyjnej, która kradnie rytmy Murzynom z Południa i tworzy tandetną muzykę dla ludu. Za to Beethoven, Brahms, Rachmaninow chwytają za serce. Kiedy jest na to czas. W śródmieściu, przy Union Square, odbywa się ważny wiec robotniczy, a najlepsi nowojorscy kozacy ściągają konie i wymachują pałkami. Albo Paul stoi przy wejściu, rozdając odbite na powielaczu ulotki z protestem – przeciwko czemu? Najazdowi na Etiopię, zajęciu Czechosłowacji, wykorzystywaniu skutych łańcuchami więźniów do ciężkich robót w Georgii, przeciw DAR (*Daughters of the American Revolution - Córy Rewolucji Amerykańskiej*), AFL (*American Federation of Labour - Amerykańska Federacja Pracy*). Mówi się, że rektor City College popiera Mussoliniego. **WYRZUCIĆ ROBINSONA!** Rochelle pomaga w organizowaniu związku w swoim biurze. Ludzie się jednoczą, tworzą wspólny front przeciwko szerzącemu się faszyzmowi. **KOMUNIZM JEST AMERYKANI-ZMEM DWUDZIESTEGO WIEKU!** Idziemy na wiec. Jesteśmy rewolucyjnymi spadkobiercami Jeffersona, Lincolna, Andrew Jacksona i Toma Paine'a. Filozofowie tylko wyjaśniają świat, a chodzi o to, żeby go zmienić. Nie kończące się spory przy ciemnych stołach w barze. Trolejbusy wspinają się na pagórek, brzęcząc i jęcząc. Migają światłami. On przerzuca książki i torebkę ze śniadaniem z jednej ręki do drugiej. Ona uśmiecha się do niego, ledwie dosięga skórzanego uchwytu. Zadurzyła się w nim na mityngu lojalistów na Convent Avenue. Mężczyźni nadal sprzedają jabłka na rogach ulic, a zimą kasztany pieczone na koksie albo słodkie ziemniaki za trzy centy. W całym Har-

lemie ludzie śpią w bramach. O trzeciej po południu wagony metra są przepełnione. Mamo, chcę go zaprosić do domu na kolację. A zdaje ci się, że kim ty jesteś – panią Bountiful? Przez rok dobiera się do niej, w ogóle nie zastanawiając się nad tym, co będzie dalej, ale co można zrobić w parku albo na klatce schodowej? Nigdy nie miał kobiety, a ona nigdy nie była z mężczyzną. Dobrze zdają sobie sprawę z odległości, jaka dzieli ich przemądrzałe gadanie od rzeczywistości, jak widzą ich przyjaciele, trzymających się za ręce, biegnących na przystanek za rogiem, żeby złapać tramwaj, wlokących po ziemi obszarpane płaszcze, idących tanecznym krokiem, ta zazdrość o świat, nowy sposób życia, młodzi walczący komuniści z oczyma piekącymi od łez, które wyciska wiatr, z zaczerwienionymi policzkami, zwinięta chusteczka przyciśnięta do jej nosa, prychnięcie, jego uwaga, śmiech, kupowanie używanych książek, kartki przybrudzone na rogach – odległość dzieląca ten obraz, w którym wyłaniają się z ciemności oświetlani blaskiem lamp w wagonach trolejbusowych (pstryknij szybko, pstryknij), od ich wiedzy o sobie: nie wyzwolonych, maskujących się, nieśmiałych, przestraszonych, z konieczności uduchowionych. Kiedy jest się biednym, nie podejmuje się ryzyka. Kiedy liczy się każdy cent, a świat potrzebuje każdej zdolnej pary rąk, nie uprawia się miłości. Poza tym nie ma gdzie tego robić. W rzeczywistości jest tak, że zrobiłbyś to, gdybyś mógł. Uczysz się sztuki przebywania razem, znaczącego trzymania się za ręce, rozszyfrowywania spojrzeń, jakie rzuca na ciebie w chwilach radości, które potrafią sięgnąć twoich ciężkich, sinych jaj, albo mówienia jej o swoich pomysłach, gdy ci przyjdą do głowy, poznawania jej małych, ślicznych usteczek, zaznajamiania się z jej skromną garderobą, a w gorszych chwilach – kiedy jesteś sam – potępienia siebie, przeklinania za myślenie o wdziękach tej paniusi, tej kiepskiej rewolucjonistki, i zastanawiania się z płonącymi uszami, jak wyrzucić te myśli ze swego bezwartościowego, zdegenerowanego umysłu i siłą woli przekazać ich energię na rzecz rewolucji – nie myślisz o jej sile, tylko o słabości. Albo też kochania jego kręconych włosów, jego chudej chłopięcości, niewinności, nieustannej gry umysłu ze światem, niewyczerpanego zaangażowania, walki o sprawiedliwość i wyzwolenie biednych, jego zdartych obcasów, sposobu, w jaki środkowym palcem poprawia okulary, namiętności do teoretycznych rozważań na temat wartości dodanej i przejścia od kapitalizmu do socjalizmu i dyktatury proletariatu, i zaniku państwa. I na temat ojca Coughlina: czy powinniśmy uważać go za inny lub gorszy rodzaj człowieka niż Henry Ford lub właściciele kopalń? Przechwałki sprzedawcy z sześciodolarową tygodniówką, spora arogancja tego chudego chłopca, ale i oznaki namiętnego charakteru, naiwnego i pięknego, mocnego, namiętnego charakteru, a ona drży, bo czuje na swych ramionach, na swym ciele uścisk tej siły namiętności, tej intelektualnej, aroganczkiej niewinności.

Zadurzyła się w nim. Może już wtedy wiedziała, że on nie zrobi błyskotliwej kariery jako rewolucjonista. Może się to wcale dla niej nie liczyło. Nie był praktycznym facetem, a jego zrozumienie dla politycznych realiów dotyczących wymogów rewolucyjnej codzienności topiło się w ogniu zbyt gorących przekonań. Ponadto oboje należeli do partii, a Rosja była jedynym państwem socjalistycznym. Następnego roku latem usiedli przy ognisku w Connecticut i zrozumieli, że Polska, Łotwa i Estonia skłaniają się ku socjalizmowi i że celem paktu było zyskanie na czasie, a Stalin wiedział, co robi, i że Front Ludowy jest skończony. Paul siedział w blasku ognia, chemicznie przekształcony w czystego antyfaszystę, ale wydawało się, że nie słucha. Codzienne zawiłości strategiczne i taktyczne nie przykuwały jego uwagi. Jego uwaga koncentrowała się na celu. Poznali starszego od siebie mężczyznę, Seliga Mindisha, i jego żonę, poznali wielu interesujących ludzi na tym postępowym obozie wypoczynkowym, chodzili na cudowne wykłady, na tańce, byli młodzieżą w tym tłumie, błyskotliwymi studentami podającymi do stołu, najmłodszymi z dorosłych, oczkiem w głowie, i pewnej ciepłej nocy, kiedy świeciły gwiazdy, dojrzewały jagody, świerszcze grały i rechotały żaby, poznali się i było dobrze.

Niedziela

Najdroższa Rochelle,

Kiedy w czwartek byliśmy na dole podczas przerwy w procesie, rzuciłem okiem na egzem-

plarz „Daily News”, który jeden ze strażników rozłożył na stronie z recenzją ostatniego filmu Marlona Brando: o członku bandy, który, lekceważąc gniew swych kompanów, postanowił zeznawać w sądzie przeciwko nim, bo zrozumiał, że zbrodnia jest złem. Toż to propagowanie wśród milionów moralności donosiciela! Czy ci to czegoś nie przypomina w świetle prywatnych uwag, jakie prokurator poczynił Ascherowi?

P.

Czego jeszcze należy się spodziewać po Hollywood już dawno wyczyszczonym z niewielu ambitnych filmowców? I czego należy oczekiwać od ławy sędziowskiej, wybranej po części spośród przedstawicieli zdeprawowanej kultury? To przerażające.

8. dzień

Rochelle – Zadziwiająca, jak silne uczucie wywołuje w człowieku widok sędziego Hirscha i prokuratora Feuermana pracujących razem, jakby stanowili zespół. To nie może być tylko sprawa mojej wyobraźni. Hirsch się nawet nie wysila, żeby ukryć, z którą ze stron sympatyzuje. W ogóle się z tym nie kryją – są jak murarze krok po kroku stawiający wokół nas mur. Ale ta arogancja w końcu ich zniszczy. Pomocnik Feuermana to dupowłaz, jakiego w życiu nie widziałem, obłudny, mały s(...). Znam ten typ z wojska.

Moja droga, czy zauważyłaś, jak wiele postaci w tej kapitalistycznej sztuce to Żydzi? Oskarżeni, obrońca oskarżonych, oskarżyciel, główny świadek oskarżenia, sędzia. Odgrywamy ten mały dramat na użytek naszych chrześcijańskich panów. W obozach koncentracyjnych naziści brali na strażników określony typ Żydów i dawali im do ręki bat. W skundlonym Harleemie najgorszymi gli-niarzami są czarnuchy. Feuerman – piegowaty i płomiennorudy absolwent St. John's, zaprzysięgły asymilacjonista, który tłumi w sobie urazę, bo nie mógł dostać pracy w towarzystwie telefonicznym – jest przepelniony taką nienawiścią do siebie, że JEST ZDECYDOWANY oczyścić nasze dusze. Imperializm ma wiele masek, a każda jest miarą jego desperacji.

P.

Śmiesz mnie to zeznanie nt. radia.

(bez daty)

Podłogi są z marmuru, strażnik przy każdych drzwiach... Jak w banku. Ołtarz dla sędziego, mniejszy ołtarz dla adwokatów. Coś na kształt kościoła. Banki, kościoły i sądy opierają się na rekwizytach teatralnych. Na iluzji. Banki – na iluzji stabilności i legalnych interesów ukrywających rozkład i zepsucie wyzysku kapitalistycznego. Kościoły – na iluzji sanktuarium służącego usmierzaniu społecznego niezadowolenia. Sądy są przeznaczone oczywiście do szerzenia iluzji sprawiedliwości. Gdyby sprawiedliwość naprawdę istniała, na co potrzebna byłaby taka pompa? Czy stół, krzesła i zwykły pokój nie byłyby równie dobre? Co oni tam tak szepczą? Sądzenie przez zanudzenie, oto czym to jest. Rochelle, dlaczego czuję się taki podniecony? Czy to możliwe, żebym wierzył, iż cały ten cyrk załamie się pod ciężarem własnego absurdu, a my będziemy mogli po prostu wyjść i wrócić do domu? Napiszmy musical, kochanie, i zatytułujmy go *Foley Square!*

Czesanie grubych, falujących włosów, szcesywanie ich ze skroni do tyłu, długie szczotkowanie, skrupulatne dbanie o higienę. Najbardziej dokucza jej regulamin kąpieli. Pozwalają jej brać prysznic dwa razy w tygodniu. Upokorzenie jest nie do zniesienia. Szczotkuje włosy tak mocno, aż skóra zaczyna piec, i uczy się myć w umywalce, która jest w celi. Strażniczka, kobieta taka sama jak ona, mająca dzieci, porządna, przyzwoita, życzliwa i już niemal jej przyjaciółka, pozwala jej co rano zawiesić na chwilę koc na okiennych kratkach za pomocą pożyczonych klamerek, więc zdejm-

je ubrania, staje przy zlewie i obmywa się w zimnej wodzie, myje się zimną wodą i mydłem, wyciera cienkim, wykrochmalonym, szorstkim więziennym ręcznikiem, a potem myje zlew, pierze bieliznę i jeszcze raz myje zlew. Sprawia jej przyjemność naprężenie wywołane zimnem, uczucie ściągania na całym ciele pokrywającym się gęsią skórą, wywołany zimnem nerwowy skurcz, który rozgrzewa się krążeniem krwi. Chodzenie na boso po kamiennej podłodze więzienia.

Kobiety z tego samego bloku okazują jej głęboki szacunek i chociaż do siebie zwracają się po imieniu, do niej mówią „pani Isaacson”. Przychodzą do niej po radę. Są wśród nich dziwki, narkomanki, złodziejki czekające na proces. Zdaje sobie sprawę, że część szacunku, jakim się cieszy, zawdzięcza wadze oskarżeń, które przeciw niej wysunięto. Kiedy jest sama, nie może powstrzymać się od uśmiechu, ale kielkuje w niej współczucie dla tych kobiet. Na spacerunku wyjaśnia jednej z nich, co ceni w psychoterapii, i gdzie, w których urzędach miejskich, można się starać o skierowanie na bezpłatne porady; innej – że pieczenie przy oddawaniu moczu oznacza prawdopodobnie zapalenie pęcherza, które jest czymś w rodzaju przeziębienia przewodu moczowego, że powinien to zbadać lekarz, choćby więzienny, i że łatwo można się z tego wyleczyć. Lubią też, jak gra w siatkówkę, niezręcznie, ale za to z determinacją. Kiedy zaczyna się jej proces, zgodnie z tutejszą tradycją inne więźniarki przesyłają jej różne części garderoby, żeby mogła zrobić jak najlepsze wrażenie na sędzim. Tej nocy płacze w zaciszu swego łóżka. Sąsiadki słyszą jej łkanie, ale o tej porze, tuż przed zaśnięciem, wiele kobiet płacze, i ponieważ nie jest to rzadkością, pozostaje osobistym doznaniem. Płacze nie dlatego, że jest tak bardzo wzruszona hojnością współwięźniarek – samo to nie wywołałoby łez – ale dlatego, że w oczywisty sposób jest jedną z nich, a więzienie nieodwołalnie staje się jej domem.

KANCELARIA ASCHER I LEWIN
Notatka służbowa

14.12.1953

Mitch, pani Isaacson jest pewna, że Selig Mindish urodził się w Polsce i przyjechał tu jako młody człowiek po I wojnie światowej. Można założyć, że został naturalizowany w latach dwudziestych. To stosunkowo łatwo sprawdzić, chyba że w trakcie procedury przekreślono nazwisko.

J. A.

28 stycznia 1954

AKTA: Sprawa Isaacsonów

Dzisiaj wreszcie dostałem to, czego się domagałem: rządową listę świadków, którą załączam. Obeszli to wymaganie, wymieniając prawie sto nazwisk, świadomi, że nie mam warunków, by się przygotować do przesłuchania tak wielu osób. Kiedy wręczano mi tę listę, Feuerman się uśmiechnął. Chciał mi dać do zrozumienia, że gdzieś na tej liście ukryte jest nazwisko prawdziwego świadka, którego on powoła.

J. A.

W jej przekonaniu ta obrona jest pewnym rytuałem, obrzędem. Kiedyś Paul zabrał ją do teatru, do eksperymentalnego teatru na ulicy Houston, na samym końcu Manhattanu. Taki teatr studencki ze sceną bez kurtyny. Grano dramat grecki. Dziewczyny ubrane w togi, tańczące, w powolnym rytmie poruszające ramionami, co symbolizowało strach, jaki odczuwały, pragnienie, żeby to, co ma się stać, nie nastąpiło. Odsuwały się od okropnych wydarzeń, odpychały powietrze, ceremonialnie przykładając dłonie do policzków i rozgarniając powietrze na boki. A jednak to, czego się bały i do czego czuły odrazę, stało się.

Wynik procesu jest w jej przekonaniu przesądzony. Nie wiadomo tylko, jaki będzie wymiar kary, więc przysłuchuje się zeznaniom, przygląda twarzom, wsłuchuje w styl mówiących, żeby wy-

sondować, jaki zapadnie wyrok. Ale sposób, w jaki zdobywa tę wiedzę, okazuje się niespodzianką: nabywa ją nie razem z tym, co dzieje się w sali sądowej, ale poprzez filtr rosnącej w niej nienawiści do nich, do tych ludzi w sądzie. Nienawiść z dnia na dzień jest większa, a ona sama zaczyna stopniowo podejrzewać, że wymierzona kara będzie miała porównywalną z nią moc, że to, czego ona im życzy, wróci do niej wzmocnione tłącą się w niej nienawiścią jak odbicie w lustrze.

Dopiero wtedy zaczyna instynktownie pojmować, w jaki sposób kara ta zostanie uzasadniona. To nie lada wyczyn na tym procesie, utkanym gęsto z drobiazgowo przesłuchiwanym świadków, których zeznania nie wnoszą nic nowego, ze słownych utarczek między prawnikami, które zabierają pół dnia, z odroczeń, jeżdżenia windą w tę i z powrotem, z konieczności utrzymywania uwagi w napięciu, co jest fizycznie tak wyczerpujące, że każdego dnia pod koniec sesji zupełnie opada z sił.

Rozmawiając z Ascherem na osobności, pyta go, co dokładnie znaczy zdrada.

Ascher odpowiada jej, że zdrada polega na wszczynaniu wojny przeciwko własnemu krajowi albo udzielaniu pomocy i poparcia wrogowi, który prowadzi wojnę z krajem ojczystym. Tak jest zdefiniowana w konstytucji.

Wręcza Ascherowi kawałek papieru z kilkoma napisanymi ręcznie słowami, po każdym słowie pionowe kreski ołówkiem, każde pięć kresek przekreślonych jedną ukośną:

zdrajcy
wiarołomny
zdradziecki
wywrotowy
zdrada
wiarołomstwo

– Jesteś bardzo bystra, Rochelle. Masz głowę do kwestii prawniczych.

– Dlaczego nie powiesz przysięgłym, co wyprawia Feuerman, co oni wszyscy wyprawiają?

– Raz zażądałem, żeby mój oddalony sprzeciw wpisano do protokołu. Nie sądzę, żeby w tej atmosferze ktokolwiek z ławy przysięgłych był w stanie pojąć istotę takiego rozróżnienia. Jednak sąd apelacyjny powinien zauważyć, że takie rozróżnienie jest nadużyciem.

Kiedy już udaje się jej dostrzec pewien schemat, zaczyna wszystko do niego dopasowywać. Cieszy ją ta gra, bo zaspokaja jej dążenie do porządku w każdej sytuacji. Implikacjami zdrady, jak kostkami cukru, karmi się dwunastogłową bestię zwaną Sprawiedliwością. Słysząc je we wstępnych uwagach Feuermana. W sposobie zadawania pytań. W tolerowaniu stylu przesłuchiwania, gdy cytuje się sprawy o zdradę, a sędzia aprobejuje trafność cytatu. Ascher wierzy, że jedynie wyszkolony prawnik, czytając w wolnej chwili kopię akt sądowych, wyłapie uchybienia w procesie, w którym oskarża się o jedno, a sądzi tak, jakby oskarżenie dotyczyło czegoś innego.

Prasa określa ich mianem zdrajców. Choć w oskarżeniu o spisek można odejść od normalnych reguł postępowania dowodowego, to jednak wciąż grozi im kara, jaką wymierza się ludziom oskarżonym o najgorszą zbrodnię przeciw krajowi. To oczywiste, że chociaż ona i Paul zostaną uznani winnymi spiskowania w celach szpiegowskich, sążeni będą za zbrodnię zdrady.

Besztam ją za to. To nie jest radykalna analiza czerwonego wizjonera, to księgową kontrola stanu konta: „winien” i „ma”.

Pozostaje jeszcze jedno pytanie i żeby na nie odpowiedzieć, potrzebny jest jej Mindish. Żywi co do niego pewne podejrzenia, ale w pierw musi spojrzeć mu w twarz. Tymczasem godzi się na przyjęcie linii obrony wypracowanej przez Paula i Aschera, łącznie z poruszeniem motywów seksualnych.

Wstrętna linia obrony. To przesada i dlatego nieprawda. Nieprawda, bo za wielką wagę przywiązuje do prawdy. Lecz ona się tym nie przejmuje. To tylko rytuał. Czeka na zeznania Mindisha. Czuje przyjemny dreszczyk oczekiwania na moment, kiedy mężczyzna wchodzący na podium dla świadków spojrzy na nią jak pies medalista, który szczeka, aportuje, tropi jej ślad i wystawia na

strzał. Niespodzianką może być dla niej tylko jej własna instynktowna reakcja na widok Mindisha. Już go nie potępia. Wszyscy się zmieniliśmy przez te siedem miesięcy. Wszystkie komórki w naszych mózgach uległy wymianie i nie jesteśmy już tymi samymi istotami, co przedtem. Gdybyśmy w drodze jakiejś nadzwyczajnej i nieprzewidzianej łaski mieli zostać uwolnieni – uniewinnieni i uwolnieni – nasze życie musiałoby zacząć się od nowa, a nie wiem, czy to możliwe. Nasze dzieci są już innymi dziećmi. Nie pamiętam już, jak wyglądają. Nie pamiętam już, jak to jest, kiedy leży się obok męża. Dzięki procesowi dowiaduję się o sobie czegoś nowego: być może nigdy nie będę już cierpiała. Jestem z kamienia.

Miałam jednak wiele miesięcy, żeby o nim myśleć, o tym niewydarzonym dentyście, który ma ręce tak niewprawne, że nawet niskimi cenami nie mógł zatrzymać przy sobie pacjentów; rzeźniku uzębienia, który nie potrafił zrobić dopasowanego mostka, plomby, która by nie wypadła. Który miał delikatność boksera. Wychodziło się od niego, a szczęka bolała całymi tygodniami. Który nie umiał przestrzegać zasad higieny. Po wizycie u doktora Mindisha zawsze ciągnęło się jakieś owrzodzenie, jakaś pryszczycza. Jednak był naszym przyjacielem. Śmialiśmy się z niego, ale chodziliśmy do jego gabinetu, a on leczył nasze zęby za pół darmo. Rabat dla towarzyszy. Może praktyka dentystyczna zapewniała mu pozycję centralnego ogniwa siatki. Wszyscy się u niego leczylimy. Możliwe. Należał już do partii, kiedy zatrudniliśmy się z Pauliem jako kelnerzy w Paine Lodge. Dentysta jest osobą publiczną i spotyka się z wieloma ludźmi sam na sam. W Paine Lodge udawał, że traktuje nas po ojcowsku, co uważaliśmy za przejaw europejskości, lecz moim zdaniem niewiele miał z tego korzyści: przyjemność w obcowaniu z naszą młodzieżą, z naszymi umysłami, szczególnie z umysłem Paula. Lubił wpadać do nas bez uprzedzenia, okazywać podziw dla mojej figury, raz czy dwa posługując się rękoma, zawsze zaś oczyma. Było to nieszkodliwe upodobanie. W najgorszym wydaniu nie było nawet obraźliwe, rzadko kiedy żałosne. Tak bardzo cieszył się z naszej obecności. Wyświadczał nam różne przysługi. Zabierał nas na plażę, zawoził wszędzie, dokąd musieliśmy pojechać. Zawsze pod ręką. Wierny, nudny facet, który zdaje się nie chcieć niczego poza iskierkami skrzesanymi przy naszym rodzinnym ognisku. Który miał pozbawioną wdzięku, naiwną żonę, biedaczkę. Tępy umysł, nie radzący sobie z bardziej skomplikowanymi sprawami. Całą swą ogłędę zawdzięczał nam, swe idee – bywaniu na zebraniach. Jednak – a jednak! – poczuł, że ma prawo do jeszcze jednego przywileju. W ramach naszej przyjaźni, ze skrywaną lubieżnością, którą obdarzał żonę swego przyjaciela, ale której nigdy nie odważył się wyrazić otwarcie, ten człowiek o mentalności donosiciela uzyskał jeszcze jedną swobodę obywatelską: w zamian za niskie rachunki i podtrzymywane więzi braterstwa zabrał nam życie.

Boże, jak ja ich wszystkich nienawidzę, jak ja gardzę ich napuszonym, małym ego, ich dyskuszami, rezolucjami, biciem się w piersi. Z jaką to arogancją zaopatrują nas co tydzień w prawdę, w ewangelię według Jedenastej Ulicy. Zawsze traktowali Paula jak dziecko. I to z jego umysłem! Umysłem tak wyrafinowanym, tak przewyższającym ich własne we wszystkim z wyjątkiem brudnej, służalczej polityki Partii. Zawsze go cenzurowano, nigdy nie szedł w takt. Jedyne, co miał robić, to tyrać dla nich, wierzyć im. Komuniści mają szacunek nie dla ludzi, tylko dla stanowisk. To tak, jakbyśmy nigdy nie istnieli. Ktoś mu powiedział, żeby to zrobił. Mindish sam by na to nie wpadł. Jest na to za głupi. Nie mogę tego zrozumieć, podobnie jak innych rzeczy. Z wyjątkiem tego, że po latach nauczył się, gruby Polaczek, takiej bezczelności, która pozwala wykorzystywać ludzi do własnych celów, jeśli występuje się w imieniu Partii. Zaślepia się ich swoimi ideałami, a kiedy podnoszą wzrok, w imię tych ideałów wbija się im nóż w serce.

Ale on jest tak głupi – oni są tak głupi – że nie załatwił sobie porządnie obywatelstwa. Niepewny swej sytuacji prawnej, sfrustrowany nieudanym życiem seksualnym – szpieg, który ochrania siebie, oskarżając swych przyjaciół. Tak powie o nim Ascher. Całkiem możliwe, że to prawda. Niewykluczone, że przez te wszystkie lata tajny agent posługujący się promieniami rentgenowskimi nie nauczył się dobrze leczyć zębów, bo z natury nie był dentystą, tylko szpiegiem. Człowiekiem prowadzącym podwójne życie. Człowiekiem, który przyjaciół ma po to, by posłużyć się nimi w razie niebezpieczeństwa. Możliwe. Dowiem się, kiedy wejdzie do sali sądowej i spojrzę mu w oczy.

SYNAGOGA DOM DAWIDOWY

Grand Concourse i Sto Siedemdziesiąta Piąta Ulica

4 lutego 1954

Drogi Robercie!

Nie piszę tego w biurze, bo chcę, żebyś szybko się dowiedział, że nie rozumiem, jakiemu celowi ma służyć Twój przyjazd do Nowego Jorku. Prowadzenie obrony w tym procesie jest prawie niemożliwe. Hirsch uznał, że moi klienci mogą być przesłuchiwać na temat ich koneksji politycznych, żeby ustalić motywy, jakimi się kierowali, popełniając przestępstwo, o które są oskarżani. Dlatego nie ma znaczenia, jaką strategię przyjmę. Przewrotna logika, która rządzi w tych czasach, i tak doprowadzi do wniosku, że są winni. Niezależnie, czy przyznają się do powiązań z komunistami, czy też skorzystają z piątej poprawki, przedstawi się ich jako komunistów. A jeśli są komunistami, to są kłamcami. A jeśli są kłamcami, to ten parszywy Mindish musi mówić prawdę. Mówi prawdę, choć jest komunistą, a to dlatego, że jest świadkiem powołanym przez rząd Stanów Zjedn. Mogę poradzić Isaacsonom jedynie to, aby zaprzeczali zeznaniom Mindisha. Ale jeśli Mindish zezna, że spotkał się ze słynnym Thosem Flemmingiem, nazywanym w pewnych kręgach Gadatliwym Tomem, gdyż rząd wykorzystał go już w trzech procesach, a Flemming doprowadzony na rozprawę z celi więziennej zezna, że otrzymywał rozkazy od Kuzniecowa z rządu sowieckiego, to jak, nie będąc przy tym, moi klienci mogą temu zaprzeczyć? Jednak zostali pociągnięci za to do odpowiedzialności. Zostali pociągnięci do odpowiedzialności za Związek Radziecki. Za obecną sytuację światową. A całe oskarżenie opiera się na tezie, że spotykali się z Mindishem we własnej kuchni.

Byłoby nierozsądne z Twojej strony, gdybyś miał opuścić wykłady. Nie rób tego, proszę. Kiedy uznam, że możesz w czymś pomóc, zadzwonię do Ciebie. Przypuszczam, że przegram ten proces, ale wygram w sądzie apelacyjnym. Odmawiam Izkor za Twego ojca. Boże, wybac mi, ale w pewnym sensie jestem zadowolony, że Samuela nie ma już między nami, bo na przykładzie tej sprawy przekonałby się, jak straszliwą moc posiada niekiedy jego ukochane prawo.

Najgłębsze ukłony dla Ciebie i Twojej uroczej panny młodej.

Jake Ascher

WERDYKT

Isaacsonom udowodniono udział w spisku, którego celem było przekazanie Związkowi Radzieckiemu tajemnicy bomby atomowej. Nie – tajemnicy bomby wodorowej. A może bomby kobaltowej? Albo neutronowej? Albo napalmu? Coś w tym rodzaju.

Któregoś dnia po deszczu młody człowiek, chcąc zanalizować i zinterpretować straszne obrazy, które kłębią mu się w głowie, składa wizytę swej siostrze przebywającej w sanatorium. Jest jesień naprawdę pięknego roku. Stoi pod jej oknem, tanie buty nasiąkają wodą od mokrej trawy. Zagląda do środka, opierając się najpierw na jednej przemokniętej nodze, potem na drugiej. Nie ma jej w łóżku, nie ma na krześle, nie ma w kącie koło drzwi. Jeśli jest w pokoju, musi być gdzieś pod ścianą przy oknie, poza zasięgiem jego wzroku. W drzwiach, za szybą ze szkła antyrozpryskowego, ukazuje się jakaś twarz. Drzwi się otwierają, więc on szybko się schyla. Słyszy jakiś głos – wesoły, protekcyjnalny i zatroskany. Głos, jakim przemawia się do zwierzątek domowych.

Sanatorium zbudowano tak, żeby wyglądało jak szeregowiec. Położone jest przy willowej ulicy Newtona, niedaleko Boston College. Za nim znajduje się budynek z gabinetami lekarskimi i dentyścycznymi, zbudowany również jak szeregowiec. Sanatorium i przychodnie mają wspólny parking. Któregoś dnia w zeszłym tygodniu ten sam młody człowiek, który teraz kuca w cieniu ściany, wypadł z sanatorium i przebiegł przez parking. Jego kurtka podbita barankiem powiewała jak chorągiew w uniesionej ręce. Wrzeszczał niezrozumiale, wydając z siebie ochryple, gardłowe okrzyki wściekłości. Zachowywał się jak niespełna rozumu. Zaraz jak tylko zniknął w budynku przychodni, z sanatorium wyszedł jego przybrany ojciec, bezskutecznie próbując przywołać go do porządku. Za przybranym ojcem wyszła przybrana matka młodego człowieka. Za matką wyszła

pielęgniarka. Wszyscy wyglądali na zaniepokojonych. Nie wiadomo, czemu młody człowiek ubzdurał sobie, że lekarze rozważają poddanie jego siostry, która jest pacjentką sanatorium, terapii elektrowstrząsowej. Przez układ nerwowy pacjenta za pomocą elektrod przyłożonych do czaszki w okolicy skroni ramion sutków pępka genitaliów odbytu kolan palców u nóg i podeszew stóp przepuszcza się silny prąd elektryczny. Pacjent sztywnieje. Prąd zostaje wyłączony i pacjent się odpręża. Prąd znów jest włączany i pacjent znów sztywnieje. Dopływ prądu zostaje odcięty. Młody człowiek szukał jednego z lekarzy, który miał gabinet w budynku przychodni: psychiatry o nazwisku Duberstein. Miał zamiar zabić doktora Dubersteina. W zapale przeoczył spis gabinetów i zszedł do holu, po kolei otwierając gwałtownie drzwi do poczekalni, sal opatrunkowych, gabinetów rentgenowskich, hałasując i strasząc matki z dziećmi, trzęsących się staruszków i chłopców ciężko porażonych trądzikiem. Na szczęście dalej się nie posunął. Gdyby był mordercą, zachowywałby się ciszzej. Ale poprzedzany przez falę uderzeniową, którą wzniecał, uprzedził przypuszczalną ofiarę, wysyłając znak, że jego furia ma charakter rytualny. Duberstein jednak nie odebrał tego sygnału. Jego krzesło było jeszcze ciepłe, broszura z twardego papieru leżała otwarta na biurku, dym z fajki wisiał w powietrzu. WYSZEDŁ! No i dobrze, inaczej bym go zabił.

Więc widzisz, uczyłem się. Uczyłem się, jak być Isaacsonem. Isaacson to zuchwały osobnik, z premedytacją dąży do samozagłady. W ten sposób można zmusić świat do słuchania rozkazów. Dziś mam brodę, włosy dłuższe niż kiedykolwiek, coraz szybciej niesie mnie życiowa fala. Mam wrażenie, że za szybko zbiegam ze wzgórze. Ale czemuż by nie, czemu nie, do kurwy nędzy.

W następstwie mojej napaści na jego gabinet Duberstein powiedział Lewinom, że zrezygnuje z leczenia mojej siostry, o ile nie zagwarantują, że będę się trzymał od niej z daleka. Powiedziałem, że zagwarantuję, że będę trzymał się od niej z daleka, o ile oni zagwarantują, że on zrezygnuje z jej leczenia. Mój ojciec, prawnik z niejaką znajomością tajników arbitrażu, podsunął rozwiązanie kompromisowe: ja zagwarantuję, że będę się trzymał z daleka od szpitala i Dubersteina, a oni zagwarantują, że będą trzymać swe brudne łapska z daleka od woltomierza. Obie strony wyraziły zgodę.

Natychmiast przedstawiłem Lewinom pomysł zostania jedynym prawnym opiekunem Susan – pomysł, o którym myślę ciepło w dni słoneczne i chłodno w deszczowe. Dzisiaj jest zimno. Mam przemoczone nogi. Wystawiam głowę nad parapet i widzę, że pielęgniarka fachowo kładzie Susan z powrotem do łóżka. Drzwi się właśnie zamykają. Patrzą na swą siostrę. Powoli rozkłada nogi, stopy zsuwają się po bokach materaca, palce zahaczają o szparę między materacem a sprężynami. Otwiera ramiona; dłonie ześlizgują się z krawędzi materaca i trafiają na tę samą rafę. Trzyma się łóżka rękami i nogami. Tunika podwinęła się powyżej kolan. Nogi ma chude i nie ogolone. Twarz wymizerowaną. Wije się powoli na plecach, kołysze, jakby była pod wodą, bacznie wpatrując się w sufit oczyma uciekinierki. W końcu poduszka zostaje pchnięta i spada na podłogę. Susan zapiera się mocno głową o łóżko i gapi się na miejsce, gdzie ściana zbiega się z sufitem, dokładnie nad jej głową. I w tej pozycji, mocno uczepona łóżka, nieruchomieje.

Dzisiaj Susan jest rozgwiadzą. Dzisiaj uprawia milczenie rozgwiadzy. Niewiele jest milczeń głębszych od milczenia rozgwiadzy. Tam, gdzie nie ma już życia, nie ma wielu – nawet najniższych – jego form.

Daniel podnosi okno, wspina się na parapet i wchodzi do środka. Przyniósł ze sobą dokument, który wkłada do szuflady stolika przy łóżku, obok innych dokumentów. Ale to nie jest dzisiaj najważniejsza sprawa.

Staje w nogach łóżka. Żeby być obiektywnym: ona uczy się leżeć na czymś, co jest przeznaczone do leżenia. Z miejsca, gdzie stoję, widzę, że w sanatorium nie wymaga się od pacjentów zakładania bielizny. Popatrz tam. Twarz Daniela oblewa gorąca fala winy. Odsuwa się na bok, żeby nie widzieć. To ostatnia rzecz do zrobienia. Wiele razy pytałem sam siebie, czy chciałbym przetrząść swą siostrę. To znaczy, nie zadawałem sobie pytania, tylko badałem swoje reakcje, żeby zobaczyć, czy naprawdę tego chcę. Ale nie sądzę, żebym kiedykolwiek chciał to zrobić. Moje stosunki z Susan charakteryzuje gniew, który łatwo pomylić z anormalną namiętnością. Moja ciekawość, moja wybujała ciekawość znajduje się wyżej, gdzieś w dolinach serca, po których odbija się czyste echo, i sięga gardła. Do szafu mnie doprowadza, że każdy – z wyjątkiem mojej siostrzyczki – potra-

fi scharakteryzować moje zachowanie, potrafi odnaleźć w tym, co robię i jak robię, wystarczająco dużo konsekwencji, wystarczająco wyraźny wzór, żeby poddać mnie kategorycznemu osądowi moralnemu.

Pani Madge Green, która ma jedną sztuczną pierś, jedzie buickiem rivię do centrum „S & H Redemption”. Może pontakiem bonneville. Pan Leopold Bloom spożył ze smakiem wnętrze zwierząt i ptactwa. Spójrz na nią, leży tam i robi z siebie idiotkę. Naucz ją grać w te głupie gierki. Spójrz na tę aktorkę. Czyż nie jest czymś innym? Spójrz na nią, jak leży, nie mówi ani jednego zasnętego słowa, nie robi nic, tylko leży tam i dorabia się odleżyn, a jeszcze moralnie góruje nad innymi. Co za charakter! Prawdę mówiąc, Susan, potrafię się pogodzić z twoją śmiercią. Narobię zamieszania, bo tego się ode mnie oczekuje, ale jakoś to przeżyję. Wiem, jak to zrobić. Nie twierdzę, że nie będzie mi smutno, ale w porze kolacji nadal będę głodny, czyż nie? Zamówię sobie hamburgera ze wszystkimi dodatkami.

Wiesz, że nie robię sobie z ciebie jaj, stara. Potrafię pogodzić się z każdą śmiercią, poza własną. Wiesz o tym. Przez całe życie ciągle spotykam ludzi, którzy próbują umierać, a wielu z nich się to udało. I tak dużo dla ciebie zrobiłem – i po co? Nie odzywasz się, nie wzmacniasz w innych uczuć, które do ciebie żywią. Mają na to tylko moje słowo. Pamiętam twój głos, ale czy mogę oczekiwać, że oni też będą go pamiętać? Głosu nie da się zapisać na papierze. O twoim głosie mogę powiedzieć jedynie to, że jest mi tak bliski, że bez niego, budującego ramy dla mojego widzenia, nie potrafię postrzegać świata. Jest na widnokreślu i pod moimi stopami. Świat zawsze ulegał głosowi Susan. Załamuje się, kiedy jej głos się załamuje – w momentach wygłaszania sądów albo tuż przed zaśnięciem, albo w chwilach uniesień miłosnych – po to, aby jeszcze mocniej zaznaczyć swą odrębność. To kobiecy głos, który bez uszczerbku przechodzi przez ontologiczne zwierciadła. Leży w samym centrum, jest sednem sprawy, istotą problemu, rdzeniem, strzałem w dziesiątkę, cełnym trafieniem. Rozumiemy Joannę d'Arc: masz ochotę ją przelecieć, ale jeśli to zrobisz, okaże się, że popełniłeś błąd.

Susan, pewnej nocy miałem sen, w którym ktoś przyglądał się, jak unoszę ciężką, wydrążoną dynię, która była moją twarzą z zamkniętymi oczyma, i wkładam ją sobie na głowę. To nie był wesoły sen. Oczy były zamknięte. Przedmiot ważył tonę, ale nie była to cała głowa, jedynie twarz, fasada. Kojarzyła mi się z głową Lincolna na pogiętej jednocentówce lub Roosevelta na dziesiątce, lub Kennedyego na półdolarówce, wypukłą jak arbuz. Czulem pod palcami ciało, dotykałem opuszkami swych skroni, policzków i miałem wrażenie, że to martwe ciało. Zauważyłem jego niedoskonałość, skórę. Było zimne jak glina, a właściwie nie zimne, tylko pozbawione ciepła. Cień uśmiechu błąkał się na uspiionych ustach. Czy to ty byłaś ze mną w tym śnie, byłaś tą osobą, która mi się przyglądała?

Patrząc obiektywnie, im bardziej słabną jej sygnały, tym mocniejsze stają się moje. Znamy tę sztuczkę. Rzecz w tym, że w miarę jak moje sygnały ulegają wzmocnieniu, ona musi się coraz bardziej oddalać, żeby je usłyszeć. W końcu wycofa się w nicość.

Patrząc obiektywnie, ona umiera.

Patrząc obiektywnie, oni ciągle się nami opiekują, każdym z osobna.

Życie opuszcza ją jak morze w czasie odpływu, fale życia cofają się, spływają z jej czoła w dół, przez oczy. Zastępuje je suchość, utrata życia. Wygląda tak blado, mój Boże, ona umiera, a Daniel nic nie może zrobić. Została wyrzucona przez morze na plażę, a kiedy reszta wilgoci wsiąknie w piasek i piasek wyschnie na słońcu, ona umrze. I wtedy cała moja rodzina będzie martwa.

Kiedy ją podniosłem, nic nie ważyła. Nie musiałem dźwigać oceanu, przesuwając jego dna ani słonej wydmy. Jej ręce i chude nogi zwisały bezwładnie. Czulem na ramieniu jej kręgosłup, kości udowe na ręce. Głowa zwieszała się tak, jakby utrzymywała się na złamanym karku. *Susan*, do ucha, *Susan*, szeptem, *Susan*, tuląc jej kości i wysuszone, pozbawione ciężaru ciało, *Susan*, całując oczy. Jedynie ciepło jej kości mówiło mi, że nie umarła.

Kiedy położyłem ją z powrotem, wstrząs spowodowany tym, co zrobiłem, rozszedł się po jej ciele, a ręce i nogi się wykrzywiły. Głowa turlała się po prześcieradle, oczy zamykały się i otwierały, zamykały i otwierały. Potem drgawki powoli ustąpiły. I raz jeszcze rozsunęła wolno ra-

miona i zaczepiła stopami o materac, przyczepiła się do łóżka, przyssała do niego za pomocą próżniowych porów w kurczącym się szpiku i znowu zapatrzyła się w sufit i zasłuchała w powolny odpływ morza.

Rozumiemy, że kiedy Joanna d'Arc wiodła żołnierzy do boju, żaden z nich nie patrzył, jak ona rusza tyłkiem. Rozumiemy, że Churchill pojął wagę tego, iż jako dzieciak lubił się bawić ołowianymi żołnierzami. Każda linijka w każdej powieści Henryego Jamesa została opłacona. James wiedział o tym i gotów był przyjąć na siebie moralne brzemienie. Potrafimy przyjąć na siebie moralne brzemienie, jeżeli mamy czystą bieliznę. Z tego powodu trzymamy ołowiane żołnierzyki. Susan kapuje. Rozgwiazda się nie obraża. Możemy zachować naszą ulatniającą się energię, jeśli potrafimy ją skierować na właściwe cele. Jakaś część tej energii musi być użyta do odbudowania reszty. Tym sposobem nie umiera się tak po prostu, jak spada ptak czy tonie kamień. Umiera się wzdłuż krzywej parabolicznej. Umiera się w trakcie natarcia. Susan o tym wie. Żeby zostać rewolucjonistą, trzeba tylko wyciągnąć przed siebie ręce i skoczyć. To trochę jak przekroczenie bariery dźwięku, słysząc huk, kiedy się przebijasz, wstrząs przestrzeni, zagęszczenie jej wycinka. Echo odbija się rykoszetem w czerwonym, spokojnym zmierzchu nad oceanem.

Rozumiemy, że Churchill pojął wagę tego, iż jako dzieciak lubił się bawić ołowianymi żołnierzami. Rozumiemy, że Truman pojął wagę tego, iż jako młody chłopak dowodził artylerią.

Daniel wyciąga spod marynarki kartonową tubę. Wyjmuje z niej plakat, który rozprostowuje i wygładza. Wchodzi na krzesło i przykleja go najwyżej jak może na ścianie naprzeciw łóżka. Sufit byłby lepszy, ale nawet stojąc na krześle, nie może do niego dosięgnąć. Plakat jest czarno-białą, ziarnistą fotografią, na której Daniel wypadł brzydko, ale wojowniczo. Z brodą, z otwartym spojrzeniem. Uniesiona ręka, palce ułożone w znak pokoju. Upozowana fotka za cztery dziewięćdziesiąt pięć.

JACK P. FEIN

NY Times

Zachodnia Czterdziesta Trzecia Ulica 229

Fein jest reporterem, który w dziesiątą rocznicę egzekucji napisał w „Timesie” artykuł przedstawiający historię Isaacsonów w nowym świetle. Jest krzepkim, łysym facetem z siwymi baczkami.

– Pamiętasz proces? – pyta mnie.

– Nie pozwolono nam pójść.

– To był syfiasty proces. Nie mieli żadnych dowodów przeciwko nim. Słowo Gadatliwego Toma było gównem. Przecież go oskarżono i skazano za szpiegostwo. Wszystko, co miał rząd, to zeznania współoskarżonego, czyli Mindisha. Aby w nie uwierzyć, trzeba było przyjąć, że facet naprawiający radia potrafi narysować zawiłe plany najbardziej skomplikowanych urządzeń i umie je zmniejszyć tak, by zmieściły się na dentystycznym zdjęciu rentgenowskim – wciąż nie rozumiem, po co ktoś miałby to robić. Za dużo zachodu. I że ten materiał był ważny dla Rosjan. Bzdury! Rosjanie mieli wszystko, czego potrzebowali. Cały ten majdan. Własnych zawodowców, zastępy ludzi na skinienie ręki. Nieważne, następnego dnia po tym, jak „Times” puścił mój kawałek, jadłem lunch w mieście i kiedy już wychodziłem z restauracji, podszedł do mnie Rudy Feuerman, przewodniczący składu prokuratorskiego. Jest teraz sędzią w Okręgu Południowym, to była życiowa szansa, chłopie, wszyscy na tym skorzystali. Feuerman łapie mnie za łokieć, o tak, wiesz, jak niektórzy goście łapią człowieka za łokieć, jakby to był cycek albo coś podobnego, i mówi: „Jack, dajesz posłuch niewłaściwym ludziom. Nie mogę uwierzyć, że dałeś się nabrać na ich opowiastkę”. „Jaką opowiastkę, Rudy, nie będziesz tu stał i bez zmużenia oka wmawiał mi, że masz jakieś dowody przeciwko nim!” „Któregoś dnia, kiedy będziesz miał czas – mówi – wpadnij do mojego biura, to ci pokażę parę rzeczy”.

Jakie rzeczy? spytałem Feina.

– Och, same bzdury. Oni wszyscy tak gadają. Nawet przed egzekucją, kiedy gorączkowo działano na rzecz złagodzenia wyroku, robili aluzje na temat dowodów, które niby mają, a których nie mogą ujawnić ze względu na bezpieczeństwo państwa. Jak ten gruby raport Departamentu Spra-

wiedliwości, którego nigdy nie opublikowano z powodów bezpieczeństwa i nikt go nie może zobaczyć, a który zawiera ponoć niepodważalne dowody. Ale jeden z moich przyjaciół z Departamentu powiedział mi, że gdyby raport zawierał dowody, jak twierdzili, to byliby go opublikowali. Raport istnieje, zgoda, ale utajniono go dlatego, że zawiera dowody na korzyść obrony. Kurwa, między FBI a PK twoi starzy nie mieli żadnej szansy.

Jack Fein jest nałogowym palaczem. Wyłuskał camele z pudełka i położył je w rzędzie na stole, jak naboje w ładownicy. Pije czarną kawę. Nie używa ani dyktafonu, ani notatnika. Siedzieliśmy w barku. Było tam ciepło, ale nie zdjął płaszcza i nachylając się nad stołem, zamiatał rękawami.

– Twardy z ciebie dzieciak – odezwał się. – To dobrze. Cieszy mnie, że się nie poddajesz.

Czy wasza Fundacja ma jakąś nazwę?

– Fundacja imienia Paula i Rochelle Isaacsonów na rzecz Rewolucji.

– Co będzie robić?

– Wspieramy, hm, wydawnictwa krzewiące świadomość rewolucyjną. Będziemy finansować akcje, hm, programy działania wspólnoty. Zamierzamy wspierać radykalną alternatywę.

– Świetnie. Czy powiesz mi, skąd wasza Fundacja czerpie pieniądze?

– Jasne, stary, to żadna tajemnica. Z funduszy powierniczych, mojego i mojej siostry. To kupa forsy.

– A, to coś, co załatwił ten stary adwokat Ascher. Z tego komitetu.

– Tak.

– Ile tego teraz może być?

– Hmm, nie liczyłem.

– Pięknie. Ślicznie, nie ma co. Jesteś w SDS?

– Nie.

– W PLP?

– Nie.

– Gdzie teraz mieszkasz?

Mówię mu.

– Co z twoją siostrą?

– Widzisz, nie sądzę, żeby chciała teraz z kimś rozmawiać. Przychodzi do siebie po procesie.

Ale ze mnie drań.

– Taaaa. – Odpala jednego camela od drugiego. – Taaak, coś o tym słyszałem. Taaa. Ile teraz będzie miała?

– Susan ma dwadzieścia lat.

– I gdzie jest?

– Wyjechała z tego stanu, to wszystko, co mogę ci powiedzieć.

– Co z twoimi przybranymi rodzicami? Czy mogę z nimi pogadać?

– Słuchaj, nie boję się, że zostanie odkryta nasza prawdziwa tożsamość. Przypuszczam, że nikogo to już nie obchodzi. Każdy, kto był ciekaw, mógł odnaleźć nas w Bostonie. Chodzi mi tylko o to, że jest kilka spraw rodzinnych, o których decydujemy wspólnie, nie ja sam. Wszyscy mamy wobec siebie pewne zobowiązania.

– Rozumiem. Nie martw się, nie mam zamiaru się wpierdalać w czyjeś sprawy.

Nie podoba mi się ten nagły przyływ współczucia. Oto roztaczam przed nim wizję Fundacji, a on chce rozmawiać z naszymi dorosłymi opiekunami. *Syn Paula i Rochelle Isaacsonów, którzy dwanaście lat temu zostali straceni za działalność antypaństwową, zakłada Fundację, która ma oczyścić ich imię.*

– Oczywiście, tego się nie da zrobić – zapewnia mnie Fein.

– Ale nie to jest jej celem – odpowiadam.

– Słuchaj, dzieciaku, radykał nie jest lepszy od analizy sytuacji, którą proponuje. Wiesz o tym. Twoi starzy zostali wrobieni, ale to nie znaczy, że byli niewiniątkami. Nie wierzę, że byli groźnymi spiskowcami, którzy przekazywali ważne tajemnice dotyczące obronności, ale nie wierzę

też, żeby Prokurator Stanów Zjednoczonych i Sędzia, i Departament Sprawiedliwości, i Prezydent USA uknuli spisek przeciwko nim.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż dowody przeciwko nim były nic niewarte.

– To prawda. Ci goście powinni byli przedstawić dowody. Taki mieli obowiązek. Ale nikt by nie tknął palcem twoich rodziców, gdyby było pewne, że są absolutnie czyści. W tym kraju nie wyjmuje się ludzi z kapelusza, żeby tylko wszczęć przeciw nim proces, w którym stawką jest ich życie. Nie wiem, wasi rodzice i Mindish musieli być zamieszani w coś cholernego. Zachowywali się, jakby byli winni. Byli podrzędnymi, lokalnymi działaczami partyjnymi biorącymi udział prawdopodobnie w trzeciorzędnej operacji, która nikomu do niczego nie służyła, z wyjątkiem może tego, że dała im poczucie ważności. Może powinni dostać za to pięć lat. Może. Ale na to by trzeba było lepszych czasów, bo gdyby się to działo w lepszych czasach, nikt by się nie starał fałszować dowodów. Nikt by się ich aż tak nie obawiał, żeby włączyć prąd.

FANNY ASCHER

Zachodnia Siedemdziesiąta Druga Ulica 570

Fanny Ascher była ciekawa, co ze mnie wyrosło. Dlatego zgodziła się ze mną porozmawiać. W jej zachowaniu czuło się też odrazę albo strach przede mną, przed tym, skąd pochodzę, przed nazwiskiem, które noszę. Z tego też powodu usiadła na brzegu kanapy ze skrzyżowanymi w kostkach nogami i podniesioną głową, obnosząc się ze swym wdowieństwem. Jest drobną kobietą o bardzo jasnej karnacji, pokrytej siecią zmarszczek skórze, z włosami ufarbowanymi na błękitno. Patrzy przez okulary w szarych, inkrustowanych oprawkach. Trudno jest bezboleśnie złożyć dłoń, kiedy nosi się diamentowy pierścionek i ślubną obrączkę na czwartym palcu. Niepokoiło mnie skrzywienie jej ciała, zniekształcenie dłoni, widoczny artretyzm.

– Jesteś jeszcze studentem?

– Tak.

Staram się nadążyć za waszą modą na długie włosy i dziwaczne ciuchy. Jestem nowoczesną kobietą i lubię młodzież. Jednak rozczarowuje mnie twój wygląd. Nie wzbudza zaufania.

– Jesteś żonaty, masz dziecko?

– Tak.

Potrząsa głową.

– A twoja siostra?

– Dochodzi do siebie.

– Wciąż?

– Tak.

Kobieta kiwa głową z prawa na lewo, z prawa na lewo, z prawa na lewo. Wlepia we mnie wzrok.

– Nie zamierzam zabierać pani dużo czasu.

– Czasu? Jak sądzisz, co robię ze swoim czasem?

– Cóż, przyszedłem tylko zapytać, czy zostały jakieś dokumenty, jakieś listy, o których pani wie. Jakież akta.

– Żadne. Robert ma wszystkie akta. Dałam mu wszystko, co znalazłam. Jak się miewa Robert?

– W porządku.

– Jeździsz tam?

– Tak, kiedy mogę.

– Mają bardzo dużo pracy.

– Tak.

– Co roku dostaję od nich kartki na wszystkie ważne święta.

– Tak.

Na krótkim fortepianie stoi zdjęcie Aschera w skórzanej ramce. Zbliżenie uśmiechniętej twarzy mężczyzny młodszego od tego, którego pamiętam.

– Cóż, to wszystko, o co chciałem zapytać.

– Jacob zachował wszystko. Przez ponad rok codziennie chodziłam do kancelarii, żeby przeglądać dokumenty. Rachunki, listy, zapiski – nic nie wyrzucił. Kiedy sprzedałam praktykę i zamknęłam biuro, musiałam uprzątnąć śmieci z trzydziestu pięciu lat. Ale wszystko było posegregowane. Żadnego bałaganu. Był człowiekiem bardzo zorganizowanym.

– Tak.

– To było dla mnie bardzo trudne. Rozchorowałam się.

– Tak.

– Robert nie chciał przejąć praktyki. – Zastanawiamy się nad tym przez minutę. Daniel boi się, że butami zabrudził dywan. To dywan wykładzinowy, różowo-beżowy, charakterystyczny dla Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy.

– Napijesz się czegoś, może mleka? W pewnym momencie sami z Jacobem zastanawialiśmy się poważnie, czy was nie zaadoptować.

– Nie wiedziałem.

– To prawda. Nie wiem, jak byśmy sobie dali z tym radę w naszym wieku. To był, oczywiście, jego pomysł, nie mój. Postanowiłam to przeczekać i on sam to sobie wyperswadował. Byłam szczerze zdziwiona. Dopiero gdy umarł, pomyślałam, że może wiedział, iż nie pozostało mu wiele życia, i dlatego zrezygnował. Gdyby nie to, to kto wie. To on zawsze podejmował decyzje. To było typowe. Nie wiedział, jak odmówić ludziom pomocy. Im biedniejsi byli klienci, tym skrupulatniej się nimi zajmował.

– Tak.

– Pod tym względem bardzo się różniliśmy. On był hojny aż do przesady.

– Był dla nas bardzo dobry.

– To wasi rodzice powinni byli być tacy dobrzy. – Jest przestraszona własną uwagą. Wygląda, jakby miała ochotę przeprosić, ale się powstrzymuje. – Oni nie byli dobrzy, dla nikogo z nas. Do czego są ci potrzebne te dokumenty?

– Nie wiem. Chyba należą do mnie.

– Rozumiem. Przykro mi, że nie mogę ci nic dać. Porozmawiaj z Robertem.

Wstaję.

– Nie wiem, co ci powiedzieć – dodała. – Nie lubię wspominać twoich rodziców. Byli komunistami i niszczyli wszystko, czego dotknęli.

– Nie sądzi pani, że byli niewinni?

– Byli winni, bo pozwolili się wykorzystać. I wykorzystywali innych do swych fanatycznych celów. Niewinni. Ta sprawa zniszczyła Jacobowi zdrowie. – Podniosła się z kanapy. – Trudno się z nimi współpracowało. Byli bardzo uparci. Wracał do domu wściekły, chciał coś zrobić, a oni mu nie pozwalali. Chciał coś zrobić, żeby ich uratować, a oni mu nie pozwalali.

– Na przykład co?

– Chciał powołać jakichś ludzi na świadków, a oni mu nie pozwolili. Tego typu rzeczy.

– Kogo?

Stąpa ostrożnie – odprowadza mnie do drzwi.

– Co?

– Kogo chciał powołać na świadka?

– Któż to wie? Jacob był znakomitym adwokatem. A dzisiaj, kiedy pisze się albo rozmawia o tej sprawie, krytykuje się właśnie Jacoba. Powinien zrobić to, nie powinien robić tamtego. Czy oni wiedzą, co musiał znosić?

Kładzie dłoń na kłamce. Pierścionki wrastają w ciało, ból ściska palce.

Rozmowa przeprowadzona przez Daniela dla Fundacji

ROBERT LEWIN

Winthrop 67, Brookline

Daniel podjeżdża pod dom. Przyzwyczaili się już do jego nagłych pojawień, do jego niezauważalnych wyjazdów. Słyszą gniew w sposobie, w jaki hamuje. Widzą go w śladach opon zоста-

wianych na wzgórzach Brookline.

Zimne porywy wiatru osuszyły ulice. Na rogu ulicy zapala się latarnia.

Teraz na tapecie są specjaliści. Cieszą się ich wielkim zaufaniem. Mamy tu specjalistę, który weźmie ją pod obserwację. Robią jakieś badania. Każdy specjalista chce się porozumieć z kolejnym specjalistą. Jeśli się ma wystarczająco dużo specjalistów wokół siebie, można stać się nieśmiertelnym. Co ci wszyscy specjaliści robią tu w sobotni wieczór? Przyszli rzucić swym specjalistycznym okiem na Susan.

– Gdzie byłeś? – pyta Lise. – Dlaczego nie zostawiłeś nam żadnej wiadomości?

Zrobili się jacyś dziwni. Wyraźnie się skurczyli, oboje. Korzystanie z porad specjalistów upodabnia ich do starych Żydów. Co stało się z walczącym liberałem uwielbianym przez studentów? Ojciec zapala fajkę lekko drżącymi rękoma. Matka osiwiła w ciągu jednej nocy. W przebiegu intuicji zdaje sobie sprawę, że ich życie stało się zbyt smutne, żeby było w nim miejsce na seks.

– Kiedy jadłeś ostatnio przyzwoity posiłek? – pyta Lise.

Idę na górę się umyć. Przechodzę przez moją dawną sypialnię. Kiedy moja siostra miała dwanaście albo trzynaście lat, wypróbowała na mnie swój zuchwały seksapil, kokietowała mnie, czesała godzinami włosy, wysuwała dolną wargę, podkreślała czarną kredką ciemne oczy i przypadkiem zawadzała małymi piersiami o moje ramię. Robiła to z rozmysłem. Strasznie to było staromodne i bardzo mnie śmieszyło. Ona wiedziała, że to zabawne: któregoś dnia, kiedy spostrzegła, że patrzę, zatrzymała się w tych drzwiach, podniosła ramiona i zasalutowała przede mną, kręcąc tyłkiem.

Teraz jest to pokój gościnny, schludny, pusty pokój gościnny. Z okna widać światła Bostonu na odległość ośmiu, dziesięciu mil na wschód. Co czuję, czego tak strasznie mi brakuje? Późnym popołudniem słońce odbija się w oknach bostońskiego śródmieścia, jakby ktoś puszczał zajączki. To było moje okno. Udałem, że te znaki są przeznaczone dla mnie. Nie musiałem ich odczytywać, bo wystarczyło mi, że zostały wysłane. Czułem bezgraniczną satysfakcję na myśl, że nikomu nie uda się ich przechwycić i odszyfrować. Nieważne kto, FBI czy naziści, nikt, kto nie stoi dokładnie w tym miejscu, w tym oknie, nie może poprawnie odczytać tych sygnałów ani ich zrozumieć.

Daniel próbował oderwać się od okna. Gapił się w wieczorne niebo, na światła Bostonu rozjaśniające gęste powietrze jak płomień pieca. Uczucie, które go ogarnęło, nie ma dna, nie ma korzenia, nie ma locus. Wypływa z niego miarowo jak fale radiowe, ze wszystkich części ciała naraz, i czegoś się domaga. Rozszerza się, rozprasza. W jednej chwili wydaje mu się, że jest to coś, czego pragnie jego serce, w drugiej – że chcą to obejmować jego ramiona, a potem, że to coś, w co chce wejść jego fiut. Ale nawet gdyby wyświadczył przysługę którejś z części swego ciała, uczucie by go nie opuściło, nadal tkwiłoby w nich wszystkich w tym samym stopniu, każda komórka jego ciała promieniowałaby namiętną żądzą.

Ale najgorsze jest to, że nie może sobie przypomnieć, czym jest to odwieczne, znajome uczucie.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Ojciec wzdycha. Rozmawialiśmy już przedtem. Siedzi przy stole w jadalni, przed nim leży stos niebieskich książek z testami. Egzemplarze „New Yorkera” leżą obok, jeszcze nie rozpakowane z banderol pocztowych.

– Czy wiesz o czymś, co zrobili moi rodzice, a co mogłoby zaszkodzić sprawie, którą prowadził Ascher?

– To znaczy?

– Zeznania, dowody, coś, czego nie pozwolili mu użyć.

– Z kim znowu rozmawiałeś? – dopytuje się matka.

– A co za różnica?

– Z Fanny Ascher?

– Tak.

Lise parska.

– Oczywiście. Zrobiłam kartoffel. Wolisz duszoną wołowinę czy kotleta?

– Wszystko jedno. Nie jestem głodny.

– I tak robię kolację, Danielu.

– Cokolwiek, nieważne.

– Zawsze nieważne...

– Jezu! – wrzeszczy Daniel. – Cokolwiek, do licha!

– Ale kiedy siadasz do stołu, to się robi ważne!

– Ciii, uspokójcie się oboje – mówi ojciec. – Zjemy duszoną wołowinę. Danielu, może być?

– Tak, może być.

– Dziękuję – mówi Lise i znika za drzwiami.

Ojciec chrząka.

– Chodźmy do salonu. Widzisz, problem polega na tym, że uczucia Fanny Ascher są powszechnie znane. I zrozumiałe. Nie może się pogodzić ze śmiercią Jake'a.

Daniel siada. Nieruchomieje.

– Po prostu powiedz mi wszystko, co wiesz na ten temat.

– Jake nigdy mi nic o tym nie mówił. Po drugie nie było mnie przy nim, kiedy prowadził tę sprawę. Odbywałem wtedy staż w Wirginii. Zaangażowałem się dopiero przy późniejszych apelacjach. Trochę mu pomogłem. Ale już przedtem w sprawę było zaangażowanych wielu prawników. Już przedtem większość faktów stała się powszechnie znana.

– Co to znaczy?

– To, co powiedziałem. Wiem tyle samo, co ty. Przejrzałeś wszystkie akta?

Nie bardzo mi pomaga. Ugodziłem ich prosto w serce. Nie wybaczyli mi tekstu Jacka Feina w „Timesie”. Wciąż pamiętają moje pogroźki wobec Dubersteina. To, że odmawiam im praw do Susan, do siebie. Nie radziłem się ich w sprawie zmian w swoim wyglądzie: zapuszczania brody czy włosów, świeżej daty braku rozwagi w postępowaniu, który wywołuje rumieńce i spuszczenie wzroku. Ogarnia ich podejrzenie, że ich życie nie miało sensu.

Sam dom też zdaje się kurczyć i tracić blask. Meble wyglądają na niemodne i sfatygowane. Ściany pożółkły. Wszędzie unosi się zapach utraconego życiowego bezpieczeństwa. Ojciec, siedząc w fotelu, w taki sposób opiera ręce na poręczach, że wywołuje to wrażenie, jakby przekroczył linię, za którą powodzenie uważa się za porażkę.

– Tato, znam te akta na pamięć.

– Pijesz?

– Co?

– Wypiję drinka przed kolacją. Masz ochotę na szkocką? – Idzie do kuchni po szklanki i lód. – Oczywiście, żonie mówi się rzeczy, których nie powiedziałoby się nikomu innemu. Kto wie? Wasi rodzice byli członkami Partii i możliwe, że uważali, iż muszą utrzymywać swą linię obrony w tajemnicy przed Partią. Może coś takiego miało miejsce. Nie wiem. Oczywiście Partia nie kiwnęła palcem, żeby im pomóc. Zrobili to dopiero później, po wyroku, kiedy zrozumieli wartość propagandową całego wydarzenia.

– Czy mogło to być coś ważnego? Coś, co mogłoby zmienić ich sytuację?

– Chodzi ci o ich zeznania?

– Tak.

– Wątpię. Musisz zrozumieć Fanny. Straciła męża i winą za to obciąża tę sprawę. A to znaczy, że obwinia rodzinę Isaacsonów. A żeby było jeszcze gorzej, ubzdurała sobie, że mimo całego jego poświęcenia, Jake'a pamiętają jedynie krytycy, którzy czepiają się go za sposób, w jaki prowadził tę sprawę. Jest bardzo przewrażliwiona na tym punkcie. Ma żal za ten krytyczny stosunek do niego. To naturalne.

– Miał rozedmę. Chorował na serce.

– To prawda. Nie miał najlepszego zdrowia. Ale nie ma wątpliwości, że sprawa jeszcze je pogorszyła. Był podobny do mojego ojca. Przerywali pracę tylko na posiłki i sen. Obaj byli tacy. – Wkłada lód do szklanek. – Tworzyli zgraną parę.

– Chciała, żebyś przejął praktykę.

– Tak. – Nieznaczny uśmiech. Trzyma szkocką w kredensie z zastawą dla gości.

– Nigdy nie przejmowała się ideałami Roberta – wtrąca matka.

– Spróbuj tego – ojciec wręcza mi drinka. – Piją to starszycy z naszego pokolenia. Tak, Fanny była wstrząśnięta, że nie chciałem przejąć praktyki. Nieustannie coś ją szokowało.

– Nie mieli dzieci – mówi Lise.

– Ascherowie byli zaprzyjaźnieni z moimi rodzicami. Zawsze na urodziny dostawałem od nich prezent. Kiedy umarła moja matka, Fanny zaczęła udzielać nam rad. Latami próbowała ponownie ożenić ojca. Przedstawiała go paniom z Hadassy, które straciły mężów. Ale Sama interesowała tylko praktyka adwokacka. Mówił, że nie ma czasu.

– Nie lubi ludzi, którzy nie proszą jej o radę – dodaje matka.

– Lechaim! – mówi ojciec i podnosi szklankę.

– Dzisiejsza sprawiedliwość jest rzetelniejsza: obecnie dąży się do surowego przestrzegania procedury, by proces przebiegł uczciwie. Nie mam wątpliwości, że gdyby ich proces odbywał się dzisiaj, rząd nie mógłby zrobić tego, co zrobił, i uzyskać wyroku skazującego. W czasie procesu FBI aresztowało tamtego gościa jako kolejnego szpiega z siatki i ogłosiło, że będzie zeznawał, by potwierdzić przyznanie się do winy Mindisha. Nigdy nie został wezwany na świadka i nigdy jemu samemu nie wytoczono sprawy. Na długo przed procesem gazety postawiły Isaacsonów pod sąd i uznały winnymi. Moim zdaniem również powierzenie procesu takiemu sędziemu jak Hirsch byłoby dzisiaj uznane za stronnictwo. Dzisiaj, gdyby sędzia chciał coś knuć, musiałby robić to w sposób bardziej wyrafinowany. Musiałby.

– To znaczy, że uniknęliby kary?

– No nie, niekoniecznie. Chodzi mi o to, że byłby to inny proces pod względem formalnym. Trudniej byłoby ich skazać. Federalne ustawodawstwo przeciwko szpiegostwu, na którym oparto akt oskarżenia, jest dziś takie samo. To się nie zmieniło. Nadal istnieją sposoby, żeby uznać winnym kogoś, komu niczego nie można udowodnić.

– Byłeś u Susan? – pyta matka.

– Tak.

– Umyłam jej dzisiaj włosy. Kupiłam jej śliczną sukienkę, ale jest za duża. Będę musiała wziąć mniejszą.

– Jestem prawie pewien, że kiedy proces się zaczął, FBI nie wiedziało, co ma ani dokąd je to zaprowadzi. Wiedziało, że do czegoś dotrze. W tamtych czasach, a działo się to, jeszcze zanim Rosjanie wystrzelili sputnik, zwyczajowo degradowało się rosyjską naukę. Ci, którzy się na tym znali, nie popełniali takich błędów, ale w „Time” zamieszczano dowcipy o tym, jak to Rosjanie kopiuje cudze wynalazki i twierdzą, że to ich własne odkrycie. No cóż, płynie z tego wniosek, że skoro mają bombę, to ktoś z naszych zdradził. Po wojnie cała nasza polityka zagraniczna opierała się na tym, że my posiadamy bombę, a Sowieci nie. To był okropny błąd, przeliczyliśmy się. Spowodował masowe zbrojenia na całym świecie. A kiedy oni ją już mieli, jedyną alternatywą dla przyznania się, że nasi przywódcy się mylili, a ich polityka poniosła klęskę, było znalezienie szpiegów. Jedno z dwojga.

– Niekiedy myślałem, że los tak chciał.

– Co?

– Ze padło na nas. Na tę, a nie inną rodzinę z kraju milionów rodzin.

– Cóż, gdybyś pracował w FBI, miałbyś pod ręką archiwa, szczególnie znanych aktywistów lewicowych. Tam byś zajrzał w pierwszej kolejności, do archiwów. To tak jak na poziomie dzielnicowej komendy policji: gdy popełnione zostaje przestępstwo określonego rodzaju, powiedzmy o podłożu seksualnym, wtedy przesłuchuje się znanych policji miejscowych zbrojców. A kiedy taki zostaje zatrzymany, wie, że wpadł w tarapaty. Stara się dowieść swojej niewinności. Ale powiedzmy, że został zatrzymany, kiedy nie popełniono żadnego przestępstwa, i swoimi wyjaśnieniami przed policją odsłania swój słaby punkt. Wtedy policja zaczyna nad tym pracować. Zaczyna nad tym pracować z poczuciem, że jej pierwotna decyzja przesłuchania go była usprawiedliwiona.

– Chodzi ci o Mindisha?

– Przesłuchiwali go tygodniami, zanim go aresztowali. I potem nadal go przesłuchiwali. Aż stał się ich sprawą.

- Robercie, chciałabym, żebyśmy o tym nie rozmawiali.
- Stał się ich sprawą, ponieważ wskazał twoich rodziców.
- Hmm, najpierw aresztowali Paula.
- Tak.
- A potem, dopiero po kilku tygodniach, Rochelle.
- Tak.

– Czyżby tak późno Mindish przypomniał sobie coś na temat mojej matki?

– Cóż, bardziej prawdopodobne jest, że jej aresztowanie było sposobem wywierania nacisku na twojego ojca. Chciano go w ten sposób zmusić, żeby mówił. Ale on okazał się nie tak chętny do współpracy jak Mindish. To była ich metoda, sposób, w jaki prowadzili dochodzenie w tej sprawie. I już po aresztowaniu Rochelle, gdyby twoi rodzice wskazali inne osoby, staliby się świadkami oskarżenia jak Mindish. Ale oni tego nie zrobili. Dlatego stali się oskarżonymi. Rząd starał się dostrzec jak najgłębiej. Miał w tym swój interes. Śledztwo utknęło jednak na Paulu i Rochelle. Już po procesie i ogłoszeniu wyroku rząd dał im do zrozumienia, że jeśli się przyznają, wyroki nie zostaną wykonane. To wskazuje, że nie wiedziano do samego końca, czy ci, których skazano na śmierć, są wyimaginowanymi czy prawdziwymi przestępcami. Dążenie do wydobycia z nich przyznania się do winy nie wynikało z chęci zrobienia z twoich rodziców skruszonych grzeszników ani wybielenia amerykańskiej sprawiedliwości. Wynikało z chęci zmuszenia ich do podania nazwisk innych osób. Widzisz zatem, że wyrok śmierci należał do metod prowadzenia śledztwa.

– Co to za nieustające rodzinne pragnienie kary? – pyta matka. – Nie rozumiem. – Odkłada nóż i widelec.

– Lise, chłopak zadał mi pytanie.

– Czy trzeba mu o tym mówić? Czy on tego nie wie?

– Ustalam powody, dla których Jake tak, a nie inaczej prowadził obronę jego rodziców.

– Masz zamiar powiedzieć mu teraz, kiedy Isaacsonowie od dwunastu lat leżą w grobie, jak ty byś poprowadził ich obronę. Słaba pociecha.

– Ależ, mam, czy prosiłem o pociechę? Czy powiedziałem, że potrzebuję pociechy?

– Lise, wybacz, zawsze byłem zdania, że nie należy rozmawiać o tej sprawie z Susan.

Ta uwaga zbliża nas do siebie. Atmosfera się oczyszcza. Na nasze twarze wracają rumieńce. Przez ułamek sekundy wydaje się, że siedzący przy kuchennym stole pewien syn i jego rodzice zjedzą wspólnie kolację.

– Zatem to Mindish był ich kluczem do sprawy. A wybrana przez Aschera metoda obrony polegała na zdyskredytowaniu Mindisha. Taka była jego linia obrony. Wówczas wydawała się jedynym wyjściem. Bóg mi świadkiem, że sam bym prawdopodobnie nic lepszego nie wymyślił. Ascher znajdował się pod niewyobrażalną presją. Starał się więc wykazać, że Mindish kieruje się własnym interesem. Widzisz, wybieg z dopuszczeniem nie potwierdzonych zeznań współoskarżonego polega na tym, że spiskowanie z natury rzeczy odbywa się w tajemnicy i jedynie strony, które biorą udział w spisku, mogą stwierdzić, że został zawiązany. Ale w praktyce to znaczy, że na winę współsprawcy wpływa to, w jakim stopniu oskarża on oskarżonego. Mindish przyznał się i został odsunięty od procesu; nie wiedział, jaką otrzyma karę, dopóki nie zapadł wyrok na twoich rodziców. Za ten sam czyn ich skazano na śmierć, a on dostał dziesięć lat. Ascher postarał się odsłonić motywy, które kierowały Mindishem. Kwestia zazdrości, pamiętasz. Potem odkrycie, że Mindish nigdy nie został prawidłowo naturalizowany, a jego obywatelstwo stało pod znakiem zapytania. Tak czy inaczej, pojawiły się dostateczne przesłanki, żeby pokazać, iż Mindish poszedł na współpracę z rządem, bo bał się deportacji. Ascher opracował inny scenariusz, żeby wykazać, że Mindish jest bardziej winny, niż się do tego przyznaje. Jego strach przed deportacją, jego wrogość, jego lubieżne skłonności. Pamiętasz to zdanie ze stenogramu procesu. Możesz wręcz zobaczyć, jak pokazuje palcem. To jest wasz szpieg. On i tylko on ponosi odpowiedzialność.

– Prawda.

– Cóż, w tej argumentacji tkwi okropny błąd. Ona potwierdza, że przestępstwo zostało popełnione.

– Co?

– Argumentując w ten sposób, Ascher daje do ręki rządowi jedyną przesłankę, jakiej dawać nie powinien. Że w ogóle jakieś przestępstwo zostało popełnione.

– Przecież Mindish przyznał się do winy!

– Tak. I jedyną szansą Aschera było zdyskredytowanie jego zeznań. Wiele o tym myślałem. Nie można tego nazwać rutynową strategią. Ale wszystko ich obciążało i potrzeba było czegoś nadzwyczajnego. Istniała bardzo nikła szansa – z powodu tego powszechnego pędu do wymierzenia sprawiedliwości, tego strachu, który wówczas panował, i nieustępliwości maszyny federalnej – na znalezienie sposobu uzyskania innego wyroku. Ale to oznaczało konieczność udowodnienia, że Isaacsonowie są niewinni, ponieważ winny jest Mindish.

Technologia to tworzenie metafor świata natury. Latanie jest metaforą powietrza, koła są metaforą wody, żywność jest metaforą ziemi. Metaforą ognia jest elektryczność.

– Wiem, wiem. To obracało się przeciwko niemu. Im bardziej Ascher atakował Mindisha, tym bardziej pomagał rządowi. Ale i tak wszystko sprowadza się do tego, w które zeznanie uwierzyć sąd. Jeśli obrona po cichu dołączy do oskarżyciela i przyzna, że przestępstwo szpiegostwa rzeczywiście zostało popełnione, to w jaki sposób orzec, kto jest winny, a kto nie? Czy uwierzyć świadkowi oskarżenia, który się przyznał, czy oskarżonemu, który twierdzi, że jest niewinny? Widzisz, w tym świetle nawet uzyskanie od Mindisha zeznania zgodnego z linią obrony, a więc wyrażenia wątpliwości co do jego obywatelstwa, działa na korzyść oskarżenia. Jeśli nie jest obywatelem, jest cudzoziemcem, który winien jest lojalność obcemu krajowi. Jego własne zeznanie zyskuje na wiarygodności. Rozumiesz, o co mi chodzi? Ascher prosił amerykański sąd, żeby uwierzył, iż człowiek może być do tego stopnia odrażający, że wydaje na śmierć swych niewinnych przyjaciół, których zna od piętnastu lat i których właściwie jest ojcem, jak Mindish sam siebie określał. Którym jest bliższy niż rodzina, jak sam opisywał ten związek. Byli mu bliżsi niż rodzina. Łatwiej uwierzyć w wykroczenie przeciwko państwu.

– Ale dlaczego Mindish przyznał się do winy, skoro był niewinny? Czym się kierował?

– No cóż, teraz, po tym wszystkim, co napisano na ten temat, trudno jest przypomnieć sobie niektóre fakty dotyczące doktora Mindisha. To nie był inteligentny człowiek. Nigdy nie nauczył się dobrze angielskiego. Dyplom otrzymał w jakimś drugorzędym college'u, kiedy stomatologia nie była jeszcze w pełni rozwiniętą gałęzią medycyny. Mindish był zwykłym technikiem. Stwarzał wrażenie człowieka z europejską ogładą, które jednak znikало po pięciu minutach rozmowy. Odnoszę wrażenie, że nie był człowiekiem pasjonującym się polityką, ale zupełnie zwykłym, niewychowanym prostakiem, gotowym przystać do Partii Komunistycznej tylko po to, by podbudować własną pozycję społeczną, traktując to jak przynależność klubową odpowiednią dla dentysty z niższej klasy średniej z Bronksu. Pytasz więc, co kierowało niewinnym człowiekiem, że mógł zrobić to, co on zrobił: cóż, wierzył we własną winę lub dał sobie wmówić, że jest winny, i żył w śmiertelnym strachu przed konsekwencjami. Mogło też być tak, że wierzył we własną niewinność, a jednocześnie, że winni są jego przyjaciele, lub dał sobie to wmówić i żył w śmiertelnym strachu przed konsekwencjami.

om om om omm omm omm om om ommmmmm

ohm ohmm ohm ohm ohm ohhmm ohm ohmmmmmm

czym jest to czego nie możesz zobaczyć ale co możesz poczuć

czym jest to czego nie możesz posmakować ani powąchać ani dotknąć ale możesz poczuć

ohm ohm ohm ohm ohm

czym jest to czego nie możesz poczuć ale wyglądasz jakbyś poczuł

ohm

czym jest to co się nie rusza dopóki nie położysz czegoś na jego drodze.

Czym jest to, co przenika przez innych, przychodzi z nieba

i jest niewidzialne, może zostać wykryte dopiero wtedy,

gdy zniknie – nie Bóg, nie Samotny Jeździec,

ohm ohm ohm ohm

Co sprawia, że śmierdzisz, kiedy tego dotykasz, ciemniejesz,

kiedy to czujesz, umierasz, kiedy tego smakujesz,

ohm

Czym jest to, co rozjaśnia życie człowieka i dodaje mu otuchy
w zimie, i śpiewa, że człowiek jest panem świata; dopóki w nim siedzi,

ohm

Interesującym znaleziskiem jest analiza stenogramu procesu dokonana przez studentów prawa z Uniwerku Wirginii, zamieszczona w tamtejszych zeszytach naukowych z kwietnia roku 1954, jakieś dwa miesiące przed zakończeniem procesu. Ich naukowym opiekunem jest nie kto inny jak docent Lewin. Studenci prawa wskazują na nie mniej niż siedemnaście uchybień procesowych jako podstawę dla unieważnienia i rewizji procesu. Ich rozumowanie polega na tym, że rzeczywisty proces był wyjątkowo stronniczy, choć strukturalnie poprawny. Jednak można zapytać, jak to się stało, że w trakcie trzyletniego sądowego procesu, w którym brały udział najwyższe instancje amerykańskiego prawodawstwa, nikt tych uchybień nie dostrzegł, a byli w stanie znaleźć studenci. Lub stawiając tę kwestię inaczej: skoro sprawiedliwości nie można wyegzekwować w warunkach społecznej hysterii, to co za różnica, jak prawo działa w innych czasach?

Robert Lewin nadal pracuje nad sposobem unieważnienia wyroku. Zaczynam nie znosić reformatorów. Ascher pokładał wiarę w sądach apelacyjnych. Ludzie dobrej woli zaczynają mnie przyprawiać o mdłości. Mamy tu do czynienia z niemożnością znalezienia związków, a to oznacza współwinę. Reforma oznacza współwinę.

Współwina systemu oznacza zagrożenie dla jego norm moralnych.

Na stole leży przede mną sześć książek na temat procesu moich rodziców. Dwie opowiadają się za wyrokiem i karą, dwie za wyrokiem, ale nie za karą, którą uważają za okrutną, a dwie uważają, że niesprawiedliwa była zarówno kara, jak i wyrok. W książkach tych zawarte są wszelkie opinie, od Sidneya P. Margolisa, słynnego filozofa imperium Hearsta (*Szpiedzy przed sądem*), do Maxa Kriegera, liberalnego zrzędy (*Tragedia Isaacsonów*). Oto zdanie każdego z nich. Margolis: „Mimo atmosfery hysterii wzniesianej przez ich towarzyszy, komunistów i naiwniaków, Isaacsonowie mieli uczciwy proces. (...) Kto oprócz dogmatyków, którzy poświęcili życie burzeniu naszego demokratycznego porządku, ma czelność głosić po tym, jak w trakcie przewodu sądowego oskarżeni zastosowali niemal każdą prawnie dozwoloną sztuczkę, że sprawiedliwości nie stało się zadość?” Krieger: „Historia odnotuje ze wstydem prześladowania i haniebnym wyrokowi śmierci wydany w Stanach Zjednoczonych na dwoje obywateli amerykańskich, męża i żonę, ojca i matkę dwojga małych dzieci, którzy byli winni co najwyżej lekkomyślności, dumnie głosząc lewicowe poglądy”. Nie ma żadnej istotnej różnicy między tymi dwiema postawami. Nie mówiąc już o stylu.

Gotów jestem uwierzyć, że jedynym błędem Aschera było to, iż uległ nastrojom zimnej wojny. Że doktor Selig Mindish był niewinny, co na pewno nie spotkałoby się z przychylną reakcją moich rodziców. Nienawidziłem Mindisha na długo przed procesem. Nienawidziłem jego zapachu, jego głupiego uśmiechu. Jego akcentu i wesołej śmierci wyzierającej z oczek przypominających ostrzygi. Mimo to gotów jestem uwierzyć, że on również był niewinny. Tylko dlatego, że bardziej wówczas cierpiał. Ale tylko dlatego, że więcej od tamtego czasu wycierpiał.

Niewinność oznacza współwinę.

Po ogłoszeniu wyroku odbyło się wielkie przyjęcie. Na przyjęcie przyszli i pili szampana: sędzia Barnet Hirsh, adwokat oskarżonych Jacob Ascher, Robert Lewin, syn byłego współnika Aschera z kancelarii adwokackiej, pisarze Margolis i Krieger (który upił się i śpiewał *Międzynarodówkę*), prokurator żydowskiego pochodzenia Howard „Rudy” Feuerman, przewodniczący B'nai B'rith, Thomas Flemming znany jako Gadatliwy Tom, bo zeznawał dla rządu w przynajmniej czterech różnych procesach o szpiegostwo, Boris Brill, słynny ekspert od komunizmu, Mindish i moi rodzice. Ostatnim, który przyszedł, żeby złożyć swoje uszanowanie, był W. Mołotow.

Sędzia wezwał do siebie Aschera. Naradzał się z nim, stojąc, z łokciem na biurku. Jego dłonie wystawały z togi jak szpony czarnego ptaka i zaciskały się na brzegu blatu. Pochylał się do ucha Aschera jak wielki ptak dziobiący starego adwokata w policzek. Ascher energicznie potakiwał. Potem pokręcił głową przecząco, odwrócił się i wznosił wzrok, kwestionując w ten sposób to, co

przed chwilą usłyszał od sędziego.

Stół sędziowski zrobiony był z polerowanego drewna dębowego, tak samo jak krzesła i ławki dla publiczności. Szkolne meble. Szkolny zegar z okrągłą tarczą i wielkimi, czarnymi wskazówkami tykał na ścianie. Szary od kurzu sztandar stał na stojaku w rogu sali. W drugim narożniku, za fotelem sędziego wisiał portret prezydenta i flaga stanu Nowy Jork.

Sala była niemal pusta. Pod jednym z okien stał gliniarz z założonymi rękami. Nie miał broni ani kapelusza. Ziewał. Tuż za Isaacsonami siedziała grubonoga kobieta w butach na niskim obcasie, ubrana w ten sam odcień granatu jak mundur policjanta. W tej ważnej chwili na sali nie było żadnego reportera. W części przeznaczony dla publiczności siedziało kilkoro ludzi, ale tylko dlatego, że mieli jakieś sprawy do sędziego. Zachowywali się nerwowo i nieprzyjaźnie wobec siebie. Szeptali natarczywie i uciszali się nawzajem.

Ascher wrócił na miejsce i rzekł do swych dwojga klientów:

– Wstańcie, proszę, i podejdźcie tu ze mną. Sędzia chce wam zadać kilka pytań. Chodźcie, chodźcie, nie ugryzie was.

Daniel i jego siostra wstali, wysunęli się z ławki i stanęli w przejściu. Susan trzymała go mocno za rękę.

– Chodźcie. Szybko, tu się pracuje.

Stanęli przed stołem sędziowskim, spoglądając w górę na ptaka na grzędzie, który miał czarne pióra i biały grzebień.

– Czy to jest Daniel?

Potaknął.

– A to Susan?

Wytrzeszczyła oczy i nie dała po sobie poznać, czy usłyszała.

– Czy to ty? Susan Isaacson, czy dobrze mam tu zapisane?

– Musisz odpowiedzieć sędziemu – rzekł Ascher.

Susan przełknęła ślinę. Widział, że powstrzymuje łzy. Potrząsnął jej ręką, która trzymała się go jak przyklejona, potrząsał, aż przytaknęła.

– Bardzo dobrze. Teraz, dzieci, zadam wam pytanie i chcę, żeby każde z was na nie odpowiedziało. To bardzo proste pytanie, łatwiejsze od wszystkich, na jakie odpowiadaliście w szkole. Dobrze?

– Dobrze – odrzekł Daniel.

– Moje pytanie brzmi: czy podoba się wam w ochronce? Nie patrzcie na pana Aschera. Musicie odpowiedzieć sami.

Chłopiec był przerażony. Nie wiedział, co powiedzieć. Dziewczynka wciąż gapiała się na sędziego. Nie była zdolna wydusić z siebie ani słowa.

– Cóż, na pewno potraficie powiedzieć, czy lubicie to miejsce, czy nie. Czy dobrze was tam traktują? Czy jesteście tam szczęśliwi? A może wolelibyście być gdzieś indziej?

– Gdzieś indziej – rzekł Daniel. – Chcemy wrócić do domu.

Ascher potrząsał głową. Powiedział coś w jidysz, a potem zaczęli sprzeczać się z sędzią. Oczy sędziego były brązowe, ale na brzegu tęczy niebieskie. Powieki zakrywały górną ich część jak kaptury. Kiedy mówił do Aschera, patrzył na dzieci. A one patrzyły na niego.

Raptem zniknął.

– Przejdziemy do gabinetu sędziego – powiedział Ascher, popychając nas przed sobą ku drzwiom.

Znaleźliśmy się w gabinecie, w którym był miękki, szary dywan, wielkie biurko, czarne skórzane fotele i czarna skórzana kanapa. W szafkach ze szklanymi drzwiczkami znajdowało się dużo książek. Usiedliśmy na ogromnej skórzanej kanapie, Ascher siadł na jednym fotelu naprzeciwko nas, a sędzia na drugim. Sędzia, który zdjął swą czarną togę, wydał się bez niej mniejszy. Po obu stronach różowej głowy sterczał mu biały meszek. Miał na sobie lekki garnitur tweedowy z kamizelką, która była na niego za ciasna i otwierała się przy zapięciu, tworząc owalne przerwy. Przerzierała przez nie biel koszuli. Był małym mężczyzną i kiedy zakładał nogę na nogę, pomagał sobie rękami, podnosząc jedno kolano i opuszczając je na drugie.

– Och, no więc tak – westchnął.

Drugimi drzwiami do pokoju weszła siwowłosa pani i podeszła do nas z dwiema butelkami w rękach. Miała okulary wiszące na łańcuszku. Podała nam butelki, a sędziemu wręczyła drobne. Potem wyszła. Sędzia znów musiał zdjąć nogę, żeby włożyć drobne do kieszeni.

To była coca-cola. Ojciec powiedział mi kiedyś, że powoduje próchnicę. To znaczy, że jeśli włoży się zęba do szklanki z coca-colą, to on spróchnieje. W domu nigdy jej nie piliśmy.

– Teraz lepiej, prawda? Gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać, jak nie tutaj? Czy pan Ascher powiedział wam, jak się nazywam?

– Sędzia Greenblatt – wymamrotał Ascher.

– Tak, sędzia Greenblatt – powiedział sędzia, jakbyśmy to my wydukali jego nazwisko. – Zostałem wyznaczony przez Państwo na Sędziego Sądu Opiekuńczego. Mam pilnować, aby dzieci, które z tych czy innych powodów znalazły się w trudnej sytuacji, otrzymały jak najlepszą pomoc. Rozumiecie?

– Rozumieją – powiedział Ascher. – To inteligentne dzieci.

– Widzę – potwierdził sędzia. – Widzę to bardzo wyraźnie.

Uda Susan przyklejały się do skórzanej poduszki. Za każdym razem, gdy podnosiła nogi, rozlegał się dźwięk, jakby ktoś odrywał od skóry plaster.

– Mamy więc zmartwienie – rzekł sędzia. – Chodzi o to, czy w obecnych okolicznościach będzie dla was lepiej, jeśli zostanieie w ochronce, czy jeśli zamieszkacie z inną rodziną i będziecie prowadzić normalne życie. Chcę być w porządku i dlatego pytam was, co o tym myślicie, dzieci.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie – wtrącił Ascher – powinny chyba zostać poinformowane, jakie zdanie mają na ten temat ich rodzice.

– Nie będziemy im niczego narzucali, panie Ascher – rzekł sędzia, wpatrując się we mnie z dłońmi wsuniętymi pod kolana.

– Zgadza się – odparł Ascher. – Jak również z tym, żeby nie mówić im, co inni myślą na temat tego, jak powinny żyć. Dotyczy to również sędziów federalnych sądów okręgowych – dodał po chwili zastanowienia.

– Cóż, dzieci, czekam na odpowiedź – ponaglił sędzia. – Wie pan – zwrócił się do Aschera – jedyne, o co mi chodzi, to dobro tych dzieci. W pańskiej uwadze usłyszałem aluzję, jakobym solidaryzował się ze sprawiedliwością w wydaniu pewnego Sądu Federalnego.

– Och, nie, nie – zaprzeczył Ascher. Wydawał się szczerze zdumiony.

– Nie czuję się zobligowany do występowania w obronie sądownictwa w wypadku tego człowieka – rzekł sędzia. – I nie podoba mi się presja, jaką pan na mnie wywiera.

– To długi i przygnębiający proces – powiedział Ascher. – Nie czuję się dobrze. Chciałbym usłyszeć choćby jedną decyzję podtrzymującą posunięcie obrony.

– Kochany panie Ascher, te dzieci nie stoją przed sądem!

– Jak najbardziej stoją – odpowiedział Ascher, wstając. Zaczął chodzić po pokoju. – Ich rodzice jeszcze żyją. Żywią nadzieję. Mają nadzieję, że znów będą razem.

– Ja tylko zadaję pytanie.

– Dostał pan odpowiedź. Niech Bóg na niebie mi wybaczy... Jeśli nie może pan zwrócić tym dzieciom ich matki i ojca, niech pan nie narzuca im innych matek i ojców.

– Zgodnie z pana własnymi słowami, tuzin rodzin zaoferowało im swe domy. Wnoszę, że wszyscy ci ludzie robią to z życzliwości?

Ascher westchnął i klepnął się po bokach.

– Czy pan wie, jak wygląda życie w sierocińcach? – spytał sędzia. – Czy myśli pan, że coś dobrego czeka dzieci w barakach miejskich, nie przez miesiące, lecz prawdopodobnie lata? W najlepszym razie. A tu mamy do czynienia z ucieczką.

– Jedną.

– Wystarczy. Teraz pan dramatyzuje.

– Rodzice...

– Nie zajmuję się rodzicami. Orzeczenie ich poczytalności nie leży w gestii tego sądu. Mam zająć się dziećmi i to dla ich dobra muszę podjąć decyzję. Musi im pan to wyjaśnić. – Sędzia za-

mknął oczy i potarł grzbiet nosa. – Nadzieje bywają płonne – powiedział.

PRAWDZIWA HISTORIA ZIMNEJ WOJNY:
RAGA

„Zimna wojna” jest określeniem przypisywanym Bernardowi Baruchowi, niezależnemu doradcy prezydentów i jednemu z architektów planu Barucha dotyczącego kontroli energii jądrowej. Plan ten, przedstawiony na forum ONZ w czerwcu 1946 roku, zawierał propozycję, żeby dla bezpieczeństwa ludzkości Stany Zjednoczone, jedyny kraj posiadający bombę atomową, nadal budował swój arsenał nuklearny i ulepszał technologię produkcji tej broni, dopóki nie zostanie ustanowiony system skutecznej międzynarodowej kontroli obejmujący cały świat, łącznie ze Związkiem Radzieckim. Kiedy NZ dyskutowały nad tym planem, Stany Zjednoczone dokonały kolejnej próby nuklearnej na Południowym Pacyfiku, na atolu Bikini. „Zimną wojnę” można by więc określić jako sytuację, w której stosowano groźbę użycia bomby, czym Stany Zjednoczone chciały wywrzeć taki nacisk na Związek Radziecki, aby jego rząd załamał się, a władza bolszewików upadła. Cytaty zaczerpnięte z Kennana (znanego również jako Pan X), Achesona, Dullesa.

Jak powszechnie wiadomo, jeden z członków gabinetu, Henry Stimson, uważał, że dyplomatyczne posłużenie się chwilowym monopolem na bombę po to, aby zmienić sytuację w Związku Radzieckim, było strasznym błędem, który mógł doprowadzić do katastrofy. Przyjrzyjmy się bliżej Stimsonowi. Przez całe życie angażował się w sprawy swojego kraju. W jego karierze nie brak było odruchów patriotycznych ani kilku błędów, w tym jednego czy dwóch poważniejszych. Należał do klasy rządzącej, jak mówi się o takich ludziach. Trzydzieści pięć czy czterdzieści lat służby na wysokim stanowisku rządowym wygładza czaszkę, aż zaczyna świecić mądrością niemal orientálną, tak jest przezroczyista. Na poziomie stosunków międzynarodowych życie jest całkiem proste i po wypolerowaniu przez wielkie, ważne racje narodowego interesu błyszczą skromną urodą (a jak podkreślają wszyscy mędrcy Wschodu, prawda jest prosta, piękna i nie wymaga nawet wyartykułowania). Może Stimson czuje, że tak jak promieniowanie wywołuje zmiany genetyczne, tak posiadanie na wyłączność niszczącej energii nuklearnej zmienia nasz narodowy charakter – albo pomaga mu dojść do głosu. Tak czy inaczej, patrzy spokojnymi oczyma starca, który niedługo umrze. Teraz mamy władzę, żeby zmienić historię ludzkości albo ostatecznie przypieczętować straszliwy kierunek, w którym od wieków zmierza. Pisz notatkę dla Harry'ego z datą 11 września 1945 roku. Nie jest to Lao-Cy, ale jak na dyplomatę wcale nieźle. Bynajmniej nie zaszkodzi wziąć na swe barki ciężar tych pomysłów, bo w ostatnim przyływie młodości, w ostatnim zrywie przed śmiercią tylko starzec ma tyle siły, by tego dokonać: „Jeśli nie uda nam się zbliżyć do nich teraz, a jedynie dalej negocjować, trzymając ostentacyjnie broń na biodrze, ich podejrzania i nieufność co do naszych celów i motywów będą się potęgowały. (...) Jeśli Sowieci nie zostaną zaproszeni do współpracy na bazie partnerstwa i zaufania, będziemy musieli utrzymać wymierzony przeciwko nim anglosaski blok oparty na posiadaniu tej broni. Taki warunek niemal na pewno wywoła usilne dążenie Sowieców do zbudowania własnej bomby, co w efekcie wywoła ukryty wyścig zbrojeń prowadzący donikąd. Istnieją dowody na to, że mogli już podjąć odpowiednie kroki”. Harry, posłuchaj mnie. To ostatnia chwila na przebudowanie świata.

O świcie Harry wkracza energicznie na teren Białego Domu. Ktoś (Byrnes) powiedział mu, w jak złym położeniu są obecnie Rosjanie – teraz, gdy Stany Zjednoczone są najsilniejszym krajem na świecie. Stimson traci panowanie nad sytuacją. Chce wynegocjować traktat z Rosją, na mocy którego zgodzilibyśmy się zlikwidować nasze bomby i zaprzestać ich produkcji pod warunkiem, że ona (a także Wielka Brytania) zrobi to samo i że wszystkie trzy kraje zgodzą się nie użyć bomby, chyba że wszystkie razem postanowią inaczej. Pomysł polega na dobrowolnym wyrzeczeniu się militarnej przewagi, która i tak jest jego zdaniem tymczasowa, po to, aby zawrzeć międzynarodowy układ, który ma szansę być przestrzegany i ocalić cywilizację przed zagładą – nie na pięć lat, nie na dwadzieścia, ale na zawsze. O świcie Harry wkracza energicznie do ogrodu Białego Domu. Stimson kręci się tu od bardzo dawna. Prezydent – mówię o Franklinie – również kręci się tu zbyt długo. Obaj są tu za długo. Zachodzi podejrzenie, że Stimson stracił dla nas wartość. Zamiast myśleć o na-

szych interesach, myśli o ludzkości. Niech zostawi myślenie o ludzkości Józefowi Stalinowi.

Jakby chcąc udowodnić, że Stimson bardzo się myli, Rosjanie sami przedstawiają na forum ONZ propozycję traktatu w kształcie zbliżonym do projektu Stimsona. Notatka z 11 września zostaje odłożona ad acta. Szacowny sekretarz zostaje odłożony ad acta. Harry i jego Sekret. Stanu, Byrnes z Wirginii, użyją bomby tak, jak należy. Na osłabioną przez wojnę, zrujnowaną Rosję patrzy się jak na kulawego niedźwiedzia, którego można łatwo pokonać. Wystarczy nie dać jej tego, co jest jej potrzebne do przeżycia. W miesiąc po śmierci Roosevelta wszystkie transporty i przekazy pieniężne, które na mocy Lend Lease kierowane są do sojuszniczej Rosji, nagle i bez żadnego ostrzeżenia zostają anulowane. Leo Crowley, doradca Harry'ego ds. Gospodarki Międzynarodowej, przedstawia kongresmanom wyjaśnienie tego posunięcia: „Jeśli stworzy się dobre rządy w innych krajach, automatycznie zdobędziemy lepsze rynki dla siebie”. Gdy taki pizduś gapi ci się w twarz, sam zapominasz o gramatyce.

Brak dowodów na to, żeby jeszcze przed końcem wojny z Niemcami i Japonią poważnie rozważano politykę pokojowego współistnienia z Rosją, nie mówiąc o próbach wcielania jej w życie. To błąd w postrzeganiu znaczenia Jałty. Zasadnicze pomieszczenie wybiegów dyplomatycznych z chęcią zaprowadzenia pokoju. Dyplomacja w ujęciu Trumana, Byrnesa i Vandenberga jest postrzegana nie jako środek do stworzenia warunków dla powojennego pokojowego détente z Sowietami, ale jako narzędzie służące do wepchnięcia amerykańskiego świata Rosji do gardła. Zdaniem historyka W. A. Williamsa przywódcy amerykańscy, przywołując widmo depresji, wyrażają obawę o powojenny rozwój ekonomiczny. Rozwiązaniem jest zapewnienie towarom amerykańskim zagranicznych rynków zbytu. Jest to rozwiązanie tradycyjne, mające umocnić amerykański dobrobyt. Różni ludzie różnie to nazywają, ale Departament Stanu nazywa to polityką Otwartych Drzwi.

Być może wolelibyśmy prostszą diagnozę: kiedy pokona się wroga, trzeba zjeść jego serce. W ten sposób zwycięstwo zostaje odnotowane przez Bogów. W ten sposób też Bogowie zapewniają sobie stałe źródło rozrywki: zjadasz serce wroga, więc nie można już dłużej twierdzić, że on żyje – chyba że żyje w tobie.

Horowitz w *Kolosie wolnego świata*, powołując się na Blacketta, innego historyka zimnej wojny, dowodzi, że Sowietci przeprowadzają redukcję lądowych sił zbrojnych porównywalną do naszej: Rosja zmniejszyła liczebność swych wojsk stacjonujących wzdłuż granic z potencjalnie wrogimi państwami w Europie, na Środkowym i Dalekim Wschodzie do 25 procent w stosunku do stanu z 1945 roku. My, posiadając bombę i nie mając zagrożonych granic, redukujemy siły zbrojne do 13 procent stanu armii z 1945.

W Poczdamie Rosja mówi Amerykanom, że potrzebuje reparacji wojennych od Niemiec, najlepiej w formie wyposażenia dla przemysłu ciężkiego, aby postawić na nogi zniszczoną gospodarkę. Amerykanie odpowiadają, że to wykluczone. W tym punkcie niedźwiedź nic nie dostaje. Sztuka jednak nie polega na tym, żeby nic nie dać adwersarzowi, bo nic nie posiadając, nie ma nic do stracenia, gdy wszczyna wojnę. Sztuką jest nic mu nie dać, przekonując go, że coś otrzymuje. James Byrnes z Połud. Kar. dobrze o tym wie. To wielka chwila w stosunkach międzynarodowych. Mołotow i Stalin, w źle skrojonych garniturach, siedzą niewzruszeni. Nie pozwolą sobie na luksus wściekłości. Są władcami ogromnego, skutego lodem, lecz wybuchowego, wielonarodowego tygła, którego głównym przemysłem jest śmierć, którego jedynym bogactwem jest gwałtowna śmierć. Byrnes otwiera swoją torbę podrózną. Zdaje sobie sprawę, że ci wszyscy pomocnicy, tłumacze, strażnicy, mikrofony, słuchawki, rzędy negocjatorów siedzących przy stole nic nie znaczą. Zdaje sobie sprawę, że impet słabnie. I kiedy Harry obok bębni palcami po stole, udając miniaturową salwę artyleryjską, a snopy iskier i obłoczki dymu rozbłyskują w jego okularach, Byrnes sięga wypięłgnowanymi rączkami do torby i na oczach tych dzikusów wyjmuje z niej kawałek mieniającej się tkaniny. To zawsze był dobry sposób na dzikusów – skrawki mieniącego się i niegustownego perkalu. A to co? Stawiają żądania, kiedy on zgina swój arystokratyczny kark południowca i błaga ich,

żeby pomacali fakturę?

Pan Mołotow: O ile dobrze rozumiem, panie Sekretarzu Byrnes, miał pan na myśli propozycję, ażeby każdy kraj wziął sobie reparacje wojenne z własnej strefy (okupacyjnej).

Sekretarz: Tak.

Pan Mołotow: Czy to nie oznacza, że każdy kraj będzie miał wolną rękę na terytorium swej strefy i będzie działał całkowicie niezależnie od pozostałych?

Sekretarz: W zasadzie to prawda.

Byrnes zamyka walizę. No tośmy zmusili ich do ustępstw, teraz niech sobie uświadomią, że postawiliśmy na swoim. Kłopot w tym, że Rosjanie rozumują dokładnie odwrotnie. Mówiliśmy, że dajemy im wolną rękę, czy nie? Czy niechętnie zaakceptowawszy propozycję Byrnesa jako mizerną namiastkę reparacji wojennych ze strony Niemiec, Sowieci będą się starali wyciągnąć z niej, co się tylko da? To niezgodne z amerykańskimi planami. W marcu 1946 Churchill wygłasza mowę w Fulton w Missouri, a Truman na trybunie energicznie klaszcze. Churchill stwierdza, że „żelazna kurtyna”, którą Rosjanie odgradzili Europę Wschodnią od reszty świata, jest prowokacją i stanowi zagrożenie dla Zachodu.

SŁOWA POCIECHY DO BRACI GREKÓW ZAMKNIĘTYCH W OBOZACH, DO BRACI HAITAŃCZYKÓW I NIKARAGUAŃCZYKÓW, DO BRACI Z DOMINIKANY I POŁUDNIOWEJ AFRYKI, DO BRACI HISZPANÓW I DO BRACI Z POŁUDNIOWEGO WIETNAMU, DO WSZYSTKICH BRACI ZAMKNIĘTYCH W OBOZACH: ŻYJCIE W WOLNYM ŚWIECIE!

Rosjan przedstawia się jako ludzi agresywnych, przewrotnych, niegodnych zaufania i opętanych jedną ideą. Jednak zdaniem Williamsa (wyrażonym w Tragedii *dyplomacji amerykańskiej*) kierunek rosyjskiej powojennej polityki aż do roku 1946 nie był przesądzony. Rosja ustąpiła w wielu kwestiach i często wahała się, jak postąpić. W Moskwie narasta konflikt między tymi, którzy optują za przyjacielskimi stosunkami ze Stanami, a tymi, którzy są temu przeciwni. Są dowody na to, że Stalin faworyzuje tych pierwszych, co szczególnie podkreśla ekonomista Eugene Varga, który dowodzi, że Rosja prędkiej podniesie się ze zniszczeń wojennych, jeśli skoncentruje się bardziej na problemach wewnętrznych aniżeli na polityce ekspansjonistycznej. Varga domaga się też zrewidowania zasad amerykańskiego kapitalizmu. Dopiero w 1947 roku Varga i jego banda ostrzyżonych na jeża kompanów znika i pojawiają się twardogłowi z Mołotowem na czele. Dzieje się to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Henry Wallace zostaje usunięty z rządu Trumana za wygłoszenie zdania: „Powinniśmy być przygotowani do oceny żądań Rosji przez pryzmat tego, co my i Brytyjczycy uważamy za niezbędne z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa”.

W 1947 Komisja Kongresu donosi o bezprecedensowej antysowieckiej kampanii propagandowej ze strony rządu Stanów Zjednoczonych. Okazuje się, że jest ona absolutnie konieczna. Z jednej strony Ameryka uważa się za najsilniejszy kraj, pierwsze i jedyne państwo atomowe, najbogatsze, najpotężniejsze na świecie. Z drugiej – musi żyć w strachu przed Rosją. Sekretarz Stanu Acheson zezna kilka lat później, że żaden z doradców Trumana nigdy nie traktował poważnie zagrożenia militarnego ze strony Rosji – nawet wtedy, gdy miała już własną bombę. Przemawiający w imieniu obu partii senator Vanderberg wyjaśnia, na czym polega ta sztuczka: „Musimy solidnie przestraszyć amerykański naród”, twierdzi.

Doktryna Trumana nie zostanie przedstawiona jako polityka zapewnienia bezpieczeństwa innym krajom kochającym wolność, ale jako ich obrona przed komunizmem. Plan Marshalla będzie reklamowany nie jako sposób wprowadzenia gospodarki rynkowej za granicą, ale jako forma pomocy dla krajów europejskich w odbudowie z powojennych zniszczeń. Rosja była na tyle bezczelna, że ośmieliła się nie upaść. Stajemy wobec bezbożnego, międzynarodowego spisku komunistycznego o iście szatańskim wymiarze. Po której jesteś stronie? Rosja wchodzi do Rumunii, Bułga-

rii, Niemiec Wschodnich. Przetacza się przez Czechosłowację. Powstaje NATO. Dochodzi do blokady Berlina Wschodniego. I uważaj, dotyczy to tego właśnie świata, który znamy...

Nie pamiętam, kto prowadził. Z pewnością nie Ascher, Ascher siedział obok mnie na tylnym siedzeniu. Ja w środku, Susan po prawej. Odstąpiłem jej miejsce przy oknie. I tak mogłem patrzeć ponad jej głowę. Jechaliśmy Saw Mili River Parkway. Droga była sucha, ale na poboczu leżał śnieg. Stary śnieg pokryty sadzą i błotem. Wiedziałem, że to ta sama droga, którą jechało się do Peekskill. Słyszeć było szum opon. Wzgórza się zieleniły.

– Co jest? – spytał Ascher. – Co się stało?

– Opary benzyny. Chcę otworzyć okno.

– Opary? Tu nie czuć żadnych oparów.

– Tylko troszeczkę. – Trudno mi było oddychać.

Nie pamiętam, kto prowadził. Ascher siedział z nami z tyłu. Ja siedziałem między Ascherem a Susan. Bolał mnie brzuch. Bolały mnie palce. Trzymałem paczkę zawiniętą w szary papier, prezent dla ojca: dwie podpórki do książek, które zrobiłem w szkole na zajęciach technicznych. Były to dwie deseczki zbite pod kątem prostym, o zaokrąglonych kantach i wy szlifowanej powierzchni. Następnie stemplem do wypalania drewna odcisnęliśmy swój emblemat i pomalowaliśmy całość na orzechowy kolor. Ja wybrałem jako emblemat literę „I” i wypaliłem ją na pionowej deseczce w obu podpórkach.

Susan wiozła prezent dla mamy – plik swoich rysunków zrobionych kredkami, zszyty włóczką zawiązaną na kokardkę.

Susan wierciła się i kręciła. Nie przestała nawet wtedy, kiedy ją grzecznie o to poprosiłem. Dałem jej po łapach, a ona chciała podrapać mi twarz.

– Dzieci – rzekł Ascher. – Proszę, nie wygłupiajcie się.

To była długa jazda. Wyruszyliśmy zaraz po lunchu. Kiedy jedzie się na spotkanie z jakąś osobą, to w umyśle powstaje jej obraz. Ich głosy, postacie. Ale nie widziałem ich wyraźnie – tylko cienie. To była długa jazda. Nie wiedziałem, co powiedzą. Nie byłem pewien, czy ucieszą się na mój widok.

– Czy to odpowiedni dzień? – spytałem Aschera nie po raz pierwszy.

– Tak, Danielu.

– Czy oni wiedzą, że przyjedziemy?

– Powiedziałem ci, że tak.

– Czekają na nas dziś po południu?

– Tak.

– Oni nie żyją – powiedziała Susan.

– To nieprawda, moje dziecko. Żyją.

– Już nie żyją, zostali zabici – powtórzyła Susan. – Tak było w gazecie.

– Skąd wiesz, nie umiesz czytać – odparł Daniel.

– Umiem, nauczyłam się.

– Kłamiesz – powiedział Daniel.

– Proszę was – rzekł Ascher.

– Dobrze czytam – upierała się Susan. – Wszystko potrafię przeczytać.

– Wjakiej gazecie?

– W mojej klasie.

– I co tam było napisane?

– Że moja mama i tata zostali zabici. Że zjadły ich robaki.

– Proszę, dzieci, dosyć tego.

– Co za robaki?

– Robaki i śmierć.

– Jesteś głupia – orzekł Daniel. Ale zastanowiło mnie, że jest taka pewna swego.

Dojechaliśmy do więzienia wczesnym popołudniem. Było zimno, mimo że świeciło słońce. Byłem zadowolony, że mogę wysiąść z samochodu. Zaparkowaliśmy pod murem z żółtej cegły. Okna w tym murze były ogromne – łukowato zakończone jak okna w katedrze, ale okratowane.

Cofnąłem się o krok, żeby lepiej ogarnąć budynek spojrzeniem. Był duży. Narożnik tworzyła ośmiokątna wieża oszklona u szczytu jak latarnia morska, z osobnym dachem w kształcie chińskiego kapelusza. Na drugim końcu budynku znajdowała się druga wieża.

Szliśmy wzdłuż ogrodzenia, które wyglądało jak płot wokół dziedzińca szkolnego, z tym wyjątkiem, że wyżej, równoległe do niego biegł potrójny drut kolczasty.

Usłyszałem za sobą terkotanie, odwróciłem się i zobaczyłem mężczyznę, który filmował mnie za pomocą wielogłowicowej kamery. Pojawił się inny mężczyzna, który biegnąc tyłem przed nami, podtykał nam pod nos lampę. Podnieśliśmy ręce. Nie potrafię tego opisać. Jestem zmęczony opisywaniem. Jesteśmy klientami nowej kancelarii prawniczej: Voltani, Amper i Ohm. Jeśli zobaczy się jedno więzienie, to tak jakby widziało się wszystkie. Musieliśmy oddać nasze paczki, pomimo protestu Aschera. Byliśmy w jakimś biurze, gdzie stał mężczyzna ubrany jak policjant. Ascher chwycił moje podpórki do książek i rozdarł papier. – Prezenty dzieci dla rodziców!

– Nie mogą ich zabrać – powiedział mężczyzna.

– To rzeczy dzieci!

– Przykro mi, panie mecenasie.

Ascher klócił się zawzięcie, aż nagle przestał i udał, że to nie ma żadnego znaczenia.

– W porządku – pocieszył nas. – Pogadam z kim trzeba.

Weszliśmy do Domu Śmierci, do miejsca, w którym nie było gwaru charakterystycznego dla reszty więziennego miasta. Gdzie indziej było słychać głosy lub dudnienie maszynerii pod stopami. Tu panowała cisza. Znaleźliśmy się w pokoju ogołoconym ze wszystkiego poza drewnianym stołem i kilkoma krzesłami. Ściany do połowy wysokości pomalowano na brązowo, powyżej – na żółto. Nie było w nim nikogo. Wszędzie panowała cisza.

– Teraz muszą ich przyprowadzić – powiedział Ascher ściszym głosem. – Najpierw waszą mamę, potem ojca.

Czekaliśmy, ale nikt nie przychodził. Staliśmy w płaszczach i czekaliśmy. Podeszedłem do okna i wyrząłem zza krat. Znajdowaliśmy się wysoko. Mogłem dojrzeć rzekę Hudson. Ascher przysiadł na brzegu stołu, zsunął kapelusz na tył głowy, położył dłonie na kolanach i westchnął. Usłyszałem, że drzwi się otwierają. Odwróciłem się, ale był to strażnik. Wszedł, zamknął cicho drzwi i stanął pod ścianą ze skrzyżowanymi ramionami. Podeszedłem do niego i podniosłem ręce.

– Co ty robisz, Danielu?

– Musi mnie zrewidować – wyjaśniłem, nie opuszczając rąk.

– Dobra, mały – odezwał się strażnik. Odchrząknął. Miał okropne pryszcze, wielkie, czerwone kratery na całej twarzy.

– No dalej, niech mnie pan przeszuka, mogę mieć broń.

Strażnik spojrzął na Aschera. Znów odchrząknął.

– Dobra, mały, cieszę się, że nie masz broni – powiedział.

– Skąd pan wie, jeśli mnie pan nie przeszukał?

– Mnie też – dodała Susan.

– W porządku, dzieci – rzekł Ascher. – Nie widziały rodziców przeszło rok – wyjaśnił strażnikowi.

– No to za chwilę zobaczą – rzekł strażnik.

– Przeszukaj mnie – upierał się Daniel głośniej niż przedtem.

– Dobra, mały, już powiedziałem, że dobrze – powtórzył strażnik. Zachowywał się tak, jakby się bał, że kogoś obudzę.

– PRZESZUKAJ MNIE! – wrzasnąłem. Czułem, jak moja twarz robi się czerwona.

Strażnik spojrzął na Aschera, który wstał i ruszył w moją stronę. Musiał skinąć głową, bo strażnik szybko pochylił się i poklepał kieszenie mojej kurtki.

– Teraz ją.

Dotknął lekko brzegu jej płaszcza i zaraz stanął pod ścianą wyprostowany, z założonymi rękami, nie zwracając na nas uwagi.

Nadal nikt nie przychodził. Susan zaczęła krążyć po pokoju, odmierzając krokami długość ścian. Kiedy znalazła się przed strażnikiem, po prostu go wyminęła, jakby był częścią ściany. Ja

znów powróciłem do czuwania przy oknie. Zastanawiałem się, dlaczego zbudowano to więzienie z widokiem na rzekę, skoro może on budzić chęć ucieczki. Gdybym miał wystarczająco dużo czasu, znalazłbym sposób, aby skombinować bądź zrobić długą linę, przepiłować po kryjomu kraty i zejść po murze. Gdybym miał wystarczająco dużo czasu, wykombinowałbym, jak to wszystko zrobić. Zsunąłbym się po ścianie, przeszedł przez mur z drutem kolczastym i uciekł w dół rzeki. Gdyby udało mi się dotrzeć do rzeki, nigdy by mnie nie złapali. Słyszałem własny oddech podczas biegu. Czuję, jak zimna woda sięga coraz wyżej, gdy się w niej zanurzam, a potem ciepło – kiedy zaczynam płynąć z prądem, coraz szybciej, gdyż silne uderzenia ramion wspomagają nurt rzeki. Chłód późnego popołudnia spowijał wzgórza. Niebo niezauważalnie ściemniało. Dopływam do Nowego Jorku. Rzeka zrobiła się czarna. Sceneria za zakratowanym oknem wyglądała jak zatrzymany kadr. Nic się nie ruszało. Krajobraz zastygł w absolutnym bezruchu brudnego okna.

Matka miała zwyczaj wchodzić od czasu do czasu po cichu do pokoju i uważnie mi się przyglądać. Zachowywała się bezszelestnie jak kamienie Domu Śmierci. Nic nie mówiła, tylko patrzyła, jak Susan chodzi, i obserwowała moją zadumę. Mam ich listy, które wymieniali przez tydzień, czekając na odwiedziny i zastanawiając się, w jaki sposób powinni się zachować. Będą spokojni, opanowani, weseli, rzeczowi. Odpowiedzą szczerze na nasze pytania i nie okażą niepokoju. Pokażą nam na swoim przykładzie, jak żyje się w Domu Śmierci.

Pierwsza poruszyła się Susan, która podbiegła do mnie i chwyciła mnie za rękę. Wtedy ja też ją zobaczyłem. Staliśmy pod oknem i patrzyliśmy na naszą matkę.

Była mniejsza. Miała na sobie workowatą, szarą sukienkę i domowe kapcie. Włosy wydawały się krótsze. Była szczupła i bardzo blada, niemal przezroczysta. Patrzyła na nas z takim wyrazem twarzy, że nie wiedziałem, czy to radość, czy ból, ale jego natężenie nie pozwalało mi uchwycić jej spojrzenia. Zacisnąłem mocno powieki, a kiedy je znowu otworzyłem, zobaczyłem, że ściska palcami skronie tak silnie, że opadły jej kąciki oczu.

Susan zgniatała mi palce.

– Niech no na was popatrzę – powiedziała matka. – Urośliście tak, że was nie poznaję.

– Wysłaliśmy wam zdjęcia – powiedziałem.

– Wiem, wiem. I strasznie mi się podobają. Przykleiłam je do ściany, żeby móc cały czas na nie patrzeć, nawet kiedy kładę się spać.

– W twojej celi?

– Tak.

– Możemy tam pójść?

Zerknęła na strażnika, który stał, jakby nic nie widział i nie słyszał. Uśmiechnęła się.

– Obawiam się, że wam na to nie pozwolą – rzekła.

Miałem jednak wrażenie, że to ona rządzi w tym miejscu, a strażnicy są kimś w rodzaju służących, którzy się nią opiekują.

– Nie uściskacie mnie? – spytała.

Spojrzeliliśmy z Susan po sobie i pobiegliśmy przez pokój. Dobrowolnie skazaliśmy się na cierpienia, kiedy ona, przyklękawszy przed nami, obejmowała nas po kolei. Byliśmy sztywni, jakbyśmy kije połknęli. Kiedy nas przytulała, wydawało się, jakby nie była sobą. Pachniała inaczej.

– Jesteś taki duży. A ty taka śliczna. Moje śliczne dzieci. – Miała pomalowane usta, co jeszcze bardziej podkreślało upiorną bladość jej twarzy. Oczy mocno zapadnięte, błyszczące z głębi oczodołów.

– Kiedy cię zabiją? – spytała Susan.

– Och, nie zamierzają mnie zabić. To tylko takie gadanie. Jestem pewna, że wujek Jake powiedział wam o apelacji, o innych sędziach, którzy muszą od nowa rozpatrzyć dowody. To wszystko musi potrwać. Na razie nic takiego nam nie grozi.

– A jeśli i tak was zabiją? – dopytywała się Susan. – Jak to zrobią?

– No cóż, kochanie, to co stosują, nazywa się porażeniem prądem i jest bezbolesne. Odbywa się szybko i wcale nie boli. Ale nie mówmy o tym. Nie za ciepło wam? Zdejmijcie płaszcze, niech się wam przyjrzę. Jesteście ładnie ubrani. Ładnie wyglądacie. Mam coś dla was.

Wyjęła z kieszeni batoniki Milky Way, po dwa dla każdego z nas.

Usiedliśmy przy stole, zjadając batoniki, ona zaś, usiadłszy na krześle między nami, dotykała naszych głów, nóg, ramion.

– Ależ ty się zrobiłeś szeroki w ramionach – rzekła do mnie. Wyglądała na szczęśliwą.

Staralem się wymyślić, co by tu powiedzieć, żeby ją uszczęśliwić. Powiedziałem, że podoba mi się w szkole. Że lubię matkę. Że mam dużo kolegów. Powtarzałem kłamstwa ze swoich listów i ku mojemu rozczarowaniu wydawało się, że ona w nie wierzy. Tak jak mówi się kłamstwa ludziom bardzo chorym albo starym, żeby ich uszczęśliwić, i pozwala im się wierzyć, że ich ból wprowadził przynajmniej jakiś ład w świecie. To, że oni ci wierzą, oznacza jednak dla ciebie dystans nie do pokonania.

– Gdzie jest tatuś? – chciała wiedzieć Susan.

– Niedługo tu przyjdzie. Najpierw są moje odwiedziny, potem jego.

– Dlaczego nie razem?

– Nie wiem. To jeden z ich przepisów.

– Dlaczego?

– Nie wiem, kruszynko. Ależ ci włosy urosły. Są śliczne.

– Gdzie on jest?

– Niedaleko. W drugim bloku. Blisko.

– Widujesz się z nim?

– O tak. Rozmawiamy raz na tydzień przez szybę.

– Poszliśmy do domu – powiedziała Susan.

– Tak, pamiętam.

– Ale on zniknął – dodała Susan.

Pomyślałem, że muszę się zdystansować od uwag mojej siostry. Powiedziałem matce, że zamierzam zostać prawnikiem, więc będę mógł ich uwolnić.

– Tak? – odezwał się z drugiego końca stołu Ascher. – Pierwsze słyszę.

– Będiesz dobrym prawnikiem. Prawda, Jake?

– Oczywiście.

– Nie pozwolę im was zabić – przysiągłem. – Prędeż ja ich zabiję.

– Och, nie – upomniała mnie. – Co to za słownictwo?

Wyjęła chusteczkę higieniczną z kieszeni i wytarła czekoladę z kącików ust Susan. Susan nie dokończyła batona, wstała i zaczęła niespokojnie krążyć wokół stołu z rozpostartymi ramionami, muskając palcami wszystko, na co trafiła – krzesło, moje plecy, plecy Aschera, matki. Doświadczalem objawów choroby, choroby matki. Jakby była tutaj raczej pacjentką niż więźniarką. Jakby już umarła. Była tak niepodobna do siebie, że odechciało mi się z nią rozmawiać.

Uświadomiłem sobie, że patrzy na mnie ze smutnym, nikłym uśmiechem.

– Trochę trudno przyzwycząić się po tak długim rozstaniu. Dziwne uczucie, prawda?

– Tak. – I szybko wyrzuciłem z siebie to, co kołatało w moim umyśle poczuciem winy: – Będziemy mieszkać z jakąś rodziną w Westchester.

– Wiem.

– To jest w New Rochelle. Niedaleko. Stamtąd jest do was bliżej niż z ochronki.

– Wiem. Pisaliśmy listy do nich. Fischerowie to dobrzy ludzie. Nie martw się, wiem wszystko.

– Sędzia nas wrobił. Kiedy to się skończy?

– Danny, nie rozumiesz. Myśmy wyrazili na to zgodę. Chcemy tego. Wybraliśmy ich spośród innych. To jeszcze potrwa, a nie można za długo mieszkać w ochronce.

Susan znowu podjęła swój spacer wzdłuż ścian. Matka odwróciła się, żeby jej pilnować. Nie potrafiła oderwać oczu od Susan, a ja byłem zakłopotany, widząc wyraz jej twarzy. Zrozumiałem, że nie wydaje mi się już piękna.

Kilka minut później zobaczyłem, że strażnik spogląda na zegarek i niemal w tej samej chwili matrona w takim samym, granatowym mundurze otworzyła drzwi i powiedziała do matki, że jej czas minął.

Pożegnaliśmy się. Objęła nas znowu.

– Przyjdziecie niedługo, prawda?

– Tak.

– Kocham was, moje aniołki. Kocham wasze listy. Kocham wasze buzie. Wkrótce to wszystko się skończy i będziemy mieli spokój. To okropne tak postępować z ludźmi, prawda? Ale nie martwcie się. Wyjdziemy stąd. Znowu będzie wesoło. Zgoda?

– Tak.

Staliśmy odchyleni, opierając się o jej ręce, którymi podtrzymywała nasze małe plecy, a ona klęczała przed nami, jakby chciała schować twarz w naszych dziecięcych lędźwiach.

– Przez cały ten czas nigdy nie przestałam o was myśleć. Jestem z was bardzo dumna. Wiecie o tym?

– Tak.

Pocałowała nas, wstała i wyszła, nie zabierając nas ze sobą.

Najbardziej przerażające jest następstwo czasu. Dlaczego, kiedy gdzieś dotrzemy, wycofuje-
my się po to tylko, aby powrócić? Czy nie ma niczego, co mogłoby nas zatrzymać? Skoro napraw-
dę warta jest rypania, czemu muszę ją znowu rypać? Jeśli kwiat jest piękny, czemu mój synek nie
patrzy na niego przez cały czas? Paul zrywa kwiatek i biegnie dalej, kwiatek zwisa z jego sznuro-
wadła. Mój grzyb wgrzyza się we wrota macicy matki Paula. Paul łapie, trzyma i w końcu wypusz-
cza kwiatek w niebo, wypuszcza z pola swojego widzenia. Jeśli przychodzimy, czemu nie zostaje-
my na zawsze? Straszliwy czytelnik, który wodzi wzrokiem od słowa do słowa. Straszliwy pisarz,
który stawia słowo za słowem. Straszliwy czarodziej.

Ojciec, kiedy wszedł, odegrał parodię dobrego humoru. Wykrzykiwał słowa powitania, za-
chowując się wylewnie. Dali mu inne okulary, w oprawkach z bezbarwnego tworzywa. Miał bar-
dzo krótkie włosy. Uszy mu odstawały. Był ubrany w szare spodnie i szarą koszulę, która była na
niego za duża. Na nogach miał papcie; nie miał paska. Wyglądał bardzo młodo. Mniejszy, niż go
zapamiętałem. Czerwony na twarzy. Chory.

Kiedy później o tym myślałem, strasznie dręczyło mnie to, że musieli ubrać się w te szare
mundurki. Dlaczego zgodzili się je włożyć?

– Jak się macie, najcudowniejsze dzieciaki na świecie! Jak się mają moje najukochańsze
dzieci? Spójrz na nich, Jake. Milion dolarów. Milion dolarów. Założę się, że nie wiedzą, co robię
przez cały czas w tym więzieniu. Prawda? Czy wiecie, co mam w tym pudełku?

– Nie.

– No to pokażę wam. Patrzcie uważnie.

Spod pachy wyjął pudełko po cygarach owinięte gumką. Papierowy zamek był przedarty,
jak zwykle w pudełkach po cygarach. Wymachując rękami jak magik na scenie, postawił pudełko
na stole, zdjął gumkę i powoli podniósł wieczko.

– Widzicie? To mój zbiór. – W pudełku były martwe ćmy, karaluchy, pająki, chrząszcze,
pchły i na samym dnie, pod tym wszystkim, ogromny, brązowy owad wodny z podkurczonymi no-
gami. – Świat owadów jest naprawdę fascynujący. Obserwując go, odkrywa się cudowne rzeczy.

– Jak je łapiesz? – spytałem.

– Do papierowego kubka, to całe moje wyposażenie. Trzymam je w nim, aż wyschną. W ten
sposób ich nie uszkodzę, chociaż nie potrafię zapobiec ich wysychaniu. Nie mogę ich odpowiednio
przyczepić – powiedział. – Nie pozwalają mi trzymać szpilek, nici ani trutki w płynie. Ale składam
podania, aby mi pozwolili, wciąż składam podania. Niektóre z tych ciem są doprawdy przepiękne,
popatrzcie na tę.

Na kawałku papieru podniósł jedną brązowo-czarną ćmę. Ręka mu się trzęsła i wydawało
się, jakby martwa ćma drżała, próbując unieść się w powietrze.

– Obrzydliwe – odezwała się Susan. – Nienawidzę martwych zwierząt.

– A to są moje karaluchy. Zazwyczaj udaje mi się znaleźć każdy gatunek, jakiego szukam. –
Roześmiał się. – Tylko że bardzo trudno je złapać. Trzeba je zmylić, zwabić w pułapkę. Niekiedy
potrzeba na to kilku godzin.

Przestraszyła go reakcja Susan. Zamknął pudełko w połowie zdania. Wstał i zaczął chodzić
w kółko. Stracił panowanie nad sobą. Nagle nie wiedział, o czym z nimi rozmawiać. Usiadł, pod-
parł twarz dłońmi i patrzył w podłogę.

Kiedy podniósł oczy, był opanowany.

– Wiecie, co odkryliśmy z mamą? W linii prostej dzieli nas odległość dwudziestu stóp. Moja
cela znajduje się piętro niżej, w sąsiednim bloku. Oczywiście dzieli nas mnóstwo kamienia i żelaza,
ale jesteśmy tak blisko. Biedna mamusia. Nie ma nikogo, wiecie. Jest zupełnie sama. Ja mam przy-
najmniej morderców, z którymi mogę rozmawiać. – Roześmiał się.

Wydawało się, że pierwszy raz na nas spojrzął.

– Stajesz się podobny do mnie – powiedział do swego syna.

– A ja? – chciała wiedzieć Susan.

– Oj, ty jesteś większą szczęściarą – rzekł z uśmiechem. Wyciągnął ręce i przyciągnął ją do
siebie. – Jesteś odbiciem swej mamy. Jesteś śliczna jak twoja mama. Jake! – zawołał przez ramię. –
Czy to nie idealna sytuacja? Czy ojciec mógłby pragnąć czegoś więcej niż tego, żeby jego syn był

podobny do niego, a córka do mamy? Czy to nie ideał?

– Z pewnością – potwierdził Ascher.

– Jesteśmy idealną rodziną! – krzyknął mój ojciec.

Wyjął z kieszeni kilka czekoladek z podobizną Babe'a Rutha i wmusił je nam.

– Dostaliśmy już słodycze – powiedziałem.

– Schowajcie je na później. Na drogę.

Zapytałem go, czy pozwalają mu wychodzić z celi.

– O tak, tak. Codziennie mam piętnaście minut ćwiczeń na dziedzińcu. Rzucamy sobie piłkę ze strażnikami. Albo biegam. Szukam nowych gatunków owadów. Znalazłem tam najciekawsze ćmy. Trzeba wszystko o nich wiedzieć, prawda? – Roześmiał się i zmierzwił mi włosy. Pierwszy raz mnie wtedy dotknął.

– Gram też w szachy z innymi więźniami. Robimy sobie szachownice i figury z papieru, zaznaczając, co jest czym. I krzyczymy na głos, jaki ruch wykonujemy. Pamiętasz, uczyłem cię, jak się oznacza ruchy na szachownicy?

– Tak.

– Zawsze uważałem, że szachy to strata czasu. Jeszcze jaka! Okropna strata czasu. Z niecierpliwością czekam na rozpoczęcie rozgrywek baseballu. Już nadają transmisje z niektórych pokazowych meczów Dodgersów i Giantsów. Przez głośniki. Ciągłe jesteś kibicem baseballu?

Wzruszyłem ramionami. Moje zainteresowanie sportem wzbudzało we mnie poczucie winy. Ojciec uważał, że każdy sport jest środkiem służącym utrzymywaniu ludzi w poddaństwie. Był przekonany, że oznaką największej łatwowierności klasy pracującej jest wierność drużynie baseballu.

– Cóż, chyba i ze mnie zrobią kibica – powiedział ze śmiechem.

Patrzyłem mu prosto w twarz, prosto w oczy, większe i bardziej surowe za okularami niż bez. Westchnął, odepchnął nas i podjął spacer po pokoju. Wyjął paczkę papierosów z kieszeni kieszulki i puknął ręką w denko, żeby wysunąć jednego. Wetknął go w usta, zapalił zapalką i schował zapalki i papierosy z powrotem do kieszeni. Wszystko to zrobił automatycznym ruchem. A przecież nie wiedziałem, że w ogóle pali papierosy.

– Czas – rzekł. – Jest tyle do przeczytania, tyle rzeczy do zrobienia. Trzeba nauczyć się go wykorzystywać. Wypełnić go. Wiecie, o co mi chodzi? Czas, który jest cenny, a w więzieniu trzeba go zabijać. Ale piszę książkę. Robię do niej notatki. Lenin pisał w więzieniu. Wszyscy pisali. Wiedzieli, jak najlepiej wykorzystać czas. Jak we wszystkim, trzeba wzorować się na mistrzach.

Usiadł i złapał mnie za ramiona. Trzymał w palcach papierosa, dym wił się przed moimi oczyma. Zauważyłem, że popiół zaraz spadnie, a jeśli spadnie, to na moje ramię.

– Można wsadzić człowieka do więzienia, ale nie można uwięzić jego umysłu.

Drgnąłem. Otrzeptałem ramię.

– Co jest? Sparzyłem cię? Nie, popatrz, nie spadł, popiół wciąż tu jest, widzisz? – roześmiał się. – To ich umysły są uwięzione. Ale nie martw się. Nie martw się. Już się zaczęło. To im się nie uda. Wiem z poważnego źródła, że opinia publiczna będzie po naszej stronie. Nie można w tym kraju wysłać niewinnych ludzi na śmierć. Nie można. Prawda zwycięży. Zobaczycie. Zobaczysz, mój dorosły, przystojny synu. Mam rację, Jake?

– Oczywiście. Tylko uspokój się.

– Zanim jeszcze nasz proces się zaczął, osądzili nas płatni najemnicy pracujący dla gazet na usługach rządu. Nie mieliśmy szansy na uczciwy proces. Już choćby z tego powodu.

– Paul. – Ascher wstał. Zerknął na strażnika. – Nie sądzę, żeby teraz był właściwy czas, by o tym mówić – rzekł.

– Masz rację. Chcę, żeby mój syn wiedział. Organizacja została powołana do tego, żeby walczyć o naszą wolność. Żeby mówić ludziom prawdę. Powinien o tym wiedzieć. Powinien wiedzieć, że nie jesteśmy sami, my, rodzina Isaacsonów. Wkrótce cały świat będzie nas popierał w naszej walce o odzyskanie wolności. A on może w tym pomóc! Chcesz pomóc, prawda?

– Tak – odpowiedziałem.

– Mój syn, mój wspaniały syn. – Wziął moją twarz w ręce, przyciągnął do siebie i pocało-

wał w czubek głowy.

Dlaczego matka o tym nie wspomniała? Bez jej aprobaty nie umiałem stwierdzić, czy to prawda. W każdym razie w drodze powrotnej do Nowego Jorku w głowie słyszałem głos ojca. Upokarzające było dla mnie to, że ich tam zostawiam, ale po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że więzienie jest mniej poniżające dla ojca niż dla matki. To jego głos dzwonił mi w uszach poza murami więzienia, w samochodzie, w drodze powrotnej do Nowego Jorku.

Prawdopodobnie nic z tego nie jest prawdą. Działo się o wiele więcej, ale nic z tego nie pamiętam. Pierwsze odwiedziny były najgorsze, następne poszły łatwiej. Mieliśmy o czym z nimi rozmawiać. Graliśmy z nimi w jakieś gry. Rysowaliśmy obrazki. Po pewnym czasie wpadliśmy w rutynę. Żartowaliśmy sobie z liczby odroczeń egzekucji. A pod koniec pozwolono im na wspólne odwiedziny. I nasza czwórka w tym pokoju Domu Śmierci, rodzina, znów była razem, nareszcie razem. Cała nasza czwórka była w tym pokoju. Znów się połączyliśmy. W końcu się połączyliśmy.

Przed słynną egipską reformą kalendarza chaldejskiego, około 4000 lat p.n.e., naukowa astrologia dzieliła Zodiak na trzynaście znaków, po około 27 stopni każdy. Trzynastym znakiem była Rozgwiazda. Nie wiemy dzisiaj, jakie było jej położenie w Zodiaku. Przypuszcza się, że ponieważ oś ziemską stopniowo zmieniła położenie, cały wycinek nocnego nieba, łącznie z tą konstelacją, zniknął. Ale do tego czasu Rozgwiazda była uważana za jeden z najbardziej korzystnych znaków. Posiadanie Rozgwiazdy w ascendencie oznaczało spokój i harmonię ze światem, a więc wielkie szczęście. Pięć ramion gwiazdy skierowanych było nie na zewnątrz, jak sądzono powszechnie, ale do wnętrza, ku środkowi. Symbolizowały jedność różnych umysłowych przymiotów i koordynację przymiotów fizycznych. Odwoływały się do duchowych zaślubin pięciu zmysłów. Sugerowały jedność wszystkich uczuć. Oznaczały połączenie wiary z intelektem, mowy z prawdą, a życia ze sprawiedliwością. Rozgwiazda w opozycji do Marsa była zwykle znakiem Geniuszu. Pod wpływem Wenus wskazywała na Pokój. Z jakiegoś powodu astrologowie nie wymieniają dzisiaj Rozgwiazdy. Powszechnie panuje przesąd, że oznacza ona pecha. Przyczyną niewątpliwie jest to, że człowiek współczesny nie może wyobrazić sobie nic straszniejszego niż samowystarczalna natura pięknej Rozgwiazdy: myli ją ze śmiercią.

W POSZUKIWANIU STERNLICHTA

Nie chciałem brać Phyllis ze sobą. Wiązało się z tym ryzyko, tłum, konfrontacja. A ponieważ zamierzałem zrobić to, co było do zrobienia, bez żadnych skrupułów, z mocnym postanowieniem, ponosząc prawdopodobnie klęskę, pakując się w gówno, to nie chciałem, żeby przy tym była. Ale ona zaczynała przeżywać dawne męki, powiedziała, że chcę się jej pozbyć. To nieprawda, ale nie chciałem, żeby się tak czuła. A potem pomyślałem o samotnej jeździe samochodem do samego jądra ciemności, przez granice, przez punkty kontrolne, i możliwość porozmawiania z nią podczas jazdy wydała mi się pociągająca. Tak więc jedziemy wszyscy. Jest późny październik 1967 roku – słoneczny, rześki poranek. Musiałem włączyć sto osiemdziesiąt dolarów w samochód, abyśmy mogli odbyć tę podróż. Hamulce, atrapa, dwie nowe opony, nowe świece, regulacja silnika. Było to lekko przyciasne, małe, ale szybkie volvo. Obok jechały też inne samochody, wiozące pięciu, sześciu pasażerów. Rozlegały się dźwięki klaksonów, a ludzie przemykali w swoich małych samochodzikach między wielkimi ciężarówkami, machając do siebie i pokazując sobie przez szyby dwa palce podniesione do góry. Niemniej jednak miało się wrażenie przekraczania granic. Mijania punktów kontrolnych. Wrażenie wjeżdżania w jądro ciemności.

W tym stołecznym mieście o szerokich ulicach, z pomnikami z białego marmuru, z publicznymi ogrodami człowiek czuł się jak w obcym kraju.

– Czy tylko ja odnoszę takie wrażenie? – odezwał się.

– Myślę, że każdy, kto przyjeżdża tu na weekend, musi się tak czuć – odparła Phyllis.

Należy bardzo uważać. Trzeba jechać wolno. Kurczowo trzymać kierownicę. W jednym z budynków publicznych znajduje się słynne muzeum zbrodni. W słynnym muzeum zbrodni wiszą zdjęcia Isaacsonów zakutych w kajdanki. Zdjęcia radia krótkofalowego z Warsztatu Radiowego Isaacsona – Sprzedaż i Naprawa. Dentystyczne zdjęcie rentgenowskie w postaci przezrocza na pod-

świetlonym ekranie. Turyści przewijają się przez sale. W innym budynku publicznym znajdują się akta, których nikt nigdy nie oglądał.

Podjeżdżamy do wyznaczonego kościoła, ustawiamy samochód i dołączamy do reszty. Jest ciche, piątkowe popołudnie, początek weekendu, na który zaplanowany został marsz na Pentagon. Jest nas tylko kilkuset. Wychodzimy z podziemi kościoła i kierujemy się do gmachu Departamentu Sprawiedliwości. Idziemy kolumną rozciągniętą na ćwierć mili. Kamerzyści idą tyłem, filmują nasze twarze. Nie widzę Sternlichta. Waszyngtońscy gliniarze na motocyklach prują chodnikiem w gorących promieniach słońca. Wygląda to na spotkanie środowiska akademickiego. Licznie stawili się poeci z uniwersytetów. Wydawcy w średnim wieku w tweedowych marynarkach. Zony profesorów i udzielające się w parafii, seksowne paniusie w mokasynach. Długowłosi studenci w spranych dżinsach wykrzykujący: „Nie-Do-Diabła-Nie-Pójdziemy!”. To pokojowy, dobrze zorganizowany marsz. Pokazało się słońce. Niosę Paula. Phyllis u mego boku uśmiecha się i ściska mnie za ramię. Maszerujących ożywia poczucie, że z całą świadomością biorą udział w czymś ważnym. Pogaduszki starych kumpli. Korowód się wydłuża.

Gawędzimy z profesorem Sukenickiem, który również przyszedł. Bez reszty pochłonięty sytuacją nie pyta mnie, jak mi idzie praca. Podchodzimy pod gmach Departamentu Sprawiedliwości. Na schodach stoi mikrofon przygotowany dla mówców. Gliny strzegą naszego prawa do zgromadzeń. Stoją w drzwiach Departamentu Sprawiedliwości, pilnując, żebyśmy nie weszli do środka. Fotografowie robią zdjęcia naszych twarzy. Czterech młodych, amerykańskich nazistów z opaskami ze swastyką przyszło się naigrawać. Tacy typowi naigrawacze. Kiedy zaczynają się przemówienia, znajduję miejsce, gdzie możemy usiąść. Phyllis karmi dziecko. Spaceruję po obrzeżach tłumu, ze słońca do cienia, z cienia na słońce. Jest doktor Spock. Zjawił się też kapelan Uniwersytetu Yale. Dzisiejsza demonstracja jest aktem obywatelskiego nieposłuszeństwa. Młodszy kolesie oddają swoje karty powołania, starsi im pomagają, stając się współwinnymi przestępstwa. Aresztowania są mile widziane. Na schodach siedzi Norman Mailer i słucha przemówienia. Ma na sobie ciemny garnitur z kamizelką. Pochyla się, lewa dłoń na lewym kolanie, prawa pięść na prawym. Za nim, w głębi niszy okiennej, na kamiennym parapacie Okna Departamentu Sprawiedliwości siedzi Robert Lowell. Przybrał pozę cherubinka. Obserwuję go, jak pali papierosa i palcem przyciska okulary do siodelka nosa. I jak układa swoje wiersze.

Następuje kulminacja dramatu i karty powołania setek studentów z całego kraju zostają przez ich przedstawicieli wrzucone do worka. Oklaski. Zachęca się następnych, aby oddali swoje karty. Wielu tak robi. Przepycham się przez tłum, wrzucam swoją kartę do worka i podaję nazwisko przez mikrofon. Daniel Isaacson, choć na karcie jest napisane Daniel Lewin. Uszy mi płoną, czuję, jak zalewa mnie fala własnej szlachetności i strachu. Co za pic. Przyszedłem tu jednak po to, aby zrobić to, co jest do zrobienia.

Worek zostaje doręczony do Departamentu Sprawiedliwości, demonstracja dobiega końca i nic nie wskazuje, żeby miało się wydarzyć się coś jeszcze.

Na tę noc komitet organizacyjny wyznaczył nam nocleg u sympatycznej pani, która otworzyła podwoje swego domu na potrzeby „Ruchu”. Jest to stary, dobrze utrzymany dom położony w spokojnej okolicy. Gospodyni zaprowadziła nas do pokoju.

– Nie mogę brać udziału w marszach, bo mi nogi nie pozwalają – rzekła – ale mogę wspomóc tych, którzy to robią.

Była drobną, łaskawą damą, której miękkie, drżące głos zdawał się przechodzić przez lekko trzęsące się ręce. W domu panowała martwa cisza. Dźwięczała ciszą. W naszym pokoju na oknie wisiały cienkie, białe zasłony. W środku znajdowało się duże, trochę zbyt miękkie łóżko z katedralnym wezglowiem z mahoni. Dziecko położyliśmy w drewnianej kołysce. Podłoga była zrobiona z szerokich klepek przymocowanych kołkami. Na starej, odrapanej skrzyni posażnej stała biała misa, a w niej wielki dzban z popękaną glazurą. Phyllis była oczarowana. Wodziła palcami po brzegach zasłon, zajrzała do starego dzbana i misy do mycia. Ukołysała Paula do snu, zdjęła ubranie i zaczęła rozczesywać swoje długie włosy, siedząc po turecku na środku miękkiego łóżka. Ogarnęło ją błogie uczucie szczęścia, gdy pogrzyżyła się w absolutnej ciszy panującej w tym pokoju, w całym domu.

Ostatnim razem byłem w Waszyngtonie z okazji czuwania przed Białym Domem. Susan i ja trzymaliśmy świece, opierając czoła o parkan prezydenckiej rezydencji. W prasie ukazało się słynne zdjęcie. Wyszło tak, jakbyśmy patrzyli przez więzienne kraty. Waszyngton był naszym miastem. W dzieciństwie bawiłem się w Waszyngtona.

Następnego dnia, w sobotę, ma miejsce ważne wydarzenie. Długie godziny siedzimy na trawie przed Mauzoleum Lincolna i słuchamy przemówień. Wszędzie pełno ludzi z hasłami wypisanymi na tablicach. Młodzi chrześcijanie, dziewczęta i chłopcy, weterani, długowłosi radykałowie. Pewni siebie profesorowie, podstarzałe, pełne animuszu kobiety w wygodnych butach z zacerwienionymi nosami. Gitarzyści. Dziwadła z wymalowanymi twarzami, w czapkach francuskich żandarmerów, wymachujące kijami od szczotek, do których przymocowano pudła pomalowane w kwiaty i ozdobione zdjęciami Joan, Bobby'ego i Allena. Nurkowie w akwalungach i czarnych kombinezonach z wymalowanymi białymi szkieletami. Księża. Członkowie różnych organizacji z ręcznie malowanymi transparentami. Jest piękny dzień. Wszystkie szczęśliwe dziwadła zimnej wojny wysypały się z wycarterowanych autobusów, wylazły ze spiworów. Znakomite zyciorysy. Przyszli, by wziąć udział w marszu na Pentagon. Niesamowity tłum. Na schodach mauzoleum zachrypnięci mówcy krzyczą do mikrofonów. Jestem wstrząśnięty jedynowścią ludzi. Nachodzi mnie okropna myśl, że każdy ma większe ode mnie prawo, by tu być. Czuję się wykluczony. Praktycznie każdy z obecnych – nawet Phyllis, której skupienie dawno przekroczyło poziom zwykłego zasłuchania w nie kończące się przemówienia – uczestniczy w tym wydarzeniu w sposób, o jakim mogę tylko pomarzyć. Jakbym się tu zakradł, jakbym nie zapłacił za bilet albo po prostu nie wiedział czegoś, co wiedzą wszyscy wokół. Niewykluczone, że się tego dowiem. A może nie. W południowej spiekocie przychodzi pora, żeby wstać i sformować kolumnę marszową. Laserowe promienie słoneczne przeszywają obiektywy kamer jak włócznie. Ciała się podnoszą. Upał się wzmagają. Rozwinięte transparenty wędrują w górę, słychać brzęk, jęk i szcęk ekwipunku armii biwakowiczów.

W kłębiącym się tłumie słyszę pierwsze poszepty śmierci z uduszenia.

– Teraz dopiero zacznie się mordęga – mówię do Phyllis.

Patrzy na mnie z niepokojem. Chwytam ją za ramię, chcąc ją stamtąd wyciągnąć, i prowadzę po trawniku w przeciwną stronę.

– Ale po to właśnie tu przyszliśmy!

– Martwiłbym się o ciebie, Phyl. Chcę, żebyś wróciła do domu tej pani i poczekała na mnie, aż się to skończy.

Wyglądała na bardzo nieszczęśliwą.

– Phyllis, chyba nie miałaś naprawdę zamiaru iść tam z dzieckiem. Żołnierze z bagnietami.

Gaz łzawiący. Naprawdę miałaś? Nie wiadomo, co się może stać.

– Aleja chcę iść!

– Dobra, idź. Daj mi Paula i idź. – Waha się i czuję, że ulega mojej logice, logice człowieka, który ma prawo i obowiązek pójść tam i zrobić to, co jest do zrobienia. Gdy ciągnę ją w stronę śródmieścia, nagle przestaje się spierać, co odbieram jako wyrażenie zgody, więc ruszamy na poszukiwanie taksówki.

Cały dzień szukałem zadowolenia. W pewnej chwili, kiedy na mostku przerzuconym przez rzekę w pobliżu Mauzoleum Lincolna zrobił się ścisk, wydawało mi się, że widzę Sternlichta w trójgraniastym kapeluszu. Jednak znajdowałem się dość daleko od czoła pochodu, a on powinien być w pierwszym rzędzie. Na parkingu po drugiej stronie drogi, naprzeciwko Pentagonu, wygłaszano kolejne mowy. A potem ruszyłem za jakimiś ludźmi w stronę dziury w parkanie: wystarczy pobiec bulwarem, przebiec przez drogę i wychodzi się na Mail u wrót Pentagonu.

Wciąż nie było jasne, co ma się zdarzyć. Panował świąteczny nastrój. Chodziły pogłoski, że dotarcie do Mail nie było żadnym wyczynem, bo organizatorzy marszu dostali na to pozwolenie za zgodą urzędników Pentagonu. Później, gdy się ściemniło, wielu ludzi zaczęło zbierać się do odejścia. Była okazja, żeby zobaczyć żandarmerów i generałów stojących w szeregu przed wejściem. Żeby przesunąć się do przodu. Można było spojrzeć w twarze mandarynów. Bóg stał po ich stronie. Niezależnie od tego, jakie są dyrektywy, zawsze znajdą się ludzie, którzy oddadzą za nie życie. Od

razu pojawiają się żołnierze, ustawiają w szeregu i będą gotowi za nie umrzeć. I naukowcy, szczęśliwi, że mogą prowadzić nad nimi badania. I szczeniacy akademicy, którzy racjonalnie dojdą prawdy o nich. I poeci, którzy znajdują w sobie głos zdolny wyrazić uczucia popierających je ludzi. I w każdym domu, jak kraj długi i szeroki, mięśnie twarzy ułożą się w drobnomieszcząński wyraz zrozumienia. Ludzie się przyzwyczajają i będą z nich żyli. A kapłani będą się modlić o sprawiedliwy koniec na dogodnych warunkach.

Teraz, po zapadnięciu ciemności, mocno się ochłodziło. Można było poszukać ogniska i przyłączyć się do innych. Łatwo było o towar na skręta. Panował świetny nastrój. Tu i ówdzie odprawiano ceremoniał palenia kart powołania. Ciągłe zaczepianie żołnierzy, śpiewy; diggerzy łączący wszędzie z bochenkami chleba, balonikami, piwem i pepsi. W dalszym ciągu męczą mnie te wysiłki. Jakby moja tu obecność – o czym nikt nie wie – samo moje przyście tutaj ograbiło ten dzień z jego ducha.

Dopiero tu, tej chłodnej nocy, w cieniu majaczących w ciemności potężnych murów Pentagonu, mocno przeredzony tłum zaczyna się burzyć. Zostali tylko młodszy z charakterystycznym dla młodych uporem. Nie są grzeczni ani szczególnie mili, w każdym razie większość z nich, i w gwałtownych porywach wiatru napomknienie o gazie łzawiącym dowodzi, że gdzieś rozgrywają się niewidoczne utarczki i że tak należy rozumieć sens odległych krzyków. I ich maniere nie są zbyt wytworne. Przecież muszą uporać się z wieloma stopniami niezupełnie kulturalnego zachowania, nie mówiąc już o opanowaniu, ażeby uświadomić sobie i żołnierzom, na czym polega prawdziwa wartość tej sytuacji, czyli jaka jest jej prawdziwa natura. Tak, moi Bracia, wojna to dziwka, amerykański imperializm także, i wreszcie zaczynam odczuwać, że zadowolenie się zbliża. Większość ze starszych już poszła, reporterzy też, kamery zniknęły, i jedyni, których można tu zastać o tej późnej, wieczornej godzinie – a właściwie już o północy – to przypadkowa zbieranina zapiekłych kwaków i radykałów, nowych chłopaków i dziewczyn żyjących po nowemu oraz jeden podszyty strachem awanturnik, który teraz przedarł się do pierwszego rzędu dysputantów, aby zrobić to, co jest do zrobienia. I raptem już tam jest, spleciony łańcuchem ramion z prawdziwymi ludźmi dnia dzisiejszego, siedzi w biernym szeregu mocno trzymających się za ręce, a do siedzących zbliżają się na wysoki połysk wyglansowane buty, wyczyszczone do połysku pałki, wypolerowane odznaki, i przedzierają się przez łańcuch naszych ciał, ta wielogłowa, uhelmiona bestia, nasz własny naród toruje sobie drogę przez nasze ciała butami, pałkami, kolbami karabinów, łamiąc zaciekły upór, aż pokazuje się krew. Mój kraj. Wali i kopie, kopie i okłada pałką – podnieś pałkę i opuść, z całej siły, trzymaj głowę nisko, pamiętaj, żeby obrócić rękę w nadgarstku, zamachnąć się, wznieść pałkę wysoko, opuścić, uważaj, żeby trafić w koleinę powietrza, raz za razem, skoncentruj wzrok na jajach, i po jajach, i po piździe, i po głowie, góra-dół, włóż w to wszystkie siły, wszystko, co dostałeś, przenieś na ten zamach, pełny zamach, góra-dół, obrót, góra, w dół z całych sił, tak mocno, jak tylko potrafisz, jak tylko potrafisz, mocniej, mocniej – Z CAŁYCH SIŁ!

Daniel nałykał się własnej krwi. Trwała Sobotnia Noc Pentagonu. Połykał kawałki zębów. Dźwignięto go za ręce i nogi i wtrącono do celi w Sobotnią Noc Pentagonu.

A teraz opowiem o pewnym chłopcu w wielkiej celi, gdzie rodziła się wspaniała, braterska społeczność rozrabiaków, który nie jest zdolny dzielić radości swych posiniaczonych kompanów, którego nie interesują plotki o tym, jak Artie Sternlicht zakasował wszystkich, lądując w szpitalu, który nie czuje pokrewieństwa duchowego z tymi szczerbolami i siedemdziesięcioma sześcioma schnącymi na karmazynowo chusteczkami zawiązanymi na głowach; i siedzi w rogu, niezdolny wyprostować nóg, spazmatyczny odruch obronny zgina mu kręgosłup, i zaciska dłonie, przyciska kolana do piersi, głowę do kolan. Nie lubi takich miejsc. Zbyt dobrze je zna. Wie, jak bardzo różnią się od domu. Nie jest zdolny przebywać w nich z niefrasobliwą odwagą. Jest uczulony na zamknięte powietrze, które ociera mu skórę, na noc, która wkręca mu się w bębenki. Myśl o tym, że prawdopodobnie już wie, co oznacza: zrobić to, co jest do zrobienia, wywołuje zimny pot. I zimne poty biją na niego co minutę przez całą noc, tylko tę jedną noc, co sekundę wypaca ją z siebie, tę tymczasowo odłożoną, dziesięciodniową podróż za dwadzieścia pięć dolarów. NIEWINNY, JESTEM NIEWINNY, PRZYSIĘGAM, wzrok skacze po ścianie jak pchła, objaśniając przestrzeń między kratami, i Daniel rozważa nie kończący się pogłos, jaki zostawia po sobie każda spędzona tu chwila.

la, czas odsiadki składający się z pojedynczych chwil, w każdej z nich rozmawiając o temacie, strukturze, dykcji i metaforze tej odsiadki z nią, z Rozgwiadą, z moją milczącą rozgwiezdną dziewczyną.

Następnego ranka zapłaciłem grzywnę i zostałem zwolniony. Zapowiada się kolejny śliczny dzień. Wróciłem do Waszyngtonu, odnalazłem samochód, pojechałem do dzielnicy starych, amerykańskich domów i zastałem moją żonę w cichym, białym pokoju w cichym, amerykańskim domu. Phyllis na mój widok wybuchnęła płaczem. Nie mogłem otworzyć prawego oka. Wargi miałem rozcięte i spuchnięte i nie mogłem otworzyć ust na tyle, żeby coś zjeść. Bolało mnie przy oddychaniu, ale stwierdziłem, że mogę złagodzić ból, przyciskając rękami żebra. Całą koszulę pokrywały plamy zaschniętej krwi.

Chciałem, żeby przestała.

– Słuchaj – powiedziałem, starając się nie gwizdać przez zęby. – Nie jest tak źle. To była prościzna. Być rewolucjonistą jest dziś łatwiej niż kiedyś.

Księga czwarta

BOŻE NARODZENIE

Na początku grudnia Daniel Isaacson wszedł na pokład boeinga 707 American Airlines odlającego do Los Angeles. Ubrany był w kurtkę podbitą kożuszkim, więzienną koszulę i spodnie oraz sandały. Miał bujną brodę, a na długich włosach opaskę z czerwonego płótna. Jego okulary w metalowych oprawkach błyszczały, białe zęby lśniły, a palce u nóg, zawsze dość duże, wyglądały w sandałach na wręcz ogromne – grube paluchy o żółtych, niezupełnie czystych paznokciach. Pokiwał wielkim, zziębniętym paluchem w stronę zafascynowanej ich widokiem damulki stojącej po drugiej stronie przejścia, która spojrzała na niego, zaczerwieniła się i odwróciła tyłem.

Duża część pasażerów była przekonana, że Daniel znalazł się tu po to, żeby porwać samolot. Prawdę mówiąc, myślał o tym. Dwóch biznesmenów komentowało długość jego włosów. Stewardesa stwierdziła, że trudno jej zachować uśmiech, kiedy podaje mu menu. Właściwie wyglądało na to, że jest na niego zła. Ale i tak obdarzyła go zawodowym, wyćwiczonym mrugnięciem oka.

Po lunchu składającym się z plasterów polędwicy, zielonego groszku i jabłkowego cobblera Daniel dostał od stewardesy plastikową torebkę z czymś w rodzaju stetoskopu. Fundacja zapłaciła za niego dolara. Ma służyć do słuchania fantazji na szepty i krzyki: Szpiega, *który wyszedł z ukrycia* z Richardem Burtonem. Burton gra agenta angielskiego wywiadu, czyli szpiega, zaplątanego w skomplikowaną intrygę, który ma ochraniać podwójnego agenta we Wschodnich Niemczech, ale zwierzchnicy manipulują nim i w końcu go zdradzają. Jego niewinna przyjaciółka Claire Bloom ginie pod Murem Berlińskim i Burton postanawia umrzeć razem z nią – wychodzi z ukrycia, wystawiając się na strzał. Życie nigdy nie toczy się według równie dobrego scenariusza. Ale i tak film zasługuje na pochwałę, choćby za dbałość o realizm. Jest czarno-biały, co zawsze stanowi oznakę szczerości. Burton porusza się jak człowiek, który naprawdę narobił w gacie. I sam Mur też tam jest: ze strażnikami, budkami wartowniczymi, przejściami pomalowanymi w pasy i reflektorami. Lecz czy na tym polega realizm, żeby pokazywać Mur Berliński jako mur? Mur Berliński nie jest murem. Jest spoiną. Spoiną, która łączy świat. Cała kula ziemską jest owinięta blachą, zagwożdżona, zanitowana, zamknięta, ciasno obwiązana drutem i najeżona kolcami jak gigantyczna maczuga. W środku zieje dziura. Z rzadka to blaszано-ołowiane pokrycie rozszerza się lub pęka pod wpływem ciepła słonecznego i wówczas wzdłuż spoin, z których jedna zwana jest Murem Berlińskim, pojawia się na chwilę szczelina na tyle duża, że może przecisnąć się przez nią człowiek. Na świecie, który jest podzielony na pół, radykał ma wolną rękę w wyborze jednej ze stron. Na tym polega wybór radykała. Połówki świata przypominają półkule magdeburskie. Moja matka i ojciec wlecieli pewnego dnia w szczelinę, po czym obie półkule się zatrzasnęły.

Daniel stał na chodniku przed budynkiem lotniska międzynarodowego w Los Angeles, czekając na wóz z firmy Tanieauta do Wynajęcia. Przez postrzępione czubki rachitycznych palm przyglądał się jadącym dołem samochodom. Znalazł się oto w Południowej Kalifornii. Powietrze smakuje tu jak dziwna, balsamiczna trucizna. Nad głową zamglone, błękitne niebo, gęsta flegma aż po horyzont.

Sądził, że wynajęcie taniego auta to dobry pomysł. Do krawężnika podjechał wóz z przyczepioną na dachu tablicą z ogromnym logo firmy. Wsiadł z niego młody Murzyn, który zaczął się rozglądać za klientem.

– To ja – powitał go Daniel. – To ja dzwoniłem.

– Ty? Na pewno ty?

– Tak, a bo co?

Murzyn zdjął kapelusz i założył go z powrotem.

– No, bez obrazy, ale tobie oni samochodu nie wypożyczą.

– Psiakrew – odparł Daniel. Podrapał się w brodę.

– Właśnie. Znaczą, zawiozę cię tam, dla mnie bez różnicy, ale mówię, jak jest.

– Dobra, dzięki.

– Wiesz, oni cię tak podpuszczają. Dopóki się w tym nie połapiesz.

– Dobra. To co, możesz mnie podwieźć gdzieś, gdzie mógłbym złapać okazję?

– Pewnie, gdzie jedziesz?

Daniel wysiadł na Bulwarze Stulecia, tuż przed skrzyżowaniem na Freeway San Diego. Stał przy drodze z torbą między stopami i uniesionym kciukiem. Czuł ból w piersiach. W końcu zatrzymał

się kempingowy volkswagen. Za kierownicą siedział młody blondyn z długimi wąsami i bez koszuli. Chłopak miał w samochodzie pościelenie – materac ze śpiworem na wierzchu – zasłonki w oknach, książki na półkach.

– Dokąd jedziesz?

Daniel spojrział na mapę. Wóz pędził autostradą, mijając rafinerie ropy, reklamy, elektrownie, fabryki, kotłownie, parkingi dla przyczep mieszkalnych, wysypiska śmieci, zbiorniki na wodę, rampy, łąki koniczyny, kompleksy handlowe, rzędy domków z powiewającymi flagami i tym podobne. Zmierzał na południe.

Nie wiem, o czym pisać, aby zmienić temperaturę książki. Zdejmij płaszcz, ciepło tutaj. Ból głowy wchodzi przez oczy. Ma coś wspólnego z atmosferą, ze światłem. Światło cię spala. Słońce grzeje, opalasz się, ale nie spalasz. Światło spala cię, przypieka na węgiel krańce widzenia. W tej części książki słońce musi się pokazać. Słońce chemiczne. Świeci przez szarą mgiełkę. Przez balsamiczne, nieruchome powietrze pozbawione wszelkich naturalnych zapachów. A pomyśleć, że niegdyś wszędzie tu rosły gaje pomarańczowe.

Wszystko tu było tak bliskie swojej naturze, tak całkowicie było sobą, że delectowałem się tym widokiem. Ogarnęło mnie ożywienie, wdychałem głęboko balsamiczne powietrze. Niebo przecinały linie wysokiego napięcia. Nad równiną unosiły się opary siarki. Miasta ze stali wprawiały ziemię w drgania. Tak wyglądała kraina strontowych dzieci.

KOCHAJ ALBO RZUĆ

Daniel uświadomił sobie, że chociaż przebył trzy tysiące mil, żeby dotrzeć do miejsca, którego nigdy przedtem nie widział, to czuje się tu jak u siebie w domu. Tak to bywa. Każdy, kto tu mieszka, dopiero co skądś przyjechał. Jest to miejsce, w którym człowiek od razu czuje się swojsko. Na Freeway mijamy konwój wojskowych ciężarówek. Nad głowami przelatują nam helikoptery. Bzyczące odrzutowce zataczają pętle nad oceanem. Fabryki elektroniczne moszczą sobie gniazdką pośród krajobrazu. W oczy rzuca się kompleks wojskowo-przemysłowy. Wszystko pod gołym niebem, na wielkiej przestrzeni, skąpane w jaskrawym świetle Kalifornii.

Siedzę w furgonetce na wielkiej równinie wśród wzgórz: Z południowej strony wielkiej równiny, u ich stóp, startuje ciemnozielony helikopter i młóci niebo. Przelatuje nad ciężarówką, śmigła ubijają białe powietrze na pianę. Leci na północ. Tam, nad wielką równiną, schodzi do lądowania. Należy do marynarki wojennej. Powiedziano mi, że całymi dniami i nocami tak lata – startuje i ląduje na wielkiej równinie. Nikt nie wie, po co. Wszyscy tutejsi studenci robią wrażenie obdartych i wysuszonych. Noszą obszarpane portki związane sznurkiem, chodzą boso, w podartych koszulach i słomianych kapeluszach przytrzymywanych tasiemką zawiązywaną pod brodą. Woda zaczyna napępniać równiny. Zamieniamy samochody na rowery.

Furgonetka należy do chłopaka, który mnie podwiózł. Jest asystentem, a tę furgonetkę dzieli z dwoma innymi asystentami. W charakterystyczny dla zachodniego wybrzeża sposób jest zaabsorbowany sobą. Nowy styl życia każe cenić siebie i swoje uczucia. Nie zadaje się pytań. Nie wypada nawet pytać faceta o imię, jeśli sam nie chce się przedstawić. Imię się nie liczy. To jest nasz antyświat, z którym trzeba się zmierzyć. Pozwól facetowi korzystać z twojego biura. To nowa filia Uniwersytetu Kalifornijskiego w Irvine w hrabstwie Orange: krąg wielkich, jajowatych budynków z betonu, krytych pomarańczową dachówką, przywodzących na myśl Hiszpanię. Jeszcze w budowie. Mniejsze wydziały urzędują w furgonetkach.

– Słucham? – Kobięcy głos.

– Phyl?

– Dotarłeś?

– Tak, złapałem okazję z lotniska.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Gorąco tu jak diabli.

– Jakie to dziwne. U nas właśnie zaczął padać śnieg.

– Jak ona się czuje?

- Bez zmian.
- No nie, nie chrzań.
- To prawda. Sama u niej byłam. Wygląda tak samo.
- Czy Lewinowie jeszcze tam są?
- Tylko twój ojciec. Przyszliśmy do domu, żeby zrobić obiad. Potem twoja matka wraca po niego do szpitala.
- Jak się czuje mały?
- Dobrze. Czujemy się dobrze.
- Ale?
- Co?
- Powiedziałas to tak, jakby coś się stało.
- No cóż, twoja matka wciąż się dopytuje, co robisz. Chce wiedzieć, dlaczego cię tu nie ma.
- Powiedziałas jej?
- To nie takie proste.
- Uważasz, że to kretynstwo, prawda?
- Nie, wiesz, że nie.
- Ależ to jest kretynstwo. Cała ta podróż jest nienormalna. Nie wiem, czy w ogóle wyniknie z tego coś dobrego, nawet jeśli znajdę to, czego szukam. Ale co innego mogę zrobić? Możesz mi powiedzieć, co można jeszcze zrobić?
- Nie krytykuję cię, Danielu.
- Co powiedziała?
- Powiedziała: „Czy prawda jest lekarstwem na zapalenie płuc”.
- O kurwa. Nie. Odpowiedź brzmi: nie. Ale czego ona, psia krewo, ode mnie oczekuje? Żebyśmy usiadł z nią i odwalił czuwanie przy zmarłym?
- Chcesz z nią porozmawiać? Jest w kuchni.
- Nie. Powiedz jej, że dzwoniłem i wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł. To dla nich bardzo trudny okres. Postaraj się im pomóc.
- Staram się.
- Tylko im nie pozwól, żeby się od ciebie uzależnili.
- Staram się. Ale sądzę, że ona chce się czymś zająć. Ona mi nie ufa, Danielu. Twój ojciec prawie ze mną nie rozmawia. W ogóle nie zwraca uwagi na małego.
- No cóż, ich własne dziecko prawdopodobnie umiera, Phyl.
- Nie musisz mi tego mówić.
- Racja, przepraszam. Bądź dzielna. Czyżbym słyszał płacz?
- Nie. Staram się, jak mogę.
- Wiem. Mam nadzieję, że wrócę jutro późno w nocy. Zadzwoń. W porządku? Phyllis, dobrze?
- Dobrze.

DRUGA ROZMOWA TELEFONICZNA – NA KOSZT DZWONIĄCEGO

- Słucham? – Kobięcy głos.
- Czy to dom państwa Mindishów? – Cisza. – Halo? – Co?
- Czy to ty, Lindo? Znowu cisza.
- To chyba pomyłka.
- Dobra, słuchaj, mówi Daniel Isaacson. Rozmawiam z Lindą, prawda, z Lindą Mindish z Weeks Avenue?
- Dłoń zakrywa słuchawkę. Cisza. Obraz rozmówczynie z dłonią na słuchawce. A więc stąd ta niespodziewana przerwa, dziura akustyczna. Nogi się pod nią uginają.
- Halo? Hej, jesteś tam? To ty?
- To nie jest dom Mindishów. Źle się pan połączył.
- Daniel się uśmiechnął.
- A czyj to numer?

– Obawiam się, że nie mogę panu powiedzieć. – Chce się rozłączyć.
– Zaraz! Mam twój adres, numer 1099 przy Poinsettia, zgadza się? Widzisz? Mam twój telefon. Możesz ze mną pogadać, co ci szkodzi.
– Nic takiego – odpowiada komuś. Słyszę to przez dłoń zakrywającą słuchawkę.
– Linda?
– Kim pan jest? Czego pan chce?
– Hej, Linda, pamiętasz, jak dźgałaś mnie paluchem między zębra? Pamiętasz, jak wykręca-
liśmy sobie nawzajem palce? Tylko że ty zwykle wygrywałaś, bo byłaś starsza. Byłaś silna, miałaś
silne ręce jak na dziewczynę.
– Do widzenia.
– Zaczekaj, jeśli odłożysz słuchawkę, zadzwonię znowu. Albo będę dobijał się do twoich
drzwi. Więc jak?
– Lepiej uważaj, bo prawo zabrania niepokoić ludzi.
– Przecież my się znamy. Nie możesz pogadać przez chwilę? Stanie ci się coś?
– Nie mam ci nic do powiedzenia. Trzymaj się ode mnie z daleka. Zostaw nas w spokoju.
– Tak się składa, że jestem w okolicy.
Miękki kapturek na słuchawce.
– Nic takiego, kolega. – Daniel słyszy jej stłumiony głos.
– Linda?
– Co?
– Tak się składa, że jestem w okolicy. Nie mam złych zamiarów. Mówię uczciwie. Dowie-
działem się, gdzie przedtem mieszkaliście. Odwiedzam przyjaciół w, hmm, UCI (*University of
California-Irvine - Uniwersytet Kalifornijski w Irvine*) i postanowiłem do ciebie zadzwonić. Czy to
coś złego?
– Czytaliśmy o tobie w gazecie. Wiem, co chcesz zrobić. Jeśli myślisz, że się ciebie boję, je-
steś w błędzie.
– Ja tak nie myślę. Reportaż był przesadzony, facet nie zrozumiał celów Fundacji.
– Mamy tu sporo przyjaciół. Oddanych przyjaciół, którzy znają nasze prawdziwe nazwisko.
Nie mamy nic do ukrycia. Więc nie myśl, że możesz mnie zastraszyć.
– Chcę tylko porozmawiać z twoim ojcem.
– Ale on nie chce rozmawiać z tobą.
– Kiedyś mnie lubił.
– Odkładam słuchawkę. Jeśli nadal będziesz nas nękał, zadzwonię na policję.
– Linda, zachowuj się jak człowiek. Co w tym złego, że chcę z nim porozmawiać?
– To stary i schorowany człowiek. Chce, żeby go zostawić w spokoju. Rozumiesz?
– No tak, oczywiście. Chciałbym wpaść i złożyć mu moje uszanowanie. Tylko na kilka mi-
nut.
– Oszalałeś.
– Byłem dzieckiem, kiedy to się wydarzyło, Lindo. Myślisz, że przez całe życie będę cho-
wał urazę? To strata czasu. Mam własne problemy.
– O Boże, to wszystko wyjaśnia, jesteś hipisem. Wierzę.
– Wszystkich nas spotkała krzywda. No nie? To było straszne. Wszyscy ucierpieliśmy. Nikt
z nas nie potrafi zapomnieć, a przecież kiedyś byliśmy sobie bliscy. Czuję potrzebę zobaczenia się
z wami. Czy to aż tak trudno zrozumieć?
Zaczęła płakać.
– Jak nas znalazłeś?
– Nie wiem. Ktoś mi powiedział dawno temu.
– Kto?
– Nawet nie pamiętam. Co za różnica? Nikomu o tym nie powiedziałem, nawet mojej sio-
strze. Nie pytałem go, sam mi powiedział. Kiedyś było mi przykro. Ale świat się zmienia, Lindo.
To, co wydawało się jasne, za chwilę już jasne nie jest. Tak jak kwestia prawdy i kłamstwa.
– Rozumiem. – Cisza w słuchawce. Pociąga nosem. – Uważasz, że masz prawo okazać

wielkoduszność i wybaczyć mojemu ojcu, to chcesz powiedzieć?

– Niezupełnie.

– To bezczelność, jasne. Typowa bezczelność Isaacsonów. Jaśnie państwa Isaacsonów, jak zwykle...

– Posłuchaj, to nie o to chodzi, i myślę, że to nie jest rozmowa na telefon.

– Jak śmiesz do nas dzwonić! Jak śmiesz!

Tym razem ja zamilkłem. Niech myśli, że doszedłem do wniosku, iż przewaliłem sprawę. Mocno przyciska higieniczną chusteczkę do nosa. Przelyka ślinę. Nasłuchuje. Czeka.

– Oczywiście, są między nami zadawnione żale, patrzymy na to z różnych perspektyw. Nie ma co zaprzeczać. Nie wiem nawet, dlaczego do was zadzwoniłem. Nie przyszło mi do głowy, że mój głos może wywołać szok. Przepraszam. Chyba powinienem jeszcze raz to przemyśleć. Ale sądziłem, że jak już tu jestem, to właśnie to powinienem zrobić. Chciałem zobaczyć się z twoim ojcem, to wszystko. Jak on się miewa?

– Jak się miewa? Dobrze. Jak na jego wiek.

– Świetnie. A twoja matka?

– Też dobrze.

– Cieszę się. Czy moglibyśmy się jakoś umówić? Będę tu tylko do jutra.

– Nie wiem.

– Muszę wracać na wschodnie wybrzeże. Przyjechałem na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy, ale chyba mnie nie zechcą.

– Wykładasz?

– Tak. Właśnie zrobiłem doktorat.

– Rozumiem. Gratuluję.

– To była harowa.

Zaśmiałem się z nutą lekceważącej autoironii w głosie. Poczekaliśmy, aż obraz się ustabilizuje. Jack P. Fein niezłe się spisał. „Nie mieszaj mnie do tego” powiedział, kiedy mu dziękowałem. Potem się wyłączył.

W 1949, kiedy Rosjanie zbudowali bombę, C. G. Jung rzucił trzy monety i zapytał I *Ching*, starożytną chińską księgę wyroczni, jak jej zdaniem zostanie to przyjęte w Stanach

Zjednoczonych. I *Ching* miała być dopiero wydana w Stanach i nikt, poza samym Jungiem i kilkoma sinologami, nic o niej nie wiedział. I *Ching* odpowiedziała, że jej zdaniem zostanie przyjęte bardzo uprzejmie.

Zakończyłem rozmowę telefoniczną z poczuciem, że na nowo obudziłem w Lindzie Min-dish radość życia. Opisałbym to tak: przez wiele lat, z pewnością przynajmniej tak długo, jak daleko sięgasz pamięcią, żyjesz z przerażającą świadomością nie załatwionych spraw. Dzwoni telefon. Uświadamiasz sobie, w jakim lęku stale żyjesz. Albo inaczej: przypuśćmy, że osoba, która dostała wpierdol, wpada do ciebie po to, żeby cię poprosić ni mniej, ni więcej tylko o to, żebyś jej znowu przypierdolił. Nowe życie samo się naprasza. Podnieca cię ten mrużący erotyzm, który pojawia się wraz ze zrozumieniem, że mimo wszystko coś ci ujdzie płazem.

Dom był małą, różową budką z różowymi sztukateriami. Stał przy bocznej uliczce między cudnymi, wiejskimi chatkami, w połowie kwartału od Pacific Coast Highway – odpowiednik bostońskiej Post Road na zachodnim wybrzeżu – która na tym odcinku jest drogą bezpłatną. Po obu jej stronach stoją stacje benzynowe, biura handlu nieruchomościami, zakłady fotograficzne, supermarkety, bary dla zmotoryzowanych i domy pogrzebowe w kolorze kości słoniowej. Nacisnąłem dzwonek. Powieść jako ukryte ja.

Linda wita mnie kwaśnym uśmiechem wyrażającym niesmak. Ma na sobie bluzkę z koronkowymi mankietami i koronkową stójką i spódnicę nad kolana. Jest chudą dziewczyną o bardzo krótkich, jasnych włosach w drobne loczki, o cerze jasnej, z tych, co pokrywają się plamami emocji, oczami po ojcu, osadzonymi zbyt blisko siebie, dużym nosem, długą twarzą. Płaska, ale za to z zaskakująco kształtnymi nogami. Nie jest tak wysoka, jak myślałem. Z drugiej strony, dużo dojrzalsza. Bardziej dorosła, niż można by sądzić po rozmowie przez telefon.

Zostaję wprowadzony do małego salonu umeblowanego kompletem „Amerykański Klon” od Searsa z powtykanymi tu i ówdzie drobiazgami, każdym z innej parafii. Wszystko jest tu uładzone jak w pudełeczku, skromne i bardzo zadbane. Ten pokój z pewnością nigdy nie gościł typa takiego jak ja. Z kanapy wstaje mężczyzna w ciemnym garniturze i krawacie. Włosy ma obcięte na jeża. Zostajemy sobie przedstawieni i wymieniamy uścisk dłoni. Wręcza mi swoją wizytówkę. Nazywa się Dale jakiś tam i jest prawnikiem.

Problem polega na tym, że ludzie nie oczekują cudów. Linda miała aż za dużo czasu, aby się przystosować i ułożyć sobie życie zgodnie z warunkami dyktowanymi przez sytuację ojca. Zwolniono go z więzienia w 1959. Zona i córka zabrały go do hrabstwa Orange. Sadie, matka Lindy, nie potrafiła niczego załatwić. Osiemnastoletnia Linda wybrała miejsce, nowe nazwisko dla rodziny, negocjowała z prawnikami. Pracowała, chodziła do szkoły, zrobiła dyplom ze stomatologii, a teraz ma prywatny gabinet w kompleksie handlowym w Newport Beach. Dowiedziałem się tego wszystkiego od Jacka Feina. Opiekowała się starszankami. Rządziła nimi. Tego się nie rzuca, ot tak sobie.

– Linda dobrze zrobiła – mówi do mnie prawnik. – Nie można oczekiwać od kogoś, że zgodzi się na spotkanie w takich okolicznościach jak te tylko dlatego, że się do niego zadzwoniło. Nie miała nawet możliwości sprawdzenia, czy jesteś tym, za kogo się podajesz.

– Jednak to on – odzywa się Linda. – Daniel Isaacson.

– Zatem twojego ojca tu nie ma – stwierdza Daniel.

– Nie ma.

– Czy wie, że dzwoniłem?

– Chciałbym ci zadać pytanie – wtrąca prawnik. – Czego chcesz? Po co tu przyszedłeś?

Daniel westchnął.

– Wie?

– Postanowiłam mu nie mówić, dopóki nie zdecyduję, czy powinien się z tobą zobaczyć.

Więc jeśli choć przez chwilę myślałeś, że się ciebie boi, byłeś w błędzie.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek się mnie bał – powiedział Daniel. Wyglądał na urażonego.

Usiadł na fotelu obitym tweedem, oparł plecy i wyciągnął przed siebie skrzyżowane w kostkach nogi. Potarł czoło. Spojrzałem na Lindę Mindish i zobaczyłem, że w kącikach ust oraz pod oczami pojawiły się oznaki przedwczesnego starzenia. Jest pięć lat starsza ode mnie. Dziesięć lat starsza od Susan. Ciężko pracowała. Patrzy na mnie i czeka. W oczach ma chyba wspomnienie naszego dziwnego związku, dźgania palcem między żebra, popychania, dotykania – miesiączkująca dziewczyna i ośmioletni chłopiec. Bez przerwy próbowała złamać Danielowi rękę, wykręcić mu palce, wbić mu paznokcie w ramię. Dlaczego? Selig, jej ojciec, wchodzi do domu Isaacsonów. Wchodzi doń bez pukania i zagląda do lodówki. Śmieje się i dowcipkuje z tym swoim polskim akcentem. Protekcyjnie traktuje tego dzieciaka, Paula. Patrzy z chorobliwą zazdrością na jego żonę. Jak się zaczęły moje stosunki z Lindą? W tym momencie jej twarz ma wyraz twarzy trzynastoletki, która ma nieszczęście wyglądać jak swój ojciec. Spadaj. To ulubione powiedzonko Lindy. Daniel, wyświadczyć mi przysługę. Jaką? Spadaj. Potem sztuczny śmiech, zimny błysk zębów, włączany i wyłączany, aby oświecić drugi stopień mojego wtajemniczenia – miałem prawo jedynie do doświadczenia coraz głębszych poziomów jej alienacji. Podrapała tę kwestię z jakiejś sztuki lub filmu, głośnego w tym czasie na Bronksie. Wyświadczyć mi przysługę: spadaj. Ćwiczyła na mnie każdą najnowszą świńską odzywkę wyniesioną z dżungli dziewczęcego świata starszych klas, którą mogłem sobie jedynie wyobrazić.

– Lindo, myślę, że powinniśmy przejść do rzeczy. Przede wszystkim masz na dzisiaj umówionych pacjentów – powiedział prawnik. Wyobraź sobie, że ręce w białym fartuchu zostały zmuśzone do bezczynności na dzień lub dwa. Masz przed sobą kobietę, która najlepiej sprawdza się w swoim gabinecie.

– Poznaję w tobie ten sam obraz, ten sam obraz, który widzę, kiedy patrzę w lustro. Znam go dobrze.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Obraz tych samych wspomnień. Nasze myśli obracają się wokół tych samych wspomnień. Jakbyśmy byli członkami jednej wspólnoty.

Usiadła na kanapie obok prawnika i ich ręce się zetknęły. Trzymali się za ręce, siedząc naprzeciwko mnie na kanapie.

– Linda jest już dorosła, więc mogę jej tylko poradzić, co ma robić – rzekł prawnik. – Powiedz nam, o co ci chodzi. Ani Linda, ani jej ojciec nie muszą się niczego obawiać z twojej strony. To nie ulega kwestii od strony prawnej. Nie jesteśmy zobligowani do omawiania tej sprawy z tobą. – Mówi „tej sprawy”, jakby machał parą brudnych majtek. – Chcesz pieniędzy? O to ci chodzi?

– Dale, czy jak się tam nazywasz – powiedziałem – dlaczego nie zamkniesz się na jedną cholerną minutę, Dale? Próbuję jej coś powiedzieć. Nie było cię przy tym, co? Nie pamiętam, że bym cię tam widział.

Prawnik zerknął na Lindę, zrywając się z miejsca. Był blady ze złości.

– Chcę cię ostrzec jako prawnik, że zastraszanie faktyczne bądź domniemane, tak samo jak użycie siły lub groźba jej użycia, w stanie Kalifornia są karane. – Celuje we mnie trzęsącym się palcem.

Daniel, jak mówca na trybunie, czekał, aż zapadnie cisza. Zamknął oczy. Dość już się face-towi naprzyglądał. Dużo o Lindzie powiedział mu wygląd jej prawnika: brązowe, błyszczące oczy, rzęsy jak u zwierzaków Disneya, porządne ubranie, ogolony prawie na łyso. Emanuje pasywizmem. Być uprzejmym. Może to z powodu jego podbródka, który za parę lat obrośnie tłuszczem. A przecieź wygląda jak z obrazka. Trzydzieści siedem, osiem lat. Niebezpieczny szerokobiodry białas.

Daniel otworzył oczy. Prawnik już usiadł. Przypuszczam, że chciał tylko pokazać Lindzie, że potrafi być stanowczy.

– Miałem na myśli nas oboje – odezwał się Daniel. – Nasze życie obfitowało w zdarzenia, za które żadne z nas nie ponosi odpowiedzialności. Zgodzisz się ze mną? Chyba jasno to wyraziłem?

Gapiała się na niego. Niemal niedostrzegalnie opuściła głowę, jakby zgadzała się, jakby chciała, żeby zobaczył, jak mała, jak płytka jest przestrzeń, w której oboje mogą się poruszać. I nawet tego musiała się wyrzec:

– Jednakże to ty do tego wracasz. To ty przyjeżdżasz tu, żeby wydobyć wszystko z zapomnienia.

– Mam nadzieję, że twój ojciec pomoże mi wyjaśnić kilka kwestii.

– Jakich kwestii? A są jeszcze jakieś? O ile wiem, wszystkie kwestie zostały wyjaśnione już dawno temu.

– Naprawdę chcesz, żebym mówił o tyra w obecności tego faceta?

– Dale i ja zamierzamy się pobrać.

Ich splecione dłonie leżą między nimi na kanapie. Złączeni w ten sposób gapią się na mnie: identyczne pozy, stopy płasko na podłodze, kolana razem – dentystka i jej narzeczony, para profesjonalistów. Moje serce grzęźnie w pustym spojrzeniu ich zaściankowości i unosi się gniewem, kiedy uświadamiam sobie, że cokolwiek chciałbym zrobić, potrzebuję ich pomocy. Przeleciałem trzy tysiące mil, żeby się z nimi spotkać.

Kilku rzeczy jestem jednak całkiem pewien. Nieprawdopodobne, żeby Linda Mindish i jej rodzice byli gotowi wrócić do swojej dawnej tożsamości. Sądzę, że oddani przyjaciele, o których wspomniała przez telefon, składają się wyłącznie z tego jednego gościa. On jest wielkim przełomem w ich życiu. Dlatego nadal jestem zagrożeniem. Jestem potencjalnie tym, kto może upublicznić sprawy, których żadne z nich nie chciałoby obecnie nagłaszać. Z drugiej strony, chociaż jest coś, czego chcą bronić, to jestem pewny, że przynajmniej on uważa, iż jego znajomość prawa i to, że prowadzi praktykę prawniczą tu, gdzie mieszka, oznacza, że mają nade mną przewagę. Ja jestem czymś przelotnym. Będzie chciał przekonać ją, że z łatwością sobie ze mną poradzi.

Lecz po moim telefonie mogło do niej dotrzeć – co stawiałoby jej przebiegłość znacznie wyżej od mojej – że moje podejście jest w istocie podejściem dyplomatycznym. I że chociaż powinna, co prawda, przewidzieć coś nawet tak głupiego jak to, że mogę uciec się do użycia siły, to jednak jest to mało prawdopodobne. I że może warto przeżyć kilka minut napięcia, żeby zobaczyć, co mam do zaproponowania. I może przecucie, że cokolwiek knuję, ona i tak wyprowadzi mnie w pole. I uwolni się od ostatniego ewentualnego związku z tą sprawą. Mieli *dzieci*. Pewnego dnia

będziemy mieli do czynienia z dziećmi. Poradzę sobie z nimi. Moi rodzice nie znoszą zimna. Nie mają przyjaciół, ale to samo można powiedzieć o innych. Nikt, kto tutaj mieszka, stąd nie pochodzi. Sąsiedzi witają ich co rano skinieniem głowy. Raz w tygodniu Japończyk porządkuje mały ogródek. Mam gabinet. Mam Dale'a. Rodzina Mindishów ma takie pieniądze, o jakich Selig nawet nie marzył. Dlaczego miałabym myśleć, że ten brodaty buntownik stanowi dla mnie większe wyzwanie niż całe moje życie po aresztowaniu ojca.

– Ciekaw jestem, z czego ty i twoja matka utrzymywałyście się, kiedy twój ojciec poszedł do więzienia.

– Co?

– Lindo, to nie jego sprawa.

– Miałaś czternaście albo piętnaście lat. Twoja matka nie należy do kobiet, które chodzą do pracy. Oszczędności starczą na sześć, siedem lat. A kiedy przeprowadziliście się tutaj, twój ojciec nie wrócił do zawodu, no nie? To znaczy, nie pracował po wyjściu z więzienia, jak sądzę. A ty zdołałaś skończyć college i stomatologię.

– Lindo, nie musisz tego wyjaśniać...

– Już dobrze, Dale. Widzę, dokąd on zmierza. Po pierwsze, college nie żądał czesnego od miejscowych – zwróciła się do mnie. – Poza tym dostawałam stypendia. Brałam dodatkowe zajęcia i udało mi się zahaczyć w pracy przez dłuższy czas. A po drugie, ojciec pracował w laboratorium. Przestał kilka lat temu.

Usiadła na brzegu kanapy ze splecionymi na kolanach dłońmi. Stopy trzymała razem.

– To prawda, co powiedziałaś, Danny, że ani ty, ani ja nie byliśmy odpowiedzialni za to, co się wydarzyło. Ale wszystko skupiło się na nas. Kiedy ojciec poszedł do więzienia, matka i ja strasznie to przeżyłyśmy. Ale było coś dobrego w tym doświadczeniu: odkryłam w sobie możliwości, których inaczej bym nie poznała. Z tego, co widzę i słyszę, ani ty, ani twoja siostra nie mieliście tyle szczęścia. Jednak pod wieloma względami mieliśmy gorzej niż wy. Wasi rodzice ostatecznie byli dla niektórych bohaterami. Przypuszczam, że dzisiaj w całej Europie Wschodniej można natknąć się na ulice Isaacsonów. Selig Mindish dla nikogo nie był bohaterem, mówiąc oględnie. To, co zrobił, nie przyniosło chwały ani jemu, ani jego rodzinie. Za coś takiego traci się przyjaciół. Idzie się do więzienia, gdzie podupada się na zdrowiu. A potem już nie można nawiązać nowych przyjaźni. Więc widzisz, że pod wieloma względami mieliśmy gorzej. Powiem ci coś: były takie chwile, kiedy chciałam, kiedy z całego serca pragnęłam, żeby mój ojciec został stracony, żebyśmy, Isaacsonowie i Mindishowie, mogli zamienić się miejscami, i że byłabym bardzo zadowolona, będąc w twojej skórze, gdybyś tylko ty znalazł się w mojej. Pozwól swoją chusteczkę, Dale.

Daniel spojrzął na nią. Splótł dłonie pod brodą i oparł łokcie na fotelu. Kiedy Linda wycierała nos, spoczął na nim jej zaskakująco opanowany i beznamiętny wzrok.

– Dzwonisz, obnosząc się z tą dętą hipisowską pokorą, i zaraz jak tylko pojawiaasz się w drzwiach, zaczynasz być niegrzeczny.

– Nie przyszedłem ze swoim prawnikiem – odpowiada Daniel.

– Chyba powinieneś.

– Nie schowałem nigdzie mojego ojca.

– Bierzesz mnie za idiotkę? Dlaczego mam ci wierzyć? Nic ci nie jestem winna. Cała twoja rodzina to banda kłamczuchów. Wszyscy tacy wzniośli, pełni wielkich ideałów, tylko nie wtedy, kiedy chodzi o innych.

– Co to ma znaczyć?

– Oszukiwali tatę. Odkąd się tylko poznali. Dawali mu do zrozumienia, że są od niego lepsi, ale nie na tyle, żeby nie mógł być ich szoferem, kiedy chcieli gdzieś jechać, albo żeby leczyć im zęby lub szpiegować dla nich. Nie był intelektualistą. Byłam dzieckiem, ale nawet ja zdawałam sobie sprawę, jak mało mieli dla niego szacunku i jak go wykorzystywali.

– Lindo, kochanie, uspokój się – rzekł Dale.

Ona była jednak spokojniejsza niż on. Tak jak aktor, który uspokaja się, gdy widzowie przejmują jego emocje. W ułamku chwili ujrzałem sytuację w całej pełni: racja była po stronie zła. Oto, co się z nami stało, dziećmi procesu – w nasze serca wkrada się przebiegłość, naszym umy-

słom rosną kły. Taka przebiegłość musi być wypalona w oku duszy; może się uformować tylko w ogniu. Nic na świecie nie powstrzymałoby nas przed zrobieniem użytku z naszego smutnego życia; w imię naszego bólu każda zdrada była usprawiedliwiona, dla naszej ojcowizny każdy cel był dobry. Gdybyż tylko Susan mogła mieć choćby małą jej cząstkę! Ale we wszystkim, co robiła Susan, była niewinność: nieważne, na ile hałaśliwe, absorbujące, głupie, samodestrukcyjne było jej zachowanie, we wszystkim, co robiła, była niewinność. Ta suka to inna sprawa. Wyobraziłem ją sobie w łóżku. Byłem pewny, że by mi nie odmówiła. Dlatego zawołała swego narzeczonego – nie żeby bronić się przed moją natarczywością, ale żeby w niczym nie naruszyć zaplanowanego zerwania z życiem Lindy Mindish. Mogłaby wrócić do niego bardzo szybko. Jednym, krótkim pchnięciem. Byłoby to ciekawe i nie obyłyby się bez krwi, kazirodztwo krwi śmierci spermy jajeczka, bardziej ohydne, niż gdybym zrobił to z rodzoną siostrą. Ja i Linda Mindish – podglądacze idealnie spreparowani – posiadaliśmy dostatecznie duże pokłady zepsucia, żeby ugasić żar słońca.

A potem chwila minęła i zobaczyłem ją zamkniętą w kręgu jej rodzinnej prawdy, tak jak my byliśmy zamknięci w naszej. Czy były to jej własne sformułowania, czyjej matki, Sadie? Czyż Sadie i jej mąż nie układali ich latami podczas widzeń? Czy nie byli do tego zdolni? Zrozumiałem, że daję Lindzie okazję do wypowiedzenia na głos sprawiedliwej skargi, nad którą jej rodzina pracowała przez piętnaście lat.

– Cóż, wstrętni Isaacsonowie nie żyją, Lindo. Bać się możesz tylko mnie. A co ja mogę ci zrobić? Zdradzić prawdę o tobie twoim przyjaciółom i sąsiadom z hrabstwa Orange w Kalifornii? Przeniosłaś się tu przecież z jakiegoś powodu. To był przebiegły wybór. Gdyby wasz kamuflaż został odkryty, zawsze znalazłoby się tu miejsce dla byłego komunisty. Prawda? Ostatecznie twój starszerek pomógł wpakować do mamra siatkę niepoprawnych szpiegów. Przecież on też miał swój udział w doprowadzeniu do egzekucji niesławnych Isaacsonów, no nie?

Linda spochmurniała.

– Jego zeznania znajdują się w aktach – odezwał się prawnik.

– Pewnie, że tak, ale zostają jeszcze pytania, na które trzeba odpowiedzieć. – Daniel zastanawiał się chwilę. – Na przykład, czy pytałaś go kiedyś, dlaczego postanowił się przyznać? Jesteś prawnikiem, Dale. Nie ciekawiło cię to z zawodowego punktu widzenia? To jedna z najsłynniejszych spraw.

– Naiwne pytanie.

– Dlaczego? Dlatego, że został przyłapany? Ze oczyścił się z zarzutów, przyznając się do winy i mówiąc prawdę? I że zrobił to, żeby odprawić t a k ą pokutę, co? Dlatego to zrobił – bo został złapany i nie miał wyboru? A może dlatego, żeby się ratować, żeby uratować własne życie. Tak myśleli moi rodzice – uważali, że wrobił ich, żeby uratować siebie. Byli przekonani, że jest szpiegiem. Albo udawali, że tak myślą. Wszystko to jest bardzo zagadkowe.

– O czym ty mówisz? – spytała Linda.

– Cholera, nie wiem. Chciałem powiedzieć twojemu ojcu, że uważam go za niewinnego. Chciałem mu to wyłożyć.

Spojrzeni po sobie przelotnie, jakby obawy, które mieli przed moim przyjściem – że jestem szaleńcem – okazały się prorocze. Linda założyła nogę na nogę, poprawiła spódnicę. Wyjęła papierośa z paczki leżącej na brzegu stołu i trzymając go sztywno w palcach, jak to robią palące damulki, czekała, aż Dale wyjmie zapalniczkę.

– Zasmucasz mnie.

– No cóż, wiem, że trudno to przelknąć. Sam miałem z tym kłopot. Ale zacznij od tego, że istniała siatka szpiegowska i wszystko było tak, jak zeznawał w sądzie. Musisz zadać sobie pytanie, dlaczego. Jedynym dowodem było jego przyznanie się do winy. Gdyby odmówił składania zeznań, nie byłoby żadnego śledztwa, nawet w jego sprawie. Mój ojciec, mam na myśli mojego przybranego ojca, uważa, że FBI go szantażowało. Uważa, że Selig po prostu załamał się podczas przesłuchań. Trzymali go przez długi czas. Mieli na niego jakiegoś haka, może w sprawie obywatelstwa. Że nie jest, eeee, na tyle obyty, żeby się połapać, co wolno, a co nie. Aleja się z tyra nie zgadzam.

– Ach tak.

– Tak. Możliwe, że doskonale orientował się w sytuacji. Analiza dokonana przez mojego

ojca dowodzi nieznamości starej Lewicy. Życia prześladowanych członków Partii Komunistycznej w tamtych latach. Tego brakuje w jego analizie. Kilka lat wcześniej inne małżeństwo, dobrze znane wszystkim towarzyszom na Bronksie, zniknęło z partii. Słyszałaś o nich? Wśród szeregowych członków partii – a musisz wiedzieć, że nikt z naszych rodzin lub ich przyjaciół nie był niczym innym niż szeregowym członkiem partii – krążyła plotka, że tamci zeszli do podziemia i rozpoczęli działalność szpiegowską. Podjęli się jakiejś bohaterkiej, tajemniczej działalności, tamta para. Wiesz, jak się nazywali? Czy twój ojciec wspominał ci o nich? Czy w ogóle powiedział cokolwiek na ten temat?

– Nie, Danny.

– Tamci mieli dwoje dzieci. Byli mniej więcej w tym samym wieku, co moi rodzice. Narodziło wokół nich mnóstwo legend. Nie mówiło się o nich głośno. Kto wie, ile mieli dzieci? I w jakim byli wieku? Musieli być jednak całkiem młodzi, mieć dzieci, i mówiono, że mieszkają jedynie kilka przecznic dalej, przy Concourse.

Pomyśl o tym przez chwilę. Spójrz na mnie.

– Czy to wszystko? – pyta prawnik.

– No, w każdym razie sedno sprawy.

Prawniki potrząsa głową i uśmiecha się smutno.

– To czysta spekulacja, mówiąc oględnie.

– Racja. Dlatego chcę porozmawiać z Seligiem.

– Przestań nazywać mojego ojca Seligiem – rzekła Linda.

– Ciągle mam jego plomby w zębach – powiedział Daniel z uniesionymi dłońmi.

– Nie wiem, czy cię dobrze zrozumiałem.

– Och, Dale, to absurd.

– Kochanie, sekundę. Mówisz teraz, że doktor Mindish kłamał na temat twoich rodziców z szacunku dla innego małżeństwa, które było do nich podobne?

– Nie wiem, czy byli do nich podobni. Żeby chronić inną parę, która realizowała tajną misję, jak sądzono. Żeby utrzymać FBI z dala od ludzi, którzy mieli dużą wartość, a zostali osaczeni. Trzeba było odwrócić od nich uwagę, bo robiło się wokół nich gorąco.

– A więc twoim zdaniem doktor Mindish był niewinny i wymyślił tę historyjkę o sobie i twoich rodzicach?

– No cóż, właściwie, aby ta teoria była prawdziwa, Selig nie musi być niewinny. Mógł odgrywać jakąś marginalną rolę. Mógł być do tego zmuszony. Ale dobrze, powiedzmy, że był niewinny.

– I że ta legendarna para, ci inni ludzie, byli tymi, którzy w rzeczywistości wykradli tajemnice?

– No cóż, niekoniecznie, ponieważ nigdy nie zostało udowodnione, że jakieś tajemnice zostały skradzione. Nie to się naprawdę zdarzyło lub miało zdarzyć. Selig i niektórzy inni – albo tylko niektórzy inni – myśleli, że to się zdarzyło lub miało zdarzyć. To była taka sama fantazja, jak domysły FBI.

– Rozumiem. I masz jakieś dowody lub informacje na poparcie swoich twierdzeń?

– To tylko teoria, stary – powiedział Daniel z uśmiechem. – Moja teoria na temat istnienia innego małżeństwa.

TEORIA NA TEMAT INNEGO MAŁŻEŃSTWA

W Upadku amerykańskiego komunizmu Shannon pokazuje, że kilka lat po zakończeniu wojny Amerykańska Partia Komunistyczna w ogromnej mierze sama doprowadziła się do upadku. Komuniści mieli instynktowny spryt i pychę gwarantujące powodzenie w popełnianiu samobójstwa. To normalne u ideologów klasy pracującej, męczenników z wyboru, tuby stalinizmu, sentymentalistów, wizjonerów, buntowników, histeryków, fantastów i marzycieli – nic dziwnego, że z ich podszycy grozą podziwu dla kogoś naprawdę rzutkiego narodziła się legenda. Na ironię zakrawa fakt, że powstała samorzutnie, że nie była zaplanowana przez ich pracownie konstruowane, kolektywne, mityczne ja. Ale już wcześniej okazali się bezradni. *Też mamy swoich śmiałków. Mamy swoich mło-*

docianych włamywaczy i roześmianych caballeros. Swojego George'a Raftsa rzucającego monety. Swoich jeźdźców w maskach. Mamy ich.

Tajemnicze małżeństwo z Grand Concourse i ich dwoje dzieci wyszło z mieszkania pewnej niedzieli, jakby udawali się na wycieczkę. Nie mieli bagaży. On na ramieniu miał zawieszony aparat, ona torbę na zakupy w ręce. Zostawili posprzątané mieszkanie, z naczyniami ociekającymi na suszarce, i nigdy do niego nie wrócili. Stało się to wkrótce po aresztowaniu mojego ojca. Później pojawiły się pogłoski, że mieszkają pod innym nazwiskiem w Nowej Zelandii. Chodziły słuchy, że widziano ich, jak podróżują po Anglii z australijskimi paszportami. Że podróżują po Francji z brytyjskimi paszportami. Że aresztowano ich w Berlinie Zachodnim, trzymano sześć miesięcy bez procesu i wymieniono na dwoje Anglików przetrzymywanych przez Rosjan w Moskwie. Ostatnio ktoś twierdził, że mieszkają w Leningradzie.

Kiedy Selig Mindish został wezwany na podium dla świadków, moja matka wyprostowała się na krześle, skrzyżowała ramiona i podniosła głowę. Oto on. Wyglądał, jakby się skurczył. Kiedyś był potężnym mężczyzną, więc przeżyła szok na jego widok. Cały zapadł się w sobie. Szyja stercząca z kołnierzyka koszuli, garnitur, który zdawał się zsuwać, kiedy Selig się poruszał. Ale gruby nos wciąż był gruby i perłowszare oczka błyszczały psią inteligencją, kiedy zwracał się ku asystentowi Feuermana, temu sługusowi, który prowadził jego przesłuchanie.

W tym momencie procesu omal nie straciła panowania nad sobą. Jake powiedział im, czego mają się spodziewać. Mimo to wysłuchiwanie kłamstw wypowiedzianych ze znajomym akcentem przez gorliwie potakującą głowę wieloletniego przyjaciela okazało się zbyt trudne do zniesienia. Czowała się tak, jakby jej skrzyżowane ramiona utrzymywały w ryzach całe ciało. Łzy napłynęły jej do oczu i spłynęły do gardła. Żaden mięsień nie drgnął. Ciało poraził prąd gniewu. Miała ochotę zerwać się z krzesła, złapać Seliga Mindisha za gardło i wyrwać mu język.

A on na nich nie spojrzał. Nawet kiedy poproszono go, by wskazał na nich palcem, uczynił tylko gest ręką, pokazując, z oczyma utkwionymi w prokuratorze, w kierunku stołu, przy którym siedzieli. Nie spojrzał w ich stronę. Notując coś na kartce, Jake złamał ołówek. Mindish mówił dalej, sypiąc nazwiskami i datami, przypominając rozmowy. Nie odrywała od niego wzroku. Łzy obeschły. Gniew minął. Bez przerwy patrzyła na świadka, z uwagą koncentrowała wzrok na podium dla świadków, obejmowała się ramionami. Zmuszenie Seliga Mindisha, aby zauważył jej obecność na sali sądowej, stało się dla niej ważniejsze niż życie. Pragnęła tego. Chciała wydobyć z tej trupiej kreatury potwierdzenie swej egzystencji. Potrafiła pogodzić się z prześladowaniem, ze śmiercią, ale nigdy z tak monstrualnym kłamstwem, które było fałszowaniem jej prawdziwego życia. Spójrz na mnie, świnio! Spójrz! Dowiem się, dlaczego to zrobiłeś. Nie będziesz mnie ignorował. Jesteś mi winien spojrzenie swojej zgnilej, tchórzliwej duszy. Ty morderco, ty Kozaku! Świnio! Spójrz na mnie. Wyzywam cię, żebyś na mnie spojrzał.

W tym momencie dentysta opisywał w zeznaniach, jak to niektóre rysunki przechowywał w ciemni, którą urządził w szafie w swoim gabinecie. Rysunki były pomniejszane i wydrapywane na dentystycznej kliszy rentgenowskiej. Między kartami pacjentów, szlifierkami i gipsowymi szczękami. Malutki asystent prokuratora podszedł do swego stołu i wrócił z oprawionym jak przeczecze kawałkiem dentystycznej kliszy rentgenowskiej, trzymając ją w dwóch palcach.

– Czy to miał pan na myśli?

– Tak.

– Czy mógłby pan to obejrzeć i powiedzieć sądowi, co to jest?

Biorąc kliszę do ręki i odwracając ją pod światło, Selig Mindish zaczął się uśmiechać – naprawdę – tak jak dzieci, które nadymają policzki i parszczą przez nos, kiedy ma się wydać ich tajemnica. Ten człowiek był kretynem. Ale zanim wyrzekł słowa, które zaprowadziły ich do grobu, odwrócił się i spojrzał przelotnie na Rochelle, przez ułamek sekundy patrząc jej prosto w oczy z tym samym idiotycznym uśmiechem gasnącym na ustach i z głupim, ale ważnym kawałkiem kliszy rentgenowskiej w szpatułkowatych palcach – i w małych, świńskich, szarych oczkach dentystki dostrzegła cień świadomości, której szukała: przyznał, że ona istnieje. Grymas potwierdzenia tej chwili na sali sądowej, chwili w ich życiu; oszołomiło ją, gdy wyczytała z niego przesłanie człowieka, który patrzy na nią nie jako zdrajca

powieść jako sekwencja analiz. Ale co z katem? Spokojny, szanowany człowiek, obecnie na emeryturze. Jego numer znajduje się w książce telefonicznej miasta Yonkers

nie, nie jako zdrajca błagający o przebaczenie, nie było widać w tym błagania o przebaczenie ani wyrachowanej nienawiści, która mogła go do tego pchnąć i usprawiedliwić go, nie, ani hipnotycznego spojrzenia faceta z zaprogramowaną amnezją, ani aktorskiego spojrzenia współoskarżonego, odgrywającego swą rolę na użytek sądu – nic z tych rzeczy: dał wyraz zaufaniu, jakie mają do siebie towarzysze, współwinni, ale gotowi do samopoświęcenia, i to, co powiedziałem, wyczerpuje możliwości mojego przekazu, ale musiałeś się już zorientować, co i dlaczego się dzieje. Ujrzała życie towarzysza, życie pełne straszego, wzajemnego żalu, smutnej determinacji, i przeświadczenie dzielenia tej samej wiedzy, jej podtekstu seksualnego. A potem odwróciła się, żeby spojrzeć na męża. Ascher pochylał się nad stołem, coś zaciekle notując. Zza pleców Aschera wyłonił się skamieniały obraz człowieczego losu: jej mąż siedzący prosto, z zamkniętymi oczyma i z wyrazem bólu na twarzy, który wygiął mu kąciki ust ku górze. I byli nie na procesie, ale znów na letnim obozie w Pine Lodge – Mindish, Paul i Rochelle – trzymali się za ręce i podnosili je ku jeżynowej nocy, a przygrywały im skrzyпки świerszczy i żabia kapela. Wirowali w skomplikowanych figurach, nurkowali pod arkadami ramion, zadziwiając braci pokazem tańca ludowego o nieskończonej urodzie, nieprzemijającej gracji. Wtedy przyszła jej do głowy straszna myśl, że Paul nie musiał odwzajemniać spojrzenia Mindisha. Ze kiedy ona chroniła go przed swoim przerażeniem, on ukrył przed nią jedno ze swoich zasadniczych uczuć.

I że to, co nią w tyra momencie owładnęło, jej mąż już wcześniej odczuwał w głębi serca.

W jednym z jej ostatnich listów do męża jest taka linijka. Hazardzista *nie ma żadnych praw*. Linijka *non sequitur*. Linijka, która nie ma sensu. Jej kontekstem jest jedna z tych nieszczęsnych rozmów, jakie pozwolono im prowadzić przez druty kolczaste raz w tygodniu, małżeńska sprzeczka, prowadzona po cichu, na chybcika, w rozgorączkowaniu, poniżeniu i mdłościach; kiedy on starał się uzyskać jej aprobatę dla tego, co zrobił na własną rękę, dla wciągnięcia jej w tę sprawę, dla przyjętej linii obrony, dla zaryzykowania w tej grze ich życia. Po niepowodzeniu trzeciej apelacji zerwała z nim wszystkie kontakty. Przypisuje się to zwykle jej powszechnie znanym zaburzeniom umysłowym – sąd raz w tygodniu przysyłał do niej psychologa na rozmowę. *Chcę, żebym dostosowała się do ich koncepcji umierania*, napisała do Aschera. Ale przez ostatni miesiąc życia nie pisała do Paula i dokładnie nie wiadomo, czy widzieli się wieczorem przed egzekucją, chociaż uważa się, że tak. Prawdopodobnie się spotkali, na ostatni taniec przed śmiercią, na pogodzenie się ze sobą żarliwie z miłością ze strachem, a dozorczy więzienni przemykali korytarzami kamienie stukwały kraty grzechotały; i zadrżeli poddali się falom dreszczy spazmom skurczom wstrząsoms jakby śmierć na krześle elektrycznym była czymś, co ludzie przeżywają razem.

– Chyba postradałeś rozum – powiedziała Linda Mindish. Z wściekłością wgniotła papierosa w popielniczkę. – Żal mi ciebie. Czy to z tego powodu chcesz zobaczyć się z moim ojcem? – Zażądała się. – O mój Boże, o mój Boże. – Wstała, wygładziła spódnicę i bluzkę.

– Nie nabrałaś się.

– Mój biedny, udręczony chłopcze. Wiedziałaś, że tego chciał. Miał to być sposób, żeby się z tego wywinąć. Wyobrażasz sobie? – Zwróciła się do Dale'a. – Słyszałeś kiedyś coś tak naciągane-go i absurdalnego? Mój Boże. Słuchaj, Danny, spotkanie z moim ojcem nic ci nie da. Mój Boże, im dłużej o tym myślę! Pozwól, że coś ci powiem, bo muszę iść. Straciłam przez ciebie dość czasu. I pamiętaj, że nie boję się ani ciebie, ani zamieszania, jakie mógłbyś wywołać. Nie jesteśmy byle kim. Zaczynij tylko rozrabiać, a pożałujesz. Tato nie powiedział nawet połowy tego, co wiedział. Oni byli ubabrani we wszystko, w rzeczy, które nigdy nie wyszły na procesie. Mieli swoje wtyczki w badaniach kosmicznych, w pracach nad bronią rakietową i biologiczną, we wszystkim. Twoi rodzice stali na czele całej siatki. Oni tym wszystkim kierowali. Wymyślali plany i opłacali ludzi. Wiedzieli o laserach dużo wcześniej, zanim ktokolwiek cokolwiek o nich słyszał. Wszystko. Więc nie bądź bezczelny i nie mów, że mój ojciec zrobił z nich ofiarę. Ani że mógł kogokolwiek poświęcić. Nie wywiniesz się z tego tak łatwo. Twoi rodzice byli tym, kim byli, i nic, co zrobisz, tego nie zmieni. Inne małżeństwo. Mój Boże, żalosne.

– Lindo, przeleciałem trzy tysiące mil. Chcę usłyszeć coś więcej niż oficjalne, rodzinne sta-

nowisko. Tylko o to mi chodzi. Mogę dostać szklankę wody? – Wstałem. – Powiedz mi tylko, gdzie jest kuchnia, a sam sobie wezmę.

– Zostań tu – powiedziała. – Przyniosę ci. A potem masz sobie pójść.

Kiedy jej nie było, zapytałem prawnika:

– Gdzie jest Selig?

Spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział, jakby bez jej ręki na plecach był tylko kawałkiem drewna.

– Selig! – wrzasnąłem. – Selig Mindish, jesteś tam!

Wróciła Linda, niosąc szklankę w zielonym plastikowym koszyczku.

– Szkoda gardła.

Prawnik wstał i oboje patrzyli na mnie, kiedy piłem.

– Ach, Lindo – czułem się tak, jakbyśmy stali blisko siebie na zatłoczonym przyjęciu. – Co się z tobą działo? Nie jesteś małą hipsterką, którą pamiętam. Co się stało, kiedy Rosjanie wyprodukowali bombę? Coś się zmieniło, prawda? Sytuacja się wyklarowała, supermocarstwa sobie odpuściły, co reszcie ludzkości dało chwilę wytchnienia. Ale bomba wyrwała Rosję z objęć rewolucji. Ściągała ją w dół, stara. Pograżała ją. Pojawiły się więc też dobre rzeczy. Zupełnie nowe obszary działania: partyzantka, wojna partyzancka, przywrócenie do łask dawnych możliwości, jakie daje rewolucja – oto, co się stało. Rewolucja wróciła do ludu. Spójrz na dzisiejszy świat. Podnieca się swoją edukacją. Podnieca się, stara. Cały świat jest tak nabuzowany, że aż mu staje. A zatem, jeśli moi rodzice popełnili wtedy to, o co ich oskarżano, a to, co mamy teraz, jest rezultatem tego, co zrobili, to czy naprawdę myślisz, że nie chciałbym się do tego przyznać?

Pokręciła głową.

– Chyba ci odbiło.

– Nie, Lindo. Odwróciłaś się plecami do historii. Spójrz na to. – Rozłożyłem ramiona, pokazując dom. – Gdzie się podziała tamta młoda koza, którą znałem? Jestem przerażony. Naprawdę przerażony. Chodzi mi o to, że jeśli ma to być przykrywka, część waszej nowej tożsamości, to jest ona w złym guście. Twojemu ojcu naprawdę odpowiada taki szajs?

– Dale, chcę, żeby on sobie poszedł.

– Naprawdę jesteś dentystką, to znaczy masz fotel i tak dalej?

– Picuje, jak oni to nazywają.

– Proszę, Dale, on zwariował.

– Czas na ciebie – wtrącił się Dale. – Jeśli natychmiast nie opuścisz tego domu, zadzwonię na policję.

– Nie rób tego, Dale. Powiedz mi tylko, gdzie znajdę starego. Nic mu nie zrobię. Naprawdę go tu nie ma?

– Nie.

– Zrozum, Lindo. Popatrz na Dale'a, na jego piękny, drogi garnitur i krawat. A to jego uczenie! Gdyby to byli jego rodzice, chciałby, żeby istniało inne małżeństwo. Ale to chodzi o moich rodziców. A czyja wyglądam jak Dale? Spójrz na mnie. Rozumiesz teraz, co to znaczy? Muszę usłyszeć z ust Seliga to, co mi przed chwilą powiedziałaś. Chcę wiedzieć, czy ludzie, których wskazał palcem, naprawdę byli tymi, którzy to zrobili. Chcę to usłyszeć od niego. To wszystko.

W tym momencie Linda chyba zrozumiała, że naprawdę jestem niebezpieczny. Uśmiechnąłem się i szklanką wody wzniosłem toast za ich zdrowie. Ten, którego nazwała żalonym, to był jej Daniel. Skoro jej własny instynkt ją zawiódł, to kim w rzeczywistości byłem? I czego naprawdę chciałem?

Gdy człowiek zmienia swoje życie, zaczyna się gubić. Gdy zajmuje stanowisko, traci kontakt. Zaczęła się bać. Będziemy mogli jej na to pozwolić, jeśli nie będziemy wymagać od niej, aby postępowała pod wpływem strachu: wszystko, co udało jej się osiągnąć, to otoczyć murami obronnymi swój strach. Jedno dźgnięcie palcem i fortyfikacje się wałają.

Znam to zjawisko: Susan, powiedz jej, że twój brat, który mieszka w bibliotece, dobrze wiedział w tamtej chwili, co przeżywa córka Seliga Mindisha. Jeśli przestała ufać swoim sądom, mogła czuć się bezpiecznie tylko wtedy, gdy zakładała najgorszą ewentualność. Wreszcie wyczytałem

z jej twarzy, że dotarło do niej, po co przyszedłem: żeby zetrzeć z powierzchni ziemi jej rodzinę.

– Ja też mam jakieś prawa, no nie, Lindo? Pomyśl o tym. Czy mnie nic się nie należy? Nawet minuta rozmowy z twoim tatą? Zastanów się.

– Danny, przysięgam, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Ja poczuję się lepiej. A potem wyjadę i nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Mam samolot dzisiaj po południu.

– On jest stary. To już nie ten sam człowiek. Naprawdę nie sądzę, żeby mógł ci pomóc.

– Pozwól, że sam to ocenię.

Spojrzała na mnie. Mogę tylko przypuszczać, o czym myśli. Pewnie przepaliłem w niej jakiś bezpiecznik odpowiedzialny za lekkomyślność; pewnie wszyscy mamy zaszczepiony jakiś pęd do destrukcji. Lindy dotyczyło to w nie mniejszym stopniu niż mojej siostry czy mnie. Prawdopodobnie nienawidziła swojego ojca równie mocno, jak go kochała, i tylko jakąś niesamowicie okrężną drogą, pod wpływem nagłego uświadomienia sobie osobistego zagrożenia, dała się przekonać, że mamy wspólne interesy. Gdybym był niepoczytalny i zabił Seliga Mindisha, czy nie uwolniłoby to jej na resztę życia z odziedziczonego poczucia winy? Jakże ta Linda potrafiła się kontrolować. Jakąż tłamszona chęć uwolnienia się kryje się za takim opanowaniem. A może chciała, żeby to, co powiedziałem, okazało się prawdą; żeby mogła przekonać się, że nie jest córką niesławnego kapusia, ale przebiegłego architekta, który nie tylko dowiódł, kim są w istocie aroganccy Isaacsonowie, ale także wyprowadził w pole rząd najpotężniejszego kraju na świecie.

A może uświadomiła sobie, że moje radykalne skłonności czynią ze mnie łatwy cel, i pomyślała, że cokolwiek się stanie, to ona wymierzy ostatni cios.

Zadzwoiła do gabinetu, aby odwołać wszystkie umówione wizyty, i Dale usiadł za kierownicą swego oldsmobila 98, Linda w środku, a ja obok Lindy – udo przy udzie. I zawieźli mnie do Anaheim, miasta leżącego gdzieś pomiędzy Buchenwaldem a Belsen, gdzie państwo Mindishowie spędzali dzień w Disneylandzie.

DISNEYLAND W ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA

Najsłynniejszy park rozrywki ma kształt macicy. Położony jest na równinie zabudowanej motelami, restauracjami, stacjami benzynowymi i kręgielniami i graniczy z gigantycznym parkingiem dla gości. Po parku kursuje kolejka jednotorowa wożąca turystów do Hotelu Disneylandzkiego. Po obwodzie krąży replika dziewiętnastowiecznej kolei – „Santa Fe – Disneyland” – pieczołowicie odtworzona wraz z dworcami, konduktorami, lokomotywą parową i wagonami typu Surrey. Cały park jest podzielony na pięć różnych obszarów tematycznych: Amerykański Dzik Zachód zwany Pograniczem, świat nowych technologii zwany Krainą Jutra, świat literatury dziecięcej zwany Krainą Baśni oraz Kraina Przygód, która oferuje rozrywkę kolonizatorów – penetrację dzikiej dżungli, gdzie poluje się na grubego zwierza i odkrywa tubylcze wioski. Gości zaprasza się do odwiedzenia każdego obszaru i korzystania z jego atrakcji według uznania. W środku parku, gdzie zbiegają się granice wszystkich obszarów, znajduje się plac. I piąty obszar tematyczny, aleja zwana Amerykańską Ulicą Główną, romantyczny obraz życia w małym miasteczku z przełomu stuleci, która niczym kanał rodny prowadzi z placu do głównej bramy.

Podobnie jak we wszystkich wesołych miasteczkach jedną z największych atrakcji jest przejażdżka, czyli podróż.

W Disneylandzie godna uwagi jest wymyślność tej zdawałoby się prostej przyjemności. Próżno tu szukać zwykłego roller-coastera czy diabelskiego młyna, chyba że zakamuflowanych w postaci zjazdu bobslejem z plastikowego Matterhornu albo ruchomego chodnika. W modelu łodzi podwodnej zaopatrzonej w prawdziwe węży zwiedzający przeżywają symulowane zanurzenie, podczas którego bulgocze woda, a przez bulaje widać gumowe ryby machające ogonami. Przewodnicy mówią, że są to łodzie o napędzie atomowym i dlatego noszą nazwy okrętów amerykańskiej marynarki wojennej. Disneyland przyciąga obietnicą nie tylko przeżycia dreszczyku kontrolowanych emocji podczas miłej przejażdżki, ale również uczestniczenia w kulturowym rytuale. Przejażdżka łodzią zastępuje rejs po Missisipi parowcem o napędzie kołowym, na kucyku – karawanę jucznych mułów udającą się górskim szlakiem do miejsca, gdzie odkryto złoto. Wartością przeżycia

jest nie sama przejażdżka, ale funkcja zastępcza, którą pełni.

Turysta, który chciałby sprostać zadaniom postawionym mu przez twórców Disneylandu, staje przed dwoma problemami. Pierwszy polega na tym, że choć sam środek lokomocji jest zadziwiająco realistyczny – technologicznie doskonały i historycznie bez zarzutu – to z jakiegoś powodu modele roślinności, zwierząt i formacji geologicznych już z daleka wyglądają nieprawdziwie. Kiedy podróżuje się rzeką przez dżunglę, rośliny i zwierzęta na brzegu zdradzają swoją plastikową cielesność i elektroniczne instynkty. Skały malowanej pustyni czy Wielkiego Kanionu nie omamią nawet najmniej wyrobionych odbiorców. Druga trudność wiąże się z tym, że w Disneylandzie zawsze roi się od ludzi. Ludzie są dosłownie wszędzie. Dlatego też kiedy turyści z parowca Marka Twaina na Missisipi spoglądają na wzgórza, to widzą turystów na karawanie mułów, którzy widzą ich. Wielość masy ludzkiej powoduje nieustanne sprzężenie zwrotne, a zatem wysiłek włożony w uzyskanie namiastki przygody zostaje zniweczony widokiem własnego odbicia w oczach innych.

Tematyczne obszary Disneylandu odwołują się bardzo często – zazwyczaj w formie przejażdżki, pokazu lub wyrobów pamiątkarskich – do postaci i tematów z naszej spuścizny literackiej. Są wśród nich: Alicja w Krainie Czarów (Przejażdżka w Filizance Szalonego Kapelusznika), Piotruś Pan (Lot Piotrusia Pana), Życie na Missisipi (Barka Marka Twaina), O czym szumią wierzby (Szalona Przejażdżka Pana Ropucha), Szwajcarscy Robinsonowie (Domek Na Drzewie) i Przygody Tomka Sawyera (Tratwy z Wyspy Tomka Sawyera). W dodatku pełno nawiązań do różnych postaci historycznych, mitycznych lub legendarnych, jak np. Król Artur, Śpiąca Królowa, Królowa Śnieżka, Casey Jones, Mike Fink, Jean Lafitte oraz Abraham Lincoln. Trudno znaleźć klucz, według którego wybrano te, a nie inne postacie. Większość z nich przeszła wcześniej obróbkę filmową, zmieniając się w postacie filmu fabularnego albo animowanego, i została wybrana, aby przypominać o potędze wytwórni Disneya na gruncie kultury zachodniej. Poza tym nie widać jednak żadnej prawidłowości. Warto przy okazji zauważyć, że źródłem pierwszych sukcesów Walta Disneya w jego pierwotnym medium, czyli kreskówce, były postacie przez niego wymyślone. Film animowany jako taki – wyjąwszy przykłady późniejszego szacunku, który Disney przejawiał dla dobra publicznego, jakim jest literatura – osiągnął zdolność wyrażania zbiorowej nieświadomości społeczności Amerykańskich Prostaczków. Dzisiejsze badania nad produktami wytwórni filmów animowanych z lat dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych wskazują na teologię kreskówki: 1. Ludzie są zwierzętami. 2. Ciało jest śmiertelne i wystawiane na niewiarygodne cierpienia. 3. Życie jest antagonistą istot żywych. 4. Ciało można kroić, miażdżyć, mrozić, rozciągać, palić, wysadzać w powietrze i szarpać w takt muzyki. 5. Głupki są prześladowane przez cwaniaków, a cwaniacy padają ofiarą swojej przebiegłości. 6. Mali są męczeni przez dużych, a duzi padają ofiarą własnej siły. 7. Potrafimy chodzić w powietrzu, ale tylko tak długo, jak długo podtrzymuje nas złudzenie. Realizowany niestrudzeniem przez wytwórnię Disneya program filmowych adaptacji dzieł literackich, mitów i legend można interpretować jako próbę ucieczki od ponurych i awanturniczych zakończeń właściwych gatunkowi – tak samo dzieciak z czynszówki na Lower East Side mógłby dorastać z ambicją wybudowania sobie rezydencji na Piątej Alei. Na ironię zakrawa jednak fakt, że wiele z pierwowzorów opowiadań i postaci, które Disney wybrał z powodu szacunku, jakim się cieszą, jest równie ponurych i awanturniczych jak ich późniejsze przeróbki. Literacki pierwowzór disneyowskiej Alicji w *krainie czarów* jest symbolicznym i surrealnym płodem nieszkodliwego, zбочzonego geniuszu. Mark Twain był ateistą i pornografem, a jego wielkie dzieło Huckelberry *Finn* to opis koszmaru dzieciństwa w konfrontacji z amerykańską rzeczywistością społeczną. W tym świetle estetyka kreskówkowych adaptacji jawi się jako totalitarna z natury.

Jasne, że tylko niektóre dzieci udające się na Przejażdżkę w Filizance Szalonego Kapelusznika przeczytały lub przeczytają *Alicję*, nie mówiąc już o książkach Marka Twaina. Większość z nich pozna przygody Alicji wyłącznie z filmu Disneya, jeśli w ogóle je pozna. Potwierdza to, że między gościem Disneylandu a kulturowymi artefaktami, które powinien zachować w pamięci z tej wizyty, istnieje przepaść wielkości dwóch stopni ontologicznych. Przejażdżka w Filizance Szalonego Kapelusznika jest emblematem animowanego filmu Disneya, który z kolei jest powierzchownym w formie i treści przetworzeniem wyrafinowanych fantazji utkanych ze słów języka angielskiego. Nawet u osoby dorosłej, która mgliście pamięta lekturę pierwowzoru literackiego *Alicji*

i która swą złożoną reakcją na ten gęsto nasycony symbolami utwór dawno już wbudowała w swoje życie, propozycja Disneylandu nie przywołuje echa oryginalnego dzieła, lecz stanowi jedynie sentymentalne streszczenie czegoś, co już samo w sobie jest kłamstwem.

Ten proces radykalnej redukcji dostrzegamy też w odniesieniu do istoty amerykańskiej rzeczywistości historycznej. Życie handlarzy niewolników, warunki bytowania na Missisipi w dziewiętnastym stuleciu zostają sprowadzone do pięcio-, dziesięciominutowej przejażdżki wierną od strony technicznej kopią parowca po rzece wielkości kałuży. Pisarz Mark Twain, autor *Życia na Missisipi*, pośrednik między naszym przeżyciem a rzeczywistym doświadczeniem historycznym, zostaje zredukowany do nazwy łodzi. Piractwo na otwartych morzach, sto pięćdziesiąt lat europejskiego wyzysku handlowego i związanych z tym prześladowań, stają się ruchomą dioramą zawierającą wszystkie sceny i ujęcia z filmów o piratach nakręconych w Hollywoodzie w latach trzydziestych i czterdziestych. Kiedy później zachęca się gościa do kupienia, powiedzmy, pirackiego kapełusza w jednym z wielu tandetnych sklepików znajdujących się na terenie Disneylandu, Pawłowowski proces symbolicznego przeniesienia można uważać za zakończony.

Idealnego bywalca Disneylandu można opisać jako osobę, która reaguje na proces symbolicznej manipulacji w ten sposób, że moment dokonywania zakupów staje się dla niej kulminacją i kwintesencją przeżyć całego dnia.

W Disneylandzie wystawiają i sprzedają swoje produkty następujące firmy: Monsanto Chemical Co, Bell Telephone, General Electric, Coca-Cola. Zauważyć też można obecność korporacji: McDonnell Aircraft, Goodyear, Carnation Milk, Sunkist, Eastman Kodak, Upjohn Pharmaceuticals, Insurance Company of North America, United Air Lines i Bank of America.

Oczywiście rodzi to określone skutki polityczne. Disneyland posługuje się techniką skróconej, wybrakowanej kultury dla mas, która wywołuje bezmyślny dreszczyk emocji podobny do elektrowstrząsu, a jednocześnie wymaga od odbiorcy głębokiego, psychicznego związku z historią, językiem i literaturą ojczystą. W nadchodzącej epoce rządzonej silną ręką mas, w przeludnionym świecie, owa technika może okazać się niezwykle użyteczna zarówno jako substytut edukacji, jak i – w ostatecznym rozrachunku – substytut przeżywania. Już dziś nie można zwiedzać Disneylandu, nie podziwiając jego największego osiągnięcia, jakim jest umiejętne sterowanie tłumem. Otwarte wagoniki zabierają gości z różnych części parkingu i dowożą pod główne wejście. Wydaje się, że Park został tak zaprojektowany, aby mógł przyjąć nieskończoną liczbę gości w ograniczonej przestrzeni. Wrażenie to wynika z kuszenia odwiedzających rozlicznymi atrakcjami odbywającymi się w tym samym czasie, i nie chodzi tu tylko o stałe atrakcje, jak przejażdżki, pokazy, restauracje i sklepy, ale również o okolicznościowe parady, ceremonie podnoszenia i opuszczania flagi, koncerty i tym podobne. (W okresie Bożego Narodzenia mieszkańcy Ulicy Głównej, ubrani w świąteczne stroje, śpiewają kolędy u stóp ogromnego, wiecznie zielonego, pozbawionego zapachu drzewka, którego gumowate igły sprężynują pod dotykiem). Przed większymi atrakcjami ustawiono płoty tworzące ślimacznico we labirynty, których celem jest utrzymanie w ryzach ludzkiej cizby czekającej na swój rejs, na swą wyprawę, na swą przejażdżkę. Na każdym kroku spotyka się strażników, bileterów, przewodników i inne osoby z personelu, nie licząc wielkogłowych bohaterów kreskówek Disneya. W każdym większym skupisku pojawiają się ubrani po cywilnemu członkowie ochrony z walkie-talkie w rękach. Kłopoty związane z wchodzeniem i wychodzeniem tak ogromnej masy ludzi zostały tu rozwiązane w sposób, który zapewne wzbudziłby podziw w oczach oficerów SS nadzorujących transporty więźniów.

Szczególnie uderzająca jest duża liczba dorosłych odwiedzających Disneyland w towarzystwie małych dzieci. Można też zauważyć nieproporcjonalnie małą liczbę Murzynów i Latynosów, co wynika pewnie z tego, że spędzenie dnia w Disneylandzie sporo kosztuje. Nie ma tu w ogóle długowłosych młodzieńców, ćpunów, hipisów, dziewczyn w minispódniczkach, wagabundów, motocyklistów, co uwiarygodnia twierdzenie, że Disneyland odwraca się od ludzi, których wygląd mu się nie podoba. Te właśnie myśli zaprzętały Lindę Mindish, kiedy Dale wjeżdżał na parking. Dzień był mglisty, a w powietrzu wisiał smog ostro zarysowujący kontury słońca. Zaparkowaliśmy i zajęliśmy miejsca w jednym z wagoników ciągniętych przez traktor. Schludna konduktorka obrzuciła mnie spojrzeniem, w którym dostrzegłem, jak mi się wydało, ubolewanie. Jej wiedza na temat mo-

jego losu klóciła się z jej naturalnym upodobaniem do moich długich włosów i olewackiej postawy. Linda najwyraźniej zastanawiała się, czy to spojrzenie oznacza zadowolenie czy zdenerwowanie z powodu tego, iż mogę nie zostać wpuszczony do środka. Jestem przekonany, że myślała, iż nie odejdę bez zrobienia awantury.

Postanowiłem, że jeśli będą mi robili trudności, roztrączę ludzi i przeskoczę przez bramkę. Dale kupił bilety, a ja dostrzegłem znaczące spojrzenie, jakie wymienili między sobą bilet i strażnik. Facet ruszył w moją stronę. Dale wyszedł mu naprzeciw i przez chwilę z nim rozmawiał. Mówił mu pewnie: zgoda, facet jest dziwadłem, ale ja biorę za niego odpowiedzialność. Pokazaliśmy bilety i jak obcokrajowiec, który pomyślnie przeszedł kontrolę celną, zostałem wpuszczony do Disneylandu.

Linda, ja i Dale szliśmy zwawo Ulicą Główną. Minęliśmy konny tramwaj i staromodny, piętrowy autobus. Automaty na monety jednocentowe wyświetlające kawałki z Charliem Chaplinem. Gigantyczne kolumny robiące hałas niczym cały zespół. Aptekę. Pomalowaną w biało-czerwone pasy lodziarnię. Ludzie siedzieli w piwiarniach, w których nie podawano piwa. Zapelniali chodnik i jezdnię. Przewijali się obok wystaw sklepowych. Gapili się na mnie.

– Jak go znajdziemy? – zapytałem Lindę.

– Będzie w Krainie Jutra – odparła. – To miejsce lubi najbardziej.

Z placu znajdującego się na końcu Ulicy Głównej skręcamy w bramę wiodącą do Krainy Jutra. Cały świat zaczyna nagle wyglądać nowocześnie i kolorowo. Linda prowadzi nas w do Autopii.

Ludzie czekają w kolejce do małych samochodzików na gaz. To Autopia: jazda po wyznaczonym szlaku, która dostarcza złudzenia bycia kierowcą. W punkcie postoju tłoczą się małe, warczące samochodziki. Wyskakują z nich kierowcy, a na ich miejsce wskakują ci, którzy odstali swoje w kolejce. Samochodziki napływają ciągłym strumieniem, w powietrzu słychać buczenie silniczków. Linda pokazuje na kogoś za płotem. Oto i on. Siedzi obok Sadie, dumny i wyprostowany. W samochodziku zabawce. Sadie trzyma cały bloczek biletów. Nie wysiadają, tylko wręcza biletowemu kolejny bilet. Selig łapie za kierownicę, czekając na kolejną rundę. Ma na sobie hawajską koszulę bez rękawów. Wygląda niewiarygodnie staro. Podbródek mu drga, wargi kłapią jedna o drugą, usta otwierają się i zamykają. Twarz mieni się zdziwieniem i zawadiactwem: zdziwienie i zawadiactwo na przemian, w zgodzie z następującymi po sobie skurczami mięśni. Jest zupełnie siwy. Jego ręce trzęsą się na kierownicy. Z tyłu wjeżdża na nich następny samochód, dziecko się śmieje, ich siwe głowy bezwładnie opadają w tył, twarze odwracają się ku niebu, po czym ruszają w następną wyprawę po Autopii.

Serce waliło mi jak szalone. Nie wystarczało mi powietrza, które miałem dokoła. Byłem świadomy, że Linda i Dale stoją przy mnie po obu stronach i przyglądają mi się z uwagą.

– Chcę z nim porozmawiać, Lindo.

– Nadal?

– Tak.

Linda była bardzo niezadowolona. Po kilku minutach Selig i Sadie znowu pojawili się w zasięgu wzroku i zatrzymali. Sadie przygotowywała kolejny bilet do kontroli i nie słyszała wołania córki.

– Mamo! Mamo!

Ale samochodzik znów wyrwał do przodu, Sadie odwróciła się przez ramię, aby zobaczyć, kto ją woła.

Postanowiliśmy, że schronimy się z Dałem w cieniu tarasu z napisem „Coca-Cola”, a Linda zaczeka na swoich rodziców i przygotowuje ich na spotkanie ze mną. Miałem wrażenie, że umawiamy się na pogrzeb. Na tarasie zespół rockowy właśnie kończył występ. Muzycy mieli krótkie włosy. Ukłonili się i zeszli ze sceny przy aplauzie dostojnych matron.

– On cierpi na uwiąd starczy – rzekł do mnie Dale, kiedy siadaliśmy. – Próbowala ci to powiedzieć. Coś mu tu szwankuje – dodał, klepiąc się w skroń.

Ludzie stali w kolejce po hamburgery i coca-colę. W obrzeża mojego pola widzenia wryły się błędne szlaki powietrznych przejażdżek, harcującej rakiety, nurkujących łodzi podwodnych, manewrujących samochodów, ruszających i zatrzymujących się przechodniów, niemiłosiernie kołyszą-

cych się niemowlaków. Siedziałem z założonymi rękami przy laminowanym stole. W centrum mojego pola widzenia, w samym słońcu, miała się za chwilę zmaterializować rodzina Mindishów. Linda skinęła ręką i Dale ruszył im naprzeciw.

Sadie Mindish szła niechętnie. Była przekonana, że jeśli podejdzie choćby o krok bliżej, spadnie na nią jakaś straszna zaraza lub nagła śmierć. Co chwila spoglądała na mnie, po czym krzyczała na Lindę. Linda powiedziała coś do Dale'a, a on ujął starszą panią za rękę i zaczął do niej mówić. Sadie cofnęła dłoń i machnęła w moim kierunku. Prawnik stanął przed nią, aby zasłonić mnie przed jej wzrokiem.

Linda skierowała się ku tarasowi, prowadząc ojca za łokieć.

Usiadłem naprzeciwko doktora Seliga Mindisha po drugiej stronie pomarańczowego, laminowanego stołu. Jego córka przyklękła obok niego, pytając, czy miałby ochotę na koktajl mleczno-czekoladowy. Jej kolana zbieły pod cielistymi pończochami.

– Koktajl czekoladowy to jego ulubiony deser – wyjaśniła mi. Po czym głośniejszym głosem spytała ojca jeszcze raz, czy chce koktajl.

Pochyliłem się, opierając dłonie na kolanach tak, aby musiał na mnie spojrzeć. Białka jego oczu były żółte. Był nie ogolony. Skóra pokryta brązowymi plamami i znamionami. Siwe włosy przerzedzone. Starczo zapadnięte oczy tonęły w fałdach tłuszczu i skóry. Szczeka poruszała się w górę i dół, a zamykające się i otwierające usta wydawały dźwięk przypominający kapanie z kranu. Nadal jednak widać było w nim resztki prymitywnej siły, jaką zapamiętałem.

– Dzień dobry, panie Mindish – powiedziałem. – Jestem Daniel Isaacson. Syn Paula i Rochelle. Danny.

Linda klęczała obok niego, trzymając go za rękę. Zrobił wysiłek, aby mnie zrozumieć. Kręcił głową jak żółw wychodzący ze skorupy. Uśmiechnął się i kiwnął głową. Po czym, spojrzawszy mi w oczy, powoli zastygł. Nawet skurcze przebiegające przez jego twarz ustały i przestał się uśmiechać. Zrobiło mi się niedobrze na widok fontanny tryskającej z przekrwionych, żółtych kącików oczu. Łzy pocięły mu po policzkach.

– Denny?

– Już dobrze, tato – powtarzała Linda. Poklepywała go po ręce. Zaczęła płakać. – Już dobrze, tatusiu.

– Czy to Denny?

Poznał mnie i na tę jedną chwilę wrócił do życia. W zdumieniu podniósł swe duże, niezdarnie łapsko i dotknął mojego policzka. Wymacał mój kark, przyciągnął mnie do siebie, pochylił się i dotknął trzęsącymi się wargami czubka mojej głowy.

Ostatnio w Houston w Teksasie chirurdzy wszczepili pięćdziesięcioletniemu sprzedawcy samochodów nowe serce, bo jego własne go zabijało. Dwa tygodnie po operacji organizm sprzedawcy odrzucił nowe serce. Siedemdziesięcioletnia babcia z Brooklynu, rozwódka, cierpiąca na ostrą niewydolność serca dostała serce siedemnastoletniej dziewczyny, która zginęła kilka godzin wcześniej w wypadku samochodowym. Babcia żyła zaledwie trzy dni, po czym jej ciało odrzuciło przeszczep. Odrzucenie serca stanowi poważny problem. Organizm atakuje nowe serce, jak każdy inny obcy narząd. Serce zostaje zaatakowane przez antyciała. Zostaje zniszczone. W Los Angeles młoda kobieta od lat przykuta do łóżka, której naturalnym kolorem skóry stał się niebieski, otrzymała serce osiemnastoletniego koszykarza zmarłego kilka minut wcześniej z powodu wylewu krwi do mózgu. Dwa dni później różowa, śliczna i roześmiana pozowała na łóżku do zdjęć reporterom. Po tygodniu już chodziła. Po sześciu miesiącach wzięła ślub z młodym lekarzem, który odbywał praktykę na jej oddziale. Przed upływem roku zmarła z powodu odrzucenia serca przez organizm. Lekarze muszą się jeszcze dużo nauczyć na temat tego, dlaczego odrzucamy nasze serca. Tak, lekarze muszą się jeszcze dużo nauczyć. Stary domokrążca z ulicy Delancey dostał nowe serce w szpitalu Mt Sinai i wypluł je w kilka minut po odzyskaniu przytomności. Nazywamy to wyrzuceniem serca. Czarny listonosz z Pittsburgha w Ohio otrzymał serce białego hutnika, który został zabity w knajpianej burdzie. Murzyn zmarł natychmiast. Nazywamy to wydalaniem. Medycyna musi się jeszcze wiele nauczyć.

W Atlantic City w stanie New Jersey lekarze wstawili nowy zawór do sztucznego płucoserca. Maszyna odrzuciła nową zastawkę, a podłączony do niej pacjent zmarł.

Było dużo nieporozumień na temat transparentów. Ludzie wyglądali na skołowanych. Kręcili się w kółko, a my siedzieliśmy na starym biurku, czekając, aż ktoś nam powie, co mamy robić. Pan Fischer nas zostawił, mówiąc, że za chwilę wróci. Ludzie na czworakach malowali na podłodze hasła. Byliśmy w pustym magazynie. Jakiś człowiek piłował drewno na tyczki, które składał pod ścianami. Potem przy drzwiach wybuchnęła wrzawa, ktoś wykrzykiwał powitania i do środka weszło ze śmiechem dwoje ludzi, rzucając na środek podłogi wielki stos tablic ze zdjęciami moich rodziców. Susan i ja siedzieliśmy po turecku na biurku i patrzyliśmy na siebie, starając się wznieść jakiś mur, który odgradzałby nas od tej sceny. Co chwila ktoś wchodził i, nie patrząc, wiedzieliśmy, że zostaliśmy poddani ocenie. Pomimo hałasu niektóre słowa słyhać było bardzo wyraźnie. To one? Biedne dzieci.

Wiedzieliśmy, że ten, kto tak mówi, nie należy do naszego kręgu. Ci, którzy nas znali, uważali nas za nienormalnych i rozkapryszonych. Tuż przed wyjściem postanawialiśmy nagle, że chcemy mleka słodowego lub hamburgerów. Kiedyś Susan uparła się na kurczaka po chińsku. Szantażowaliśmy każdego, kto popełnił ten błąd i spróbował się z nami zaprzyjaźnić. Stanowiliśmy stałe zagrożenie. Nieposłuszeństwem potrafiliśmy popsuć najlepszy plan. Nasze publiczne pojawienie się miało chwytać ludzi za serce. Wyglądaliśmy na dwoje grzecznych, miłych dzieci. Jednak ci, którzy znali nas lepiej, wiedzieli, co z nas za gagatki.

Fischerowie szczerze nas nie lubili. Ciągłe pędzili nas na jakieś zjazdy i wiece, nie dając spokojnie zjeść kolacji. Nienawidziliśmy ich. Mieszkali w dużym domu, w którym mieliśmy dwa osobne pokoje na drugim piętrze. Pani Fischer dała nam stary odkurzacz, żebyśmy sami sprząтали. Brudne ubrania mieliśmy wrzucać do przeznaczonego do tego worka. Kiedy się zapełniał, znosiliśmy go do sutereny. Niekiedy na łóżku znajdowaliśmy nowe ubranie kupione u Alexandra. Na tablicy w kuchni wisiał nasz rozkład dnia. Dom, ciemna rezydencja w stylu Tudorów, stał bardzo daleko od ulicy, a cała posiadłość otoczona była wysokim żywopłotem. Często przezeń wyglądaliśmy, ale nie widzieliśmy nic oprócz innych rezydencji w stylu Tudorów. Jeździliśmy do prywatnej szkoły samochodem kombi, ten sam samochód przywoził nas do domu. Nie mieliśmy kolegów.

Pewnego dnia schowaliśmy się w piwnicy za piecem. Zostaliśmy tam przez cały dzień i opuściliśmy wiec. Hodowałem włosy dokoła penisa i pokazałem je Susan. Pogadaliśmy trochę o tym. Susan czytała Tajemniczy ogród. Ja się zdrzemnąłem. Słyszeliśmy, jak co chwilę na górze dzwoni telefon. W końcu zgłodnieliśmy i poszliśmy na górę. Była dziesiąta wieczór. Pan Fischer miał poluzowany krawat, koszulę rozpiętą pod szyją, a kołnierzyk wywinięty. Na nasz widok zaczął krzyczeć. Pani Fischer była blada i zapalała papierosa za papierosem, każdego zgniatając niemal od razu w popielniczkę. Była szczupłą blondynką o wylupiastych oczach.

– Myślicie, że robimy to dla siebie! – wrzeszczał pan Fischer. – Zepsute dzieciaki! To są wasi rodzice! Nieszczęśni smarkacze!

Tydzień później, gdy wypadał termin odwiedzin u rodziców w więzieniu, nie miał kto nas tam zabrać.

Potem przyszedł Jacob Ascher. Długo się z nim nie widzieliśmy. Zawiózł nas do sędziego Greenblatta, do Sądu Opiekuńczego, i sędzia zdjął opiekę kuratorską nad nami z barków Fischerów.

– Nie chcę ich więcej widzieć – powiedział, celując palcem w Aschera. Stary adwokat zaśmiał się gorzko i potrząsnął głową.

Co można by jeszcze powiedzieć? WYBIERZ ZAWÓD ELEKTRYKA. Elektryczność jest formą energii. Wytwarzają ją różnego rodzaju generatory napędzane przez wodę, parę, rozbitcie jądra atomu. W produkcji energii elektrycznej przodują Stany Zjednoczone (987 432 000 kilowatogodzin rocznie) i Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich (379 096 000 kWh rocznie). Teoria mówi, że elektryczność powstaje wtedy, kiedy atomy gubią lub nabywają dodatkowy elektron i stają się albo naładowane dodatnio, albo ujemnie. Naładowany atom nazywa się jonom.

Pewnie myślisz, że nie mógłbym dokonać egzekucji na krześle elektrycznym. Wiem, że jest jakiś „ty”. Zawsze jest jakiś „ty”. Hej, TY: pokażę ci, że potrafię dokonać egzekucji na krześle

elektrycznym.

Najpierw wprowadzili mojego ojca. Słusznie uważali, że moja matka jest silniejsza. Trzeba było wziąć pod uwagę wszystkie czynniki. Chcieli, żeby obyło się bez awantur. Żeby poszło gładko. Wykonywanie egzekucji nie jest przyjemnym zadaniem i chcieli to mieć jak najszybciej za sobą. Nogi się pod nim uginały. Trzeba go było podtrzymywać. Miał oczy zaczerwienione od płaczu, ale nie było w nich już łez. Na nogach miał papcie. Ubrany był w szare spodnie i luźną koszulę z podwiniętymi rękawami. Na czubku głowy miał wygolone kółko. Prawą nogawkę rozcięto.

W pomieszczeniu oprócz niego było mnóstwo ludzi. Inspektor, kat, trzech strażników, rabin, dwóch lekarzy i trzech dziennikarzy wydelegowanych jako przedstawiciele prasy. Jeden był z „Herald Tribune”, drugi z Associated Press, a trzeci pracował dla „News”. Mojemu ojcu trzęsły się ręce, oddech miał urywany i płytki. Powiedziano mu, że do celi śmierci podłączono bezpośredni telefon z Waszyngtonu. Nie szukał go wzrokiem, kiedy wchodził do środka. Nie pokazał po sobie, że zauważa obecność choćby jednego z widzów. Trzeba było mu pomóc usiąść na krześle, lekko popchnąć jak inwalidę. Kiedy usiadł, zaczął oddychać szybciej. Zamknął oczy i wpił się palcami w kolana.

Wszystko poszło źle. Nie wybuchło żadne powstanie. Świat nie stanął w płomieniach rewolucji. Kwestia złagodzenia wyroku, ich szansa na przeżycie, zdawała się zależeć od jakości, szlachetności, manier ludzi, którzy o nich walczyli. Sprawa, za którą mieli zginąć, zdawała się zdyskredytowana jako manewr polityczny. Jakby zachodziło wielkie zjednoczenie w zbiorowej winie: ludzie utwierdzali się w przekonaniu o winie Isaacsonów z powodu tych, którzy prowadzili kampanię na rzecz ich uwolnienia, a zwolenników dyskredytowało to, że do uwolnienia nawoływali. Ustalenie prawdy wydawało się niemożliwe. Tuż przed ogłoszeniem swojej decyzji w sprawie prośby Isaacsonów o łaskę Prezydent Stanów Zjednoczonych wezwał Prokuratora Generalnego. Krążąc pogłoski, że prokurator powiedział do prezydenta: „Panie prezydencie, ci ludzie muszą się usmażyć”.

Mojemu ojcu uniesiono ręce, oderwano je od siebie i pasami przywiązano w nadgarstkach do poręczy krzesła. Poręcze krzesła elektrycznego są zrobione z drewna. Cała konstrukcja jest z drewna, chociaż z oparcia krzesła odchodzi metalowa obręcz, a krzesło jest przymocowane do cementowej podłogi metalowymi klamrami. Przywiązano mu nogi w kostkach do krzesła. Wiązania przy krześle są skórzane. Jednym pasem przywiązano go na wysokości ud, drugim przez pierś, a trzecim, jak filakterię, wokół głowy na wysokości czoła. Strażnik delikatnie zdjął mu okulary, złożył je i odłożył na bok. Podeszedł z drugiej strony, zanurzył palce w słoiku i kolistymi ruchami roztarł adhezyjną pastę przewodzącą na wygolonej skórze głowy mojego ojca, a potem przyklęknął i zrobił to samo na łydce, którą też ogolono. Następnie przymocowano elektrody.

Prąd płynie w obwodach zamkniętych. Kiedy obwód jest otwarty lub przerwany, prąd nie może płynąć. Podczas egzekucji na krześle elektrycznym obwód zostaje zamknięty, czyli dopełniony, przez ludzkie ciało. Kiedy zakładano mu na głowę kaptur, przygryzł wargi – resztki energii włożone w nadludzki wysiłek, żeby nie wybuchnąć płaczem. Kaptur jest zrobiony z czarnej skóry i zakłada się go z szacunku dla prawa do prywatności w obliczu śmierci. Niewykluczone jednak, iż zakłada się go, żeby oszczędzić świadkom widoku wywołanego działaniem prądu o napięciu dwóch i pół tysiąca wolt na mięśnie twarzy, barwę skóry, na język i oczy. Ręce mojego ojca zacisnęły się na drewnianych poręczach, jakby chciały je zmiażdżyć. Krzesło miało go zabić, ale teraz było jego jedynym oparciem. Elat zajął swe miejsce za ścianą osłonową w czymś w rodzaju niszy. Na ścianie tej niszy znajduje się duży przełącznik w kształcie widelca. Dźwignię przełącznika przesuwają się gwałtownie z góry na dół. Kat patrzył przez szybę i czekał na znak inspektora, który obserwował mojego ojca. Odczekawszy zbyt długą chwilę, inspektor odwrócił się do kata i skinął głową. Kat opuścił dźwignię. Mój ojciec napał na rzemienie, jakby uderzył go pociąg. Skręcił się na krześle jak bicz. Skórzane pasy zatrzeszczały i jęknęły. Z głowy ojca uniosł się dym. Celę śmierci wypełnił zapach, w którym czuć było swąd palonego ciała pomieszany z odorem ekskrementów. Większość świadków odwróciła głowy. Na cementowej podłodze pod krzesłem zebrała się kałuża moczu.

Kiedy prąd wyłączono, sztywne ciało mojego ojca nagle zwiotczało i wtedy świadkowie chyba zdali sobie sprawę, że to, co brali za ostatnie spazmy jego życia, trwające Bóg wie ile sekund, było w istocie obrazem prądu elektrycznego – normalnie niewidocznego – płynącego przez

obszar rezystancji.

Kilka minut po tym, jak wyniesiono na noszach ciało mojego ojca, wytarto podłogę, a organiczny zapach jego śmierci został zamaskowany amoniakalną wonią środka dezynfekcyjnego, do celi wprowadzono moją matkę. Miała na sobie szarą, nieforemną sukienkę więzienną i papcie z froty. Wiedziała, że mój ojciec nie żyje. Na jej twarzy czaił się starannie ułożony, ironiczny uśmiech. Spokojnie patrzyła na każdego ze świadków po kolei, dopóki nie odwrócił oczu. Niektórzy, kiedy kierowała na nich wzrok, nawet na nią nie spojrzeli. Potem oczy mojej matki spoczęły na więziennym rabinie. Był to ten sam człowiek, od którego przez ostatnie czterdzieści osiem godzin nie chciała przyjąć posługi religijnej.

– Nie chcę go tutaj – powiedziała. Rabin w tałesie i jarmułce ruszył do drzwi. Zanim wyszedł, matka zawołała za nim: „Niech mój syn ma dzisiaj bar micwę. Niech dzień naszej śmierci będzie dniem jego bar micwy”.

Rabin powiedział później, że tego nie dosłyszał. Jej głos nie brzmiał w tym momencie donośnie.

Moja matka odwróciła się w stronę krzesła, z pogardą odrzucając jakąkolwiek pomoc. Uściśkała matronę, która przez dwa lata była jej jedyną strażniczką w kobiecym bloku śmierci. Zaprzyjaźniły się serdecznie. Matrona załkała i wybiegła z celi. Matka, wciąż z tym swoim niesamowitym uśmiechem na twarzy, usiadła na krześle i patrzyła, jak ją przywiązują, jak pasażerka w samolocie przygotowująca się do podróży. Kiedy zakładano jej na głowę kaptur, miała otwarte oczy. Kiedy opuszczono dźwignię, odtąńczyła te same wygibasy. Prąd wyłączono. Do zwiotczalego ciała podszedł lekarz i przez stetoskop osłuchiwał serce. Na jego twarzy odmalowała się konsternacja. Kat opuścił swą niszę i zaczęli się naradzać. Inspektor wyraźnie się ożywił. Trzej dziennikarze rozmawiali ze sobą niecierpliwym szeptem. Kat wrócił za ściankę i otrzymał jeszcze jeden sygnał, ponownie włączył prąd. Później mówił, że pierwsza „dawka” była za mała, żeby zabić moją matkę, Rochelle Isaacson.

TRZY ZAKOŃCZENIA

1. DOM. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafię podać, tydzień po powrocie do Nowego Jorku Daniel udaje się do dawnego miejsca zamieszkania w Bronksie. Okolica się zmieniła. Przecinająca Bronx autostrada biegnie jak głęboki rów przez coś, co kiedyś było Sto Siedemdziesiątą Czwartą Ulicą. Stare kamienice czynszowe, rząd za rzędem, ulica za ulicą, stoją na swoim miejscu jak ruiny miasta obrastające sadzą i kopciem. Ludzie jednak wciąż tu mieszkają. Wielkie, plastikowe torby ze śmieciami piętują się pod ścianami budynków jak worki z piaskiem. Śmieciarze strajkują. Śmieci walają się po całym chodniku. Wiatr miota pustymi kartonami po mleku. Gazety przyklepiają się do nóg. Niesione podmuchami fusy z kawy przesuwają się po szkolnym boisku jak pusty piasek. Stara szkoła z czerwonej cegły jeszcze stoi. Nie jest tak duża, jaką ją zapamiętałem. Opieram czoło o ogrodzenie, unoszę ręce nad głowę i kładę je na siatce. Za mną, po drugiej stronie ulicy, znajduje się mój dom. Na schodkach rozchwierutanego ganku dwoje czarnych dzieci gra w oko. Czarna kobieta otwiera drzwi i woła je do domu. Nadciąga noc. Po boisku zaczyna hulać wiatr. Mam ochotę odwrócić się i poprosić kobietę, aby pozwoliła mi wejść i rozejrzeć się po domu. Ale dzieci zabierają karty i wchodzą do środka, a ich matka zatrząskuje drzwiami. Nic nie zrobię. Teraz to ich dom.

2. POGRZEB. To był duży pogrzeb. Orszak ciągnął się na wiele mil – autobusy, samochody, nawet miejskie taksówki. Policjanci kierowali ruchem. Kierowali pogrzebem. Stali przy wjeździe na cmentarz. Nie wszystkich wpuszczano do środka. Mogliby zdeptać groby. Był to długi, monotony dzień, ale nie pozbawiony aspektów towarzyskich. W kaplicy cmentarnej Jacob Ascher przedstawił nas wielu ludziom, w tym również młodemu małżeństwu, Lewinom, którzy byli nowymi kandydatami na naszych rodziców. Nawet jak na tę porę roku – a było lato – panował wyjątkowy upał. Jechaliśmy z Susan w czarnej limuzynie tuż za karawanem. Arystokracja. Cały tył był do naszej dyspozycji. Jednak przysunęliśmy się tak blisko siebie, że stykaliśmy się nogami, i trzymaliśmy się za ręce, jakbyśmy siedzieli ściśnięci między innymi osobami. Przez okna zaglądały do

środka różne twarze.

Jedziemy czarnym cadillakiem za karawanem. Trwa jeden z tych przedziwnych, ciepłych dni, gdy zima rozplywa się w wiosnie, z pluskiem wpada do niej jak olej do wody, jak krew do mleka. Taki dzień, w którym krokusy mają przerypane, gdy tylko rozchylą płatki, otworzą na wiosnę swe delikatne, żółtobiałe, lawendowo-mięsiste wnętrza. Jeszcze za wcześnie. Błąd w rachubach. Krokus – pierwszy kwiat, żałobny kwiat, kwiat rewolucjonistów.

Stoimy obok grobów. Z tyłu napiera na nas ogromny tłum. Zaczynają się modlitwy. Wszyscy są ubrani na czarno. Zerkam na Susan. Jest doskonale opanowana. Wygląda schludnie i porządnie w czarnym bezrękawniku. Głowę przykryła czarną, koronkową chusteczką. Wygląda pięknie i jestem z niej bardzo dumny. Wyrasta na młodą damę z tymi włosami rozdzielonymi na środku przedziałkiem, zaczesanymi na uszy i zawiązanymi na karku bardzo po dorosłemu. Gdy czuję ciepło jej ręki w swojej dłoni i widzę, jak jej śliczne oczy rzucają spojrzenia na ziejącą u naszych stóp jamę, ogarnia mnie tak niewysłowiona miłość, że robi mi się sucho w gardle i uginają się pode mną kolana. Przechodzi mi przez myśl, że gdybym tylko mógł kochać moją siostrzyczkę przez resztę życia, to nic więcej nie będzie mi potrzebne do szczęścia.

Lewinowie zajmują tylne siedzenie, ja i Phyllis – rozkładane siedzenia z boku. Moja matka założyła czarny kapelusz z woalką zakrywającą oczy. Oczy ma zapuchnięte i zaczerwienione, a usta wykrzywione brzydkim grymasem smutku. Ojciec ma na sobie ciemny garnitur i krawat. Jest zdruzgotany. Niezbyt dokładnie się ogolił, widać kępki szarej szczeciny, które zostały pod brodą i przy ustach. Twarz Phyllis jest blada i wymizerowana. Jest słoneczny dzień, dlatego jej zapłakane oczy są niebieskie. Ma na sobie zielony żakiet i ogrodniczki.

Na cmentarzu karawan się zatrzymuje, kierowcy wysiadają, zaczynają palić papierosy i rozmawiać, a my czekamy na mistrza ceremonii, który zniknął w biurze, aby dogadać się z ludźmi z zarządu cmentarza. Ten pogrzeb jest mały, a on ma dzisiaj jeszcze inne.

Moja siostra nie żyje. Umarła z powodu błędnej diagnozy.

Między kwaterami walają się liście z zeszłej jesieni. Kwatery są oddzielone od siebie metalowymi płótkami lub krzewinkami. Jedziemy prostymi, wąskimi, cmentarnymi alejkami. To śmieszne, żeby alejki cmentarne miały nazwy i żeby to, a nie inne miejsce było przeznaczone na pochówek człowieka. Takie miasto dla umarłych, widziane ich oczami, święte miejsce spoczynku umarłych, podzielone na zabudowane kwartały, z kamiennymi tablicami i nagrobkami przypominającymi budynki, z dzielnicami modnych krypt dla wyższych sfer i zbiorowymi mogiłami opatrzonymi nazwą tego czy tamtego klubu. Niektóre kamienie są tak stare, że aż zbrązowiały, i stoją tak blisko siebie jak w getcie. Moda się zmienia, nawet na grobowce. Od niedawna nazwisko rodowe wypisuje się na dużej płycie bez ozdób, a tożsamość poszczególnych członków rodziny zaznacza u stóp grobowca.

Wygląda na to, że epigramy i cytaty z Biblii zniknęły. Z rzadka pojawiają się krótkie, tajemnicze frazy wykute stylizowanymi hebrajskimi literami. Nowe nagrobki są białoszare, wypolerowane z wierzchu i grubo ciosane po bokach.

Grób Susan znajduje się pod drzewem, bardzo blisko grobów rodziców. Wszystko zorganizowałem. Zielony dywan wyściela wykopany dół. Trzej grabarze odsuwają się i czekają dyskretnie z boku, gdy wysiadamy z samochodu. Są młodzi, niewiele starsi ode mnie. Nigdy nie przestaje ich dziwić różnorodność okazywanego smutku. Za rogiem na cmentarnej alejce stoi mała, żółta koparka. Trumna Susan zostaje opuszczona do grobu i mistrz ceremonii spogląda na mnie. Nie zgodziłem się, żeby w pogrzebie wziął udział cmentarny rabin, a teraz nadszedł czas, by zmówić modlitwę i rzucić garść ziemi na trumnę Susan. Mówię do niego, żeby chwilę zaczekał. Ruszam przez cmentarz i wynajmuję po kolei starych, małych Żydów z rodzaju tych, co to zawsze kręcą się w pobliżu i za drobną opłatą gotowi są odmówić modlitwy, których nie znają młodzi. Mali, brodaci mężczyźni, którzy żyją z cmentarzy: szamesi, mędrkowie, włóczędzy, odszczepieńcy, którzy utrzymują się z odmawiania wyżebranych u ludzi modlitw za dopiero co zmarłych bliskich, za zmarłych niedawno i za nie żyjących od dawna. Zazwyczaj chodzą w wyświechtanym ubraniu, w zdartych butach. Niektórzy z nich są pijakami. Biegam po cmentarzu, najmuję jednego po drugim i kieruję ich w stronę grobu. Kiedy wracam, stoi ich tam już z pół tuzina. Ignorują się nawzajem i prześcigają

w modlitwach za Susan. Odprawiają swój śpiewny rytuał, kiwając się na piętach w przód i w tył, z zamkniętymi oczami recytując nosowe modlitwy. Trafiła się im żyła złota. Zbiegają się inni szamasi, jak gołębie, które zobaczyły tłum. Przyjmuję każdego błogosławionego. W kieszeni mam zwitek banknotów. Jestem chodzącym bankiem. Moja matka i ojciec wracają do samochodu. Mistrz ceremonii czeka niecierpliwie obok swego lśniącego karawanu. Ja jednak zachęcam żałobników i kiedy jeden z nich kończy, proszę go o jeszcze, tym razem za mojego ojca i matkę. Isaacson. Pinchas. Rachele. Susele. Za nich wszystkich. Trzymam żonę za rękę. I myślę, że teraz będę mógł się wreszcie rozplakać.

3. BIBLIOTEKA. Miałem nadzieję, że w trzecim zakończeniu uda mi się ustosunkować do paru pytań postawionych na tych kartkach. Przed chwilą jednak, kiedy siedziałem tu, pisząc ostatnią stronę, wszedł jakiś człowiek i obwieścił, że zamyka bibliotekę.

– Koniec, stary. Zamykamy szkółkę. Kirk musi iść! Udało się, zwalamy ten cały pierdolony uniwersytet na kolana!

– To znaczy, że mam wyjść?

– Zgadza się, stary. Rusz dupę. Ten budynek został oficjalnie zamknięty.

– Chwileczkę...

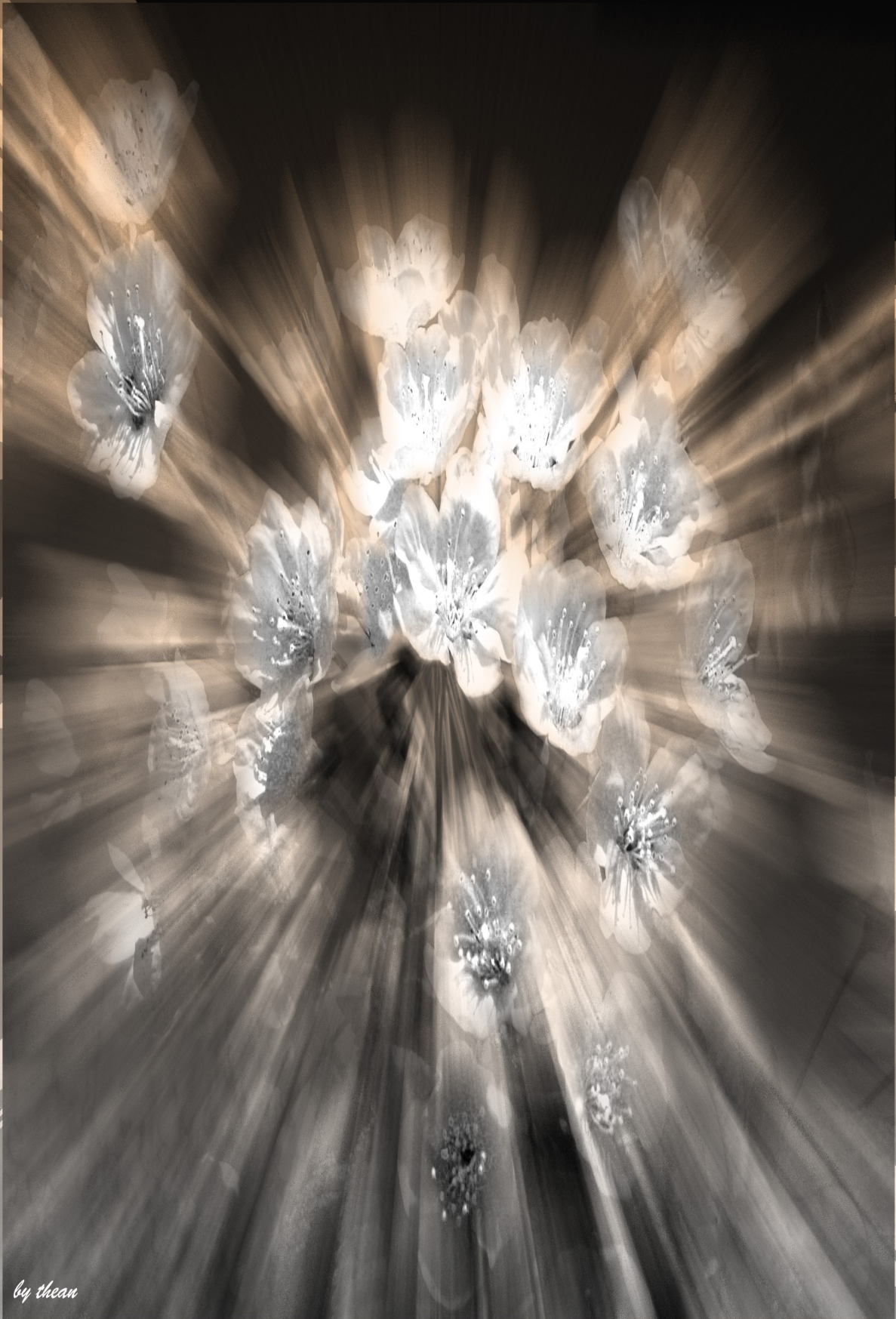
– Żadną chwileczkę. Natychmiast. Zakręcamy wodę, gasimy światło. Zamykaj książkę, stary. Co z tobą, nie rozumiesz, że zostałeś wyzwolony?

Muszę się uśmiechnąć. Można się było tego spodziewać. Pójdę na Sundial i zobaczę, co się tam dzieje.

KSIEGA DANIELA: Podporządkowanie życia częściowemu wypełnieniu wymagań koniecznych do uzyskania stopnia doktora biologii społecznej, entomologii sprośności, anatomii kobiecej, kakofonii dzieciństwa, arcydemonologii, eschatologii i skażenia termicznego.

Wtedy nastąpi okres ucisku, jakiego nie było, odkąd narody powstały (...). W tym czasie naród twój dostąpi zbawienia, każdy, kto się okaże zapisany w księdze. Wielu zaś, co posnęli w prochu ziemi, zbudzi się; jedni do wiecznego życia, drudzy ku hańbie, ku wiecznej odrazie. Mądrzy będą świecić jak blask sklepienia, a ci, którzy nauczyli wielu sprawiedliwości, jak gwiazdy przez wieki i na zawsze. Ty jednak, Danielu, ukryj słowa i zapieczętuj księgę aż do czasów ostatecznych. (...) Idź, Danielu, bo słowa zostały ukryte i obłożone pieczęciami aż do końca czasu.

KONIEC



by thean